

MAGDALENA
KORDEL

Zagubiony
Świat



znaki

MAGDALENA
KORDEL

Zagubiony
Anioł



Wydawnictwo Znak
Kraków 2022

W Boże Narodzenie wszystkie drogi prowadzą do domu.

MARJORIE HOLMES

WIGILIA OSTATNIEGO DNIA LISTOPADA



Nie pamiętał, jak długo już stał w oknie i wpatrywał się w nieprzeniknioną, rozciągniętą za szybą ciemność.

Tuż za nim, na blacie małego, koślawego stolika leżał plik listów. Wszystkie co do jednego powracające, nieodebrane. Nieotwarte. Odbierające nadzieję. Jedyna otwarta koperta znajdowała się w tej chwili w jego mocno zaciśniętej dłoni. Należała do innego czasu, innego miejsca. Nie musiał wyjmować z niej małej kartki, która złożona spoczywała tam od bardzo dawna. Znał każde napisane na niej słowo na pamięć, znał kształt każdej literki, każdy artystyczny zawijas i jedno skreślenie. Nieporadnie namalowane serduszka stały mu przed oczami. Wystarczyło przymknąć powieki, wcale nie musiał zapalać światła, żeby odtworzyć treść listu:

Od dziś będę zawsze kochała deszcz. Będzie zawsze wygrywał Twoje imię. Jak dobrze, że się spotkaliśmy, jak dobrze mieć kogoś, kogo można... No wiesz, to słowo na „k”, którego jeszcze sobie nie powiedzieliśmy. I które mam usłyszeć, gdy przyjdzie odpowiedni moment... Czekam na niego z taką samą nadzieją, jaką czuleś Ty, gdy stałeś jeszcze długo pod moim oknem, długo po tym, jak pożegnaliśmy się w deszczu. Stałeś aż do momentu, gdy w końcu udało mi się wyjrzeć. Tak jak obiecałam, że spojrzę – spojrzałam. I Ty obiecałeś, że nadal tam będziesz, i byłeś. Odszedłeś dopiero wtedy, gdy pocałowałam palce i przytuliłam ten pocałunek do zapłakanej szyby. Szedłeś tyłem, widziałam Twoją sylwetkę w bursztynowym świetle latarni... I wiesz, śmieszne jest to, bo u nas w domu nie ma prawie żadnych książek, ale jedną z nielicznych jest tomik wierszy Gałczyńskiego. Znam je prawie na pamięć, co zresztą nie jest jakieś wyjątkowe. Tomik jest cienki, a ja przeczytałam go już milion razy, to każdy – nawet z tak kiepską pamięcią jak moja – by się nauczył. I pewnie zastanawiasz się, dlaczego to jest śmieszne. Bo widzisz – tylko jeden tomik, a w nim idealny wiersz dla nas. To musi być znak, że nam się uda. Że jesteśmy dla siebie, że nigdy się nie zgubimy. Mimo że co dzień słyszę, iż jest inaczej. To dla Ciebie ode mnie, żebyś nigdy nie zapomniał tamtego deszczu, tamtego wieczoru i tamtej mnie... Gdy to piszę, ten deszcz jeszcze pada, wieczór trwa, a ja jestem jeszcze tą samą wieczorną dziewczyną... Ale gdy to będziesz czytał, to już nic nie będzie „tym”, nie ten deszcz, tylko właśnie tamten: tamten deszcz, tamten wieczór, tamta dziewczyna. Dobrze, że na świecie poza tym, co mijają, jest też to, co dopiero nadejdzie: przecież jutro spotkamy się znów...

A teraz dla Ciebie ode mnie, no i trochę od pana Ildefonsa, ale od niego to tylko troszeczkę:

Mówiłam tobie już pięćdziesiąt kilka razy,
żebyś już poszedł sobie, przecież pada deszcz,
to przecie śmieszne takie stać tak twarz przy twarzy,
to jest naprawdę niesłychanie śmieszna rzecz;
żeby tak w oczy patrzeć: kto to widział?
żeby pod deszczem taki niemy film bez słów,
żeby tak rękę w rękę trzymać: kto to słyszał?
a przecież jutro tutaj się spotkamy znów –
i tak się trudno rozstać,
i tak się trudno rozstać,
no, nawet jeśli trochę pada, to niech pada –
i tak się trudno rozstać,
i tak się trudno rozstać,
nas chyba tutaj zaczarować musiał deszcz.

Słowo po słowie odtworzył w myślach treść listu.

Tamten deszcz, tamten wieczór, tamta dziewczyna – przemknęło mu gorzko przez głowę, otworzył oczy i jeszcze raz spojrzął na leżący na stole plik listów. Podniósł je i przez moment ważył w dłoni, a potem stanowczym ruchem wrzucił do otwartego plecaka stojącego obok stolika. Już ich nie będzie wysyłał. Już dość. Co nie znaczy, że zrezygnował. Z tego jutra. Był głupcem, zachował się jak prawdziwy rasowy idiota, jednak wciąż miał nadzieję. Że może kiedyś, a właściwie już całkiem niedługo znów będzie mógł stanąć pod jej oknem i doczekać się momentu, gdy jej sylwetka pojawi się na tle oświetlonego pokoju, i że patrząc na niego, przyłoży opuszki palców do ust, a potem przytuli ten pocałunek do szyby, po to by razem z deszczem spłynął prosto na jego wargi.

Znów podszedł do okna, otworzył je na całą szerokość i śmiało spojrzął w zapłakaną deszczem listopadową noc.

– Znajdę cię – wyszeptał. – Znajdę. I już nigdy nie wypuszczę – zakończył stanowczo.

A potem zamknął okno, zapalił nocną lampkę i usiadł na prostym drewnianym taborecie, i ujął w palce leżący na blacie stolika długopis. Pochylił się nad rozpostartą, zastygłą w oczekiwaniu, jeszcze pustą kartką.

I zaczął pisać. List, który sam jej wręczy. Patrząc w oczy. Najważniejszy spośród tych, które do tej pory napisał. I ten będzie musiał zostać otwarty.

W zupełnie innym miejscu ktoś również nie spał. Dziewczyna, otulona kocem i kołdrą, które wcale nie dawały za wiele ciepła, spoglądała na powiększającą się z minuty na minutę mokrą plamę na suficie, z której miarowo kapały krople do postawionej na podłodze metalowej miski. Uderzając w jej dno, deszcz wygrywał swoją melancholijną piosenkę. Słuchając jej, umierała z tęsknoty i podskórnie czuła, że zbliża się do kresu. Choć za nic na świecie głośno by się do tego nie przyznała.

Wypowiedziane na głos słowa miały to do siebie, że niepokojąco zaczynały zakotwiczać się w realnym świecie. Coś niewyobrażalnie prawdziwego było w powiedzeniu: „A słowo stało się ciałem”. Haśka za nic nie chciała tego przyspieszać, choć każdy dzień wyczerpywał w niej wiarę w to, że coś może się odmienić.

Jednak nadal czekała. Tak jak teraz, milcząc i wpatrując się w noc, wsłuchując w ciszę i coraz bardziej wątpiąc. Czekwała na cud, choć przecież w cuda w ogóle nie wierzyła.

Ten dzień ledwo wynurzył się z nocy, zastygł w oczekiwaniu. Coś niebawem miało się wydarzyć. Coś, co wymagało skupienia, uwagi i melancholijnego zadumania. Może właśnie dlatego prognoza pogody się nie sprawdziła i nie było mowy o krótkich przebłyskach słońca, na które wszyscy, zmęczeni listopadową ponurością, liczyli. Widać preludium czegoś tak ważnego, jeszcze niewidocznego, a jednak już wyczuwalnego, wymagało specjalnej oprawy.

Deszczu, kłębiących się chmur, wszystkich odcieni szarości.

Listopad, niedoceniany i nielubiany przez większość miesiąc, lubował się w dramatyzmie. A jeżeli to, co miało dopiero nadejść, miało rozpocząć się w przededniu grudnia, tym bardziej zamierzał dać z siebie wszystko. Skoro to były jego ostatnie dni, chciał, żeby go zapamiętano. Zero słońca, żadnych rozpiętych kurtek, ściągania czapek. Nie dość, że to było takie nielistopadowe, to dodatkowo mogłoby zepsuć wszystko. Mogło pokrzyżować drogi przeznaczenia. A na to nie można było pozwolić.

Dlatego pierwsze przebłyski dziennego światła ujawniły na ziemi lekki białawy osad przymrozku, a na bezlistnych gałęziach drzew położyła się cieniutka warstewka szadzi. Ci, którzy pojawili się na ulicach, przy każdym oddechu wydychali obłoczki zimnego powietrza. Chowali ręce w rękawach kurtek, a nosy w wysoko podniesionych kołnierzach. To łączyło wszystkich, którzy tego poranka znaleźli się na zasnutych zimną, gęstą mgłą ulicach. Ale tylko nieliczni, ci wyjątkowo wrażliwi poczuli na karku dziwne mrowienie. Co poniektórzy rozejrzeli się nawet uważnie wokół siebie, ale za moment ich wzrok zahaczał o wskazówki zegarków, na które nerwowo zerknęli, albo widząc zmieniające się światła na przejściach dla pieszych, przyspieszali kroku, spychając w głąb świadomości wszelkie

przecucia. W codziennym pędzie i gnaniu przed siebie tylko zawadzały i sprawiały kłopot. Wymagałyby, aby przystanąć i zastanowić się nad tym, o co właściwie chodzi. Były niepraktyczne. A poza tym gdyby ktokolwiek, kto musiał tego ranka wyjść z domu, mógł sobie pozwolić na luksus braku pośpiechu, to raczej posiedziałyby trochę dłużej w ciepłym pokoju, pijąc kawę i odwlekając moment wyjścia na zimno i pluchę. W takich okolicznościach przecucia, nawet te desperacko domagające się uwagi, z góry znajdowały się na przegranej pozycji.

Ale prawdę mówiąc, to i tak nie miało wielkiego znaczenia. Cokolwiek by się wydarzyło i ilu ludzi by to przeczuło, a ilu przeszło obojętnie, nic nie mogło zmienić tego, że to był dzień początku.

Ta historia mogła się rozpocząć tylko w tym momencie: w dniu, który aż zastygł w oczekiwaniu.

Michalina przez większość minionego roku nie poświęciła zbyt wiele czasu na rozmyślanie o przeszłości. Gdy nadszedł listopad, nie myślała również o ponurości, którą straszyły późnojesienne dni, ani o plusze, ani o szybko zapadającej ciemności, przyprawiającej co niektórych o nagłe ataki depresji. Nie poświęcała temu wszystkiemu specjalnej uwagi, bo czuła się zwyczajnie szczęśliwa. Ale tego dnia, w wigilię ostatniego dnia listopada, coś się zmieniło. Gdy podeszła na palcach do dziecinnego łóżeczka i pochyliła się nad śpiącą w nim małą dziewczynką, przemknęło jej przez głowę, że to wszystko jest wręcz nieprawdopodobne. Niesamowite, że jutro minie dokładnie rok od momentu, gdy była sama jak palec, spała po bramach i nie widziała dla siebie przyszłości. Niby tak niewiele, dwanaście miesięcy, a wystarczyło, żeby całkowicie odmienić jej życie. To wszystko, co zaczęło się ostatniego dnia listopada minionego roku, a osiągnęło kulminację w grudniu, trwało aż do dziś...

Krótko mówiąc, stał się cud.

Przyniósł jej: miłość, rodzinę, przyjaciół, wymarzoną pracę. Konstantego – Kotulę, którego kochała nad życie. Klarę, córeczkę, która i jej, i Konstantemu przysłoniła cały świat, Nelę, starszą panią z językiem ostrym jak brzytwa, ale za to z sercem miękkim i czułym, choć to ostatnie starała się skrzętnie ukrywać. Na myśl o starszej pani, która za chwilę zjawi się u nich, od progu rzucając jakieś kąśliwe, cięte uwagi, Michalina bezwiednie się uśmiechnęła. Doskonale wiedziała, że ten jej głośny sarkazm i prześmiewcze konstatacje to tylko zasłona dymna. Prawda bowiem była taka, że tak jak Michalina niewiele miała wspólnego z tą dziewczyną, którą była przed rokiem, tak samo Nela nie bardzo przypominała tę ubiegłoroczną, osamotnioną staruszkę. Starszą panią

umiejętnie udającą jędzę, która w desperacji postawiła ultimatum Panu Bogu, mówiąc mu, że albo ruszy swój boski tyłek i zrobi coś w jej sprawie, albo – w przeciwnym razie – ona zwyczajnie umrze. Czy to się komuś tam na górze podoba, czy nie.

„Choć z tą zwyczajnością to można by było polemizować” – pomyślała Michalina z rozbawieniem. Trzeba było mieć naprawdę niezły tupet, żeby wyzywać Stwórcę na pojedynek, a dodatkowo, żeby na miejsce swojego potencjalnego rozstania się ze światem wybrać sobie ni mniej, ni więcej, ale przykościelne schody. Krótko mówiąc, trzeba było być tamtą Nela.

Bo ta obecna raczej by tak nie szarżowała. Było bowiem tajemnicą poliszynela, że Nela ciężko i nieodwołalnie zakochała się w małej Klarze. Całkowicie na jej punkcie oszalała, a wraz z tym nagłym wybuchem i rozkwitem uczuć myśl o opuszczaniu tego padołu łez i zgryzot kompletnie wywietrzała jej z głowy. Tak samo zresztą jak zmieniło się jej podejście do samego życia, które znienacka przestało jej się jawić jako pasmo ponurych i niczym nieurozmaiconych dni, a stało się nieprzewidywalne i wciągające. Krótko mówiąc, Nela zmieniła się nie do poznania, złagodniała i nabrała apetytu na długowieczność. Choć oczywiście za nic by się do tego głośno nie przyznała.

O tak, minione miesiące zmieniły naprawdę wiele, i to w niejednym życiu. I to właśnie jutro przypadała pierwsza rocznica tego wszystkiego, co rozpoczęło się przed rokiem w ostatni dzień listopada. Nie odrywając pełnych czułości oczu od śpiącej błogo córeczki, Michalina na moment wróciła myślami do tamtego czasu, do krótkiej wizyty w kościele i prośby, którą wtedy wyszeptwała. Do tej pory pamiętała dylemat, jak zacząć, co powiedzieć i do kogo się zwrócić. Bo właściwie do gospodarza tego przybytku – Boga – nie miała zbyt wielkiego zaufania. Nie do końca nawet wiedziała, czy w niego wierzy, a nawet gdyby istniał, to sprawiał wrażenie

odległego i niedostępnego. Dużo bliższe wydawały jej się anioły. A w szczególności ten, którego znała z obrazka, który wisiał u jej babci nad łóżkiem: Anioł Stróż w różowej zwiewnej szacie przeprowadza dwoje małych dzieci przez kładkę nad rwącą rzeką. To właśnie kogoś takiego potrzebowała. Nie patrzącego na nią z góry, nawet gdyby to miało być dobrotliwe ojcowskie spojrzenie wszystkowiedzącego, ale kogoś bliskiego, stojącego tuż za nią, gotowego schwytać ją w objęcia, podtrzymać, gdy już kompletnie opadnie z sił. Potrzebowała przyjaciela, właśnie takiego Anioła Stróża.

„A przecież gdybym wtedy nie ośmieliła się o niego poprosić, gdybym nie powiedziała tego głośno, to nie wydarzyłoby się nic z tego, co potem się stało” – pomyślała, przyzymkając oczy.

Przez chwilę miała wrażenie, że cofnęła się w czasie, że znów siedzi w kościelnej ławce, otulona półmrokiem. Samotna, zostawiona samej sobie, bezradna. Wróciły słowa, które wtedy wypowiedziała:

„Panie Boże – pamiętała, że pomimo wątpliwości zaczęła od Niego, bo uznała, że było nie było, w kościele najlepiej jednak dyplomatycznie trzymać się niebiańskiej hierarchii. – Nie wiem, jak to tam do końca z Tobą jest, ale jeżeli istniejesz, to bardzo Cię proszę o bezpieczny dach nad głową. Nie muszę Ci tłumaczyć, że jest mi teraz wyjątkowo potrzebny... Tylko do lata, bo potem... Potem sobie już poradzę. I o to, żebym już nigdy nie była głodna i zziębnięta. I samotna. Bardzo się boję, wiesz? Więc gdybyś całkiem przypadkiem tam u siebie, na górze, miał jakiegoś bezrobotnego anioła albo takiego wolnego tylko na chwilę... anioła do wynajęcia, to pamiętaj o mnie. Bardzo proszę”.

– Aha, i gdybyś mógł mi pomóc w tym, żebym tak do końca nie zapomniała, czym jest miłość i radość – końcówkę wyszeptała i otworzyła oczy, wracając do rzeczywistości, do ciepłego, przytulnego dziecięcego

pokoju, do zapachu świeżo zaparzonej kawy, płynącego prosto z kuchni, do poczucia bezpieczeństwa.

Jeszcze raz omiotła wzrokiem śpiącą córeczkę, a potem przeniosła spojrzenie wyżej, na zawieszony tuż nad łóżeczkiem Klary obrazek, na którym Anioł Stróż jak zwykle i niezmiennie obejmował troskliwie dwoje małych dzieci.

To on tu trafił jako pierwszy. Przywieziony prosto z domu babci, zawisł na ścianie w pustym jeszcze pokoju. O dziwo, nie miała najmniejszych wątpliwości, gdzie go umieścić. A to wcale nie było takie oczywiste, bo od kilkunastu już dni przyglądała się z uwagą pomieszczeniu, w którym niebawem miał się pojawić nowy, maleński człowiek, jej prywatny cud, i kompletnie nie wiedziała, jak to wszystko ma wyglądać. Oczywiście miało być urokliwie, pogodnie, bezpiecznie i tak, żeby nie chciało się stamtąd wychodzić. Ale kiedy już udało jej się ustalić, że najlepiej będzie, gdy łóżeczko stanie pod tą czy tamtą ścianą, fotel pod oknem, a przewijak w kącie pokoiku, to gdy to sobie wyobrażała – zamiast przytulności i ciepła, o których marzyła, widziała ogromny chaos. Nic do siebie nie pasowało. A z obrazem było zupełnie inaczej. Weszła z nim do pokoju i po prostu, bez najmniejszego cienia wątpliwości poczuła, że musi zawisnąć naprzeciwko drzwi. Tak żeby czujnemu anielskiemu spojrzeniu nic nie umknęło.

– Niech powolutku się przymieszkuje – uśmiechnęła się do Konstantego, który uroczyście wbił pierwszy gwóźdź i pedantycznie poprawiał ramkę, tak żeby wisiała prosto.

„Kto wie, może taki anioł zabrany z dobrze znanego otoczenia też potrzebuje czasu, żeby przywyknąć do nowego?” – pomyślała, wpatrując się w dobrotliwą twarz skrzydlatego przybysza, i odruchowo położyła dłoń

na okrągłym brzuchu, gestem tak charakterystycznym dla wszystkich przyszłych mam.

A potem, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, wszystko poszło jak z płatka. Tak jakby anioł z obrazu ogarnął wszechwiedzącym spojrzeniem pokoik i zadysponował co i jak. Oczywiście wydało się, że łóżeczko musi stanąć tuż pod obrazkiem, przewijak tuż koło łóżeczka, a fotel aż się rwie do zacisznego rogu pokoju. Zresztą ledwo tam stanął, Michalina odniosła wrażenie, że z ulgą wtulił się zaokrąglonym oparciem w miły, cienisty róg. Staroświecka lampa, którą dostali z Konstantym od Neli, troskliwie pochyliła nad nim miodowy abażur i otuliła cały kącik ciepłym kręgiem światła. I Michalinie od razu przyszło na myśl, że ta bursztynowa poświata na spólkę z aniołem będzie ich chronić i nie dopuści ani do niej, ani do Kotuli, a przede wszystkim do ich córeczki żadnych cieni, żadnego zła.

Dziecinny pokoik zdawał się najbezpieczniejszym miejscem na ziemi, wypełnionym szczelnie miłością, swojskością i przytulnością. I oczekiwaniem na maleńką istotkę, która lada moment miała się pojawić.

„Będzie nam tu dobrze” – pomyślała ze wzruszeniem Michalina.

Po prostu w takim miejscu, pod taką opieką życie mogło pisać tylko dobre scenariusze.

Od tamtego momentu Michalina nabrała nowego zwyczaju i codziennie choć na chwilę zatrzymywała się przed wizerunkiem opiekuńczego, skrzydlatego przyjaciela. Czasem poprzestawała na posłaniu mu porozumiewawczego spojrzenia, czasem zaś, gdy miała pewność, że nikt jej nie słyszy, mówiła, ni to do niego, ni to do siebie, o różnych sprawach.

Teraz też, patrząc właśnie na anioła, wspominała to wszystko, co wydarzyło się przed rokiem, swoją wizytę w kościele i to, co nastąpiło później.

– Dziękuję – powiedziała półgłosem i wzruszona zagryzła dolną wargę. Zamrugła gęsto i z trudem powstrzymała cisnące się do oczu łzy. – Dziękuję za to, że mnie wtedy wysłuchałeś, i za to, że nadal pamiętam, czym jest radość, bo jeżeli chodzi o miłość, to ją przede wszystkim czuję. Całym sercem, całą sobą! I jeżeli mogłabym jakoś się odwdzięczyć za to wszystko, co dostałam, to pamiętaj: ja jestem i jestem gotowa – zakończyła cichutko i w tym samym momencie poczuła, że obejmują ją mocne ramiona Konstantego.

Odwróciła się, uniosła lekko głowę i uczucie ogromnego szczęścia spowiło ją od stóp do głów. Do tej pory trudno jej było pojąć, że ten mężczyzna, w którym, jak sądziła, beznadziejnie zakochała się od pierwszego wejrzenia, też ją pokochał. Bez żadnych zastrzeżeń, bez pytań i warunków.

Obrzuciła spojrzeniem jego ciemne pofalowane włosy zawijające się lekko na końcach, czarne brwi, a potem – potem spojrzała mu w oczy i jak zwykle w takich momentach przepadła. Utonęła w tym dziwnym pomieszaniu granatu z chabrowym niebieskim, naznaczonym gdzieniegdzie plamkami pruskiego błękitu.

– Nie myśl o tym – wyszeptał Kotula, obejmując ją ramionami i uspokajająco kołysząc.

– A skąd ty wiesz, o czym myślę? – odszepnęła, lekko się uśmiechając.

– Bo jak widać na załączonym obrazku, sytuacja lubi się powtarzać. – Ustami musnął jej ucho. – Dokładnie tak jak rok temu znalazłem się obok ciebie w kościele, w tym idealnym momencie, w którym ty szeptałaś swoją prośbę, tak i teraz wszedłem, gdy gadałaś do obrazu i...

– O tak, gadał dziad do obrazu, a obraz do niego ni razu!

Huknęło tuż za nimi z takim natężeniem, że aż podskoczyli.

– O matko! Nelu, chcesz, żebyśmy dostali zawału serca? – Michalina błyskawicznie wyswobodziła się z ramion Konstantego. – A poza tym nie wrzeszcz tak, bo obudzisz Klarę – dodała, automatycznie zniżając głos.

– Obudzisz, akurat bo! – sarknęła starsza pani, zdecydowanymi ruchami ściągając z dłoni eleganckie zamszowe rękawiczki. – Tak byliście zajęci sobą, że nawet nie zauważyliście, że biedne maleństwo już dawno wstało i gotowe dostać klaustrofobii w tym ciasnym łóżeczku! Od razu widać, że goni resztkami sił – dorzuciła wbrew oczywistości, bo „biedne maleństwo” właśnie radośnie zamachało rączkami, a następnie z ukontentowaniem złapało się za stópkę, przyciągnęło ją do samej brody i zagulgotało wesoło. – Widzicie, ona już jest na skraju załamania – Nela obrzuciła młodych rodziców potępiającym spojrzeniem – ale spokojnie, Klareńko, babka czuwa! – zaćwierkała. – A wy co się tak patrzycie, jak, nie przymierzając, nierozgarnięte cielęta na malowane wrota? Niech któreś ją uwolni z tego więzienia, sama bym to zrobiła, ale muszę najpierw umyć ręce – fuknęła ze zniecierpliwieniem i wymaszerowała do łazienki.

– Tak chyba w dawnych czasach pokrzykiwali nadzorcy na niewolników – parsknęła cichym śmiechem Michalina.

– Tu się nie ma z czego śmiać, bo jak tak dalej pójdzie, to rozpaskudzi nam małą tak, że będziemy z nią mieli niezłe urwanie głowy! I to delikatnie mówiąc.

– Co chcesz, to zupełnie jak z Nela, z nią też jest sto pociech, a przecież zajmuje się Klarą i wiesz: kto z kim przestaje, i tak dalej, i tak dalej...

– Jeżeli to miało mnie pocieszyć, to coś nie wyszło. – Konstanty usiłował zachować ponurą minę, jednak zdradzały go drgające kąciki ust.

– A powinno! Bo spójrz, Nela jest przecież rozbisurmaniona do granic możliwości – mówiąc to, Michalina uśmiechnęła się do rozpromienionej córeczki, która z wysiłkiem przekręciła się na brzuszek i podparła się

obiema rączkami o materac, wysoko unosząc główkę. – A jednak mimo to jakimś cudem, gdy trzeba, umie się wziąć z życiem za bary, tupnąć nogą, a jakby tego było mało, dodatkowo potrafi owinać sobie innych wokół najmniejszego paluszka. W sumie to nie jest takie złe... – Słyszając odgłos zamykanych drzwi od łazienki, czym prędzej wyjęła Klarę z łóżeczka.

– Oczywiście, że nie jest. – Nela ku utrapieniu najbliższego otoczenia pomimo słusznego wieku mogła poszczycić się doskonałym słuchem i teraz też słowa Michaliny, choć wypowiedziane przyciszonym głosem, jakimś cudem do niej dotarły. – Jak we wszystkim w życiu chodzi o odpowiednie proporcje – dorzuciła wyjaśniająco. – Zdrowe poczucie własnej wartości plus przekonanie o własnej racji i umiejętność ciętej riposty, tak żeby innym w piętę szło. To doskonała recepta na szczęśliwe życie. – Starsza pani rozpromieniona wyciągnęła ramiona, przejmując od Michaliny wyrywającą się ku niej dziewczynkę. – I tego właśnie babka cię nauczy – dodała, łaskocząc malutką pod bródką. – Bo na twoich rodziców nie ma co liczyć, dobrzy, ale niezbyt rożgarnięci, cóż zrobić – zacmokała z przyganą. – Chociaż mogłaś trafić gorzej, jeśli wziąć pod uwagę czasy. Na przykład na twojego ojca nie ma co narzekać, w głowie ma nieźle poukładane, jak na współczesnego mężczyznę, rzecz jasna, a to nie jest wcale taka oczywista oczywistość, no i całkiem nieźle zarabia, co z kolei w moich czasach nie podlegało dyskusji, ale że teraz wszystko zeszło na psy, to tym bardziej trzeba się z tego cieszyć...

– O, dziękuję ci bardzo, Nelu! Pięknie mnie skwitowałaś! Jak na mężczyznę, rzecz jasna! Nie taki kompletny i na całe szczęście dość majątny ciołek – oburzył się teatralnie i trochę z przyzwyczajenia Konstanty. – A tobie co? – przeniósł uważne spojrzenie na Michalinę, która właśnie dusiła się, usiłując powstrzymać wybuch homeryckiego śmiechu.

– Nic a nic – sapnęła i z największym trudem odzyskała panowanie nad sobą. – Tak sobie tylko myślę, że jestem niebywale szczęśliwa! Nelly, Nelly, Nelunia...

– Ooo, tylko nie to! Ile razy ci mówiłam, żebyś nie cytowała mi tu tego filmu, a tym bardziej nie nazywała mnie Nelunią!!! *Nie kłam, kochanie*, też mi coś! – fuknęła starsza pani. – Nie wiem, dlaczego dałam się wam namówić na oglądanie czegoś takiego! Sam tytuł już zalatywał niezłą szmirą! I jakby tego było mało, to w założeniu to miało być romantyczne! Bodo i Żabczyński, i Dymśza, widząc ten dzisiejszy romantyzm, a raczej cwaniactwo, w grobie się przewracają! Kiedyś to filmy były romantyczne! On jak kochał, to na zabój, był dla niej w stanie wszystko poświęcić! Był...

– A jak był typem spod ciemnej gwiazdy? – podjudzająco przerwała jej Michalina, wyjmując z ramion Neli Klarę i kładąc ją na przewijaku.

– To przynajmniej dla niej kradł albo zabijał! Ale nieodmiennie z jej imieniem na ustach! – starsza pani nie dała się zbić z pantafiku i machinalnie sięgnęła po stojącą obok łóżeczka paczkę pieluch. – I to jednak był jakiś wzorzec...

– Znaczący ten morderca, hochsztapler i zbój? – upewnił się na wszelki wypadek Konstanty.

– A właśnie tak! – zaperzyła się jeszcze bardziej Nela. – Bo przynajmniej przekaz był jasny: miał dbać o swoją kobietę! Tak jak umiał!

– Jak ten apasz, co to wbił w pierś Hanki ostry nóż? Jak to leciało?

Pomimo to Stach kochał swoją Hanke,
Choć nieraz bił, katował aż do krwi,
Lecz kiedy znów przeproszał swą bogdanke,
To czułe słowa do uszu szeptał jej:
Hanko, o tobie marzę wśród bezsennych nocy.
Hanko, ja bez ciebie nie potrafię żyć

– zanucił.

Ten to rzeczywiście dbał o swoją kobietę! No po prostu *chapeau bas!* Czapki z głów!

– To, co powiedziałaś, mój drogi, to masło maślane, to po pierwsze. A po drugie, nie odwracaj mi tu, Kotula, kota ogonem! Balladami podwórzowymi oczu mi nie mydl, bo one nijak się mają do filmów, a to o nich mówimy! A te obecne niosą za sobą przerażający, przynajmniej z mojego punktu widzenia, przekaz! Ot, chociażby ten blondyn, co w tym nieszczęsnym *Nie kłam, kochanie* grał, pozał się Boże, amanta! Gdyby mi się taki trafił, już ja bym go przećwiczyła! On wszystkim moim przedwojennym, i powojennym zresztą też, absztyfikantom to mógł buty czyścić! Jak on się nazywa? Za nic nie mogę sobie przypomnieć, widać wyparłam to jako zbyt traumatyczne doświadczenie...

– Adamczyk – mruknęła Michalina, porozumiewawczo uśmiechając się do córeczki, która w odpowiedzi cała aż się rozjaśniła, ukazując dwa rozkoszne dołeczki w puciołowatych policzkach.

– Ano właśnie! – Nela zamachała trzymaną w rękę pieluchą. – Zadłużony, bez grosza, leń i tchórz! Czyhający na majątek swojej bogatej ciotki i usiłujący znaleźć naiwniaczkę, która za niego natychmiast wyjdzie! Toż to się nie godzi! To taki chłoptaş, bo w życiu nie nazwę go mężczyzną, taki mydłek, bluszcz, co to się po zgrabnych kobiecych nogach chce wspiąć aż na szczyt!

– A jakby tak to odwrócić i gdyby to kobieta była tym bluszczem? – Konstanty nie zamierzał dać za wygraną. – To co wtedy?

– To wtedy, kochany, nie mówi się „bluszcz”, tylko raczej nazywa się to seksapilem, na który niestety wy, mężczyźni, absolutnie nie umiecie się uodpornić i sami jesteście sobie winni, bo zaczynacie wtedy myśleć... No, nie będę przy dziecku mówiła, gdzie wam wtedy rozum ucieka! – powiedziała Nela z godnością.

– A, czyli to znowu wina upośledzonego rodzaju męskiego... – Konstanty pokręcił ubawiony głową. – Jak rzecz dotyczy faceta, to bluszcz, a jak ba... To znaczy kobiety – poprawił się natychmiast, widząc minę Neli – to seksapil!

– No, nie było łatwo, ale wreszcie dotarło! Będą jeszcze z ciebie ludzie, Kotula, ja ci to mówię. – Nela z ukontentowaniem poklepała go po ręce. – I od razu zaznaczę, żeby nie było: ja tam ogólnie do mężczyzn nic nie mam, ba, powiedziałabym, że odczuwam do was nawet coś w rodzaju słabości. Niestety, z racji wieku tylko i wyłącznie platonicznej, ale gdybym tylko mogła skoczyć na parę dni do młodości, to bym sobie poszalała. Aleksander, mój mąż, wiedział...

– Nie, nie, nie. – Michalina gwałtownie zamachała trzymaną w ręku pieluchą, którą właśnie odebrała od Neli. – Nie kończ, proszę! Obawiam się, że nie jestem na to gotowa!

– A szkoda, bo może byś się czegoś sensownego, niemądra dziewczucho, dowiedziała! A poza tym kompletnie nie rozumiem, dlaczego młodych szokuje, gdy tacy jak ja zaczynają mówić o seksie! Bo chyba nie jesteście tak naiwni, żeby myśleć, że to nas nie dotyczy? No, może powinnam użyć innej końcówki i zamiast „dotyczy” powiedzieć „dotyczyło”, ku mojemu wielkiemu żalowi zresztą. Czas przeszły niesłusznie miniony nigdy nie był moim ulubionym.

– Szczerze mówiąc, Nelu, to my zazwyczaj w ogóle się nad tym nie zastanawiamy, zapewne z szacunku dla siwych głów. Podasz mi, proszę, zasypkę? – rzuciła Michalina z nadzieją, że uda jej się odwrócić uwagę starszej pani od niebezpiecznego tematu.

Właściwie ani trochę nie chodziło jej o to, że czuje się niezręcznie. I ona, i Konstanty przywykli do Nelinego sposobu bycia, starsza pani, odkąd się poznali, zawsze mówiła prosto z mostu, nie owijając w bawełnę,

rąbała prawdą między oczy i nie było dla niej tematów tabu. Przez te wszystkie miesiące, które spędzili razem, oswoili się z tym i szczerze mówiąc, żadne z nich nie wyobrażało sobie, żeby mogło być inaczej. Nela po prostu taka była, koniec, kropka. Ale jednocześnie im bardziej poznawali starszą panią i im więcej o niej wiedzieli, trudno im było nie zauważyć, że niekiedy sama zapędzała się w nieprzyjazne dla siebie rejony. Zawsze smutniała, gdy tylko wspomniała o Aleksandrze, swoim ukochanym mężu. Teraz zresztą też tak było, choć oczywiście starsza pani robiła wszystko, żeby nic po sobie nie pokazać.

– Szacunek dla siwych głów! Sraty-taty! A potem się słyszy o pruderii starszego pokolenia! – burknęła, odwracając głowę i podając Michalinie puder, o który dziewczyna przed momentem prosiła.

Ona też wiedziała, że trochę się zagalopowała, ale oczywiście nie zamierzała się do tego głośno przyznawać. Właściwie nie chciała poruszać tego tematu ani nawiązywać do młodości, lecz znowu ten jej ośli upór i chęć powiedzenia ostatniego słowa zwiody ją na manowce i wprowadziły na grząski grunt. I proszę, nieszczęście gotowe: niewinne docinki i kąśliwe żarty przeszły płynnie w smutek. Znow poczuła niegasnącą tęsknotę, jak zawsze gdy wracała wspomnieniami do czasów, gdy obok niej był jeszcze Aleksander.

O tak, nikt nie umiał tak jak on sprawić, że czuła się piękna i wyjątkowa. Zresztą nie ulegało wątpliwości, że musiała taka być, skoro to właśnie ją wybrał...

„No, no, bez przesady, nie tyle wybrał, ile pozwoliłaś mu się oczarować. Szanujmy się!” – przywołała się w duchu do porządku.

A przynajmniej doprowadziła do tego, że on tak myślał, że był przekonany, że to on grał pierwsze skrzypce. Bo przecież nie było żadną tajemnicą, że w takich sprawach ważna była kolejność. Mężczyźni,

przynajmniej ci z jej czasów, byli myśliwymi. I cały szkopuł polega na tym, żeby pozwolić im przez cały czas gonić króliczka. Czasem dać zbliżyć się na tyle, żeby go pogłaskać. Nigdy natomiast dopaść na dobre.

A Aleksander był kwintesencją stuprocentowego mężczyzny. A jaki był przystojny! Gdy szedł ulicą, nie było kobiety, która by choć na chwilę na niego nie zerknęła. Ależ ją wtedy denerwowały te powłóczyście spojrzenia, te obiecujące uśmieški! Chociaż z drugiej strony wprawiały ją w zadowolenie. Bo przecież ten pożądany przez nie wszystkie dżentelmen był jej i nigdy, ale to nigdy nie dał jej powodów do zazdrości. Co oczywiście nie przeszkadzało, żeby od czasu do czasu zrobić mu scenę. Chociażby po to, żeby potem móc się w należyty sposób pogodzić...

Nela uśmiechnęła się z rozrzewnieniem do swoich wspomnień i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Michalina od dłuższego czasu coś do niej mówi. Zamrugła gwałtownie powiekami, przepędzając spod nich te wczorajsze, nieco już wyblakłe obrazy.

– Nelu, halo, tu ziemia! Ja tu cały czas staram się wybronić biednego Piotra Adamczyka, nad którym tak się pastwiłaś, niesłusznie zresztą, i cały film, który osobiście lubię, a tu proszę, okazuje się, że ty mnie w ogóle nie słuchasz!

– Przepraszam, zamyśliłam się, ale z ostatnich słów, które już usłyszałam, wnioskuje, że znów wróciliśmy do tej, pożał się Boże, pseudokomedii. – Potrząsnęła głową, z trudem wracając do rzeczywistości.

– No tak, bo tak narzekasz, a przecież tam grała Beata Tyszkiewicz. A ją akurat i cenisz, i lubisz. I nie próbuj zaprzeczać, bo sama o tym nie raz i nie dwa mówiłaś!

– Jeden skowronek wiosny nie czyni – Nela postanowiła dla zasady nie dać się przekonać, choć prawdę mówiąc, nie miała nic przeciwko temu filmowi. Uważała, że nawet jeżeli sporo mu brakuje do tego, co ona kiedyś

ceń, to jest całkiem sympatyczny. A ten cały Adamczyk, może i trochę głupawy, ale też rozbijająco zabawny. Jednak nigdy w życiu nie powiedziałaby tego głośno. A nuż widelec weszłoby jej to w krew i stałaby się spolegliwa?

Wizja była tak straszna, że Nelę przeszedł zimny dreszcz. W jej pojęciu niewiele było gorszych rzeczy na świecie niż uległe, bezwolne staruszki. W końcu nie po to żyło się tyle lat, żeby zrezygnować z nagrody bezkarnego znarowienia.

– A co do Tyszkiewicz, to nie zamierzam zaprzeczać, lubię ją, bo sporo ma ze mnie – powiedziała z godnością. – A miarą atrakcyjności człowieka jest jego podobieństwo do nas samych. Najmądrzejsi zazwyczaj bywają ci, którzy się z nami zgadzają, choć tutaj to ja zawsze jestem nieufna. Jak wielokrotnie powtarzałam, zbyt spolegliwi zazwyczaj są fałszywi i zepsuci do szpiku kości. W oczy jedno, a za plecami drugie! Ale w ogóle to dlaczego przez tyle czasu strzępimy sobie języki po próżnicy? I skąd w ogóle wziął się ten temat? W sensie filmu. Bo jakoś się wzięłam i zagubiłam!

– Dzięki mnie... – Michalina podniosła rękę.

– Raczej przez ciebie – sprecyzował Konstanty, zakładając krawat.

– Oj tam, oj tam! W każdym razie zaczęło się od tej nieszczęsnej Nelly, Nelly, Nelunia, a chciałam tylko powiedzieć, że po tym jak skwitowałaś Kotulę, to ja czuję się niesamowicie wyróżniona. Jemu się nieźle dostało, a mnie, o dziwo, oszczędziłaś!

– Za pozwoleniem, nikt cię specjalnie nie oszczędzał, nieopierzona dzierlatko! Jesteś smarkata i masz mleko pod nosem i pstro w głowie, to nad czym się tutaj rozwodzić – Nela sprowadziła ją natychmiast na ziemię. – A poza tym za chwilę oboje spóźnicie się do pracy i narazicie to biedne małeństwo na życie w nędzy – dodała, znacząco patrząc na

zegarek. – Właściwie to nie powinniście już być w drodze? – dorzuciła, z ukontentowaniem patrząc na popłoch, który wywołała tym jednym krótkim zdaniem.

– Matko, a ja nawet nie jestem jeszcze ubrana – jęknęła Michalina, podnosząc córeczkę i podając ją Neli. – Nakarmisz ją? – Rzuciła jej błagalne spojrzenie.

– Nie, będę morzyła ją cały dzień głodem – mruknęła z przekąsem starsza pani. – Co za pytanie? Prawda, skarbie? – dodała, uśmiechając się do Klary. – Nakarmimy, a potem pójdziemy na spacer... Kotula, a ty, tak jak było umówione, zaraz wracasz, prawda? – zwróciła się do mężczyzny, zniżając głos niemal do szeptu, upewniwszy się najpierw, że Michalina zniknęła za drzwiami łazienki.

– Dokładnie! Ale dziś to tylko ostatnie przymiarki, wszystko zacznie się dopiero jutro, więc dla was z Klarą nic się nie zmienia – odszepnęła. – Jutro będzie gorzej...

– Jakie gorzej, przecież ja już wszystko przygotowałam... Tym się nie martw. Natomiast zastanawiam się, czy to na pewno dobry pomysł... Może z tym bałaganem lepiej poczekać do wiosny?

– Myślałem o tym, na pewno byłoby praktyczniej, ale wiem też...

– Co wiesz? – Michalina wypadła z łazienki, w biegu naciągając na siebie sweter.

– Że jak się pospieszysz, to cię podwiozę. – Konstanty uśmiechnął się do swojej młodziutkiej żony i porozumiewawczo mrugnął do Neli.

Patrząc na nich, starsza pani pomyślała, że to niesamowite, że rok temu jeszcze ich nie znała. Teraz nie wyobrażała sobie bez nich życia. Trudne do pojęcia było również to, że mając wszystko, co niby niezbędne: pieniądze, ogromne mieszkanie, a nawet, co przecież w jej wieku nie było takie

oczywiste, dobre zdrowie, że mając to wszystko, tak naprawdę nie miała nic.

Niesamowite, że opływając w dostatki, mając ciepło w domu, pełną lodówkę, można jednak od środka zamarzać i powoli umierać z tęsknoty. Za drugim człowiekiem. A jednocześnie świadomie doprowadzić do takiego stanu i konsekwentnie w to brnąć.

Obudowała się ciasną, kolczastą skorupą, której nijak nie potrafiła skruszyć. Za to z powodzeniem odstraszała innych.

Czasem zastanawiała się, co by było, gdyby wtedy, w ten pamiętny wieczór, została na tych lodowatych przykościelnych schodach. Gdyby nie pojawili się Michalina z Kotulą i wbrew jej woli, trochę na siłę, nie przypomnieli jej, że aby naprawdę żyć, trzeba to życie wpuścić za próg.

„Niewiarygodne, ile bym straciła” – pomyślała ze wzruszeniem.

Na całe szczęście ci dwoje byli odporni: Michalina z Kotulą bezceremonialnie ten próg przekroczyli. Zrobili wyłom w pancerzu. Zjawili się w samą porę. I znów zyskała rodzinę. I to taką, o jakiej nie śmiała nigdy marzyć – tu z rozczeniem spojrzała na trzymaną w objęciach dziewczynkę, która z zapamiętaniem ssła swoją piąstkę – została babką! Ona, która swego czasu musiała pogodzić się z tym, że marzenie o dziecku w jej wypadku nigdy się nie spełni. Że nigdy nie weźmie w ramiona drobnego ciała, nie wtuli policzka w miękkie puszek włosków. Że w rezultacie będzie skazana na samotność, bo skoro nie ma dzieci, nie będzie też wnuków, gwaru przy wspólnym stole, tym codziennym i tym wigilijnym, kłopotów i radości tak ściśle związanych z byciem mamą, babką... A tu proszę bardzo – taka niespodzianka!

– I dlatego, moja droga, nigdy nie należy mówić nigdy – zwróciła się do Klary. – I od czasu do czasu należy ulegać swoim nedorzecznym kaprysom! Niech ci twoi rodzice mówią sobie, co chcą, alezymane pod

kontrolą rozbisurmanienie bardzo ułatwia życie! Widzisz, mogę ci to powiedzieć z czystym sumieniem, bo i tak nie zapamiętasz: ja na przykład przywykłam do ulegania swoim kaprysom. W przyszłości, jak mnie o to zapytasz, to zaprzeczę i powiem, że to nie ja się im poddawałam, tylko inni się do nich z automatu dostrajali. I znając mnie, dodam coś o silnej osobowości. Ale teraz powiem ci, jak jest, bez owijania w bawełnę i prosto z mostu: tak przywykłam do robienia tego, co chcę, że nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby za długo się wahać. I widzisz? Gdyby nie to, że pewnego listopadowego dnia postanowiłam zwyczajnie umrzeć, mnie na pewno by tutaj nie było, a kto wie, co by się działo z tobą. Wiem, co mówię, czasem warto pójść na całość. Mam wrażenie, że tylko wtedy inni nas dostrzegają. Rozumiesz? – Spojrzała w świetlistoszare oczy dziewczynki, identyczne jak oczy jej matki.

– Lee – otrzymała wieloznaczną odpowiedź okraszoną bańką ze śliny i radosnym uśmiechem.

– No nie wiem, jak mam to interpretować – mruknęła Nela sceptycznie i niespiesznie, kołysząc małą w ramionach, przeszła do kuchni. Tam posadziła dziewczynkę w leżaczkę i wlała wodę do podgrzewacza na butelki.

– Lee – powtórzyła Klara i sapnęła, machając zaciśniętą w piąstkę rączką.

– No właśnie, brzmi to trochę jak „nie” albo ewentualnie jakbyś lekceważąco mnie zbywała tym „eee”, przy którym literka „l” znalazła się zupełnie przypadkiem. Ale tak czy siak, i tak ci powiem, tylko uważaj, bo będę bluźnić: gdybym wtedy, rok temu, nie postawiła Panu Bogu ultimatum, to widzisz, nic by się nie wydarzyło. A wiesz dlaczego? Bo moim zdaniem on już na te wszystkie ludzkie utyskiwania kompletnie nie zwraca uwagi. Jest nimi znudzony... Przynajmniej ja bym była. Bo ileż

można? Wieczność to w końcu szmat czasu. I dlatego ja ze swoim brakiem poszanowania wszystkiego miałam szansę. Zwyczajnie go zaciekawiałam... O matko, co ja wygaduję – ponieważ dotarło do niej, co tak naprawdę właśnie powiedziała.

„Chwała Bogu, że w tym jednym się nie myliłam i mała rzeczywiście niczego za bardzo nie rozumie” – pomyślała, wznosząc oczy do nieba.

Prawda, że nie znała się na wychowaniu dzieci, była rozpuszczona jak dziadowski bicz i pozwalała sobie na wiele. Ale nawet ona rozumiała, że opowiadanie o tym, że niefrasobliwie postanowiła umrzeć, a potem zaszantażowała Pana Boga i że dzięki temu zyskała same profity, jest nie najlepszym pomysłem.

– Dobrze, puśćmy to w niepamięć, zgoda? – mówiąc to, wstawiła butelkę z mlekiem do podgrzewacza. – Jeżeli idziesz na taki układ, puść jedną bańkę ze śliny, a jeżeli nie, to dwie – dorzuciła i z ukontentowaniem obtarła zaślinioną bródkę małej tetrową pieluchą. – I co? Żadnej bańki? – Spojrzała na roześmianą dziewczynkę spod oka. – I bardzo dobrze, stajesz okoniem, nie idziesz na żadne układy, moja krew! – Pokiwała głową, a w duchu postanowiła, że mając to wszystko, Michalinę, Kotulę, wymarzoną wnusię, prawdziwy, pełen radości dom, ona, Nela, zaszaleje i pójdzie o krok dalej.

„Żadnego, żadniusieńkiego umierania! Przynajmniej nie w najbliższym czasie. Umieranie jest przereklamowane! Zamiast tego jeszcze szerzej otworzę przed życiem drzwi! Ba, i nie poprzestanę na tym! – pomyślała, kiwając głową. – To za mało! Stanowczo za mało, takie ot, po prostu życie!”

– Nam to nie wystarczy, co? – uśmiechnęła się porozumiewawczo do dziewczynki. – To dobre dla tych, którzy mają mnóstwo czasu, oni mogą

sobie pozwolić na stabilne przeżywanie dnia za dniem... A my musimy trochę podkręcić tempo.

I Nela podjęła decyzję o tym, że czas najwyższy nie tylko żyć, ale i zacząć się w końcu tym życiem dobrze bawić.

I tak właśnie spokojnie i miarowo mijał przedostatni dzień listopada. Pozornie nie było w nim nic szczególnego. Ot, zwykły wietrzny, wilgotny, ponury późnojesienny czas.

Michalina podwieziona przez Konstantego do kwiaciarni, w której miała swój własny kącik, gdzie zdobiła bombki, wycinała ozdobne bileciki do prezentów, przygotowywała stroiki, malowała małe obrazki, miała tego dnia moc pracy. Gabrysia, właścicielka kwiaciarni, była na urlopie i to Michalina miała chwilowo cały kwietny i bombkowy przybytek na swojej głowie. Niby dopiero kończył się listopad, ale święta były już wszędzie obecne. A Michalina poza ozdobami, które zamierzały z Gabrysią sprzedawać w kwiaciarni, dostała jeszcze zamówienia na przygotowanie gotowych choinek, które miały ozdobić sklepowe witryny kilku okolicznych sklepów. I szczerze mówiąc, roboty było huk i sama nie wiedziała, w co najpierw ręce włożyć.

Teraz też wpadła do kwiaciarni i ledwo wzięła głęboki wdech, rozkoszując się przepięknym zapachem, który przywodził na myśl kwitnący ogród, ledwo przez głowę przemknęła jej myśl, że kwiaciarnia to takie miejsce, gdzie człowiek zawsze, nawet późną jesienią, nawet w środku zimy, jest jedną nogą w pełni lata, i że tutaj naprawdę można się wyciszyć i zwolnić, a już rozdzwonił się stojący na biurku telefon.

„I to by było tyle w kwestii niespiesznego kontemplowania i oddania się rozmyślaniom” – pomyślała i zdyszana, wyplątując się z długiego szalika, dopadła do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Jak dobrze, już myślałam, że nie dotrzesz dostatecznie wcześnie – rozległ się w jej uchu głos Gabrysi. – Świetnie, że odebrałaś, bo chciałam cię uprzedzić, że zaraz przyjdą z teatru zamówić na pojutrze jakąś

horrendalną liczbę bukietów. I dwa kosze z różami, takimi nietypowymi, prawie że polnymi, ale nie do końca. Myślałam, że już nic z tego, bo nigdzie nie mogłam takich znaleźć, ale jednak się udało! To dla jakiejś wielkiej gwiazdy i...

– Poczekaj chwilę, bo ja... O matko – Michalina jęknęła rozdzierająco i natychmiast kucnęła, kryjąc się pod blatem szerokiego biurka, jedną ręką nadal przyciskając słuchawkę do ucha, a drugą po omacku macając po blacie w poszukiwaniu aparatu.

– Hej, Michaśka, co się dzieje? – głos Gabrysi zawibrował niepokojem. – Halo, halo! Jesteś tam?

– Jestem, jestem, ale nie krzycz tak, na litość boską, bo cię usłyszą! – zaszepiała nerwowo, jednocześnie trafiając w końcu na telefon i ściągając go na podłogę.

– Aaaa, ale jak usłyszą? – zgłupiała Gabrysia i mimowolnie również zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Przecież ja jestem tu, a ty tam... – dodała niemożebnie zdumiona. – A poza tym: kim, na litość wszystkiego, są oni?

– No jak to kim? Tym facetem z teatru! Właśnie tu zmierza, poznałam go, bo już u nas odbierał zamówienia! A wraz z nim nasz ukochany Kochanieńki! O ile nic mi się nie przewidziało, to ten ostatni bardzo różnie idzie, wręcz wesoło, prawie że podryguje, a przecież ostatnimi czasy ledwo się zbliżał do kwaciarni, a już opanowywało go przygnębienie i melancholia wynikające z niemożliwości twórczego wyżycia. Odkąd wszyscy stanowczo postawili ultimatum: żadnych kompozycji autorstwa Kochanieńskiego, wyraźnie wśród naszych roślin smutniał, a na ciebie, Gabrysiu, patrzył ponuro, z nieukrywaną zazdrością. I żalem. A teraz jego nienaturalny, w tych okolicznościach, entuzjazm i ożywienie nasunęły mi straszne podejrzenie... – przerwała oczekująco.

– No cóż, hmm, sama rozumiesz, nie godzi się dręczyć ludzi, nawet takich z rodzaju Kochanieńkich... – bąknęła Gabrysia. – A tak ogólnie to zupełnie o tym zapomniałam! Miałam cię uprzedzić, że to właś...

– O nie, nie, nie! Tylko nie to! Błagam! Nie mów, że uległaś! – weszła jej w słowo Michalina. Zbulwersowana tak, że na ułamek sekundy zapomniała, że się ukrywa, podniosła głos. – A już tym bardziej nie chcę słyszeć, że ja mam w tym uczestniczyć! I w ogóle co ja mam robić? Oni szarpią za klamkę!

– Matko i córko! Jak to szarpią za klamkę? To idź im otwórz!

– Nie mogę, bo siedzę pod biurkiem – ponuro zrelacjonowała swoją sytuację Michalina. – Wiesz, jak to będzie wyglądało, jak teraz, na ich oczach będę stąd wypływać?

W słuchawce na moment zapadła pełna konsternacji cisza.

– To po co w ogóle tam wpełzałaś? – zdumiona Gabrysia w końcu odzyskała głos. – To mi niepokojąco przypomina nagłówek z jakiejś strasznie szmirowatej gazety... Nie mogę spać, bo trzymam kredens, tak to chyba leciało. Kochanie, ja wiele rzeczy w życiu już widziałam i myślałam, że niewiele może mnie zaskoczyć, ale teraz zmieniam zdanie. Czy możesz mi, na litość wszystkiego, krótko i zwięźle wyjaśnić, dlaczego siedzisz pod stołem?

– Biurkiem – sprecyzowała z głębokim westchnieniem. – Zadziałałam instynktownie! A poza tym nie chcę nikogo wskazywać palcami, ale to wszystko przez ciebie!

– Przeze mnie? – powtórzyła oszołomiona Gabrysia.

– Dokładnie! Bo wygląda na to, że zapomniałaś, że ja nie układam profesjonalnych bukietów! Chyba że mam je namalować, to proszę bardzo! Machnę akwarelkę albo kilka pięknych ukwieconych bombek! Bukiety tam będą jak złoto! Ale nie ułożę takich żywych, w koszach! Znam swoje

możliwości, rezultat będzie przypominał bezkształtny, żałosny stos! Przecież ja ledwo daję sobie radę ze zwyklusieńkami domowymi bukietami! A co dopiero takimi dla jakiejś sławy? Naprawdę wystarczy, że nasz Kochanieńki, za twoim przyzwoleniem, będzie nas kompromitował swoimi bukietami, ja już nie muszę do tego przykładać ręki! A ty mi tu przysyłasz faceta z teatru z horrendalnym zamówieniem na jakieś wymyślne kompozycje! Dlatego siedzę pod biurkiem i nie zamierzam się stąd ruszyć – zakończyła z mocą.

– Cóż, to ja ci powiem, że wyleziesz stamtąd, i to natychmiast! Co ci w ogóle przyszło do głowy?! Weź się w garść! I natychmiast przyjmij to zamówienie! Wracam dziś wieczorem! Ja zajmę się kwiatami! Dotarło do ciebie? Ja! Ty musisz tylko zapisać, co dokładnie chcą! Pisać raczej umiesz i słuchać ze szczątkowym zrozumieniem! A potem wyślesz do mnie maila i napiszesz co i jak! Ja podliczę kwiaty i zamówię, co trzeba. Miałam tobie to zlecić, ale tu potrzebny jest ekspres i coś mi mówi, że przydadzą się znajomości. Ciebie nie kojarzą, a przynajmniej nie tak dobrze jak mnie, i będą ci robić pod górkę. A nawiasem mówiąc, to jest zamówienie, które opłaci nam czynsz i na pewno część rachunku za prąd! I dlatego mam nadzieję, że już stoisz pod drzwiami. Halo, jesteś tam?

Michalina już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili coś zaszurało od strony zaplecza i narobiło łośkotu, przewracając plastikowe wiaderko, które stało w korytarzyku.

– Cholera jasna, zalałem sobie buty – rozległo się jakby nad Michaliną i zdumiona dziewczyna dostrzegła tuż przed sobą jasnobrązowe, zachlapane wodą mokasyny i parę długich, muskularnych męskich nóg.

Po chwili właściciel nóg pochylił się i Michalina spojrzała w przepełnione zdumieniem brązowe oczy faceta od teatru. Otworzyła usta i natychmiast je zamknęła, nie mogąc wydobyć głosu i mając kompletną

pustkę w głowie. W oczach gościa zabłysło bezbrzeżne zdumienie. Odchrząknął i jeszcze bardziej się pochylił, lustrując uważnym spojrzeniem wciśniętą w najciemniejszy róg i tulącą do siebie aparat telefoniczny dziewczynę.

– Hmm – mruknął w końcu, unosząc brwi.

– Hmm – odmruknęła Michalina, ale czując, że powinna jednak stanąć na wysokości zadania i jakoś to wszystko wyjaśnić, wspięła się na szczyt swoich obecnych możliwości i wskazała podbródkiem na trzymaną w rękach słuchawkę, a potem wyciągnęła ją w kierunku gościa i znacząco popukała w nią palcem.

– Hmmm, no tak... Znaczy, nie, dziękuję, nie potrzebuję, mam już jeden – widać nie do końca zrozumiał jej intencje, bo zmieszał się jeszcze bardziej i na poparcie swoich słów wyciągnął dłoń, w której trzymał komórkę.

I dopiero w tej chwili do Michaliny w pełni dotarła cała absurdalność sytuacji. Dodatkowo zdradliwa wyobraźnia podsunęła jej natychmiast, jak to musi wyglądać z zewnątrz: ona wbita pod biurko, facet stojący obok i oboje mierzą do siebie telefonami.

„Prawie jak gwiazdne wojny i miecze świetlne! Telefonia komórkowa i ta stacjonarna może być dumna” – przemknęło jej przez głowę i poczuła, jak do gardła podchodzi jej zdradliwy chichot.

– O matko – jęknęła w końcu, z najwyższym trudem opanowując chęć wybuchnięcia homeryckim śmiechem. – Nie o to mi chodzi, ja tu tylko... – Zamilkła skonsternowana. – Zresztą mniejsza o większość, zdaje mi się, że tego nie da się normalnie wytłumaczyć, ale już do pana idę – dodała, ignorując dobiegające ze słuchawki dźwięki i usiłując przywołać na twarz coś, co imitowałoby uspokajający i kojący uśmiech.

Z przerażonej miny faceta i z tego, że jakby go cofnęło, wywnioskowała, że chyba jej nie wyszło i jej wysiłki spełzły na niczym.

– Nie, nie, niech się pani nie spieszy. – Zamachał gwałtownie ręką, w której trzymał telefon. – Nie chciałem przeszkadzać, ale zauważyliśmy z tym drugim panem, który też czeka na otwarcie, że drzwi od zaplecza są uchylone, a w środku jakby nikogo nie było, więc postanowiliśmy sprawdzić, czy wszystko w porządku – dodał w końcu, z zakłopotaniem pocierając drugą ręką czoło.

– Tak, ja tylko rozmawiam... Ale już kończę. – Michalina, wymyślając sobie w duchu od kompletnych kretynek, zamachała facetowi przed oczami słuchawką telefonu.

– No jasne – przytaknął, unosząc wysoko brwi. – To my tam sobie nadal spokojnie postoiimy i poczekamy – dodał, machając w bliżej niesprecyzowanym kierunku i zanim Michalina zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, już go nie było.

– Idiotka! Kompletna, skretyniała idiotka – powiedziała Michalina potępiająco, gdy w końcu udało jej się dojść do siebie, i dopiero gdy to wypowiedziała, zdała sobie sprawę, że mówi prosto do słuchawki, którą bezwiednie znów przycisnęła do ucha, a z której cały czas dobiegał zaniepokojony głos Gabrysi. – O matko, przepraszam, to nie do ciebie – zreflektowała się natychmiast, jednocześnie usiłując wyjść spod biurka i uniknąć zaplątania się w kabel telefoniczny. – To było złożenie samokrytyki. Właśnie zrobiłam z siebie stuprocentowego głupka. I skompromitowałam naszą kwiaciarnię. Jestem lepsza od Kochanieńskiego. Jeżeli ten gość zwieje stąd, niczego nie zamawiając, to oddam ci swoją pensję – dorzuciła i wychynęła spod biurka, opierając się ręką o stojące obok krzesło.

– Nie wiem, co tam się stało, ale coś mi mówi, że dobrze, że już wracam – westchnęła głęboko Gabryśia.

– Ja też tak uważam, ale teraz wybacz, będę kończyć i zadzwonię później, bo muszę się zrehabilitować, a przynajmniej spróbować to zrobić – dodała z ulgą, stając na nogi i odkładając telefon na biurko.

Potem wzięła głęboki wdech, przyglądała włosy i przywołała na twarz miły uśmiech.

„Ostatecznie to nic nikomu do tego, gdzie siedzę, rozmawiając przez telefon. Skoro lubię, to mogę przecież to robić pod biurkiem, w szafie albo gdziekolwiek bądź... W końcu krzywdy tym nikomu nie robię – dodała sobie otuchy. – Tylko mam nadzieję, że ten gość nie słyszał większości z tego, co mówiłam... Mimo wszystko wołałabym, żeby nie wiedział, że siedziałam tam niejako z jego powodu” – pomyślała, idąc w stronę drzwi, za którymi majaczyły dwie męskie sylwetki.

Facet od teatru, pan Bronek, opuścił kwiaciarnię tą samą drogą, którą do niej wszedł, czyli od zaplecza, tyle tylko, że tym razem skutecznie ominął pułapkę w postaci wiadra z mopem.

Dotarł do wciąż zamkniętych drzwi wejściowych, przed którymi stał czekający razem z nim na otwarcie mężczyzna, pucołowaty, z niebieskimi oczkami, które ginęły mu w fałdkach okrągłych i rumianych policzków. Jego głowę zdobiła czarna, wyglądająca na bardzo kosztowną, czapka wykończona złotym paseczkiem. Zresztą w całym jego ubiorze dominował złoty odcień – nawet płaszcz, który opinał z godnością jego całkiem okazały brzuszek, był zdobiony w błyszczące złociste maziaje. Szczerze mówiąc, w tej lśniącej obfitości właściciel tego całego bogactwa nieco ginał.

„No, tutaj to ktoś dał się ponieść fantazji” – pomyślał pan Bronek, gdy przed momentem wpadli na siebie na zakręcie, a potem już razem zmierzali do kwiaciarni.

Teraz natomiast już nie tylko ubiór go wyróżniał, ale i zachowanie. Oniemiałemu panu Bronkowi, wychodzącemu z zaplecza i zamykającemu za sobą starannie tylne wejście, ukazał się zadziwiający widoczek: oto pozłacany gość tkwił w dziwnym przykucu tuż pod zamkniętymi drzwiami kwiaciarni. Rozpięty płaszcz wydęty podmuchami wiatru tworzył wokół jego pękatej sylwetki coś na kształt łopoczącej peleryny.

„Coś jak bogato przystrojony Muminek w skoku” – skojarzyło się panu Bronkowi i ostatkiem siły woli powstrzymał się, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Hmmm – mruknął za to, stając tuż za mężczyzną, bo naprawdę nic innego, co mógłby powiedzieć, nie przychodziło mu do głowy,

i natychmiast uzmysłowił sobie, że to już drugi raz w bardzo niewielkim odstępie czasu, gdy brakuje mu właściwych słów.

– Aaaaa!!!! – poślaczany facet podskoczył, wydał z siebie zduszony okrzyk i obrócił się, zaplątując jednocześnie w płaszcz. – A, to tylko pan – odetchnął z ulgą, z trudem odzyskując równowagę. – A ja myślałem, że może to ci złodzieje, co to mogli się zakraść do kwiaciarni! Wie pan, te uchylone drzwi od zaplecza, ta cisza! Właściwie to byłem przekonany, że mamy do czynienia z jakimś rabunkiem! A tutaj przecież, nie wiem, czy pan wie, pracują same bezbronne kobiety! I widział pan, panie kochanieńki? Byłem gotowy! Gdyby bandyci chcieli uciekać od frontu, to wpadliby prosto na mnie!

– Widziałem, rzeczywiście był pan przyczajony i niewątpliwie w pogotowiu – przytaknął z powagą.

– Ale rozumiem, że nic z tego? Zero adrenaliny i bohaterskich czynów? – Mina poślaczanemu wyraźnie zrzędła.

– No, takich na miarę Jamesa Bonda to chyba rzeczywiście nie, ale przecież liczą się chęci, panie...

– Patryk jestem – wyciągnął do niego pulchną dłoń przyozdobioną kilkoma ostentacyjnymi złotymi sygnetami.

– Broniek – odwzajemnił się, ściskając mu rękę. – No to najważniejsze, że gdyby coś się działo, toby pan, panie Patryku, działał – dodał pocieszająco.

– No właśnie, właśnie, pan to pojął w lot, a moja narzeczona, wyobraża pan sobie, w ogóle tego nie rozumie! Ostatnio to mi nawet powiedziała, że jakbym nie wiedział, to te swoje dobre chęci mogę sobie głęboko w buty schować i że nimi to piekło jest wybrukowane! Chęciami, rzecz jasna, nie butami... Wyobraża pan sobie, panie kochanieńki? I to dlaczego? No dlaczego? – powtórzył z wyraźnym rozżaleniem.

– Nie mam pojęcia. – Pan Bronek zdumiony nagłym i niespodziewanym obrotem rozmowy z zakłopotaniem przygryzł wąsa.

– Bo chciałem jej niespodziankę zrobić! Mieszkanko po jej babci urządzić, jakoś stylowo, z gustem, tak żeby było jej godne, bo ja tę swoją Karolę, tę moją Niunię, Bzinię kochaną, to rozumie pan, to bym nawet ozłocił! Ja dla niej wszystko! – Tu dla podkreślenia wagi swoich słów walnął się ręką w okolicę serca. – No i, panie Broneczku, ja to mieszkanie całkiem odmieniłem! Cacko z tego zrobiłem takie, że ho, ho! Samo szkło, chrom i metal! Nowoczesność i szyk! Pociągający minimalizm!

– Ochhh – wyrwało się panu Bronkowi, który jak słyszał o szkle, chromie, metalu i nowoczesności, to miał ochotę natychmiast brać nogi za pas.

Teraz też zrobiło mu się słabo, bo gdy usłyszał słowa „mieszkanko po babci”, przed oczami natychmiast stanął mu stary, zapewne jeszcze przedwojenny kredens, okrągły stół przykryty jakimś ręcznie wydzierganym, a może haftowanym obrusem i fotel może z nieco powycieranymi podłokietnikami, ale za to aż zapraszający, by zapaść się w jego miękkie wnętrze. Oczywiście to wszystko to była tylko imaginacja, podsycana wspomnieniami, bo tak właśnie niegdyś wyglądało mieszkanko jego babci, jednak wizja, jak to wszystko, przytulne, z duszą, z latami doświadczeń, znika wyrzucone bezdusznie na śmietnik, a zostaje zastąpione nowoczesnym, zimnym minimalizmem, była bardzo sugestywna.

I przerażająco smutna. O tak, on, Bronek, stanowczo wolał drewno, cegły, może i niedzisiejsze, ale przytulne. Marzyło mu się, że kiedyś uda mu się zamieszkać w niewielkim drewnianym domu, takim jak w tej piosence:

A jeśli dom będę miał
To będzie bukowy koniecznie
Pachnący i słoneczny.

– I pan to wszystko, co zostało, tak definitywnie fru? Do gołej podłogi? A potem wjechał pan z tym nowoczesnym i nowym? – przemówił w końcu, bo dotarło do niego, że cisza nienaturalnie się przedłuża, a poślaczany Patryk utkwiał w nim wyczekujące spojrzenie.

– Dokładnie! Światowej sławy projektanci powiedzieli mi, że tak będzie najlepiej i że to najbardziej modne i w cenie. Bo przecież na to zawsze trzeba zwracać uwagę, no nie? Żeby potem w razie sprzedaży można było z tego jakiś konkretny grosz wyjąć. No, zgadza się pan ze mną?

– A to wie pan, wszystko zależy, czego się oczekuje – wymigał się od odpowiedzi pan Bronek.

– Na całe szczęście, mój kochanieńki przyjacielu, ja nie miałem takich dylematów, bo ja zawsze wiem, czego chcę. Jak cię widzą, tak cię piszą, a kasa musi się zgadzać! Dwie żelazne zasady, dlatego jak pan zapewne zauważył, dbam o aparycję, żeby mnie pisali, jak trzeba. – Z ukontentowaniem strzepnął wierzchem dłoni rękaw płaszcza.

– O tak, tutaj akurat mogę się z panem zgodzić w stu procentach, trudno tego nie zauważyć.

– Prawda, kochanieńki? – ucieszył się wyraźnie Patryk. – Ale Karola wcale nie chce na to w ten sposób spojrzeć! Z tego mieszkania niespodzianki to ja same nieprzyjemności miałem. I koszty takie, że trudno sobie wyobrazić. Bo jak ona to zobaczyła... – na wspomnienie tego puciołowata twarz Patryka pokryła się krwistym rumieńcem, a on sam nieco się wzdrygnął – ... jak ona to zobaczyła – powtórzył – to rozpętał się o mało co koniec świata! Bo widzi pan, panie Broneczku, ja ją tam zawiozłem z zawiązanymi oczami, prawdziwego francuskiego szampana przygotowałem, truskawki... Wprowadziłem ją tam, odwiązałem z oczu opaskę, a ona zaniemówiła! I ja myślałem, że z zachwytu! Przez pierwsze minuty chodziła po całym mieszkaniu i nic nie mówiła, tylko jej się tak

dziwnie kolory na twarzy zmieniały. A ja pęczniałem z dumy, że po raz pierwszy zrobiłem coś takiego, że mojej kobiecie mowę odjęło! A potem jak nie złapała za oparcie tego chromowanego krzesła, jak nim nie wyrznęła o podłogę, jak nie wrzasnęła! A, kochanieńki, mówię ci, głos to ona ma! Chociaż twierdzi, że przede mną w życiu tak nie wrzeszczała, bo tylko ja umiem ją doprowadzić do tak wielkiej, nie przymierzając, szewskiej pasji... W każdym razie krzyczała, żebym się cieszył, że tym krzesłem to ona potraktowała podłogę, a nie mnie, bo zasłużyłem, i żebym się jej na oczy nie pokazywał, dopóki tutaj wszystko nie wróci do dawnego stanu, że to mieszkanie cały czas przywodziło jej na myśl babcię i pachniało jej dzieciństwem. Swoją drogą, panie Broneczku kochany, to jak tak pachniało jej dzieciństwo, to ja jej strasznie współczuję, bo tam był zawsze taki zaduch i trochę myszą zalatywało. – Pozłacany Patryk zde gustowany pokręcił głową. – Jak można o coś takiego się awanturować, rozumie pan coś z tego?

– Mam wrażenie, że niedokładnie o to jej chodziło, tylko to była taka przenośnia – wtrącił pan Bronek mimowolnie rozbawiony, czując, jak z minuty na minutę jego sympatia do nieznanej Karoli rośnie.

Chociaż w tym wszystkim trudno było mu również nie żałować Patryka. Bo on, biedak, był zwyczajnie z zupełnie innego świata i najwyraźniej nie pojmował, w czym rzecz.

– A ja tam nie wiem, ja się na przenośniach nie znam, jestem stąpający twardo po ziemi, chociaż przecież staram się być i romantyczny, i wzdychający... Ale im bardziej się staram, tym bardziej mi nie wychodzi – rozżalił się niespodziewanie i pociągnął nosem.

„O matko, tylko nie to, żeby mi tu tylko nie zaczął płakać!” – pomyślał pan Broneczek z autentycznym przerażeniem.

Gdyby to była kobieta, to jeszcze jak cię mogę, odnalazłby się w tym. W końcu pracował w teatrze i nie raz, nie dwa trzeba było którąś z dziewczyn pocieszyć, parę słów dających otuchę powiedzieć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, a i łzy od czasu do czasu obetrzeć. Ale z tym tu facetem sprawa była bardziej skomplikowana. Bronkowi trudno było sobie wyobrazić siebie pochylonego nad pucołowatym, lśniącym Patrykiem, obcierającego mu łzy własną chusteczką.

– Panie Patryku, skoro pan jest stąpający twardo po ziemi, przedsiębiorczy, to chyba nie będzie się pan tutaj załamywać. A romantyzm... Cóż, jak pan nad nim popracuje, to i tutaj odniesie pan sukces.

– Myśli pan, panie kochany? W sumie to w wielu dziedzinach jestem wprost na niego skazany. Na ten sukces znaczy się, to może i ten romantyzm też jakoś ugryzę – Patryk wyraźnie się ożywił. – Nie, to jednak nie może być takie proste. – Po chwili zastanowienia pokręcił głową i budzący się optymizm zniknął jak za potrząśnięciem czarodziejskiej różdżki. – Bo ja w tym względzie wyjątkowo oporny jestem. Myślałem, że już w zeszłym roku pojąłem co i jak... Bo ja miałem taki piękny plan, chciałem wziąć Karolę na święta w ciepłe kraje – w tonie Patryka pojawiły się nutki tęsknego rozrzewnienia. – Palmę dla niej przystroić, w zamian za choinkę, takiego dmuchanego mikołaja miałem wziąć i bałwana, żeby jej świąteczny nastrój w tych tropikach zapewnić, nawet figurkę Jezuska chciałem w tym piasku pod palmą ułożyć, taki żart, rozumie pan, Jezus pod palmą! I prawie że wtedy ze mną skończyła. I właśnie tutaj, właścicielka tej kwiaciarni, pani Gabrysia, wytłumaczyła mi co i jak... I myślałem, że już wiem. Że święta mają być w domu, dom ma być przystrojony i ma być atmosfera...

Pozłacany Patryk recytował to niczym dobrze wyuczoną lekcję i Broniek zaczął podejrzewać, że on i tak niczego nie zrozumiał, ale po prostu wyuczył się na pamięć wszystkich głównych punktów i stosuje je dla świętego spokoju, te wszystkie dziwne, ni w ząb niepojęte zasady.

– W zeszłym roku to ja nawet trochę zaśnieżyłem nam podwórko, bo Karola martwiła się, że będzie za mało biało i zimowo, a przecież wszystko da się załatwić, to tylko kwestia ceny. I było tak cudownie – ciągnął swoją opowieść z coraz większym rozrzewnieniem.

– I rozumiem, że w tym roku już jej pan nie namawia na palmy w grudniu? – wtrącił pan Broniek, tęsknie zerkając na wciąż zamknięte drzwi kwiaciarni.

– A nie, absolutnie! Już zanotowałem tutaj – tu postukał się palcem w czoło – że świąteczne palmy, słońce i plaża w grudniu to zło – westchnął ciężko, potwierdzając tym przypuszczenia Bronka co do prawdziwego zrozumienia przez pragmatycznego Patryka istoty Bożego Narodzenia. – Ale jak widać, listopad to nie jest najlepszy dla nas miesiąc, bo w ubiegłym roku zaczęła się ta cała heca ze świętami, a w tym zamiast niej jest mieszkanko po babci! – Z piersi pana pozłacanego znowu wyrwało się głębokie, tragiczne westchnienie.

– A rzeczywiście, przecież nie wiem, jak to się skończyło. – Broniek zatupał w miejscu, bo poczuł, że marzną mu stopy.

„Cholera, co ta dziewczyna tyle czasu tam robi?” – pomyślał i z niepokojem spojrzął najpierw na zegarek, a później na niebo, które coraz bardziej zaciągało się ciemnymi chmurami. Na tyle, na ile on się na tym znał, to za moment zacznie padać, a nie miał parasola ani kaptura przy kurtce. Miał za to sporą dozę sympatii do właścicielki tej małej kwiaciarni. Do tej dziwnej dziewczyny, którą dziś zastał wciśniętą pod biurko, zresztą też, i nie chciał iść z zamówieniem gdzie indziej.

– A z mieszkaniem – wdarł się w jego myśli głos Patryka – skończyło się tak, że Karola kazała mi to wszystko nowoczesne i modne wywalić, i to z hukiem, i z powrotem wnieść tam te wszystkie stare rupiecie. Po babci. A ja już je sprzedałem...

– Uuuu, nie brzmi to dobrze. – Bronek mimo że całym sercem stał po stronie Karoli, to nie mógł, po prostu nie mógł też nie współczuć temu nic nierozumiejącemu facetowi.

– Bo to było fatalne! Gość, który kupił ode mnie całe wyposażenie, nawet słyszeć nie chciał o powtórny odsprzedaniu. Zaparła się kanalia i już! Ale tak jak mówiłem, wszystko jest kwestią ceny, w końcu zaoferowałem mu tyle, że oddał prawie wszystko, poza jednym fotelem, bo ten już komuś sprezentował. A ten fotel na moje nieszczęście był ulubionym babcinym fotelem. Na nim babcia siadywała z moją małą Karolką i czytała jej książeczki, opowiadała bajki... No to ja akurat to rozumiem i powtarzać mi dwa razy nie było trzeba, fotel musiał wrócić. Ale co za różnica, czy to będzie dokładnie ten sam... No niech pan powie? – Na całe szczęście pytanie było retoryczne, bo Patryk, nie czekając na odpowiedź, kontynuował swoją opowieść. – I gdy zaoferowałem mojej Kamisi-Misi kochanej, że kupimy jakiś inny, podobny, oczywiście droższy, żeby nie myślała, że chcę na niej oszczędzić, to parsknęła, że tak jak głupi się urodziłem, tak głupi umrę i że wartości sentymentalnej nie da się wycenić ani kupić! No i dąsa się na mnie aż do dziś. I końca tego nie widać. No to przyszedłem tutaj, bo musiałem sobie jakoś nastrój poprawić, a dziś jest dzień, w którym pani Gabrysia ma ułożyć bukiet, taki pod moje dyktando, a ja to lubię, bo mam do tego smykałkę, choć nikt tego nie chce przyznać... Ale to pewnie z zawiści – pocieszył się i widać było, że humor mu się nieznacznie poprawił. – Zresztą niech pan spojrzy, ja tutaj zdjęcia sobie robiłem tych moich kompozycji z zeszłego roku... Czy nie są

oryginalne, niespotykane i nowatorskie? – Połączany Patryk podsunął mu pod nos telefon z otwartym folderem z fotografiami.

Bronek zaledwie zerknął – i zaniemówił. Na zdjęciach zaprezentowane były koszarne wiechcie. Wielkie, z niepasującymi do siebie roślinami, bukietowe potworki.

„Można by było nimi straszyć bukiecikowe dzieci, gdyby takowe oczywiście istniały” – przemknęło mu przez myśl.

– I co, nie mówiłem? Są niepowtarzalne!

– A tu akurat nie można dyskutować – mruknął. – I pani Gabrysia robi to z własnej, nieprzymuszonej woli? – nie mógł się jednak powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– A gdzie tam! Odmawiała! Przez długi czas! Pewnie się bała, że będę jej chciał konkurencję robić! A może po prostu przykro jej było, że ona tak nie potrafi wymyślić i tylko wtedy jej wychodzi, gdy ktoś jej mówi, co ma robić... Ale ostatnio, gdy tu przyszedłem, po tej aferze z mieszkaniem, to chyba obudziłem w niej jakieś ludzkie uczucia i powiedziała, że na poprawę humoru może mi obiecać, że raz w miesiącu złoży bukiet taki, jaki tylko mi się wymarzy! No to jestem! A poza tym pomyślałem, że może uda mi się jeszcze jedną pieczeń upiec przy tym samym ogniu. W zeszłym roku pani Gabrysia właśnie ustawiała tu taką starą szopkę. Moja Karola to za takimi starociami przepada, gdyby mi się udało ją odkupić i jej podarować, to może przestałaby się na mnie dąsać...

– A pani Gabrysia zainteresowana jest sprzedażą? – Bronek uniósł brwi w geście zapytania.

– A skąd! Już w tamtym roku ją namawiałem, ale kto wie, próbować trzeba. Już panu przecież mówiłem, że wszystko jest na sprzedaż...

– ... pozostaje tylko kwestia ceny – dokończył Bronek. – Tylko jak się do tego ma fotel po babci? – przekora wygrała i nie zdołał ugryźć się

w język.

– Aaa, tak. To jest ta, jak to się mówi... reguła od wyjątku! – mruknął połączony.

Bronek już się szykował do odpowiedzi, nie zdążył jednak nawet otworzyć ust. Firaneczki przysłaniające oszklone drzwi zostały odsłonięte, po drugiej stronie zazgrzytał zamek i drzwi stanęły otworem. Akurat w momencie gdy chmury poczuły, że są gotowe, niebo się otworzyło i na ziemię lunęła ściana lodowatego deszczu.

Michalinie zeszło z otwarciem dłużej, niż planowała, bo gdy już stała pod drzwiami, gotowa przekręcić klucz, pomyślała, że o jedno nie zapytała: o to, co dokładnie ma zrobić z Kochanieńkim.

Zawróciła więc i wykręciła numer Gabrysi.

– To znowu ja, tak na szybko. Co ja mam właściwie uczynić z naszym, pożałuj Boże, artystą?

– Cóż, w internecie jest coś takiego jak: grafik płakał, jak projektował, można założyć coś podobnego dla biednych, przeczołganych przez życie florystów... – zaproponowała z udawaną powagą Gabrysia.

– Zapomniałaś dodać: przez życie i kochanieńkich – parsknęła krótkim śmiechem Michalina. – Ale tym razem nie chodzi mi o to, co zrobić z moim znękanym poczuciem piękna i estetyki, tylko o niego. Są jakieś ograniczenia? Limity? Coś, czego absolutnie mam nie robić?

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to żadnych doniczek wkładanych do bukietu, już miałyśmy przedsmak tego, do czego może to prowadzić.

– A to fakt, należy pamiętać: bukiety poza swoimi oczywistymi dekoracyjnymi funkcjami służą również do tego, żeby nimi rzucać...

– Przynajmniej tak pokazują na filmach – mruknęła Gabrysia. – Bo ja osobiście w całym swoim życiu nie rzuciłam ani jednym.

– Poczekaj, co się odwlecze, to nie uciecze, wrócisz do pracy, pod dyktando Kochanieńskiego, to długo nie wytrzymasz. Kto wie, może nawet w desperacji, ukradkiem i z pełnym rozmysłem wpakujesz w któryś komponowany przez pana Patryka wiecheć ciężką glinianą donicę, a potem dopiero machniesz z całej siły tym dobrem w kierunku naszego projektanta. A wracając do tematu, to wszystko poza doniczkami dozwolone?

– Tak, po prostu nie zastanawiaj się, rób to, co wymyśli. Tylko policz go należycie, uwzględniając straty moralne i terapeutę – zaleciła ubawiona Gabrysia. – A, i koniecznie najpierw obsłuż tego gościa z teatru, niech biedak nie musi patrzeć na to, co tam się będzie wyprawiało.

– A to to akurat sama wiem. Jeszcze zobaczy dzieło Kochanieńskiego i się zniechęci, i sobie pójdzie! A teraz naprawdę kończę, bo oni nadal stoją na zewnątrz – dodała i rozłączyła się, po czym pospiesznie podeszła do drzwi.

Otworzyła akurat w tym idealnym momencie, żeby dwaj panowie zdążyli wskoczyć do środka, zanim zmoczył ich deszcz, który lunął tak, że utworzył nieprzeniknioną ścianę wody.

– Dzień dobry, przepraszam, że tyle to trwało, ale cóż... Jak by to powiedzieć... – zająknęła się zakłopotana. – Dopadły mnie drobne kłopoty techniczne – zakończyła wreszcie.

„Prawdę mówiąc, nie takie one znów drobne” – pomyślała następnie, popatrując spod oka na swoich klientów. Kochanieński do ułomków nie należał, a i pan od teatru – za nic nie mogła sobie przypomnieć, jak ma na imię – był raczej okazałego wzrostu.

– To ja może najpierw zajmę się panem – spojrzała wymownie na towarzysza Kochanieńskiego – a pan, panie Patryku...

– A ja nie będę tu przecież tak beczynnym stał, czas to pieniądz, więc wy tam sobie załatwiajcie swoje sprawy, a ja wybiorę to, co mi będzie potrzebne – mówiąc to, Kochanieński zamaszystym ruchem zerwał z siebie płaszcz i fantazyjnie cisnął go na stojące obok biurka krzesło, a potem z zadowoleniem zatarł pulchne dłonie.

– O nie, nie, nie. – Michalina zamachała gwałtownie rękami. – Tylko niech pan nic sam nie wyciąga z wiaderka! Towar podaję ja!

– Przecież to nie tak miało być – Kochanieńki się wyraźnie naburmuszył.

– Oczywiście będzie pan mógł wybrać, co tylko się panu podoba – kusiła umiejętnie Michalina, rozsądnie nie wspominając o doniczkach i mając nadzieję, że temat w ogóle się nie pojawi.

– No dobrze, niech już będzie, z wiaderek nic nie wyciągnę, ale w takim razie poprzenoszę je w jeden kąt, te, które będą mi potrzebne, rzecz jasna. – Uradowany ze znalezienia satysfakcjonującego rozwiązania, rażno pomaszerował w głąb kwaciarni i po chwili wywlókł stamtąd dwa kubeczki pełne róż, i rzucił się ku następnym pojemnikom.

Michalina i Bronek patrzyli na to oniemiałi. Kochanieńki miotał się wśród półek i regałów, chlupotał wodą, sapał i parskał, a oczy mu płonęły. Czapka, której z wiadomych tylko sobie przyczyn nie ściągnął, zawędrowała mu na czubek głowy i do złudzenia przypominała taką noszoną przez krasnale.

– Hmmm – mruknął w końcu Bronek i doszedł do wniosku, że to „hmmm” musi być jakoś związane z tym miejscem, bo nigdzie indziej, przynajmniej do tej pory, nie miał problemu z przyzwoitym wysławianiem się. – Poszedł jak dzik w żółędzie – dorzucił po chwili w zadumie, przyglądając się, jak Kochanieńki wytaszcza pojemnik z frezjami i kolejny z jakimiś maleńkimi i drobnymi kwiatuskami.

– Cóż, trudno to lepiej ująć. – Michalina pokręciła głową. – Chyba i tak nie jesteśmy w stanie opanować tego *nomen omen* dzikiego entuzjazmu, może więc zajmijmy się pana zamówieniem – dorzuciła z rezygnacją, przyglądając się, jak do wiaderek dołączają niepasujące do niczego stojące tam margerytki.

– I te barwione, i te barwione, lubię je – mruczał Kochanieńki w przypiływie natchnienia i z obłądem w oczach.

– Ja pani nie chcę martwić, lecz to się szybko nie skończy – zawyrokował Bronek. – To raczej wygląda na początek. I lojalnie uprzedzam, możemy załatwiać moje sprawy, ale ja i tak stąd prędko nie wyjdę.

– Nie? – Michalina zaskoczona zmarszczyła brwi i zerknęła na niego z zaciekawieniem. – A to czemu, jeżeli mogę spytać?

– Bo po pierwsze, to pierwsze rozsądne, na zewnątrz wciąż leje, a ja nie mam niczego przeciwdeszczowego, a po drugie, niemające nic wspólnego z rozwąga, to ja teraz po prostu muszę zobaczyć, co z tego miszmaszu wyjdzie. – Tu znacząco rzucił spojrzeniem w kierunku wszystkich wywleczonych przez Kochanieńskiego wiader. – I nie będę kłamał: nawet jeżeli w tej chwili deszcz minie, jak ręką odjął, i pojawi się słońce, to końmi mnie stąd nie wywloką. Po prostu ciekawość mnie zżera, co pani z tym wszystkim zrobi...

– Cóż, to, co Kocha... to znaczy pan Patryk sobie zażyczy. A fantazję w tym względzie ma naprawdę niemałą. I lojalnie uprzedzam, że to, co raz się zobaczy, nie zostanie odzobaczone i robi to pan na swoje własne ryzyko. – Michalina niespodziewanie dla samej siebie poczuła, że chce jej się śmiać. – Niewykluczone, że będzie pan potem cierpieć na koszmary senne albo przyczepi się do pana inne złośliwe lichy, odpowiedzialne za zemstę za znieważanie biednych roślin i pracowników kwaciarni.

– No, a co tam, panie Bronku, pan tak marudzi? – Kochanieńki na moment przystanął i obrzucił ich roztargnionym spojrzeniem. – Piękna kompozycja nam z tego wyjdzie, prawda? – Przeniósł wzrok na wybrane przez siebie roślinne ofiary.

– Hmmm – mruknął na to w odpowiedzi Bronek i nawet się tym „hmmm” już za bardzo nie zdziwił.

To był sądny dzień. Michalina nie usiadła nawet na moment. Drzwi kwiaciarni nieomal się nie zamykały.

„Co za złośliwość losu – pomyślała w pewnym momencie, gdy przy biurku znów utworzyła się mała kolejka, a ona biedziła się nad ułożeniem kolejnego gustownego, jak na swoje możliwości, rzecz jasna, bukietu. – Jak jest Gabrysia, która jest w tym mistrzynią, to takie sytuacje należą do rzadkości, a tu proszę, zostań człowieku na kilka dni sam i klęska urodzaju gotowa!”

„Właściwie to nie mam racji” – dotarło do niej, gdy w końcu ostatnia z klientek, dzierżąc przed sobą wielki snop róż w kolorze bladego różu, opuściła progi kwiaciarni, a ona z ulgą przekręciła klucz w drzwiach, zawiesiła tabliczkę z napisem „Zapraszamy jutro” i zasunęła szczelnie firaneczki.

„Nie mam racji, bo ludzi na co dzień jest tu mnóstwo, tylko Gabrysia radzi sobie z kwiatami tysiąc razy lepiej ode mnie i najzwyczajniej w świecie idzie jej to sprawniej i szybciej”. Opadła zmęczona na krzeselko i z żalem spojrzała na rozłożone na sąsiednim stole farby i pędzelki: dziś nie zdążyła właściwie niczego namalować.

Poranek, który był spokojniejszy, w całości zajęli jej pan Bronek i Kochanieńki – tu odruchowo zerknęła w najciemniejszy kąt kwiaciarni i parsknęła krótkim śmiechem. Pomimo panującego cienia doskonale widziała majaczący tam złowrogi kształt.

Podniosła się z krzesła, podeszła do drzwi i jeszcze raz sprawdziła, czy aby na pewno są zamknięte, poprawiła firaneczki tak, żeby nie została w nich nawet najmniejsza szpara, i dopiero wtedy ruszyła w stronę kąta. Wyciągnęła z niego coś, co na pierwszy rzut oka przypominało niekształny

stos utrzymany w krzykliwych barwach. Z każdej strony zwisały i sterczały w szaleńczym bezładzie najróżniejsze rośliny. Wisienką na torcie były zaś liście ananasa przytwierdzone na samej górze, pomiędzy którymi poutykane były małe różowe kwiatuszki. I suszone główki kwiatów. I kawałki gałązek lśniących czerwonymi paciorkami głogu, który w tym towarzystwie wyglądał żałośnie. Na samym czubku tej konstrukcji tkwił wielki sztuczny motyl z rozłożonymi skrzydłami i psychodelicznym uśmiechem.

Michalina mimo że przecież nie dość, że już to widziała, ale też, było nie było, czynnie uczestniczyła w tworzeniu tego koszmarku, to jednak znów doznała pewnego rodzaju wstrząsu.

– Na to po prostu nie da się uodpornić. Nieprawdopodobne, że ktoś jest w stanie wymyślić coś tak... Tak niekształtnego – mruknęła do siebie i z trudem uniosła wiecheć do góry, po czym umieściła go na środku biurka.

A potem wybrała numer Gabrysi i nacisnęła połączenie wideo.

– Dzień dobry, a właściwie o mało co dobry wieczór – powiedziała z szerokim uśmiechem, gdy na wyświetlaczu pojawiła się twarz kwiaciarki.

– O, dzień dobry wieczór – uśmiechnęła się Gabrysia. – Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Chyba już po raz pięćdziesiąty od rana – dodała z lekkim wyrzutem.

– No wiem, przepraszam, ale ruch był dzisiaj jak, nie przymierzając, na Marszałkowskiej w godzinach szczytu. Ledwo znalazłam pięć minut, żeby wyjść do toalety. Ale przecież wysłałam ci uspokajającą wiadomość.

– Aha, ja bym zamiast „uspokajającą” raczej powiedziała, że zwięzłą. I jednak niezbyt kojącą. Brzmiała, cytuję: „wyję”. – Gabrysia uniosła wysoko brwi.

– O matko! – jęknęła rozdzierająco Michalina. – Miało być żyję. Cholerny słownik mnie kiedyś wykończy. Słyszałaś tę historię, że ktoś pisał do księdza i chciał zakończyć standardowymi życzeniami dobrego dnia,

a to draństwo zmieniło mu na „dobrego seksu”? – Michalina parsknęła śmiechem. – Przy tym to moje „wyję” to mały pikuś. Zwykle patrzę, co wysyłam, ale dziś nie miałam jak, pisałam jedną ręką, a drugą i trzecią usiłowałam odplątać ze wstążki te z piekła rodem diabłeta pani Dosieńki.

– Trzecia ręka! Takie cuda są możliwe wyłącznie przy najeździe Matysiaków! Ile szkód tym razem poczyniły nasze urocze bliźnięta?

– Żadne nasze, ja się do tych potworków nie przyznaję! – zaprotestowała gwałtownie Michalina. – A jeżeli chodzi o straty, to niewielkie: dużo wstążki i kilka kwiatków, za które zresztą zapłaciła zrezygnowana, ale też dumna mateczka. Wystarczyło, że na moment się odwróciłam, a Kazio w tym czasie zdążył omotać wstążką swoją pulchną, wrzaskliwą siostrzyczkę, tak że wyglądała jak, nie przymierzając, baleron. Właściwie to nawet trudno mi było się na niego złościć, bo zrobił dokładnie to, na co ja mam zawsze ochotę, a z wiadomych względów mogę tylko o tym marzyć. Chociaż ja żywię takie ciepłe uczucia nie tylko do Kasieńki, ale i do Kazia również. I nawet jest mi z tego powodu trochę wstyd, bo, było nie było, to jednak są dzieci. Ale to mieszanie przychodzi dopiero wtedy, gdy pani Dosieńka ze swoimi uroczyimi pociechami znikają daleko, hen za horyzontem. Gdy mam je w zasięgu ręki i wzroku, opętują mnie mordercze instynkty i mowy nie ma o żadnych wyrzutach sumienia.

– To chyba wszyscy mamy podobnie, właśnie opisałaś dokładnie moje uczucia – parsknęła śmiechem Gabrysia. – Ale jedno mi nie daje spokoju z tym baleronom: Kasieńka tak w milczeniu dała się pętać?

– A skąd, darła się jak zarzynane prosię, ale to u niej normalne. I ona, i jej brat wrzeszczą nieustająco, więc nikt jakoś nie zwrócił szczególnej uwagi. A na koniec Kazio wpakował jej jeszcze różę w zęby...

– Zaczynam żałować, że mnie tam wtedy nie było – śmiała się już na całego Gabrysia. – To musiał być niesamowity widok.

– Był, nie tylko zresztą dla mnie, bo na nieszczęście w tym samym momencie przybyła po odbiór swoich bombek Pani Ryba.

– O nie! – Gabrysia zrobiła wielkie oczy.

– O tak, a to znaczy, że każdy, kto w najbliższym czasie odwiedzi jej rybny sklepik, usłyszy tę historię ubarwioną i odpowiednio dosmaczaną. Wyjdziemy na niezłe sadystki.

– Tylko dla tych, którzy nie znają piekielnych bliźniąt – stwierdziła ze stoickim spokojem Gabrysia.– A że one każdemu, kto miał z nimi styczność, już załazy za skórę, to dla najbliższej okolicy staniemy się bohaterkami. Ale jednego w tym wszystkim nie mogę zrozumieć i nie ukrywam, że to mnie szczególnie intryguje... Nie jest tajemnicą, że pani Dosieńka patrzy na swoje pociechy przez bardzo różowe okulary i rozpuszcza je niemożebnie, ale tutaj, jednak, związanej jej córeczkę...

– No i? – Michalina zmarszczyła brwi.

– No to Kaziowi chyba powinno się dostać...

– Aaa, tak to sobie wykombinowałaś, to cię rozczaruję. Pani Dosieńka jest znana z delikatności i wyrafinowanego smaku, prawda?

– Przynajmniej sama tak siebie postrzega – zgodziła się po krótkim namyśle Gabrysia.

– I to wystarczy, bo i owszem, na swój sposób zbeształa Kazia za wybryk ze wstążką, mówiąc mu, że związana siostra wygląda bardzo nieestetycznie, a potem natychmiast zachwyciła się przy wszystkich zdolnościami manualnymi swojego synka.

– Że co proszę? – Gabrysia spojrzała w kamerę rozszerzonymi zdumieniem oczami.

– To, co usłyszałaś. Pani Dosieńka była oczarowana, bo po pierwsze, to jest sztuka tak sprawnie i szybko związać, było nie było, ruchliwą dziewczynkę, a po drugie, nie mogła się napatrzeć na węzły, zanim

pozwoliła uwolnić Kasieńkę, zrobiła im nawet zdjęcia. „Nawet sobie państwo nie wyobrażają, jaki mąż będzie dumny – mówiła podekscytowana. – On Kazika chce przysposobić do żeglarstwa, bo wiecie, że mój mąż jest zapalonym żeglarzem i uczył go tych wszystkich węzłów, i złościł się, że Kaziowi jakoś to nie bardzo idzie, a tu proszę! Mały zdolniacha” – powiedziała Michalina, wybornie parodiując głos pani Dosieńki.

– No to miałaś dzisiaj istny cyrk. – Gabrysia ze śmiechem pokręciła głową. – A Pani Ryba wiedziała, kiedy się napatoczyć, niewątpliwie zyskała kolejną smaczną historyjkę do opowiadania. Coś mi mówi, że ta historia będzie krążyć aż do Bożego Narodzenia, bo trudno będzie ją przebić.

– Tak, i znając fantazję Pani Ryby, dzień po dniu będzie nabierała mocy i obrastała w szczegóły, aż w końcu w Wigilię ktoś usłyszy, że cała kwaciarnia była szczelnie wypełniona spętanymi dziećmi – mruknęła Michalina, wywracając oczami. – A w ogóle to właśnie sobie uświadomiłam, że nie wiem, jak Pani Ryba ma na imię.

– A wiesz, że ja też nie mam pojęcia – wyznała po chwili zastanowienia Gabrysia. – Jakoś tak wszyscy o niej mówią: Pani Ryba... Nawet do niej pasuje, bo w jej urodzie jest coś takiego rybiego właśnie...

– Oczywiście, takie sinomętne i nieco wyłupiaste – wtrąciła z udawaną powagą Michalina.

– Przestań, obie jesteśmy okropne – zaśmiała się Gabrysia, machając ręką, tak jakby chciała coś od siebie odgonić. – Ale to aż dziwne, że nigdy nie usłyszałam, jak ona naprawdę się nazywa. To nawet jest takie jakieś bezduszne! Nie sądzisz?

– Eee tam, Pani Ryba nie wydaje się przejęta, to tym bardziej ja nie zamierzam się tym katować. Zresztą nie przypuszczam, żeby przejmowała się czymś takim, za bardzo zajmują ją sprawy bliźnich, żeby jeszcze miała

czas zastanawiać się nad sobą – zbagatelizowała Michalina. – A poza tym ona nie jest zbyt wrażliwa, powiedziałabym nawet, że *nomen omen* zimna z niej ryba, gdyby nie to, że wiem, że byś mnie za to zbeształa.

– Gdybyś powiedziała, to oczywiście, zbeształabym natychmiast – przytaknęła z powagą Gabrysia. – A zakładając, hipotetycznie, rzecz jasna, że jednak ten zwrot tu padł, to dlaczego masz o niej takie oziębłe mniemanie?

– Bo coś musi być nie w porządku z kimś, kto sprzedając ryby, zamawia bombki, na których szczęśliwe rybki rodzinki: mama karpiowa w fartuszkach, tatuś karp z sumiastym wąsem i we fraku, malutkie karpiątka w spódniczkach i koszulkach z białymi kołnierzykami, siedzą przy stole i zajadają przysmaki. Albo na innych zaglądną pod choinkę i rozpakowują prezenty. A najgorsza jest ta, gdzie przełamują się opłatkami...

– W sensie te ryby? – wtrąciła Gabrysia, potrząsając głową i marszcząc brwi.

– Tak, te ryby właśnie, płetewkami łamią opłatek. Tak, uprzedzając twoje kolejne pytanie, udało mi się to namalować całkiem realistycznie. Ale nie to jest najgorsze. To jest taka wielka bombka, XXL, można na niej wiele zmieścić i Pani Ryba wymyśliła, żeby tam były życzenia. Z pyszczków ryb unoszą się dymki, że niby one to mówią. Zamówiła kilka takich dużych bomb, na każdej z nich jest podobnie, jakaś słodka scenka domowa z rybami, na przykład wypatrywanie pierwszej gwiazdki przez rybiątka, rybi Święty Mikołaj mknący w saniach i tak dalej, i tak dalej. I te dymki, w których są życzenia...

– Ale co w tym złego? To nawet pomysłowe i urocze – zauważyła trzeźwo Gabrysia.

– O tak, bardzo, szczególnie kiedy tata karp mówi do mamy karpiowej: „Obyśmy w przyszłym roku wszyscy spotkali się przy tym stole!”. Gdy to

czytasz, z miejsca staje ci przed oczami wielki topór, a potem półmisek ze smażoną rybą, na którym spoczywa karpi ojciec we fraku, a w domu płaczą osierocone karpięta! – wyrzuciła z siebie Michalina. – Patrząc na to, z miejsca mam ochotę porzucić jedzenie ryb!

– No tak, to rzeczywiście takie trochę *creepy* – przyznała Gabrysia podejrzenie zduszonym głosem.

– Trochę to delikatnie powiedziane! No, ale Pani Ryba była zachwycona, choć ja mam cichą nadzieję, że nie będzie się zanadto chwalić, kto jest autorem tych rybich ozdób, bo mimo wszystko jakoś mi głupio.

– Ze względu na rybie sieroty? – Gabrysia nie zdołała się opanować i w końcu w jej głosie zabrzmiał śmiech podszyty kpiną.

– A żebyś wiedziała! Teraz już zawsze, patrząc na rybę na talerzu, będę widziała małe rybiątka ubierające choinkę i klaszczące w zachwycie płetewkami! Dlatego mam nadzieję, że nikt mnie nie będzie kojarzył z rybną bożonarodzeniową wystawą i patrzył na mnie jak na bezdusznego zwyrodnialca!

– Widzisz, teraz dopiero będziesz mogła mnie w pełni zrozumieć, mam to samo z naszym panem Patrykiem. Niby klient nasz pan i nie powinniśmy się przejmować, skoro on jest zadowolony, ale stanowczo wołałabym, żeby nikt nie kojarzył mnie z jego specjalnymi zamówieniami. I tak reasumując, to widać każdy na świecie ma takiego swojego Kochanieńkiego – filozoficznie stwierdziła Gabrysia. – A właśnie, skoro jesteśmy przy temacie...

– Właściwie to dobrze, że do tego nawiązałaś, bo ja specjalnie chciałam rozmawiać z tobą na kamerce. Nie mogę dopuścić do tego, żebyś nie zobaczyła na własne oczy dzieła naszego Kochanieńkiego – weszła jej w zdanie Michalina. – Obawiam się, że zdjęcia tego nie oddadzą. A poza

tym skoro wsadziłaś mnie na minę, to powinnaś choć trochę razem ze mną pocierpieć – dodała z komiczną powagą. – Jednak zanim przejdziemy do meritum, to na wszelki wypadek usiądź. Bo nogi mogą ci odmówić posłuszeństwa. Chociaż różnie ludzie na to reagują, na przykład pan Broneczek, ten od teatru, wyszedł od nas taki nieco skulony, bo rozboleł go brzuch ze śmiechu. Tłumionego, bo przecież nie można było przy Kochanieńkim tak jawnie dać upustu radości. Obawiam się, że jego miłość własna by tego nie zdzierżyła. Chociaż szczerze mówiąc, mnie nie było do śmiechu. Ani, ani. To co? Jesteś gotowa? – zapytała retorycznie i odwróciła telefon tak, żeby stojący na biurku wielki, bezkształtny stos był widoczny w całej okazałości.

– O ja cię kręcę – wyszeptała Gabrysia po długiej chwili milczenia. – No cóż, hmm...

– Czyżby odjęło ci mowę z zachwyty? – Michalina bawiła się przednio.

– Można i tak to ująć. Ale czy ja dobrze widzę to, co widzę na czubku?

– Dobrze widzisz to, co widzisz – przytaknęła Michalina. – To góra od ananasa. Wiesz, ile pracy mnie kosztowało, żeby to tam umieścić? Stabilnie? Zbudowałam całą styropianowo-drucianą konstrukcję. Zmieniałam ze trzy razy, zanim Kochanieńki poczuł, że to jest dokładne urzeczywistnienie jego wizji. Potem dorzucił do tego te małe, biedne różowe kwiatuszki, które widać w swoim ogrodowym albo szklarnianym życiu musiały nieźle nagrzeszyć, skoro po ścięciu dotknęło je coś tak okrutnego. Podobny los spotkał zresztą nieszczęsny głóg. Zawsze mi się wydawało, że on akurat wszędzie będzie dobrze wyglądał, a tu proszę, pojawił się Kochanieńki i w try miga rozwalił system, i udowodnił, że głóg jednak może wyglądać paskudnie!

– O matko! No cóż... – Gabrysia widać nadal nie mogła się pozbierać. – Muszę ci powiedzieć, że tym razem to Kochanieńki przeszedł

samego siebie. Może to jest powiązane z wyposzczeniem? W końcu prawie rok już nie dawałam mu się namówić na te jego wyczyny! A weź pokaż to od drugiej strony – mruknęła. – Jednak to był błąd, nie powinnam chcieć tego oglądać! Wydawało się to niemożliwe, ale z tej perspektywy wygląda to jeszcze koszmarniej – stwierdziła po chwili. – I dlaczego na samym czubku tej sterty siedzi motyl psychopata? Ten jego uśmiech... – Potrząsnęła głową i zrobiła koszmarny grymas. – Swoją drogą, nie wiedziałam, że mamy w ogóle coś takiego w kwiaciarni! Chyba któryś z dostawców musiał dorzucić w gratisie, bo sama bym w życiu tego nie zamówiła. – Przekręciła głowę, żeby lepiej przyjrzeć się psychodelicznemu motylemu uśmiechowi.

– Spokojnie, motyl nie należy do nas. Tego tu osobiście przyniósł Kochanieńki – wyjaśniła Michalina, śmiesznie marszcząc nos. – Ma obrazować jego twórcze i lekkie podejście do życia i dać do zrozumienia jego Bzini, Niuni kochanej, Karoli, jak bardzo się dla niej stara.

– O rany! – Gabrysia zrobiła wielkie oczy.

– I uświadomić jej, że naszemu Patrykowi, wbrew temu, co ona uważa, nie brakuje romantyzmu. I fantazji. Zresztą cały ten bukiet ma jej to unaocznić – ciągnęła Michalina.

– O rany! – powtórzyła Gabrysia jak w transie.

– I zapewne domyśliłaś się już, że to ma być bukiet dla niej, ma ją zmiękczyć i wyjednać przebaczenie dla Kochanieńskiego, co niestety nasuwa mi przypuszczenie, że nasz pan Patryk jest z gruntu bezmyślny, niewyuczalny i nie umie wyciągać wniosków ani uczyć się na błędach. Krótko mówiąc: przypadek beznadziejny. Bo przecież w zeszłym roku jasno mu powiedziała, co myśli o jego bukietach. Oberwał nawet doniczką. To już chyba nie powinien mieć wątpliwości.

– A co on znowu nawywijał? Bo coś musiał, skoro zamierza błagać o wybaczenie – zaciekawiała się Gabrysia. – Chyba nie powtórzył zeszłorocznego pomysłu ze świętami w tropikach?

– Nie, za to wymyślił coś innego, ale o tym opowiem ci, jak wrócisz, bo teraz muszę się zwijać. No i odstawić ten florystyczny koszmar do najciemniejszego kąta...

– A właściwie to dlaczego on został u nas? Kochanieńki zwykle niechętnie rozstawał się ze swoimi dziełami... – Gabrysia z namysłem zmarszczyła brwi.

– Bo dopiero jutro będą odpowiednie okoliczności do wręczenia. Przyjedzie odpowiedni fotel, identyczny z tym, który pan Patryk sprzedał. Pan Broneczek z teatru się nad nim ulitował, znalazł dokładnie taki sam i załatwił błyskawiczny transport.

– Matko, nic z tego nie rozumiem – mruknęła skonsternowana Gabrysia. – Jaki fotel i co ma do tego pan Broneczek?

– Długo by opowiadać, musisz poczekać, aż się zobaczymy. Istotne w tym wszystkim jest to, że dopiero jutro będzie ten kulminacyjny moment błagania o przebaczenie i uzmysławiania Karoli tego, jakim nasz Kochanieńki jest wrażliwcem. I dlatego nie mógł go ze sobą zabrać, żeby nie zepsuć efektu.

– No, efektu to on może być pewien. Nie wiem wprawdzie, czy takiego, jakiego się spodziewa, ale jakiś, i to prawdopodobnie dość spektakularny, będzie – mruknęła Gabrysia. – Słuchaj, zanim wyjdiesz, na wszelki wypadek przykryj to wasze dzieło jakimś papierem, co? Żeby przypadkiem nikt tego nie zobaczył.

– A ja to wiem, ale próżny trud. Do jutra obejrzy to większość naszych klientów. Właśnie jakoś delikatnie chciałam cię na to przygotować, tylko nie wiedziałam, jak się do tego zabrać – wyznała z rozbijającą szczerością.

– Ale jak... jak to większość naszych klientów? Jakim cudem? – wydukała kwiaciarka.

– Normalnie. Kochanieńki zrobił swojej ulotnej i zwiewnej kompozycji z tysięcy zdjęć i wrzucił je na Facebooka. Oznaczając naszą kwiaciarnię.

– Nie!

– Tak, ale nie to jest najgorsze.

– Nie? Naprawdę może być coś jeszcze okropniejszego niż pokazanie tego potworka całemu światu? I to z informacją, że powstał u nas?

– Może. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. A mianowicie Kochanieńki oznaczył również mnie, dziękując wylewnie za urealnienie jego wizji, za to, że zmaterializowałam jego marzenie. Jakbyś miała wątpliwości, to jest mną zachwycony i widzi w jasnych barwach naszą współpracę. Dasz wiarę?

– No wiesz, ale przynajmniej poetycko to ujął – nie zdołała się powstrzymać Gabrysia.

– Poetycko-sroretycko, jak by powiedziała Nela – parsknęła Michalina. – Właśnie uświadomiłam sobie, że przynajmniej jednym nie muszę się martwić: Panią Rybą i rybną wystawą. Nic gorszego niż kojarzenie mnie z wiechciem Kochanieńskiego nie może mnie spotkać. Wigilijna bombkowa rybna masakra to przy tym nic! A teraz naprawdę już kończę, bo muszę zwolnić Nelę z opieki nad Klarą. Kotuła miał być wcześniej, ale zatrzymał go nowy klient, a Nela pewnie pada już na twarz.

– To w takim razie widzimy się jutro. – Gabrysia pomachała jej na pożegnanie.

Michalina odmachnęła i się rozłączyła. Ledwo zdążyła przeciągnąć dzieło Kochanieńskiego do ciemnego kąta i okryć je papierem, a w komórce rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości.

„Jak tak dalej pójdzie, to nie pozostanie nam nic innego, jak zamówić nowy szyld – pisała Gabrysia. – Zamiast BUKIETY, WIĄZANKI, UPOMINKI trzeba będzie napisać: SPECJALNOŚĆ ZAKŁADU: WIECHCIE, SNOPY, FESZYNY. Kochanieńki byłby zachwycony! Do jutra!”

„O tak – pomyślała Michalina, wsuwając telefon do kieszeni kurtki. – Wręcz wniebowzięty. Dobrze, że Gabrysia już wraca, bo dłużej bym chyba nie dała rady. Dzisiejszy dzień przypominał raczej pracę w cyrku niż w spokojnej, urokliwej i klimatycznej kwiaciarni. Pan od teatru, Pani Ryba, bliźniaki z piekła rodem i Kochanieńki to stanowczo za dużo jak na jedną osobę”. – Westchnęła i wyszła na zewnątrz.

Od razu zaatakowała ją uporczywa mżawka, oblepiająca, wciskająca się wilgocią pod kołnierz i szalik. Chodniki lśniły ciemną, wpadającą w granat, nadającą im głębi cieniutką warstewką wody. Gdzieniegdzie rozlewały się i drżały pod wpływem spadających na nie kropel przemarznięte kałuże.

„To chyba największa zawartość listopada w listopadzie. Po prostu niemożliwe, żeby mógł występować w większym stężeniu” – pomyślała Michalina, kuląc ramiona. Mimo że była ciepło ubrana, ziąb przenikał ją aż do kości.

„Zapewne zanim dotrę do domu, będę nasiąknięta tą mżawką jak gąbka. – Spojrzała w górę na zaciągnięte ciężkimi chmurami ciemnografitowe niebo. – A w zeszłym roku właśnie bym siedziała skulona w zimnej bramie. W cienkiej kurtce, w przemoczonych, brudnych tenisówkach. W towarzystwie lodowatych podmuchów wiatru i lęku. Modląc się, żeby nikt mnie stamtąd nie przepędził i żeby nikt się nie pojawił”. – Na chwilę przymknęła oczy.

To było w tym najbardziej paradoksalne. Najmocniej wtedy tęskniła za bliskością drugiego człowieka, za ciepłem płynącym ze zwyczajnej

życzliwości i troski. A jednocześnie tego człowieka najbardziej się bała. Czyjaś obecność w ciemnej bramie nie oznaczała niczego dobrego, niosła ze sobą zagrożenie i kłopoty. To był ciemny, zły świat. Świat, w którym w zaułkach bram wiecznie trwała listopadowa noc, a odgłos kroków zwiastował niebezpieczeństwo.

„Do ciemnych bram nawet anioły boją się zaglądać” – przemknęło jej przez głowę, a po plecach przeleciał dreszcz.

„Rok temu dopiero jutro wszystko się odmieni” – pomyślała, otwierając oczy i mrugając szybko powiekami, i jeszcze raz spojrzała w niebo.

– Dobrze, że ty przynajmniej nie bałeś się ciemności – mruknęła w kierunku kłębiących się chmur. – Aniele z przykościelnych schodów – dodała, wtulając jeszcze mocniej brodę w szalik, tak żeby miękka tkanina zasłoniła jej usta.

„I dobrze, że to już za mną. Że jest już następny rok, zupełnie inny dzień...”

„Tak, tobie się udało, ale zakamarki, te, do których nie zagląдают nawet anioły, nadal istnieją” – szepnęło jej coś uporczywego i niedającego się zepchnąć na drugi plan.

„I zawsze będą istnieć – odpowiedziała w myślach temu czemuś. – Grunt, żeby coraz więcej było takich, którzy zauważą tych stamtąd. Dlatego proszę bardzo, mówiłam już dzisiaj rano, jeżeli mogłabym jakoś odwdzińczyć się za to wszystko, co dostałam, to pamiętaj, ja jestem i jestem gotowa, mogę być tym ludzkim aniołem do wynajęcia dla kogoś, kto zagubił swojego. Nie migam się, nie uciekam, więc po co mi wypychasz te myśli o bramach, samotności i bezsilności, co? Bo to przecież twoja sprawa” – pomyślała buntowniczo, a przed oczami stanął jej Anioł Stróż z obrazu wiszącego nad łóżeczkiem Klary.

– Dość tego dręczenia! Masz coś dla mnie, to proszę bardzo! Dawaj! – burknęła, a potem pociągnęła nosem, naciągnęła głębiej na czoło czapkę i ruszyła różnym krokiem w kierunku domu.

Gnała ją tęsknota do córeczki, do Neli, do błękitnych kubków, które za moment wyciągnie z szafki i zrobi w nich kakao dla wszystkich, bo było jasne, że Nela będzie musiała poczekać, aż wróci Kotula i ją odwiezie. W taką pogodę staruszki, nawet te z językiem ostrym jak brzytwa i końskim zdrowiem, nie powinny za mocno się wietrzyć.

Myśl o tym, co czeka ją w domu, sprawiła, że przyspieszyła kroku i zupełnie zapomniała o tym, co jeszcze przed chwilą tak mocno szarpało jej sercem.

Ale jak wiadomo, świat ma to do siebie, że nic, co raz się pojawiło, nie znika. I choć nikt nie miał o tym pojęcia, coś tam w górze, wśród gęstych chmur zadrgało. Powietrze zgęstniało, mżawka zamieniła się w drobne, kłujące krople.

Michalina swoimi słowami poruszyła coś niewidocznego, a jednocześnie bardzo realnego. Coś, co nie zamierzało zapomnieć o jej obietnicy.

Rzuciła wyzwanie końcówce listopada i historii, która jak powszechnie wiadomo – lubi się powtarzać. Rzuciła je również spokojnemu i troskliwemu aniołowi, który z racji swojego fachu z przyzwyczajenia łapał wszystko, co leciało w jego kierunku. Podtrzymywanie miał w swojej anielskiej krwi. Nic dziwnego, że złapał również słowa Michaliny i nie zamierzał ich wypuścić, dopóki nie zrobi z nich właściwego użytku.

I biorąc to pod uwagę, gdyby tylko była taka możliwość, i los, i listopad, i anioł zatarliby ręce z zadowolenia.

Powietrze zaczynało iskrzyć i drżeć. Zadrgało czymś niesamowitym. Nareszcie coś zaczynało się dziać.

Tego wieczoru Michalina nie miała już czasu na rozmyślenia o przeszłości. Prawdę mówiąc, nie miała nawet na to chęci ani siły.

Dzień był intensywny, wieczór długi. Mieli z Konstantym w planach wieczorny seans filmowy, ale ledwo usiedli na kanapie, a ich głowy dotknęły zagłówek, stało się jasne, że nic z tego nie wyjdzie. Oczy im się same zamykały.

– Wiesz co, chyba nie dam rady – mruknęła, pochylając się ku usypiającej w bujaku Klarze i kołysząc go miarowo. – To i tak będzie cud, jeżeli uda mi się doczekać, aż ona porządnie uśnie – dodała.

– Dobrze, że to ty powiedziałaś, bo mi było głupio się przyznawać, a mam to samo. Ledwo siedzę. Ten dzień był wyjątkowo wyczerpujący i marzę o łóżku. – Konstanty przysunął się do Michaliny, gładząc ją delikatnie po plecach.

– W takim razie postanowione, film obejrzymy jutro, nie ucieknie. – Ziewnęła rozdzierająco.

– Albo raczej kiedyś, jak się wyśpimy. – Kotula był większym realistą.

– Czyli w niemierzalnej przyszłości – mruknęła Michalina. – Leć pierwszy pod prysznic, ja jeszcze chwilę poczekam, żeby porządnie usnęła – dodała, popatrując na córeczkę, i znów ziewnęła.

– Ziewasz tak, że istnieje obawa, że połkniesz świat – parsknął cichym śmiechem Konstanty. – Idź ty, bo i tak ledwo zniknę z pola widzenia, a zaśniesz.

– Nie zasnę, poza tym mi lepiej wychodzi przenoszenie małej do łóżeczka, nie wiem czemu, ale rzadziej się wtedy budzi niż przy tobie.

– Fakt, to ja zmykam, nie zajmie mi to dużo czasu – zapewnił i zniknął w łazience, skąd po chwili dobiegł szum puszczonej z deszczownicy wody.

Michalina odczekała jeszcze chwilę, wpatrzona z rozczeniem w spokojną buzię córeczki, i dopiero gdy nabrała pewności, że mała śpi już dostatecznie głęboko, delikatnie wyłuskała ją z leżaczka i przeniosła do łóżeczka. Otuliła córeczkę kołderką i pogłaskała po gładkiej buzi, a potem odruchowo spojrzała na obraz z aniołem.

– Tak, rok temu jeszcze mnie nie odnalazłeś, wciąż byłam samotna i wystraszona – wyszeptała.

„Nie myśl o tym” – zaszumiały jej w głowie wypowiedziane rano przez Konstantego słowa.

O samotności.

O smutku.

Bezsilności.

„Może rzeczywiście lepiej było o tym nie myśleć” – wstrząsnął nią dreszcz i znów pochyliła się nad łóżeczkiem i przytuliła dłoń do rozgrzanego policzka córeczki. Bił od niej spokój. Michalina głębiej wciągnęła powietrze. Pachniało rumiankiem, trochę pudrem i czymś nieokreślonym, ale bardzo charakterystycznym, przywodzącym na myśl same dobre rzeczy.

Przez moment zapatrzyła się na uśpioną spokojną buzię i znów przeniosła wzrok na obraz z aniołem; chwilę dłużej wpatrywała się w kłębiącą się pod kładką wzburzoną rzekę. Niebezpieczeństwo było tuż, tuż, wiry, rwący prąd, lodowata woda.

„Więc jak o tym nie myśleć? – Zagryzła dolną wargę i pokręciła głową. – Niby tu panuje taki spokój, można poczuć się tak bezpiecznie, że paradoksalnie, aż trudno się nie bać”.

Bo jak się nie lękać? Gdy już nie jest się samą, gdy serce bije w jednym rytmie z tym drugim, malutkim, gdy w każdej godzinie trzeba przekonywać tego maleńkiego człowieka o tym, że świat jest przepiękny, a ludzie dobrzy,

ale jednocześnie nauczyć go ostrożności. Tego, że nie można wątpić, ale też nie wolno bezwzględnie ufać.

Ona teraz śpi, spokojna, bezpieczna, kochana. Jednak tam już gdzieś z przyszłości nadchodzą nowe dni, los już zasiadł do kołowrotka i bez wytchnienia tka i plecie niteczki jej losów. I kto wie, co mu fantazja podpowie.

I w sumie dobrze, niech się plecie, niech gmatwa, oby tylko nie rozdzielił tych splotów, które łączą ją z nimi: Kotulą, nią, Nelą. Razem przetrwają wszystkie burze, wylądują w bezpiecznym porcie – w oczach Michaliny zabłysło nagle zrozumienie.

Bo właściwie im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że wcale nie chciała nie myśleć i zapomnieć o tym, co ją spotkało. I tym wcześniejszym, złym, samotnym, dręczącym, a przede wszystkim tym, co nadeszło później. Bo przecież o takich dniach – dniach, które zmieniają wszystko, dniach, które po miesiącach zwątpienia przynoszą w darze miłość i nadzieję – o nich właśnie przede wszystkim należało pamiętać. I czerpać z nich siłę i wiarę w to, że po deszczowych dniach zawsze, ale to zawsze wychodzi słońce.

CZAS POMIĘDZY OSTATNIM A PIERWSZYM BICIEM
ZEGARA DWUDZIESTY DZIEWIĄTY NA TRZYDZIESTY
LISTOPADA



Mimo że Michalina usnęła nieomal natychmiast, jak tylko jej głowa dotknęła poduszki, to ledwo wybrzmiało dwunaste uderzenie wiekowego zegara stojącego w kącie sypialni, poruszyła się niespokojnie przez sen. Tak jakby coś ukryte głęboko w jej sercu nie mogło pozostać obojętne na przyjscie nowego dnia. Ostatniego dnia listopada.

To samo dwunaste uderzenie zegara dotarło do drugiego pokoju, gdzie w dzieciennym łóżeczku, otulona łagodnym światłem lampki, spała malutka dziewczynka. Ledwo dźwięczny odgłos gongu zawisł nad jej główką, wierzgnęła pulchnymi nóżkami i otworzyła szeroko szaroświatliste oczy.

Przez chwilę gęsto mrugała, a potem uśmiechnęła się, prezentując rozkoszne dołeczki w okrągłych policzkach. Jej spojrzenie powędrowało w górę, a ciszę przerwało pogodne gaworzenie, którym mała powitała pierwszą minutę ostatniego dnia listopada.

Uspokojona tym, że wszystko toczy się pradawnym rytmem, przekręciła główkę, pozwoliła powiekom opaść i otuliła się powracającym, miękkim snem. Po chwili z łóżeczka zaczęło dobiegać miarowe posapywanie.

I ani ona, maleńka i niedziwiąca się jeszcze niczemu Klara, ani Michalina, jej mama, ani śpiący obok Michaśki szczęśliwy Konstanty nie wiedzieli, że właśnie nadszedł czas, kiedy historia zatoczy koło.

Gdy właśnie przebrzmiewało to szczególne dwunaste uderzenie, w Śródmieściu zatrzymał się pociąg, z którego wysiadł starszy pan w znoszonym, obszernym, wydawałoby się, sporo za dużym płaszczu i w nasuniętej na oczy granatowej czapce w kratkę.

Na pierwszy rzut oka widać było, że jest zmęczony podróżą. Szczerze mówiąc, gdyby miał wybór, wyruszyłby w drogę dopiero rano. Ale wtedy zapewne przybyłby za późno. A od wczesnych godzin porannych musiał już być w pracy i spóźnienie nie wchodziło w grę.

Wystarczyło, że stanął na zarzuconym niedopałkami papierosów i papierkami po batonikach peronie, a już poczuł charakterystyczne mrowienie na łopatkach. To oznaczało jedno: nie było czasu do stracenia. Tym bardziej że w tym roku Warszawa miała być tylko przystankiem. Nie można było sobie pozwolić na ociąganie. Później znów miał wsiąść do pociągu i przenieść się w zupełnie inny rejon. Na całe szczęście pracę miał taką, że nie sposób było się nudzić.

Cieszył się bardzo, że w tym roku tuż przed świętami miał przenieść się do małego, położonego pośród gór miasteczka. Uwielbiał je. Pewnie dlatego, że stamtąd się wywodził i część mieszkańców nadal go pamiętała i witała z radością. A poza tym tam, wśród ośnieżonych górskich szczytów, szczypiącego mroźnego powietrza, pięknie przystrojonego rynku, na środku którego zawsze, od niepamiętnych już czasów, w drugim tygodniu grudnia zjawiała się przepięknie ubrana okazała choinka, to tam najwyraźniej i najbardziej intensywnie czuł nadchodzące święta. Tamtejsze powietrze było wręcz przesycone oczekiwaniem na ten magiczny świąteczny czas. I wbrew pozorom nie chodziło o ozdoby ani o dekorację, nawet nie o ten śnieg, który niewątpliwie podbijał świąteczną atmosferę. Nie to było

najistotniejsze. Najważniejszy był nastrój, jakże inny od tego, który panował w Warszawie. Zresztą nie tylko w niej, ale we wszystkich dużych miastach. Tu ludzie byli wiecznie w biegu, zbyt zajęci piętzącymi się obowiązkami i odhaczaniem z listy licznych i niekończących się rzeczy do zrobienia już, teraz, by znaleźć choć chwilę na przystąpienie. Oczywiście wśród tej masy znajdowały się wyjątki, jednak zazwyczaj niknęły w tłumie. A tam, w malutkim miasteczku, pośpiechy i pędy też były proporcjonalnie mniejsze. Może wynikało to z tego, że w przeciwieństwie do dużych metropolii ludzie w większości znali się tam chociażby z widzenia. A skoro tak, nie wypadało przechodzić obojętnie koło bliższych i dalszych sąsiadów. A co za tym idzie – ludziom było do siebie bliżej. I czas płynął nieco wolniej. I w nadchodzących świętach, siłą rzeczy, człowiek widział przede wszystkim drugiego człowieka. Choć zapewne gdyby spojrzeć na to ze stuprocentowym obiektywizmem, to przemawiał przez niego sentymentalizm. I przywiązanie do tego, co najbardziej znane i ukochane, okraszone wieloletnimi wspomnieniami. Ale to wcale nie przeszkadzało mu cieszyć się z zaplanowanego tam pobytu. I pracy, która tam na niego czekała. Najpierw jednak musiał się skupić na tym, co tu i teraz. Z westchnieniem rozejrzał się po opustoszałym już peronie, podążył wzrokiem za porwanym przez podmuch wiatru papierkiem po hot dogu, zdecydowanym ruchem poprawił kraciatą czapkę, która zsunęła mu się na oczy, i dziarsko ruszył ku widniejącym na końcu peronu schodom. Jeżeli chciał choć trochę odpocząć, musiał się nieco pospieszyć. Ledwo to pomyślał, uśmiechnął się nieznacznie. Proszę bardzo, jego stopa dopiero co musnęła bruk stolicy, a już nawet on, przeciwnik miejskiego pędu, dostosowywał się do wszechobecnego, gorączkowego wyścigu.

Czasem jednak trzeba było nagiąć się do panujących powszechnie zasad. Choćby po to, żeby ze zmęczenia i roztargnienia niczego nie

przeoczyć. Był w pracy, a to zobowiązywało. Rozmyślając o tym wszystkim, wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zadziwiająco żwawo i sprawnie jak na swój wiek. Ale wokół niego nie było nikogo, kogo mogłoby to choć trochę zdziwić.

OSTATNI DZIEŃ LISTOPADA



Historia zatacza koło.

Dziwny to był dzień.

Niby sinoczarne chmury w końcówce listopada nie były niczym nadzwyczajnym. Ani porywisty, lodowaty wiatr, ani deszcz, który tego dnia wyjątkowo był kapryśny. Za nic nie mógł się zdecydować, czy padać, czy jednak sobie darować. Wyraźnie droczył się z tymi, którzy spieszyli przez zatłoczone warszawskie ulice. Ledwo składali parasole zachęceni tym, że uporczywa mżawka jakby zanikała, a już musieli rozpościerać je z powrotem atakowani lodowatymi kroplami, które spadały z coraz bardziej popielatych chmur.

Mimo że niby nic z tych rzeczy w ostatni dzień listopada nie powinno zaskakiwać, to jednak coś wisiało w powietrzu, jakaś zapowiedź czegoś nieuchronnego, co już nadchodziło i miało pozostawić ślad w niejednym ludzkim istnieniu. Czegoś, co zawisło nad światem całkiem jak te popielate ciężkie chmury.

To właśnie na nie co chwila spoglądała Haśka, zaciskając kurczowo zmarznięte dłonie na rączce głębokiego wózka, w którym, okutane w kilka kocyków, z główką opatuloną puchatą czapką, spało niemowlę.

Jego widok – zamknięte, lekko drgające powieki, małe, doskonale wykrojone usteczka i spokój, który emanował z drobnego, pulchnego ciała – działał na nią kojąco i dodawał sił.

Nawet skostniałe z zimna palce jakoś mniej dokuczały, gdy patrzyła na swoją córeczkę. W końcu dla tej kruszyny Haśka była całym światem. To w jej ramionach znajdowało się wszystko, czego małej było potrzeba.

I nieważne, że te ramiona z dnia na dzień były chudsze i słabsze. Że Haśka bladła i robiła się coraz bardziej przezroczyta, a bujne i jeszcze nie

tak dawno lśniące włosy teraz straciły połysk i smętnie zwisały wokół zapadniętych policzków.

Ale dla małej takie szczegóły kompletnie się nie liczyły. Dla niej matka była piękna. Haśkę za każdym razem wręcz zatykało, traciła na kilka sekund oddech, gdy Tosia wyciągała do niej rączki, gdy cała rozpływała się w bezzębny uśmiech, gdy chwytając paluszkami jej włosy i mocno zaciskała małą rączkę w piąstkę. To dla niej, a może dzięki niej jeszcze się nie poddała. Przecież jeżeli jest się dla kogoś całym światem, nie można sobie na to pozwolić.

„Tym bardziej że mamy tylko siebie” – pomyślała i w tym samym momencie jej wzrok padł na zatłoczony chodnik, a ona przystanąła gwałtownie. Idący za nią mężczyzna ledwo uniknął zderzenia z jej plecami i zirytowany wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem.

Ale Haśka nie zwróciła na niego uwagi. Stała nieruchomo i patrzyła na przechodzących obok niej ludzi. Tłoczących się przy wyjściu z podziemi, biegnących do pasów, gdzie przynaglająco migało zielone światło, wysypujących się z otwartych tramwajowych drzwi...

„Jak do tego doszło? – pomyślała w końcu, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Jak to w ogóle jest możliwe, żeby w takim tłumie, w takiej mnogości ludzi być samą, samiuteńką jak palec? I nikogo nie obchodzić? Nie mieć się do kogo przytulić, z kim pochylić się nad łóżeczkiem, by z zachwytem patrzeć na dziecięcą buzię...”

Tak, miała Tosię, ale czy da radę podarować jej to wszystko, co zazwyczaj dostaje się od całej gromady ludzi? Czy jej miłość, choć ogromna, wystarczy, żeby otulić, uspokoić, ogrzać, rozśmieszać i wspólnie się smucić? Czy jedna osoba sprostą temu wszystkiemu? Czy dając to, dzieląc się na tak wiele drobnych elementów, starając się być i mamą, i tatą, babcią, przyjaciółką, tuzinem ciotek, przypadkiem nie oszaleje? Albo co

gorsza – nie zmaleje do mikroskopijnych rozmiarów i w pewnym momencie jak za potrząśnięciem czarodziejskiej różdżki rozmyje się i zwyczajnie zniknie. Ledwo to pomyślała, usłużna wyobraźnia podsunęła jej obraz samej siebie, dzielącej się na coraz mniejsze i mniejsze kawałeczki, aż w końcu nie było już czego dzielić i to, co z niej zostało, rozwiało się w powietrzu. Puf!!! I już, niczego nie było. Wizja była tak sugestywna, że wstrząsnął nią dreszcz.

W tym samym momencie poczuła, jak jej żołądek boleśnie się zapętała, a przed oczami pojawiły się mroczki. Na ułamek sekundy zacisnęła powieki, mocniej opierając się na rączce wózka. Serce niepokojąco przyspieszyło, jego uderzenia niosły się echem i odbijały ogłuszającym łomotem w całej głowie. Wykonała kilka głębokich oddechów, jednocześnie usiłując opanować narastającą panikę.

„Ani mi się waż” – nakazała sobie w duchu i uchyliła powieki, zmuszając się zarazem do zrobienia kilku chwiejnych kroków. Gdyby nie wózek, na którym mogła się oprzeć, zapewne nie dałaby rady ustać. Znała te objawy aż nazbyt dobrze. I wiedziała, że żeby nie zemdleć, musi natychmiast usiąść. Na całe szczęście całkiem niedaleko, w zasięgu zamglonego wzroku, dostrzegła nieosłonięty przystanek autobusowy i pustą drewnianą ławkę. Powolutku, uważając na każdy krok i mobilizując całą siłę woli, zmusiła miękkie nogi do współpracy i w końcu tam dobrnęła. Z niewypowiedzianą ulgą opadła na mokre, zimne drewno.

– Cóż, chyba kupno rękawiczek znów będzie musiało poczekać – mruknęła, puszczając rączkę wózka i chowając na chwilę zsiniałe z zimna dłonie w rękawy kurtki. – Przeliczyłam się, jednak będę musiała w tym tygodniu dokupić coś do jedzenia. Chyba że uda mi się popracować jakieś dwie, trzy godziny więcej... – Na samą myśl o szukaniu dodatkowych zleceń zrobiło jej się niedobrze i poczuła się jeszcze bardziej wyczerpana.

Już teraz ledwo dawała radę. A przecież gdy zjawiała się w nowym miejscu pracy, zwykle nie spuszczano z niej oka. Trzeba było dać z siebie wszystko, wyglądać na dziarską, energiczną i nie do zdarcia.

„Jak, do diabła ciężkiego, mam tego dokonać, skoro ledwo trzymam się na nogach?” – pomyślała z rozpaczą.

Westchnęła głęboko i zagryzła dolną wargę, a potem uniosła się lekko i z bezwiedną czułością spojrzała w głąb wózka. Mała cichutko posapywała przez sen. Okryta ciepłym kocym, osłonięta folią przeciwdeszczową, bezpieczna.

Przynajmniej dopóki Haśka była przy niej, nic jej nie groziło. I właśnie dlatego musiała zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby nadal być: pewnie i trwale, ale jednocześnie tak niepostrzeżenie, jak to tylko było możliwe. Widoczna i realna dla swojej córeczki, a dla innych półprzezroczysta. Tak żeby przypadkiem nie zwrócić na siebie niczyjej niepotrzebnej uwagi.

Opadła z powrotem na ławkę i spojrzała na popielate niebo. Chmury zdawały się jeszcze gęstsze i cięższe, wisiały tuż nad jej głową. Trochę tak, jakby były odzwierciedleniem tych wszystkich nieszczęść, które się koło niej kłębiły i tylko czyhały na najdrobniejsze potknięcie.

I Haśka, patrząc na posępne i groźne niebo, przepastne i gotowe ją połknąć, pożreć jednym kłapinięciem, a potem przenosząc spojrzenie na spieszących wokół niej, obojętnych i zajętych sobą ludzi, poczuła, że tak samotna jak teraz nie była jeszcze nigdy.

I że jak nigdy dotąd potrzebuje jakiegoś znaku, czegoś, co by dało jej choć cień nadziei na to, że ma szansę. A razem z nią jej córeczka. Szansę na:

Ciepło.

Na to, żeby kochać.

Na chleb, którego nie zabraknie.

Grube rękawiczki i rozgrzany piec.

Na spokój.

Na życie. Zwyczajne. Bez fajerwerków. Ot, takie normalne, codzienne bycie.

I na otrzymanie wiadomości. Tej, na którą bezustannie czekała od wielu miesięcy.

„Niechby nawet nie była skierowana bezpośrednio do mnie, niech przyjdzie okrężną drogą, przez posłańców, byleby w ogóle dotarła... Bo przecież takich spraw nie można zostawić nierozwiązanych. Zapewne kiedyś przyjdzie taki dzień, gdy padnie właśnie TO pytanie, i bardzo, ale to bardzo nie chciałabym musieć wtedy skłamać... A więc jeżeli byłoby to możliwe...” – W niemej prośbie wzniosła pełne łez oczy ku górze.

„Może jednak, może pod tym ogromem burości i czerni jest ukryty specjalnie dla mnie choć maleńki kawałeczek błękitu – pomyślała, bezwiednie zaciskając lodowate palce na boku wózka. – Maleńki fragment to będzie w sam raz na początek. Na start. A potem moja już w tym głowa, żeby go podzielić, a raczej pomnożyć, tak żeby starczyło go dla nas obu, zresztą jak będzie trzeba, oddam swój udział bez żalu Tosi. Zdobędę go dla niej! Tylko niech coś, to coś, co ma na to wpływ, pozwoli mi znaleźć właściwą drogę do tego mojego kawałka prywatnego nieba do wynajęcia!”

Przełknęła głośno ślinę.

W tym samym momencie, jakby w odpowiedzi na jej podszytą rozpaczą i bezradnością prośbę, do ławki podeszła, pchając przed sobą wózek, młoda dziewczyna. Na kilometr były od niej spokój i zadowolenie. Ubrana w modną, dopasowaną kurteczkę, skórkowe ocieplane buciki, omotana absurdalnie długim i niewątpliwie ciepłym szalikiem stanowiła kompletne przeciwieństwo siedzącej na mokrej drewnianej ławce, sinej z zimna dziewczyny. Nawet wózek, na który Haśka składała przez całe pół roku,

w porównaniu z tym, który prowadziła nadchodząca, wyglądał jak bardzo ubogi krewny.

Na ten widok zziębnięta dziewczyna poczuła, jak przenika ją jeszcze większy ziąb, taki wypływający ze środka i sięgający do samego serca, a jakby tego było mało – odniosła wrażenie, jakby ktoś dał jej czymś ciężkim w głowę. I jakby jakaś niewidzialna siła z ogromną determinacją i przekonaniem pociągnęła ją na dno, takie muliste, zasysające, z którego nawet przy największym wysiłku nie zdoła się odbić i wypłynąć na powierzchnię.

„A więc jaśniejszej odpowiedzi na swoją prośbę nie mogłam dostać! Nie dla mnie patrzenie w górę i sięganie do nieba! Tacy jak ja już zawsze zostaną z przygiętym karkiem!” – przemknęła jej przez głowę gorzka, rozpaczliwa myśl i w tym samym momencie poczuła, że jeżeli natychmiast stąd nie odejdzie, wybuchnie niekontrolowanym płaczem, którego nikt i nic nie zdoła powstrzymać.

A na to nie mogła sobie absolutnie pozwolić! Nie przy ludziach, a już na pewno nie przy tej pewnej sobie, zadbanej i pięknej dziewczynie.

Dźwignęła się z trudem z ławki i znów zrobiło jej się ciemno przed oczami. Nagle odniosła dziwne wrażenie, tak jakby stanęła obok siebie i patrzyła na wszystko z boku. Jakby znalazła się w teatrze i oglądała siebie obsadzoną w jednej z głównych ról.

Wyraźnie widziała dwie dziewczyny, obie w podobnym wieku, obie z wózkami, obie na spacerze, z listopadową mżawką wplątaną w długie włosy. Tyle tylko, że jedna z nich była zaledwie odbiciem. I to takim z krzywego zwierciadła. Niestety, Haśka nie miała wątpliwości, która jest tą pokreconą i wykoślawioną, skazaną na wieczne uwięzienie w zniekształcającej tafli.

Nawet nie wiedziała, jak i kiedy chwyciła rączkę wózka i ruszyła przed siebie, starannie omijając wzrokiem stojącą obok dziewczynę. I zapewne nigdy by już się nie spotkały, gdyby nie to, że Haśka właśnie dotarła do kresu. Być może dlatego, że zbyt gwałtownie się podniosła, a może po prostu właśnie to była odpowiedź na jej prośbę? Nie taka, jakiej się spodziewała ani jakiej oczekiwała. Ale jak wiadomo – znaki i cuda bywają kapryśne i niefrasobliwe. I czasem objawiają się gwałtownymi zawrotami w głowie, ciemnością przed oczami i zimnym murem idealnym do tego, żeby się po nim osunąć na ziemię.

Zanim jednak to się stało, Haśka zdołała jeszcze w ostatnim przebłysku przytomności puścić wózek, tak żeby nie pociągnąć go za sobą, i zanim kompletnie odpłynęła w miękką, kuszącą czerń, wydało jej się, że gdzieś z góry słyszy dźwięk otwieranego okna, z którego popłynęły słowa piosenki:

Jaki smak ma teraz śnieg,
Smak opłatka czy smak łez?
Tyle żalu wchłonie biel,
Tyle życzeń przyjmie biel.
Wraca ludziom ludzki głos,
Kiedy gwiazdka niebo tnie,
W sercach już truchleje moc,
Dziś nadzieja rodzi się.

„Nadzieja” – przemknęło jej przez głowę. A potem wielka popielata chmura miękko się na nią osunęła i wszystko zniknęło i zatopiło się w niebycie.

To był naprawdę dziwny ostatni listopadowy dzień. Taki, który na pożegnanie pozostawia grudniowi lekko uchylone drzwi, przez które mogą wślizgnąć się i miłość, i wiara, i nadzieja na cud. Taki zwykły, codzienny. Mogący mieć swój początek pod pochmurnym niebem i pod zimnym i mokrym murem.

Widok tej zziębniętej i białej niczym prześcieradło dziewczyny sprawił, że Michalina poczuła się tak, jakby ktoś mocno przywalił jej czymś ciężkim w głowę. Zobaczyła ją już z daleka, gdy tamta, wspierając się na wózku i powłócząc nogami, z wyraźnym trudem brnęła w kierunku ławki. Brnęła – to było jedyne właściwe określenie, które przychodziło jej na myśl. Mimo że chodnik był równy, pokryty tylko i wyłącznie lśniąca warstewką sączącej się z kapryśnych chmur wilgoci, to pociągająca z trudem nogami dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby przy każdym kroku grzęzła w czymś ciężkim do przebycia i ostatnim wysiłkiem woli zmuszała nogi do posłuszeństwa. Gdy w końcu dotarła do celu, ciężko opadła na mokrą ławkę.

I w tym momencie do Michaliny dotarło, gdzie dokładnie się znajduje. Do tej pory zajęta tym, żeby jakoś zmuszenie zorganizować dzień, który zniemacka stanął na głowie, nie zwracała uwagi, którądy idzie. Ot, po pospiesznym wyjściu z domu i odkryciu, że pół chodnika jest rozkopane i opanowane przez robotników oraz małą żółtą koparkę, zawróciła na pięcie i postanowiła zmienić nieco trasę. Nie chciało jej się przedzierać przez widoczne wszędzie zwały ziemi, wołała już trochę nadłożyć drogi. I tak właśnie znalazła się tutaj i uzmysłowiła sobie, że nie była w tym miejscu od roku. Chyba podświadomie omijała ten fragment miasta. Do kwiaciarni, która była o rzut beretem, zwyczajnie zachodziła od drugiej strony. Zresztą tak było jej wygodniej i bliżej. Ale mimo że tak dawno tu nie zaglądała, bez trudu rozpoznała i przystanek, i ławkę. Nieosłoniętą i bezlitośnie smaganą wiatrem i deszczem. Nieatrakcyjną i dlatego zwykle o tej porze roku pustą.

Patrząc na dziewczynę, która na niej przysiadła, Michalina doznała czegoś w rodzaju *déjà vu*. Po plecach przeleciał jej dreszcz, a przed oczami

stanęła jej zupełnie inna postać: chuda dziewczyna, z ciężkim plecakiem, którego szelki boleśnie wrzynały się w ramiona, dźwigająca przed sobą duży, nieporęczny pakunek. W cienkiej, niedającej zbyt wiele ciepła kurtce i w rozdeptanych, uwalanych błotem trampkach. Niewidzialna dla innych i potwornie samotna, tak samotna jak jeszcze nigdy w całym swoim życiu. Na to wspomnienie serce boleśnie jej się ścisnęło.

„Co takiego ma w sobie ta ławka, że przyciąga tyle nieszczęścia?” – pomyślała, wzdrygając się.

Bo jedno było pewne: choć stała w znacznej odległości od siedzącej na przystanku, nie mogła nie zauważyć, że jest w niej to wszystko, co właśnie do niej wróciło: osamotnienie, rezygnacja, rozpacz.

„Tak jakbym patrzyła na siebie sprzed roku” – pomyślała, z trudem przełykając ślinę.

Niepewna, co powinna uczynić, zatrzymała się i odruchowo zakołysała wózkiem, w którym z szeroko otwartymi oczami leżała nabzdyczona Klara. Przed wyjściem z domu urządziła taki koncert, że Michalina miała wrażenie, iż od ciągłego wrzasku pęknie jej głowa. Kulminacja nastąpiła podczas pakowania małej w kombinezon. Klara dała z siebie wszystko, poczerwieniała tak, że Michalina zaczęła przypuszczać, że jeżeli ubieranie trwałoby choć sekundę dłużej, to urocze dziecię zwyczajnie by wybuchło.

– Dlaczego ona przy Neli tak nie wrzeszczy? – wysapała z rozpaczą w momencie, gdy udało jej się umieścić drugą nóżkę córeczki w ocieplanej nogawce, a w tej samej chwili mała, wierzgając i kopiąc, pozbyła się pierwszej.

– Bo one z Nelą mają własne konszachty i układy. Wiesz, przekupstwa, szantaże i takie tam specjalności, z których słyną staruszki z piekła rodem – wyjaśnił Michaśce Konstanty, podnosząc głos, żeby przedrzeć się przez niesłabnące wrzaski. – Ale jedno jest pewne: płuca ma zdrowe

i w doskonałej kondycji. A tak na poważnie, to myślę, że nasza córeczka właśnie strzeliła focha, bo zwyczajnie przywykła do tego, że o tej porze to Nela się nią zajmuje. Widać jest przywiązana do stałego planu dnia – dodał, zręcznie pakując miniaturową, wierzgającą stópkę w gruby wełniany bucik.

Michalina w duchu przyznała mu rację. I teraz, patrząc na drżącą w porywach wiatru dziewczynę, która kurczowo trzymała ręce na rączce od wózka, nie mogła opędzić się od wrażenia, że to, iż tego ranka nic nie przebiegało tak, jak powinno, wydarzyło się właśnie po to, żeby doprowadzić ją tutaj: do miejsca, gdzie świadomie na pewno by nie dotarła. I być może Klara właśnie dlatego tak bardzo dała jej do wiwatu, żeby nie znalazła się tu o czasie. Bo przecież nic nie dzieje się bez przyczyny, wszystko jest po coś. Tak mówiła jej babcia i Michalina już niejednokrotnie się przekonała, że miała rację.

A wszystko tego ranka wskazywało na to, że coś się wydarzy. Obudziła się już z żołądkiem zwiniętym w ciasną, twardą kulę, z poczuciem, że przez noc jakimś cudem musiał się tam znaleźć wór z kamieniami, które teraz ciążyły jej niemiłosiernie, a część z tych zalegających głazów w jakiś zadziwiający sposób podchodzi do gardła.

Znała te objawy doskonale, to było takie podświadome zdenerwowanie, nie dotyczące niczego konkretnego, ale zapowiadające nadchodzące kłopoty. Tak też objawiał się lęk. Z takim uczuciem rozpoczynała każdy dzień zeszłorocznej jesieni.

„Ale przecież to przeszłość, teraz nic się nie dzieje” – pomyślała i w tej samej sekundzie poderwała się z łóżka, i przemknęła do pokoju Klary. Pochyliła się nad łóżeczkiem i z niebotyczną ulgą dotknęła zaróżowionego policzka dziewczynki. Spała spokojnie, miarowo oddychając.

Kula nadal tkwiąca w gardle jakby ciut się zmniejszyła, tłukące się w piersi serce z wolna się uspakajało.

– Nie bądź głupia – mruknęła do siebie i wzięła głęboki wdech.

„To pewnie przez to, że wczoraj za dużo myślałam o zeszłorocznym listopadzie – przemknęło jej przez głowę. – I teraz podświadomość robi z tego użytek. A tymczasem nie ma powodów...” – ledwo zdążyła to pomyśleć, z sypialni dotarł do niej dzwonek jej komórki.

„Cholera, kto to może być? Tak wcześnie?” – pomyślała i niepokój, który właśnie przygasał, znów powrócił i rozkołatał jej serce.

– Nela? Co się stało? – Gdy weszła do pokoju, Konstanty już przyciskał telefon do ucha. Na jego twarzy malowało się zaniepokojenie.

„A jednak! – Michalina bezwiednie przycisnęła palce do ust, jakby chciała powstrzymać cisnące się słowa, i zastygła w bezruchu, wpatrując się w Kotulę szeroko otwartymi oczami. – Jednak rację miała babcia, gdy mówiła, że przeczuć nie należy lekceważyć! Te ciężkie kamienie w żołądku, ta dławiąca gęła nie pojawiły się bez przyczyny. Skoro Nela dzwoni tak wcześnie, to znaczy, że coś się stało, coś złego...”

– Jak to możliwe? – Konstanty zmarszczył brwi i potrząsnął głową. – Tak po prostu, zniecka? Przecież do tej pory chodził jak złoto.

W tej chwili do Michaliny dotarło, że cokolwiek się dzieje, nie może to być nic przerażającego. Gdyby było inaczej, Kotula już byłby na nogach i na pewno nie rozmawiałby w ten sposób, tak spokojnie.

– Nela zatrasnęła drzwi – powiedział w jej kierunku, jakby czytając w jej myślach, a Michalina poczuła, jak ogromny ciężar spada jej z serca. – Nelu, poczekaj, przełączę na głośnomówiący, żeby Michalina też słyszała – dorzucił.

– Nie zatrasnęłam, tylko złamałam klucz w zamku – sprostowała Nela. – I teraz jestem uwięziona. Mogłabym wprawdzie wyskoczyć przez balkon, jednak obawiam się, że na takie ekscesy jestem, bagatela, o jakieś trzydzieści lat za stara...

– Neeee, no, nie poddawajmy się tak łatwo. Rzut na główkę z balkonu rzeczywiście odpada, ale pozostaje jeszcze lina z prześcieradeł, w porównaniu ze skokiem jest trochę mniej wymagająca – podsunął z powagą Konstanty.

– O, to, to już prędzej, nawet to widzę oczami wyobraźni, jak powiewając obszytą koronkami koszulą nocną, zjeżdżam na dół, a wokół mnie furkocze batystowy materiał... – ubawiła się starsza pani. – Muszę wam powiedzieć, że obraz jest tak sugestywny, że nabieram coraz większej ochoty, żeby to zrobić. Ale pod warunkiem że ta wścibska jędra z parteru by to widziała. Może, Kotula, mógłbyś jakoś wywabić ją na zewnątrz, co? Bardzo bym chciała zobaczyć jej minę. – W jej głosie pojawiło się rozmarzenie.

– A może dla odmiany weźmy pod uwagę po prostu ślusarza? – wtrąciła Michalina, przysiadając na łóżku i przewracając oczami.

– No i już po zabawie! Ślusarz! A gdzie w tym miejsce na mały, smaczny skandalik? Powiedziała, co wiedziała, i wszystko zepsuła! Zero polotu! – sarknęła starsza pani. – A tak naprawdę, na poważnie, to ja już dzwoniłam do jednego takiego, sprawdzonego, przedwojennego fachowca. Miałam jego numer zapisany w notesiku, ale wyobraźcie sobie, że odebrała jakaś kobieta i najpierw obsztorcowała mnie jak jakąś małolatę, że dzwonię o nieprzyzwoitej porze i czy w ogóle wiem, która jest godzina, i że trochę szacunku się należy. A potem poinformowała mnie, że dziadek, w sensie ten ślusarz, od dobrych kilku lat już nie żyje. No to jej powiedziałam, że trzeba nie mieć przyzwoitości, żeby, ot tak sobie, umierać w momencie, gdy na tym świecie jest coraz mniej fachowców z prawdziwego zdarzenia!

– O matko! Powiedz, że tylko tak pomyślałaś i nie powiedziałaś tego głośno – jęknęła Michalina, podczas gdy Konstanty dusił się od powstrzymanego śmiechu.

– Oczywiście, że powiedziałam – z godnością oznajmiła Nela. – Ja zawsze mówię to, co myślę, i dlatego tak przednio się bawię. Poza tym należało się tej smarkuli, za to pretensjonalne: „Czy wie, która godzina?” – sparodiowała swoją rozmówczynię skrzekliwym tonem.

– Łziesz, Nelu, jak z nut! Na pewno użyła słowa „pani”, dziś tak bezosobowo praktycznie nikt nie mówi – wytknęła jej bezlitośnie Michalina.

– Ja tam żadnej „pani” nie słyszałam. Jestem stara, nie moja wina, że co któreś słowo mi ucieka – oznajmiła starsza pani wbrew oczywistości, bo wszyscy wiedzieli, że szczyli się doskonałym słuchem. – Tak czy siak, bardzo żałuję, że nie mogłam zobaczyć jej miny i musiałam się zadowolić tym, że ją po prostu zatkało. Łapała powietrze niczym ryba wyrzucona na brzeg – zachichotała. – A przechodząc do sedna, to sprawy mają się tak: mój fachowiec beztrosko sobie umarł, a żaden inny nie figuruje w moim notesiku.

– Zaraz się tym zajmiemy – zapewnił ją Konstanty. – Mam takiego jednego znajomego.

– A jak on z jakiegoś powodu nie będzie mógł się tym zająć? – w głosie Neli dał się słyszeć niepokój. – Albo nie będzie wiedział jak? Wiecie przecież, że moje drzwi to solidna, stara robota, nie to co dzisiaj, jakieś o mało co tektury i zamki, co to każdy głupi byle spinaczem otworzy!

– Jak będą jakieś kłopoty, to z kolei my zajrzemy do naszego notesiku, który nazywa się internet, i coś znajdziemy – uspokajająco wtrąciła Michalina.

– To doskonale, wprawdzie ja nie żywię przekonania do tych wszystkich nowości, ale ufam wam, oczywiście pod warunkiem że jednocześnie mogę was kontrolować... Ale wracając do meritum, to co w takim razie zrobimy z Klarą? Bo ja z wiadomych względów nie mogę się

pojawić... A właśnie, jak tam moje małeństwo? Macie ją ze sobą czy swoim zwyczajem trzymacie ją za kratami?

– Jeżeli już, to za prętami, łóżeczko nie ma krat. – Michalina z rozbawieniem pokręciła głową. – I tak, właśnie tam przebywa, bo nadal śpi.

– No i to jest niesamowite. Wszędzie mówią, że dzieci nie śpią po nocach, krzyczą i rujną życie swoim rodzicom, a tutaj proszę, trafiło wam się jak ślepej kurze ziarno, dziecko doskonałe i bezproblemowe! Ani chybi po mnie!

– No bez przesady, ona też wrzeszczy w środku nocy jak opętana, nie taki z niej ideał. Dziś wstawaliśmy trzy razy. – Michalina rozdzierająco ziewnęła.

– Ona nie wrzeszczy, tylko daje wyraz swojemu niezadowoleniu. Forma ma znaczenie, a ty w końcu mówisz o mojej wnuczce – powiedziała Nela z naciskiem. – A nawiązując do niezadowolenia, to, Kotula, czy ty wiesz, że nie mogę wyjść z mieszkania?

Słyszając to, Michalina i Konstanty spojrzeli na siebie skonsternowani.

– No wiem, rozmawiamy o tym od dobrych kilku minut – wybąkał w końcu Konstanty. – O tym, że złamałaś klucz w zamku, i o martwym przedwojennym fachowcu bez cienia przyzwoitości... Przecież to wszystko przed momentem nam powiedziałaś, to jak mam nie wiedzieć? Na pewno dobrze się czujesz, Nelu? – W jego głosie zabrzmiało autentyczne zaniepokojenie.

– Ja się czuję doskonale i nie traktuj mnie jak zdziecinniałej, sklerotycznej staruszki. Raczej pomyśl nad tym, co powiedziałam, i zastanów się lepiej, czy ty się dobrze czujesz. Nie mogę wyjść z mieszkania! Dziś. Rano. Fachowcy – ostatnie słowo wypowiedziała z dziwnym naciskiem.

– Aaa, fachowcy! – Kotula ku ogromnemu zdziwieniu Michaliny miał taką minę, jakby nagle uświadomił sobie coś oczywistego, ale niewątpliwie kłopotliwego. – No to rzeczywiście nie czuję się zbyt dobrze. Znaczący ze względu na ciebie, Nelu, rzecz jasna – dodał natychmiast, obrzucając spłoszonym spojrzeniem Michalinę. – A ty? Może ty też jednak, Nelu, nie czujesz się najlepiej, co? – odchrząknął.

– Ja? A co znowu...

– Nelu, na pewno czujesz się trochę zdenerwowana i potrzebujesz towarzystwa – przerwał jej Kotula z rozpaczą w głosie.

– A skąd ci to przyszło w ogóle do... Aaaa – w głosie Neli zabrzmiało coś na kształt zrozumienia. – Oczywiście, że też wcześniej o tym nie pomyślałam! Tak, to jest właśnie to, czego mi potrzeba! Kogoś, kto podzieli mój los i krzepiąco będzie poklepywał moje drzwi od drugiej strony – oznajmiła spiżowym tonem.

– Nie wiem, czemu mam wrażenie, że tylko ja nie rozumiem, o co tu chodzi, i dlaczego nabieram coraz większej pewności, że tym kimś poklepującym i niosącym otuchę mam być ja. – Michalina podniosła się z łóżka i ujęła się pod boki. – Co wy znowu wymyśliliście, co? – z braku innych możliwości zwróciła się do Kotuli.

– Nic a nic, po prostu ja nie mogę iść do Neli, mówiłem ci zresztą wczoraj, że od rana mam spotkanie za spotkaniem, a potem jestem w sądzie. – Kotula zrobił niewinną minę.

– Mówił przy mnie, potwierdzam, słyszałam – poparł go głos Neli.

– Twoje zdanie się nie liczy, Nelu, bo ponoć co któreś słowo ci ucieka i nie jesteś wiarygodna – zgasła ją Michalina. – A ty – zwróciła się do Konstantego – rzeczywiście mówiłeś to wszystko, ale nie jest to w sprzeczności z tym, że teraz kręcisz.

– Czy zamiast prowadzić tę bezsensowną dyskusję, możecie dla odmiany zająć się mną? – przemówiła komórka zniecierpliwionym głosem. – To ja tu jestem w najgorszym położeniu, nie znoszę być ubezwłasnowolniona. A poza tym nie przywykłam do bycia na drugim planie. Moja narcystyczna natura nie może się z tym pogodzić. A skoro już wróciliśmy do tego, co się stało, to, Michalina, powinnaś się wstydzić. Od razu węszyć podstęp, gdy tak naprawdę chodzi tylko o to, że nie chcę być sama, gdy jakiś obcy, rosły facet będzie forsował moje drzwi! Kto wie, co takiemu osiłkowi będzie chodziło po głowie i czy nie będę potrzebowała obrony i wsparcia...

– I co? Ja mam być tym bodyguardem i rzucić w niego wózkami albo przestraszyć dzieckiem? Uuuu, straszny bobas – zakpiła Michalina. – A poza tym bądźmy szczerzy, z was dwojga to raczej on będzie potrzebował ochrony, biedny człowiek, kimkolwiek jest, nie wie, co go czeka – mruknęła i zabrała wiszący na oparciu krzesła gruby sweter.

– Nie przesadzaj, gdy chcę, to potrafię być urocza. Szczególnie jeżeli ślusarz będzie sensowny. A nawet jeżeli będzie nieco ociężały umysłowo, ale przyjemny dla oka, to też dostanie kilka dodatkowych punktów – w głosie Neli zabrzmiało rozmarzenie. – Ale wracajmy do konkretów – sama siebie przywołała do porządku. – Najważniejsze, że mamy już plan. Kotuła dzwoni po fachowca, a Michalina rusza mi na odsiecz. Spotkamy się po dwóch stronach drzwi...

– Naprawdę to brzmi jak z komedii Chęcińskiego – mruknęła Michalina. – Brakuje nam tylko tajemnego hasła, coś jak: „Żyrafy wchodzą do szafy”...

– „Pawiany wchodzą na ściany” – odpowiedziała bez zastanowienia Nela z wyraźnym zadowoleniem. – A poza tym nie marudź. Właściwie wszystko sama zorganizowałam...

– Aha, rozstawiłaś nas po prostu po kątach. – Michalina wyjęła z szuflady puchate skarpety.

– To też trzeba umieć. Grunt to umiejętnie delegowanie zadań, nauczyłam się tego od mamy, zarządzała domem jak mało kto. Służba ją kochała, a jednocześnie chodziła jak w zegarku. Ja wprawdzie byłam za młoda, żeby w praktyce móc sprawdzić swoje umiejętności, ale czym skorupka za młodu nasiąknie i tak dalej, i tak dalej... Halo? Halo? Michalina, jesteś tam?

– Jestem – odpowiedziała odruchowo, jednocześnie w myślach układając plan działania.

Musiała jak najszybciej się ubrać, zadzwonić do Gabrysi i powiadomić ją, że w najlepszym razie się spóźni, a w najgorszym nie pojawi się w ogóle. Nie miała przecież bladego pojęcia, za ile zjawi się ślusarz i jak długo zajmie mu sforsowanie starych, solidnych i pamiętających młodość Neli drzwi.

„Dobrze, że Gabrysia już wróciła – pomyślała z ulgą. – Przynajmniej otworzy kwiaciarnię, bo tak to nie wiem, co miałabym zrobić, chyba się rozdziwić”.

– Michalina, ja wciąż do ciebie mówię – wdarł się w jej rozmyślenia zniecierpliwiony do granic możliwości głos Neli.

– Przepraszam, na chwilę się wyłączyłam – mruknęła.

– No właśnie, ja pośrednio w tej kwestii. Nie zapomnij się włączyć i na litość wszystkiego, pamiętaj, żeby zabrać dziecko – dorzuciła, ale zanim oburzona Michalina zdołała w ogóle się odezwać, już się rozłączyła.

– Słyszałeś ją? – zwróciła się w końcu do Kotuli, potrząsając z niedowierzaniem głową. – Bezcelność co poniektórych nie zna granic!

– Cóż, trudno się nie zgodzić, ale Michalina, kochanie... – Zawiesił znacząco głos i spojrzał na nią spod oka.

– No co, wyduś to w końcu z siebie! – Zastygła w połowie kroku.

– A nic, tylko wiesz, nie zapomnij o dziecku. – Parsknął śmiechem i ani się obejrzał, jak dostał w głowę poduszką.

I właśnie ni mniej, ni więcej te zdarzenia przywiodły ją tutaj. I doprowadziły do tego, że natknęła się na ślaniającą się na nogach dziewczynę.

Michalina doskonale pamiętała, jak to jest, gdy ziemia usuwa się spod stóp i wszystko wokół zaczyna wirować. Pamiętała bezradność i poczucie osamotnienia. A teraz, gdy patrzyła na siedzącą na ławce, wszystko wróciło do niej ze zdwojoną mocą. Nie wiedziała, skąd w niej ta pewność, że tamta przeżywa coś podobnego do tego, co stało się jej udziałem rok temu. Ale właśnie to czuła: niezbite przekonanie, które z sekundy na sekundę rosło w siłę.

„Cholera, a przecież ja wtedy nie miałam dziecka – pomyślała i z niepokojem spojrzała na stojący koło ławki wózek. – Znaczy miałam, prawie, byłam w ciąży, ale mimo wszystko to było o niebo prostsze do ogarnięcia...”

„A może panikujesz? – przemknął jej przez głowę lekko uspokajający głosik. – Może wyobraźnia cię poniosła? I co? Tak będziesz wściubiać nos w nie swoje sprawy? Tylko dlatego, że ktoś blado wygląda i przysiadł na ławce? A może nie warto mierzyć wszystkich swoją miarką?”

– No cóż, w takim razie jednak przyjrzyjmy się temu z bliska – mruknęła pod nosem, z premedytacją ignorując irytujący, ale niesłabnący i siejący wątpliwości szept.

Zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie. Dopiero gdy podeszła do ławki, gdy była zaledwie o krok od siedzącej, zdała sobie sprawę, że czasem dobre chęci nie wystarczą. I że *nomen omen* powiedzenie, że owymi dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane, ma naprawdę głęboki sens.

Dziewczyna rzeczywiście wyglądała marnie. Półprzezroczysta, z zapadniętymi policzkami, z oczami pałającymi niezdrowym blaskiem, budziła niepokój. I teraz Michalina miała już tę swoją niezbitą pewność, że coś niedobrego się z nią dzieje. I jednocześnie stała jak wrośnięta w ziemię, nie wiedząc kompletnie, co ma z tym fantem uczynić. Bo nie mogła przecież tak ni z tego, ni z owego przysiąc się i zapytać: „Co mogę dla ciebie zrobić?”. Albo: „Przypadkiem nie potrzebujesz pomocy?”.

W tym samym momencie siedząca uniosła głowę i spojrzała prosto w oczy Michaliny. Na ułamek sekundy połączyło je spojrzenie, które mówiło wszystko. Aż kapało żalem i brakiem nadziei. Było przepełnione strachem. I tak lśniące, że Michalina mogła się założyć, że dziewczyna z trudem powstrzymuje łzy.

A potem dziewczyna odwróciła wzrok i podniosła się tak ciężko, jakby na plecach dźwigała wiele lat i całe tony smutku. I opierając się na wózku, który w tej chwili zdawał się jej ostatnią deską ratunku, ruszyła przed siebie. Plecy miała przygarbione, włosy zmatowiałe i splątane.

„Staruszka zamknięta w młodym ciele” – przemknęło przez głowę Michalinie, która nadal tkwiła bez ruchu koło opustoszałej ławki, nie mając pojęcia ani pomysłu, co mogłaby zrobić, żeby ją jakoś zatrzymać.

I pewnie nie zrobiłaby nic, a później do końca życia miała do siebie o to żal, gdyby nie to, że dziewczynie udało się dojść jedynie do zmoczonej deszczem, zimnej ściany najbliższego budynku, a potem nie uczyniła już ani jednego kroku. Oparła się o mur ręką, puściła rączkę wózka i osunęła się na ziemię.

Haśka nie do końca wiedziała, co się dzieje, ale jednego była pewna – po raz pierwszy od wielu dni było jej zwyczajnie dobrze. Pograżona w miękkich ciemnościach, odczuła całym swoim udręczonym ciałem ulgę. Nic nie musiała, przestawała istnieć, nie czuła zimna ani głodu, zapadała się w bezkresną głębię. Nareszcie mogła odpocząć. Ale nagle w ten przytulny niebyt wdarł się odgłos, który sprawił, że świadomość, tak miło odpływająca, nagle zmaterializowała się i pomknęła z zawrotną szybkością w górę, w kierunku serca, które nagle ogłuszającym łomotem, odbijającym się aż w uszach, przywróciło jej przytomność. To był sygnał, jakiego nigdy w życiu by nie zlekceważyła, na który wróciłaby z samego dna piekła – bezbronny, rozpaczliwy płacz dziecka.

Głęboko zaczerpnęła tchu, otworzyła szeroko oczy, jednocześnie usiłując się poderwać. I nawet jej się to udało, jednak niespodziewanie zderzyła się z czymś twardym. Z pełnym skargi jękiem złapała się za czoło, spojrzała ku górze i zobaczyła zatroskane szaroświatliste oczy wpatrzone w nią z wyteżoną uwagą. Właścicielka tego spojrzenia trzymała się za skroń.

„No oczywiście, to ta lalka z przystanku” – pomyślała Haśka, błyskawicznie odzyskując zdolność kojarzenia i odruchowo masując bolące miejsce. Bo dlaczego miałyby być inaczej? Dlaczego miałyby zostać jej oszczędzone spotkanie z kimś, przed kim właśnie z taką determinacją zamierzała uciec? Zresztą mniejsza z tym, nie to w tej chwili było najważniejsze. Zamrugnęła gwałtownie oczami i powiodła wokół siebie gorączkowym spojrzeniem.

– Dziecko? – wychrypięła w końcu i ze zdumieniem stwierdziła, że ledwo jest w stanie wydobyć głos z wyschniętego na wiór gardła.

Nigdzie w zasięgu wzroku nie widziała wózka. Jeszcze raz rozejrzała się dookoła i poczuła, jak narasta w niej panika. Znów spróbowała się podnieść, ale mroczki przed oczami zaczęły rozlewać się w czarną plamę i chcąc nie chcąc, została na miejscu. To chwilowe unieruchomienie z pewnością było lepsze niż powtórne zapadnięcie w ciemność. Przynajmniej była świadoma. Nikła pociecha, lecz stanowczo lepsze to niż kompletne wyłączenie. Teraz najważniejsza była Tosia. Należało dowiedzieć się, czemu tak nagle ucichła. Ta złowroga cisza była sto razy gorsza niż płacz, który wcześniej słyszała. Mogła zwiastować wszystko, a o ile Haśka знаła się na tego typu bezgłosach, to rzadko kiedy przynosiły one coś dobrego.

„Żeby przynajmniej mogła się podnieść” – pomyślała z rozpaczą.

– Spokojnie, nic mu się nie stało – wdarł się w jej rozmyślenia uspokajający głos wymuskanej dziewczyny, która usunęła się trochę tak, że oczom siedzącej pod murem Haśki ukazały się stojące tuż obok siebie dwa wózki.

Teraz jeszcze wyraźniej odczuła, jak głęboka jest przepaść dzieląca ją od tej, która z taką ostentacyjną troską się nad nią pochylała. Wózek Tosi, który do tej pory wydawał jej się całkiem ładny, przy tym, w którym leżało dziecko nieznajomej, wyglądał na poszarzały i bardzo zniszczony. Nawet wystający z tamtego róg kocyka jawił się jako puchaty i bardzo miękki. Ten, którym przykryta była Tosia, był sprany i zbity.

„To zupełnie jak ja – pomyślała z goryczą. – Zbity kocyk i ja siedząca pod zimnym murem niczym skopany i zbity pies. Idealny duet!”

Przez ostatnie lata nie słyszała nic innego jak to, że jest nic niewarta, że ma być posłuszna, że takiego nic nikt nie zauważy.

„Nic nie osiągniesz! Powinnaś mnie po rękach całować za to, że dostałaś ode mnie szansę” – zaszumiało jej w uszach.

– Hej, słyszysz mnie? Możesz się podnieść? – była tak zatopiona w myślach, że dopiero po chwili dotarło do niej, że ta, pozał się Boże, samarytanka cały czas coś do niej mówi. – Nie wiem, czy nie powinniśmy wezwać lekarza albo przynajmniej kogoś zawiadomić. Nie wyglądasz dobrze, ktoś się powinien tobą zaopiekować... Zwłaszcza że nie jesteś sama.

Michalina, patrząc na siedzącą, z troską pokręciła głową i ze zdumieniem spostrzegła, choć wydawało się to prawie niemożliwe, że dziewczyna, słysząc jej słowa, jeszcze bardziej pobladła.

– Nie – przerwała jej gorączkowo. – Żadnego lekarza, żadnych telefonów. Rozumiesz? Żadnych! Zresztą ja nie mam do kogo zadzwonić. Zaraz dojdę do siebie, posiedzę tu jeszcze chwilę i będzie dobrze. A ty już sobie idź. Przecież na pewno gdzieś się spieszysz, ktoś na ciebie czeka – dorzuciła z goryczą i przypomniała sobie ludzi, którzy jeszcze przed momentem przechodzili obok niej, jakby była niewidzialna, potrącali i prychnęli ze zniecierpliwienia. Bo taki był świat, dla takich jak ona nie było w nim miejsca. Dlatego nikt z przechodzących się nie zatrzymał.

„Nikt poza nią” – dotarło do niej i natychmiast poczuła jeszcze większą irytację i żal do losu. Tak jakby nie mógł jej oszczędzić tego wszystkiego. To było kopanie leżącego, podsyłanie jej kogoś, kto miał wszystko, o czym ona mogła tylko marzyć.

– Chyba żebym mogła sobie popatrzeć i w pełni uzmysławić, jak nisko upadłam i gdzie jest moje miejsce – mruknęła do siebie i w tym momencie dostrzegła zdumienie dziewczyny.

No tak, tak przywykła do samotności, do tego, że często chcąc usłyszeć czyjś głos, musi mówić sama do siebie, że weszło jej to w nawyk.

„A co mnie to interesuje, niech sobie wyobraża, co chce – pomyślała buntowniczo. – A może to jest jakiś pomysł, może powinnam teraz zacząć

bredzić od rzeczy albo śpiewać, krzyczeć na nią, to może pomyśli, że jestem wariatką, przestraszy się i zmyje, zostawiając mnie w spokoju...” – Zerknęła spod oka na nieznaną i z miejsca porzuciła ten pomysł.

Nie, ona nie była z takich, sama była mamą i nie zostawiłaby dziecka, nawet obcego, z kimś, komu nie tylko brakowało piątej klepki, ale dodatkowo nie miał siły podźwignąć się na nogi.

Wtedy z całą pewnością nie dałaby się odwieść od wezwania lekarza, o którym chyba cały czas coś gadała – Haśka złapała się na tym, że nie do końca wróciła do siebie, bo nie umiała się skoncentrować i myśli wciąż jej się rozpierzchały, utrudniając skupienie się na najważniejszym. Czyli na pozbyciu się kłopotu i ustaleniu, co się dzieje z Tosią.

– Nie mogę cię tak zostawić – dotarły do niej słowa lalki, gdy z całych sił wyteżyła uwagę, choć nie było to łatwe, bo w uszach znów zaczynało jej szumieć. – Przecież...

– Czemu ona nie płacze? Przed chwilą płakała, nigdy nie przestaje, dopóki jej nie wezmę na ręce! – przerwała jej bezpardonowo.

– W sensie twoja córeczka? Nie płakała, cały czas śpi – dziewczyna spojrzała na nią z jeszcze większą troską.

– Co ty gadasz, płakała! Coś jej się stało, tak? Przecież słyszałam, to mi pomogło otworzyć oczy! Płakała – powtórzyła uporczywie.

Mówiła bezładnie, usiłując podeprzeć się rękoma o mur i podciągnąć. Ale jej wysiłki spełzły na niczym.

Michalinie na ten widok ścisnęło się serce.

– Poczekaj, jakoś ci pomogę, tylko najpierw odstawię wózki na bok – powiedziała łagodnie. – Słyszysz, cholera, nie szarp się, bo jeszcze, nie daj Boże, znów cię zaćmi! – przestraszona nie na żarty Michalina, widząc, jak zsiniałe palce dziewczyny szorują po murze, podniosła głos. – Jeszcze bardziej pobladłaś, oszczędzaj siły, bo znów odleczysz! Obiecuję, zaraz

pomogę ci się podnieść i wszystko będzie dobrze. Cokolwiek się dzieje, coś wymyślimy – dodała, starając się mówić pewnie, choć tak naprawdę czuła się totalnie bezradna.

Dziewczyna przeraziła ją niesamowicie, gdy nieprzytomna osunęła się po murze, i zapewne Michalina nie zwlekałaby z wezwaniem karetki, gdyby nie to, że po chwili tamta zaczęła coś mamrotać, więc wszystko wskazywało, że było to raczej tylko lekkie omdlenie.

„O ile oczywiście istnieje coś takiego jak o mało co stracenie przytomności” – pomyślała kpiąco.

W każdym razie puls miała wyczuwalny, a zanim Michalina drżącymi dłońmi wydobyła z torby komórkę, tamta otworzyła oczy.

I szczerze mówiąc, kamień spadł jej z serca, ale z miejsca wrócił na swoje miejsce, i to o wiele cięższy, gdy zrozumiała, że oto jest teraz odpowiedzialna za bezbronne, śpiące w głębokim wózku dziecko i jego matkę, która wyglądała jednocześnie na przerażoną i gotową na wszystko. Niebezpieczna mieszanka, akurat to wiedziała z doświadczenia. I prawdę mówiąc, kompletnie nie miała pojęcia, jak ma temu podołać. Niewątpliwie trzeba było tego zdychulca jakoś podnieść, jednak biorąc pod uwagę, że dziewczyna wyglądała na kompletnie bezsilną, zapewne trzeba będzie ją podtrzymać i pomóc dojść do ławki, która była kawałek oddalona. A przecież nie mogła zostawić wózków i śpiących w nich dzieci samym sobie. Nie mogła też najpierw odprowadzić wózków, bo wtedy musiałyby zostać samotnie na przystanku.

„Cholera, nie pozostaje mi nic innego, jak się rozdwoić – pomyślała, nerwowo zagryzając usta. – Chyba że poproszę kogoś o pomoc...”

– To może ja się na coś przydam i pomogę? – jakby w odpowiedzi na jej myśli rozległ się tuż za nią tchnący spokojem głos.

Michalina odwróciła się i na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi pomieszany z zaskoczeniem.

– To pan. – Na widok starszego mężczyzny stojącego przy niewielkim oszklonym wózku wypełnionym drożdżówkami nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu. – Matko, z nieba mi pan spadł! Pomoże mi pan postawić ją na nogi i doprowadzić do ławki? Albo popilnuje pan wózków?

– Zrobimy tak, młoda damo: ja sam ją podniosę, a ty zajmij się wózkami. Spokojnie, dam radę, codzienne pchanie tego ustrojstwa z drożdżówkami utrzymuje mnie w doskonałej kondycji – dodał w odpowiedzi na jej sceptyczną minę, a potem, nie czekając na jej reakcję, wyciągnął mocno opaloną, poznaczoną zmarszczkami dłoń do siedzącej pod murem dziewczyny.

Początkowo Haśka zamierzała zaprotestować. Nie chciała żadnej pomocy. Bała się, i to bardzo, i jedyne, czego pragnęła, to żeby zostawili ją w spokoju.

A jeszcze tak niedawno, chwilę temu, tęskniła za troską, za drugim człowiekiem, za miłością. Często prosiła los, żeby nawet jeżeli nie może dać jej tego wszystkiego teraz, nie odbierał jej chociażby nadziei na przyszłość.

„Cóż, trzeba uważać, o czym się marzy, bo czasem potrafi się spełnić” – zaszumiało jej ironicznie w głowie i w tym samym momencie uniosła wzrok. Jej spojrzenie zatoneło w wyblakłych błękitnych oczach starszego mężczyzny. Potem podążyło po linii gęstych zmarszczek, dłużej zatrzymało się na bruzdzie wokół ust. Tej mówiącej o tym, że widać w całym swoim życiu nie szczędził nikomu uśmiechu.

I w tej sekundzie stało się coś, czego kompletnie się nie spodziewała: poczuła spokój i jakby bez udziału swojej woli wyciągnęła dłoń i dała się pociągnąć ku górze. Gdzieś tam w środku poczuła, jak taje w niej coś, co od

wieków było zamrożone na kość. Jakby starszy pan nie tylko uniósł jej ciało, ale również coś zupełnie innego, nierealnego. Jakby wyciągał z czarnej otchłani jej serce.

„Jeden, zdawałoby się, nic nieznaczący gest, wyciągnięta dłoń... Czasem tak niewiele trzeba, żeby uratować komuś życie” – zaszumiały jej w głowie słowa, które kiedyś usłyszała, tyle tylko, że teraz nie mogła sobie przypomnieć od kogo.

Ręka, która opłotła jej ptasią, wychudzoną dłoń, okazała się ciepła i przyjemnie szorstka. W ogóle ku jej zdumieniu ten wyglądający przecież na drobnego, tonący w za dużym płaszczu mężczyzna uniósł ją bez najmniejszego trudu. Widać rzeczywiście pchanie wypełnionego po brzegi słodkimi, obłędnie pachnącymi bułeczkami wózka musiało wpływać rewelacyjnie na nabieranie kondycji. Haśka bez chwili wahania wsparła się o jego ramię i poczuła, że wszystko wokół niej pachnie słodko i kusząco. Od tego zapachu aż zakręciło jej się w głowie, ale to zawirowanie należało do tych przyjemnych. Wciągnęła zachłannie powietrze i z miejsca na myśl przyszła jej niewielka, przytulna kuchnia, z dawnych czasów, gdy była jeszcze małą dziewczynką. I krzątająca się po niej mama, zagniatająca ciasto na makowce i nucąca kolędę:

Do naszych serc
Do wszystkich serc uśpionych
Dziś zabrzmiał dzwon
Już człowiek obudzony
Bo nadszedł czas
I dziecię się zrodziło
A razem z nim
Maleńka przyszła miłość.

Te makowce wychodziły mamie najlepsze na świecie, a może wydawały się tak szczególne, bo mama piekła je tylko raz do roku, na wigilię właśnie. Masa makowa była pełna rodzynek, orzechów włoskich, pachniała migdałami i cynamonem. Ten aromat to była zapowiedź świąt, magii i wszystkiego, nawet najbardziej nieprawdopodobnego, co miało szansę wydarzyć się w ciągu tych kilku nadchodzących dni. W końcu święta były czasem cudów. Czasem odświętnie ubranych choinek, czasem śmiechów, śpiewania kolęd, czasem pierwszych gwiazd, które zawsze,

choćby nie wiem ile ich było na niebie, i tak były tymi jedynymi. Dzwonków dźwięczących za oknem i prezentów, które, nie wiadomo jak i kiedy, pojawiały się pod choinką, zawsze wtedy gdy Haśka spróbowała każdego z dań stojących na wigilijnym stole.

A potem... potem nadszedł czas Edwarda. Edward nie lubił maku i makowce nigdy już nie pojawiły się na ich stole. Nie lubił też, jak mama śpiewa, więc zniknął też jej srebrzysty głos. Nie słychać już było zapewnienia o tym, że:

Maleńka miłość w żłobie śpi
Maleńka miłość przy Matce Świętej
Dziś cała ziemia i niebo lśni
Dla tej miłości maleńkiej.

Zresztą może to i dobrze, bo w domu Edwarda nie można było nawet myśleć o miłości. A co dopiero o niej śpiewać. W domu Edwarda nie wierzono w cuda ani w świąteczną magię. Zresztą w tę codzienną też nie.

„Biedna mama, wpadła z deszczu pod rynnę” – pomyślała Haśka ze smutkiem i jeszcze raz wciągnęła powietrze, podświadomie przygotowując się na to, że słodki zapach zniknie. Przecież musiał być tylko omamem, aromatyczną widmową odpowiedzią na jej głód, spotęgowany jeszcze widokiem wózka z drożdżówkami.

Ale o dziwo, nadal czuła go bardzo wyraźnie i w końcu dotarło do niej, że to obszerny płaszcz podtrzymującego ją mężczyzny cały przesiąknięty jest tym zapachem. Starszy pan z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu pachniał tak jak jej najbardziej pielęgnowane, najmilsze wspomnienia: pachniał jej dzieciństwem, ciepłym domem, makowcem, który w dawnym życiu, bezpowrotnie minionym, piekła jej mama.

„Głupia, to tylko zapach drożdżówek, w końcu cały dzień przy nich stoi, to czym ma pachnieć?” – przywołała się do porządku i nagle poczuła,

że jej żołądek skurczył się i szarpnął boleśnie, a w ustach zaczęła gromadzić się ślina. Starła się nad tym zapanować, ale pomimo wysiłku nie mogła nic na to poradzić.

Przełknęła głośno ślinę i odwróciła głowę, szukając spojrzeniem lalkowatej dziewczyny. Była tuż za nimi i niezdarnie prowadziła oba wózki jednocześnie. Widać było, że nie jest jej łatwo.

Haśka wyciągnęła jak najmocniej szyję i usiłowała spojrzeć w głąb tego Tosinego. Jakby czytając jej w myślach, starszy pan przystanął i poczekał, aż tamta zrówna się z nimi.

Dopiero widząc, że mała nadal śpi spokojnie, nieświadoma dramatów, które się wokół niej rozgrywały, Haśka odetchnęła.

„A więc malowana lala mówiła prawdę” – dotarło do niej nagle. Jej córeczka cały czas spała, gdyby było inaczej, nie przestałaby płakać. Co zatem, jeżeli nie płacz swojego dziecka, słyszała wtedy pod murem, gdy tak miękko zapadała się w kuszącą czerń?

Pomyślała, że nigdy się tego nie dowie, ale czymkolwiek to było, powinna być mu dozgonnie wdzięczna. Pozwoliło jej wrócić, zanim ta wymuskana świętoszka zdążyłaby narobić kłopotów i na przykład wezwać karetkę. Albo jeszcze gorzej – poza ściągnięciem ambulansu mogła zadzwonić pod któryś z numerów zapisanych w Haśki telefonie komórkowym. To był stary aparat, nie obawiała się, że ktoś będzie chciał go ukraść, więc jakoś do tej pory nie pomyślała o tym, żeby zabezpieczyć go hasłem. A przecież gdyby tak się stało, gdyby tamta dorwała się do jej telefonu i zadzwoniła do kogokolwiek poza mamą... – wzdrygnęła się, bojąc się nawet dokończyć i sprecyzować, co dokładnie mogło to oznaczać.

„Boże, gdybym nadal była nieprzytomna, a on by się tu zjawił... Zrobiłby z Tosią wszystko, co by chciał” – pomimo wysiłku myśli nie dały się ujarzmić, nie pozwoliły się zepchnąć na dalszy plan.

Tak czy inaczej, czymkolwiek było to, co wysłało do niej złudzenie płaczu córki, zaskarbiło sobie jej wdzięczność do kresu jej dni.

„Dobrze, że wróciłam na czas, dobrze, że zdążyłam” – powtarzała w myślach jak mantrę, żeby dodać sobie sił i być w stanie za moment wstać i odejść.

Skoncentrowana do granic możliwości, nawet się nie obejrzała, kiedy znów siedziała na tej samej, nieosłoniętej niczym, nasiąkniętej deszczową wodą ławce. Starszy pan usadowił ją na niej troskliwie, najpierw kładąc na wilgotnej powierzchni swój gruby szalik.

– Poczekaście chwilę, teraz ja muszę wrócić po swój wózek, zanim drożdżówki wyschną tam na wiór z tęsknoty. Nie wiem, czy zdawałyście sobie sprawę, ale one są bardzo wrażliwe na porzucenie – powiedział, biorąc głęboki wdech, puszczając do nich oko i poprawiając zsuwającą się na czoło kraciastą czapkę z daszkiem.

A Haśka ledwo to usłyszała, ku swojemu zdumieniu poczuła żal na myśl o tym, że starszy pan sobie pójdzie. Wprawdzie tylko na chwilę, ale kto wie, czy potem zwyczajnie nie zamieni tylko kilku słów i nie uchyli uprzejmie tej swojej czapki, i nie odejdzie, niknąc w unoszących się nad listopadowymi ulicami kłębach mgły.

Na domiar złego jego potencjalne odejście znaczyło, że Haśka znów zostanie sam na sam z tą nieszczęsną lalą... Tą samozwańczą samarytanką od siedmiu boleści. Edward z pogardą mówił na takie jak ona: bananowe dzieci.

Ledwo to pomyślała, poczuła, jak na policzki wpełza jej rumieniec wstydu.

„A od kiedy ten człowiek jest dla ciebie autorytetem?” – zdumiona zapytała samą siebie i dokładnie w tym momencie przymknęła powieki. Zobaczyła zmierzwiłone ciemne włosy, oczy, w których było tyle czułości,

tyle czułości, że starczyłoby jej do końca życia. I dla niej, i dla Tosi. O nim Edward też mówił z pogardą: „bananowy chłoptaş”.

Jeszcze silniej zacisnęła powieki, wypierając obraz Edwarda i koncentrując się na tym wytęsknionym. Na jego miękkich, pełnych ustach, na czułych dłoniach.

„Nigdy nie będziesz już sama” – zaszemrało jej w głowie głosem, którego nie słyszała już od tyłu miesiący, a za którym tęskniła tak, że miała wrażenie, iż ta tęsknota wyszarpie z niej całą siłę. Dlatego nie dopuszczała jej do głosu. Ale czasem, tak jak teraz, dopadała ją podstępnie i znienacka.

„Nigdy nie będziesz już sama” – wtedy brzmiało to tak pewnie, tak niezniszczalnie. Dawało siłę.

A teraz gryzło, bolało i szarpało rozpaczliwie sercem. I wyrzutami sumienia.

„A co, jeżeli jego już nie ma? Co, jeżeli go zabiłaś?” – tęsknota utorowała pięknie drogę swoim kumplom: lękom i wyrzutom sumienia.

„Nie myśl, nie teraz – nakazała sobie w duchu. – Teraz musisz skupić się na tym, co tu i teraz. Czyli na odzyskaniu sił i tej nieszczęsnej lal... Na niej, po prostu na niej” – poprawiła się.

Bo za nic nie chciała stać się podobna do Edwarda, który był niczym, wypisz, wymaluj, Ebenezer Scrooge z *Opowieści wigilijnej*. Tyle tylko, że Haśka przypuszczała, iż Edward jest jeszcze gorszy, jemu żadne duchy nie przemówiłyby do rozsądku, a już tym bardziej do serca. On nie tyle miał je złodowaciałe, ile go po prostu nie posiadał.

„Biedna, biedna mama” – pomyślała znowu i gwałtownie otworzyła oczy, czując na twarzy coraz większe zimne krople.

Mżawka powoli nabierała rozpędu i pewności, że najwyższy czas dorosnąć i w końcu stać się deszczem.

Z westchnieniem spojrzała na milczącą, stojącą obok dziewczynę.

„Oby jej tak zostało – pomyślała, zagryzając dolną wargę i wyciągając rękę, żeby przyciągnąć do siebie wózek ze śpiącą Tosią. – Niech po prostu nic nie mówi, poczeka, aż starszy pan przyjdzie, i niech razem pójdą, jak najdalej od niej, do swoich spraw. A przynajmniej niech ona to zrobi”. Haśka niby wiedziała, że oboje jej pomogli, jednak tylko do mężczyzny czuła wdzięczność i jakby cień zaufania. Lalka (no trudno, nie umiała przestać jej tak nazywać, choć przecież próbowała) ją irytowała, budziła podejrzliwość i przecucie kłopotów, które przez nią będzie miała.

Ktoś z tak innego świata, wymuskany, zadbany i pewny siebie, po prostu nie mógł zrozumieć. Niczego. Nawet w części.

Na całe szczęście tym razem jej prośby zostały wysłuchane i Lalka nie odezwała się aż do momentu powrotu starszego gościa, który z wprawą dopchał wózek do ławki i głęboko oddychając, przysiadł koło Haśki.

– To co? Po drożdżówce? – zapytał, popatrując to na jedną, to na drugą.

– Ja chętnie kupię – zaśmiała się w odpowiedzi Michalina. – Od naszego ostatniego spotkania sporo się zmieniło... – Zawiesiła na moment głos; nagle spoważniała i zmarszczyła brwi, z namysłem patrząc na sprzedawcę bułeczek. – No właśnie, ja potem pana przez długi czas szukałam, chciałam podziękować i w ogóle dać znać, że u mnie wszystko w porządku, ale zapadł się pan pod ziemię...

– Ho, ho, ho, na powitanie było „spadł mi pan z nieba”, teraz „zapadł się pan pod ziemię”, nie wiem, czy potrafię sprostać takim oczekiwaniom. – Uśmiechnął się. – A tak na poważnie, to ja tutaj jestem tylko od końca listopada i przez pierwsze tygodnie grudnia, potem jadę w zupełnie inne strony. – Znowu się uśmiechnął i jakby nigdy nic sięgnął po jedną z bułek, leżącą pośrodku. – Ta jest akurat jak dla ciebie. – Wyciągnął ją w stronę Haśki.

– Nie mam czym zapłacić – przyznała bohaterko, czując, jak ślina znów napływa jej do ust.

Drożdżówka pachniała tak obłądnie i kusząco, że Haśka ledwo się powstrzymała, żeby nie wyrwać mu bułki z dłoni.

– Nic nie szkodzi, akurat jest pora na moje drugie śniadanie, a ja nie lubię jeść w samotności, prawda? – zwrócił się z porozumiewawczym błyskiem w oczach do dziewczyny, która wciąż wpatrywała się w niego z natężoną uwagą.

– Prawda – przytaknęła Lalka, potrząsając głową i jakby budząc się z transu. – Hmm, może zabrzmiało to dziwnie, ale czy przypadkiem nie pozował pan do obrazu? – zagadnęła po chwili, odruchowo przyjmując bułkę, którą jej podawał.

– Do obrazu? Nie, nie przypominam sobie, a raczej bym coś takiego pamiętał. – Z namysłem zmarszczył siwe krzaczaste brwi. – Chyba że ktoś portretował mnie w biegu, bo ja już tak mam, że jestem w ciągłym ruchu, to tu, to tam. Nie umiem usiedzieć w miejscu. I nie mogę. Taka robota – dodał i wzruszył tak mocno ramionami, że płaszcz na plecach lekko mu zafalował.

– Taaa, taka robota – powtórzyła za nim z namysłem tamta, a Haśka pomyślała, że denerwujące jest to, że oni gadają o jakichś nieistotnych sprawach, a ona tymczasem przeżywa katusze, usiłując poczekać, aż wszyscy zaczną jeść. – O matko, *à propos* roboty, ja przecież już dawno powinnam być u Neli. – Lalka znieruchomiała, spoglądając na zegarek. – Przepraszam, muszę zadzwonić – dorzuciła, zakołysała odruchowo wózkem i odszedłszy kilka kroków na bok, wyłuskała z torby telefon.

I w tym momencie Haśka się poddała, było jej wszystko jedno, co starszy pan sobie o niej pomyśli, po prostu nie mogła już czekać, to było

ponad jej siły. Nie zważając już na nic, zatopiła zęby w pachnącej, puchatej, oblanej lukrem drożdżówce i łapczywie ugryzła prawie połowę.

Ledwo jednak poczuła na języku jej smak, zastygła w bezruchu, a potem z trudem przełknęła i z niedowierzaniem spojrzała na siedzącego obok niej starszego pana.

– Ona jest z makiem – wydusiła w końcu z siebie.

– Tak, wylosowałaś wersję premium, właściwie grudniową, nie wiem, jakim cudem znalazła się już w dzisiejszej dostawie – pokiwał głową. – Mak, rodzynki...

– Orzechy, zapach migdałowy i mielone migdały zaprawione szczyptą cynamonu – zakończyła za niego Haśka na wydechu. – Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, pomyślałabym, że umie pan czytać w myślach, bo ja właśnie przed momentem wspominałam... Znaczący... Zresztą nieważne. – Zamilkła zakłopotana i przestraszona tym, że może niechętny powiedzieć o kilka słów za dużo. – W każdym razie dziękuję, chciałabym, żeby pan wiedział, że nieoczekiwanie, dzięki panu, poczułam się jak całkiem szczęśliwy człowiek – dodała nieomal szeptem. – A nie czułam się tak od niepamiętnych czasów.

– Nieoczekiwanie, powiadasz. – Spojrzał na nią spod oka. – Lubię to słowo. Wiesz, rok temu, całkiem niedaleko od tego miejsca, spotkałem pewną dziewczynę. Ona też użyła tego samego określenia. „Nieoczekiwanie stałam się bogata”, tak powiedziała. – Uśmiechnął się lekko. – I wiesz, mam taką nieprzepartą ochotę powiedzieć ci dokładnie to co jej wtedy. – Zamilkł na chwilę i odwrócił głowę w kierunku rozmawiającej przez telefon dziewczyny, która zamasyżuje gestykulowała, najwidoczniej gęsto się z czegoś tłumacząc temu komuś po drugiej stronie słuchawki.

„Widać Lalka ma kłopoty. Może dzięki temu szybciej pójdzie do tej swojej Neli, pewnie szefowej” – pomyślała nielitościwie Haśka, pakując w buzię pozostałość bułki, i na powrót zwróciła oczy na starszego pana, który siedział i wpatrywał się w nią wyczekująco.

– Przepraszam, zamyśliłam się – mruknęła niewyraźnie, z pełnymi ustami i ostatkiem siły woli powstrzymała się, by nie wylizać palców z resztek lukru. – To co powiedział pan wtedy tej dziewczynie? Tej od nieoczekiwanego bogactwa?

– Że dobre rzeczy mają to do siebie, że zawsze przychodzą znienacka. Na przykład miłość i szczęście – odparł. – Nijak się ich nie spodziewasz, przymykasz oczy i proszę: już są. Cały szkopuł w tym, żeby ich nie przegapić – dodał i zsunął czapkę tak, że była założona na bakier i z miejsca sprawiła, że zaczął wyglądać bardziej zawadiacko.

– Pięknie brzmi. – Haśka bezwiednie sięgnęła po róg kocyka w wózku i zaczęła go miętosić w palcach. – Jak bajka. Tyle tylko że, wie pan, w bajkach to najczęściej prawdziwe są tylko macochy i złe wiedźmy, a reszta... Reszta jakoś się nie sprawdza. No, chyba że jest się kimś takim jak ona. – Brodą wskazała na dziewczynę, która, jak można się było domyślić po minach i gestach, zbliżała się do końca burzliwej dyskusji. – Księżniczką z urodzenia.

– Księżniczką z urodzenia, no proszę, widać dobrze ją znasz. – Pokiwał głową, po czym sięgnął po woreczek, wpakował do niego cztery drożdżówki i bez słowa położył na jej kolanach.

– Ale ja już mówiłam, że nie mam jak zapłacić, a śniadanie już zjedliśmy... – Z premedytacją nie odniosła się do tego, co przed chwilą usłyszała. Nie miała zamiaru wtajemniczać nikogo w swoje sprawy ani w to, że widzi Lalkę pierwszy raz w życiu. Ta wiedza raczej nie była starszemu panu do niczego potrzebna.

– Przecież wiem, tym bardziej niech ci idą na zdrowie – skwitował, wstając z ławki i ujmując rączkę wózka. – I pamiętaj o tym, co ci powiedziałem...

– Tak, tak, wiem: dobre rzeczy przychodzą niespodziewanie. Szczęście, miłość... wystarczy zamknąć oczy i już są – powtórzyła i mimowolnie się skrzywiła. – Pan w to naprawdę wierzy? – Podniosła na niego udręczone oczy.

– Całym sercem.

– Przepraszam, ale ja nie. To się może sprawdza w świecie księżniczek z urodzenia, lecz nie w moim – powiedziała z goryczą.

– Nie, to się sprawdza u wszystkich z dobrą pamięcią. A ty zapomniałaś o najważniejszym, ale przypomnisz sobie – powiedział zagadkowo i dokładnie tak jak sobie wyobrażała, uchylił czapki i odszedł powolnym krokiem, pchając przed sobą przeszklony wózek.

Kiedy przechodził obok Michaliny, przystanął i z porozumiewawczym uśmiechem przewiesił jej przez szyję wianuszek obwarzanków.

– Nelu, dawaj znać, co u ciebie, dzwoń, jakby cokolwiek szło nie tak, jak powinno, ja teraz muszę kończyć – powiedziała szybko Michalina do telefonu, rozłączyła się i zamachała za odchodzącym starszym panem.

– Muszę już iść – odkrzyknął w odpowiedzi.

– A będzie pan jutro na Starym Mieście? Pod kolumną Zygmunta? – Zrobiła z dłoni trąbkę i głos zabrzmiał donośnie niesiony wiatrem, który niepokojąco zaczął się wzmacniać.

– Będę czekał z termosem pełnym zupy – odkrzyknął i nie oglądając się, ruszył przed siebie, popychany podmuchami zimnego, pachnącego nadchodzącym przymrozkiem wiatru.

Dopiero gdy znalazł się za załomem muru, gdzie było spokojnie i zacisznie, przystanął, odstawił wózek na bok, a sam wyjrzał zza winkla

i wyteńczył wzrok.

Zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał. Michalina podeszła do siedzącej na ławce dziewczyny i pochyłona w jej stronę chyba coś do niej mówiła.

„Cóż, będzie z nią twardy orzech do zgryzienia”. – W zamyśleniu zsunął czapkę na tył głowy i zmierzwił siwe włosy.

Ledwo na nią spojrział, wiedział, że jeszcze kilka razy będzie musiała na długo przymknąć oczy, żeby w końcu dotarło do niej, że umknęło jej najważniejsze: cuda, szczęście i miłość wbrew temu, co powszechnie się sądzi, nieustająco ocierają się o smutne i osamotnione ludzkie serca. Są na wyciągnięcie ręki. Przychodzą zniecka, najczęściej jak wydaje im się, że nikt nie patrzy. Nieśmiało z natury. I cały szkopuł i trudność nie polegały wcale na tym, żeby przyszły, ale żeby zauważyć, że już są. Żeby ich nie przegapić i nie pozwolić im odejść. Dokładnie tak jak jej powiedział. I dokładnie o tym ta mała musiała sobie dopiero przypomnieć.

Michalina stała koło siedzącej na ławce dziewczyny, przestępując z nogi na nogę i kompletnie nie mając pojęcia, co robić.

Nie była głupia i szybko dotarło do niej, że o ile rzeczywiście – tak jak przypuszczała – tamta miała coś wspólnego z nią samą sprzed roku, o tyle w przeciwieństwie do niej absolutnie nie życzyła sobie żadnej pomocy.

„A przynajmniej nie ode mnie – pomyślała, odruchowo przeplatając pomiędzy palcami frędzle od szalika. – Nie wiem dlaczego, ale z całą pewnością za mną nie przepada i to potwornie wszystko komplikuje”. – Westchnęła głęboko.

I rzeczywiście, znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Nie lubiła wpychać się z buciorami w czyjeś życie ani się narzucać. Ale jednocześnie nie mogła odejść. Może gdyby tamta była sama, prędzej machnęłaby ręką i dała sobie spokój. Ostatecznie razem ze starszym panem postawiła ją na nogi, nakarmili ją, a teraz Michaśka poczekała, aż dziewczyna dojdzie do siebie. Po zjedzeniu drożdżówki wyglądała o wiele lepiej, nawet policzki jej się trochę zaróżowiły.

To jednak nadal nie zmieniało faktu, że w wózku leżało maleńkie dziecko. Młodsze niż Klara. Kompletnie bezbronne.

A co będzie, jeżeli jego matce znów zrobi się słabo? Gdzieś na środku ulicy albo jeszcze gorzej – w jakimś odludnym miejscu?

„I co ty możesz na to poradzić? – zaszemrał w jej głowie głos rozsądku. – Przecież nie możesz jej przez cały dzień pilnować. Szczególnie jeżeli ona sobie tego nie życzy”.

„Ale odejść też nie mogę” – pomyślała zirytowana i zatupała energicznie w miejscu.

Było jej zimno, deszcz padał coraz mocniej i zerwał się mroźny wiatr. Zbliżał się koniec drzemki Klary i znając życie, ledwo otworzy oczy, będzie głodna i wściekła, a wyjmowanie jej z wózka w taką pogodę było proszeniem się o kłopoty. Zresztą w drugim wózku też kocyk coraz częściej się poruszał, mała zaczynała się kręcić, a to znaczyło, że i ona za chwilę się obudzi.

Michalina westchnęła i z największym trudem opanowując niechęć, przysiadła na mokrej ławce obok tamtej. Nie chciała stać nad nią jak kat nad dobrą duszą. Tym bardziej że takie górowanie raczej nie sprzyjało pozyskiwaniu sympatii.

– Słuchaj... – Przerwała i odetchnęła głęboko, a tamta w odpowiedzi się skrzywiła. Michalina, widząc to, zagryzła dolną wargę i spojrzała na nią spod oka. – Nie ułatwiasz – powiedziała w końcu.

– Nie zamierzam – odpowiedziała tamta w ogóle niespeszona. – Teraz ty... Poczekaj, jak ty w ogóle masz na imię?

– Michalina, a ty?

– Haśka – odpowiedziała odruchowo i w tym momencie obie spojrzały po sobie ze zdziwieniem.

– Hmm, cóż za kolejny zbieg okoliczności – mruknęła Michalina, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Wiesz, że w domu też tak do mnie czasem mówią?

– Świetnie, i co? Mam ci teraz pogratulować czy zacząć bić brawo? – sarknęła ironicznie Haśka, która błyskawicznie otrząsnęła się z zaskoczenia. Z pełną premedytacją nie zapytała, co Michalina miała na myśli, mówiąc o kolejnych zbiegach okoliczności.

„Żadnego fraternizowania” – nakazała sobie w duchu.

– Jeżeli masz taką potrzebę, to proszę bardzo, ale najpierw chciałam ci powiedzieć, Haśka, że nieważne, jak bardzo będziesz niemiła

i niesympatyczna, bo i tak się mnie nie pozbędziesz – oznajmiła, odwracając głowę i patrząc jej w oczy.

– A coś ty się tak przyczepiła, masz jakiś limit dobrych uczynków do wykonania czy jak? To mnie już sobie odhacz. Nie zostawiłaś mnie pod tą ścianą, zajęłaś się moją córką, za co akurat naprawdę jestem ci wdzięczna, nie narobiłaś mnóstwa szkód, a uwierz mi, mogłaś... – Na chwilę przymknęła oczy, jakby zbierając siły na dalszą przemowę. – Zrobiłaś coś wielkiego, jak chcesz, to nawet mogę ci podziękować, o ile zostawisz mnie potem w spokoju – zakończyła z ciężkim westchnieniem.

– Nie – odpowiedziała krótko Michalina. – Nie, Haśka – powtórzyła z niezwykłą stanowczością, bo już wiedziała, co ma robić.

– Ale co nie? Nie muszę ci dziękować? To świetnie...

– Nie, nie pozbędziesz się mnie – przerwała jej i energicznie zakołysała wózkiem, bo Klara zamachała rączką i przez sen poruszyła usteczkami, tak jakby śniła o butelce pełnej mleka i właśnie dorwała się do smoczka. – I może zrobi ci się lepiej, jak ci powiem, że wcale nie chodzi mi o ciebie – dodała.

– Nie o mnie? – wydukała skonsternowana dziewczyna i zmarszczyła brwi. – To o co ci, do diabła ciężkiego, chodzi, jak nie o mnie? Ktoś cię przysłał, tak? Czegóż ode mnie chcesz? – W jej głosie zaczęła narastać panika.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, zaczerpnęła głęboki haust powietrza, ale w tym samym momencie złapał ją kaszel. Brzydki, targający od środka.

– Nie, daj spokój, nic z tych rzeczy – Michalina poczekała z odpowiedzią, aż kaszel minie.

Szczerze mówiąc, miała ochotę uspokajająco położyć rękę na dłoni Haśki, jednak w ostatnim momencie się powstrzymała. Coś jej mówiło, że dziewczyna nie przyjęłaby tego dobrze, a już na pewno nie oczekiwała

żadnego pocieszania od niej. Nie ulegało wątpliwości, że z sobie tylko znanych powodów naprawdę za nią nie przepadała. Ale tym Michalina już się nie przejmowała.

„W końcu nie jestem zupą pomidorową, żeby każdy musiał mnie lubić” – pomyślała i poczuła, że zachwiana przez moment pewność siebie zaczyna wracać.

– Chciałam tylko powiedzieć – ciągnęła, cofając rękę i zaciskając palce na rączce wózka – że chodzi mi wyłącznie o mnie. Bo widzisz, nie mogłabym spać spokojnie, gdybym nie była pewna, że dotarliście... – Zawiesiła głos i spojrzała znacząco na śpiącą w wózku Tosię. – Że OBIE dotarliście do domu całe i zdrowe – słowo „obie” wymówiła z naciskiem. – Wiem, że cię denerwuję, ale nie robi to na mnie wrażenia i zwyczajnie nie dam się spławić. Tak więc proponuję, żebyśmy doszły do porozumienia: ty dasz się odprowadzić, a ja wtedy zniknę. Dam ci spokój. Nie dziw mi się, tak naprawdę po tym, jak cię zamoczyło, powinnam wezwać lekarza. Nie zrobiłam tego i nadal nie jestem pewna, czy to dobrze. I dlatego dla uspokojenia sumienia chcę mieć świadomość, że nie zemdlałaś gdzieś po drodze.

– Czyli jeżeli ja się dam odprowadzić, to ty dasz mi spokój? – Haśka, widząc jej minę, zrozumiała, że Michalina mówi poważnie i nie zamierza odpuścić.

– Tak, dam ci spokój, chociaż... – Zawiesiła na moment głos i w końcu machnęła ręką. – Nieważne, skoro tego właśnie chcesz, to tak będzie, dam ci spokój – powtórzyła.

„W końcu nie można nikomu pomagać na siłę, nawet jeżeli ma się przeczucie, że tego kogoś absolutnie nie powinno się zostawiać samego” – pomyślała.

– W takim razie dobrze, miejmy to już za sobą... – Haśka wzruszyła ramionami i powoli podniosła się z ławki.

Bardzo powoli, na wypadek gdyby mroczki przed oczami miałyby się znów pojawić.

Ale nie, tym razem widziała dobrze, w głowie jej nie szumiało. Widać zastrzyk energii w postaci drożdżówki zrobił swoje. Tylko znów, ku swojej irytacji, rozkaszała się tak, że zabolą ją w piersiach.

„Cholera, niedobrze – pomyślała, przysłaniając usta rękawem kurtki. – Podwójnie niedobrze”. Bo ta cała Michalina wydawała się jeszcze bardziej zatroskana i kto wie, czy ten niepokój nie wyniesie jej samarytańskich zapędów na wyższy poziom, a poza tym, jakby ona już nie była dostatecznym zmartwieniem, to i w pracy będą się czepiać. Albo, co byłoby kompletną katastrofą, każą jej iść do domu i wrócić dopiero, gdy wyzdrowieje. A wtedy... Wtedy spokojnie mogłaby usiąść z premedytacją pod tym murem, pod którym dziś straciła przytomność, i zostać tam na wieki wieków. Nie miałyby szans. Ani ona, ani Tosia.

Ale na razie postanowiła nie martwić się na zapas. Przeczekała atak kaszlu, wytarła załzawione oczy rękawem kurtki i spojrzała wyczekująco na Michalinę.

– To co? Idziemy? – zapytała jakby nigdy nic, jakby taki kaszel zdarzał się każdemu i naprawdę nie było się czym przejmować. – A tak w ogóle to skąd masz pewność, że nie zaprowadzę cię pod byle jaki dom, wcale nie tam, gdzie mieszkam? – zapytała po chwili przekornie.

– Nie mam, ale byłabyś głupia, gdybyś marnowała siły, których nie masz zbyt wiele, na bezsensowne włóczenie się po mieście. – Michalina wzruszyła ramionami. – Poza tym nie znam cię i nie mogę ręczyć za to, co ci tam chodzi po głowie, ale z tego, co zauważyłam, kochasz swoją córeczkę. Tego się nie da udawać, widziałam, jak jej szukałaś, po tym jak

wróciłaś do siebie pod tym murem. Dlatego wiem, że chociażby dla niej, tak na wszelki wypadek, gdyby coś miało się wydarzyć, nie będziesz kręcić. Bo chyba mimo że za mną nie przepadasz, i tak jestem lepszą opcją niż przypadkowy przechodzień, który z miejsca wezwałby karetkę. Tak między nami, nie owijając w bawełnę, Haśka, to ja jestem dla ciebie jedyną opcją, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie – zakończyła, patrząc jej prosto w oczy.

A Haśka w tym samym momencie zrozumiała, że chyba jej nie doceniła. Ta malowana lala doskonale wiedziała, co powiedzieć i jakich argumentów użyć. Trafiała bez pudła w samo sedno. I Haśka pomyślała, że być może gdyby poznała ją w innych okolicznościach, a z całą pewnością w innym życiu, to może nawet mogłaby się z nią zaprzyjaźnić. I o dziwo, ta myśl nie wydała jej się już taka niemiła i absurdalna jak przed momentem.

Michalina odprowadziła Haškę pod same drzwi masywnej bramy w starej kamienicy. Poczekwała, aż tamta wejdzie do środka, i przez moment bezmyślnie gapiła się na ciężkie skrzydło, które powoli i z piskiem zamykało się za dziewczyną z wózkiem.

„No dobrze, pora iść – pomyślała, gdy domknęło się zupełnie. – Czasem nie można zrobić więcej niż to, co się zrobiło” – dokończyła w myślach i powoli zawróciła, jedną ręką pchając przed sobą wózek, a drugą grzebiąc w torebce w poszukiwaniu komórki. Gdy ją znalazła, wybrała numer i przytknęła aparat do ucha.

– Nelu, to ja już do ciebie idę. Ślusarz dotarł? Aha, rozumiem, wandal bez krztyny wyczucia, finezji i delikatności. Czyli krótko mówiąc, trafił ci się zamkowy brutal, a ty jesteś w swoim żywiole.... Nie no, miej chociaż tyle przyzwoitości, żeby nie zaprzeczać, przecież słyszę, jak ci się głos śmieje na samą myśl o tym, co będzie się działo, jak staniesz z nim oko w oko. Mam tylko do ciebie prośbę, miej nad tym biednym człowiekiem odrobinę litości, z doświadczenia wiem, że rzadko kogo świat przygotowuje na kogoś takiego jak ty... Dobrze, dobrze, kończę i zaraz będę. – Uśmiechnęła się pod nosem, rozłączyła się i nagle poczuła, że wyraźnie coś jest nie w porządku.

Tuż za nią, za jej plecami ktoś szedł, a właściwie, sądząc po tym, jak stawiał kroki, nie tyle szedł, ile się skradał. Nieomal czuła jego cichy, przyspieszony oddech na karku. Serce zaczęło jej się tłuc w piersiach, tak że jego uderzenia odbijały się echem w jej głowie.

„Raz, dwa, trzy” – policzyła w myślach i już miała się odwrócić, żeby stanąć oko w oko z tym kimś, ale nie zdążyła. Zanim wykonała jakikolwiek ruch, poczuła na ramieniu żelazny uścisk.

– Nie odwracaj się – usłyszała czyjś schrypnięty głos i poczuła, jak dłonie zaciśnięte na poręczy wózka zaczynają jej się pocić. – I się nie bój. Wejdź tylko do tego sklepu, tego dużego, spożywczego. Ja będę tuż za tobą – ręka zniknęła, a Michalina głośno przełknęła ślinę.

Kobieta patrzyła na nie już od jakiegoś czasu. Obie z wózkami, szły równym, miarowym krokiem. Ona też kiedyś marzyła o tym, że cudownie byłoby mieć przyjaciółkę, która miałaby dziecko w podobnym wieku. Bo to zawsze różniej i jest z kim wyjść na spacer, a potem dzieci mogłyby się razem bawić i dorastać. I nikt nie byłby sam. Niestety marzenie nigdy się nie spełniło. Jakoś nie miała szczęścia do ludzi, a może po prostu naznaczona była tym, skąd się wywodziła.

„Wyżej dupy nie podskoczysz” – tak zawsze powtarzał jej ojciec.

No i rzeczywiście – nie podskoczyła. Chociaż był moment, gdy wydawało się jej, że nareszcie udało jej się wyjść na prostą, zdjąć z siebie tę jakąś dziwną klątwę, która działała tak, że przyciągała do niej zawsze niewłaściwych ludzi.

„Syndrom ofiary – tak to się chyba nazywało”.

Gdy po raz pierwszy usłyszała to określenie, poczuła, jakby ktoś z całej siły uderzył ją czymś ciężkim w głowę. I wtedy właśnie podjęła decyzję, że się nie da. Że nie chce być kimś tak żalonym. Że prędzej umrze, ale nie będzie już więcej ofiarą. Poza tym nie chciała takiego samego losu dla córki. A przecież jeżeli zgotowałyby jej dorastanie w takim domu, to nie mogła się łudzić, że jej życie będzie wyglądać inaczej. Pewne schematy podświadomie się powtarza, tak powiedziała jej pani psycholog, do której chodziła przez jakiś czas, dopóki Karol się nie dowiedział. Bo potem zadbał już o to, żeby przez długi czas nie mogła w ogóle wyjść z domu. Sprzął ją tak, że przez chwilę wątpiła, czy kiedykolwiek da radę podnieść się ze swojego posłania, na które ją rzucił. I pewnie by się zdziwił, gdyby wiedział, że to właśnie wtedy on, *nomen omen*, własnoręcznie postawił kropkę nad „i”. Obiecała sobie, że jeżeli się wyliże, to od niego odejdzie.

I słowa dotrzymała. Choć nie wyglądało to tak jak w pięknych filmach. Nie stanęła przed nim ze spakowaną walizką w jednej dłoni i ściskając dziecięcą rączkę w drugiej. Nie rzuciła mu patetycznego: „Żegnaj”, a on nie rzucił się na nią, grożąc i zaklinając, żeby została i że on się zmieni.

Nic z tych rzeczy. Właściwie trudno to nawet było nazwać odejściem, to była ucieczka. Bez dumy, raczej z podkulonym ogonem i obłądnym strachem w oczach. Bo gdyby Karol ją wtedy przyłapał, gdyby ją przyłapał... To zapewne nie byłoby co z niej zbierać.

To był grudzień, tydzień przed świętami. Piękna, śnieżna zima. Zawsze uwielbiała ten czas, nawet gdy już dorosła. Chciała wierzyć, że to jest ten jedyny moment w życiu, kiedy wszyscy są równi i każdy bez wyjątku może liczyć na cud. Że święta potrafią odmienić człowieka, skruszyć najtwardsze serca. W końcu mówił o tym nawet ksiądz w kościele, a i ojciec, i Karol chodzili na msze co niedziela. I na pasterkę. I poważali księdza, to chyba powinni wierzyć. Ona wierzyła w moc świąt, chociaż nie za bardzo w Boga. Nie do końca wiedziała, czy to da się pogodzić, ale postanowiła się nad tym nie zastanawiać. Całym sercem jednak pragnęła, żeby ten świąteczny cud, cud bycia człowiekiem dla drugiego człowieka, zdarzył się kiedyś i w jej domu. Marzyła o tym, że w końcu zaczną być dla siebie dobrzy. Gdy kiedyś wspomniała o tym ojcu, najpierw parsknął śmiechem, a potem popukał się palcem w czoło i powiedział, że drugiej takiej naiwniaczki nie ma na całym świecie.

I wtedy, gdy już wiedziała, że jedyną szansą jest ucieczka, gdy stała w otwartym oknie, przez które wlatywało mroźne zimowe powietrze, obiecała sobie, że jeżeli jej się uda, to nadchodzące święta będą takie, o jakich zawsze marzyła. Spokojne, dobre, czułe. Bez razów, bez strachu, że znów zrobiła coś nie tak i prędzej czy później zostanie za to ukarana. Będą ludzkie.

Na całe szczęście piéterko w ich domu nie było wysokie. W śródku nocy wyrzuciła przez okno poduszki i pierzynę, a potem w specjalnie powiązanej z prześcieradeł uprząży umieściła swoją córeczkę i spuściła ją na dół, modląc się, żeby ją utrzymać i żeby dziewczynka dotrzymała słowa i nie zaczęła krzyczeć ani piszczec. Albo żeby przypadkiem nie kichnęła, kaszlnęła ani się nie rozplakała. Na całe szczęście mała rozumiała. I to zrozumienie bolało ją, matkę, najbardziej. Widziała to w oczach córeczki, oczach doświadczonego człowieka, człowieka, który wie, co to lęk i ból. To był potworny widok, oczy zmęczonego życiem starca patrzące z małej dziecięcej twarzyczki. To spojrzenie rozdzierało jej serce na miliony kawałków. Ale w tamtym momencie to zrozumienie, które nie powinno dotyczyć żadnego dziecka, było ich największym sprzymierzeńcem. Mała po prostu wiedziała, co może się stać, jeżeli wyda z siebie choćby jeden najcichszy dźwięk. Dlatego bez słowa, nie poruszając się, tkwiła pod oknem, starając się oddychać jak najciszej i tuląc do siebie swojego ulubionego spłowiałego misia.

Gdy córeczka znalazła się bezpiecznie na dole, wiedziała, że nie może stracić ani chwili. Spuściła na dół spakowany plecak, stanęła na parapacie i zobaczyła, że mała wcisnęła zaciśniętą piąstkę do ust. Chyba po to, żeby mieć pewność, że nie krzyknie.

„To niech się dzieje w końcu ten cud” – pomyślała, przymknęła oczy i skoczyła.

I rzeczywiście po raz pierwszy przedświąteczny cud się ziścił i dla niej. Wylądowała miękko i praktycznie bezszelestnie na pierzynie. Chwyciła plecak, zarzuciła go sobie na ramię, złapała córeczkę za rączkę i na wydechu przemknęła do furki. Na całe szczęście była uchylona, więc nie było słychać jęczącego skrzypnięcia, które zawsze towarzyszyło jej otwieraniu. Gdy znalazły się na ulicy, po raz pierwszy odważyła się

odetchnąć. A potem nie odwracając się, szybkim krokiem ruszyły przed siebie. Mała musiała podbiegać, ale nie poskarżyła się ani razu.

Wtedy skierowała kroki w jedyne miejsce, które przyszło jej do głowy. Zresztą miała to przemyślane. Na ojca nie mogła liczyć. Wiedziała to od tej chwili, kiedy po raz pierwszy Karol podniósł na nią rękę, pobił ją tak, że całe ręce, nogi i brzuch miała w siniakach, uciekła od niego do rodzinnego domu, do ojca, a on owszem, wpuścił ją, posadził przy stole, zrobił herbaty, a potem kazał jej się uspokoić i wracać do męża.

„Przysięgałaś przed Bogiem, tam teraz twoje miejsce – powiedział twardo. – Widać skoro tak zareagował, czymś musiałaś zawinić. Karol to dobry człowiek, a żona powinna słuchać męża”.

Do tej pory pamiętała szok, który wtedy przeżyła. Mama już wtedy nie żyła, ale nawet gdyby była wśród nich, to pewnie i tak niewiele by wskórała... Przecież też była żoną.

Dlatego wiedziała, że nie ma po co stukać do drzwi swojego rodzinnego domu. Przyjaciół nie miała, Karol skutecznie odizolował ją od wszystkich. Pozostawało więc tylko jedno miejsce.

Po dość długim marszu stanęły przed otynkowanym na biało budynkiem. Pamiętała, jak wtedy uspokajająco uścisnęła rękę córce i chyba nawet powiedziała coś w rodzaju, że wszystko będzie dobrze, i że nawet wyszło jej to całkiem pewnie, chociaż wcale a wcale tej pewności nie czuła.

I mimo że był środek nocy, uniosła w końcu rękę i przytknęła zziębnięte palce do dzwonka. A potem już ich nie oderwała, dopóki drzwi się nie otworzyły i nie stanął w nich potargany, zaspany mężczyzna, a za nim, owijając się w pośpiechu szlafrokiem, pani psycholog.

Po chwili były już w środku, usadzone na kanapie, opatulone kocami. Poczekala wtedy, aż mała uśnie, i dopiero powiedziała, z czym przyszła.

– Nie miałam dokąd pójść – zakończyła z rozpaczą. – A gdzieś musiałam.

– Wiesz, że ja nie mogę, nie powinnam angażować się bezpośrednio, osobiście – zająknęła się siedząca naprzeciwko niej kobieta i pokręciła głową.

„A więc to byłoby na tyle – pomyślała z rozpaczą. – Limit cudów się wyczerpał”.

I co z tego, że udało im się uciec, dotrzeć aż tutaj, jeżeli rano będą musiały wrócić do piekła...

– Poczekaj, wiem, że nie powinnaś, ale to jest taka sytuacja, której nie można zostawić samej sobie – ku jej zaskoczeniu z pomocą przyszedł jej mężczyzna, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się ich rozmowie. – Przecież nie możemy pani odesłać, gdybyśmy to zrobili, nie mógłbym już nigdy spojrzeć na siebie w lustrze. Widzisz, jak ona wygląda? – zwrócił się do żony i sugestywnie spojrzał na posiniaczoną twarz kobiety.

– Widzę, Michał, przecież nie jestem ślepa, ale... – Zamilkła i pokręciła głową, a w oczach pojawiły jej się łzy.

– Ale ja mam rozwiązanie – podszedł do żony i uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

Do tej pory pamiętała, ile w tym gościu było czułości i jak mocno ją coś w środku szarpnęło na samą myśl, że ona nigdy w życiu czegoś podobnego nie doświadczyła. Niby nic, pogłaskanie, a ona czuła, że dużo by oddała, żeby znalazł się ktoś, kto chociaż raz z taką delikatnością by jej dotknął.

– Pani mówiła, że ma pieniądze, tak? – spojrzał jej w oczy.

– Mam – przytaknęła, rozsądnie nie dodając, że zabrała je Karolowi. – Mogę zapłacić za pomoc, mogę...

– Niech pani nawet tak nie myśli! Nie dlatego pytałem! Dobrze, że je pani ma, bo zanim pani sobie wszystko poukłada, znajdzie pracę, to pewnie trochę czasu minie... Ty nie powinnaś rzeczywiście w to się mieszać, bo to by znaczyło, że trzeba zrobić to formalnie, zawiadomić kogo trzeba, bo obowiązują cię pewne procedury – zwrócił się do żony. – Ale mnie one nie dotyczą. Dlatego zrobimy po mojemu.

A potem wyłuszczył swój plan. Powiedział, że z całą pewnością nie mogą tu zostać i że nie chodzi mu tylko o ich dom, ale ogólnie o miasteczko.

– To jest za mała miejscina, tutaj nie mogłaby się pani ukryć. Znajdzie panią bez trudu i nigdy się pani od niego nie uwolni. Trzeba wyjechać, najlepiej dość daleko i dla pewności do dużego miasta – stwierdził.

Zaproponował Warszawę. Jego brat miał tam kawalerkę, ale aktualnie przebywał za granicą. Wracał za trzy miesiące. Powiedział, że przez ten czas będą mogli tam mieszkać, że on wszystko załatwi. Że do czasu powrotu jego brata będzie musiała poszukać mieszkania.

Popłakała się wtedy. Z ulgi i wdzięczności. Czowała, jakby ktoś podarował jej gwiazdkę z nieba. I następnego dnia rzeczywiście odwiózł ją do Warszawy.

I święta, które nadeszły, były pierwszymi takimi, o jakich marzyła. Miały z córeczką, może nie tak wielką, jak by chciała, ale za to żywą choinkę. Pachniała tak pięknie, jakby nie była jednym małym drzewkiem, lecz co najmniej jakby razem z nią przybył do mieszkania aromat połowy lasu. Nie miały bombek, ale udekorowały drzewko pieczonymi i ozdobionymi w domu pierniczkami i kokardkami, które umiała wiązać w dekoracyjny sposób. Zawsze miała smykałkę do szycia i zręczne palce. Miały adapter i płytę z kolędami i mogły śpiewać na cały głos. Miały biały obrus i talerzyk z opłatkiem. Miały siebie. A pod choinką czekały na małą

dwie paczuszki. Tak bardzo się cieszyła, że mogła jej kupić prezenty. Nic wielkiego, w pierwszej, zapakowanej w czerwoną bibułkę, czekał na niecierpliwie dziecięce rączki kędzierzawy miś, a w drugiej ukryta była piękna, strojna sukienka. Taka, jakiej Karol w życiu by nie pozwolił córce włożyć.

Ile było radości z tych drobiazgów! Miś od razu stał się nieodłącznym kompanem starego, a sukienkę mała włożyła natychmiast po odpakowaniu. Widać było po jej minie i po tym, jak ogląda swoje odbicie w lustrze w przedpokoju, że czuje się naprawdę piękna. I rzeczywiście taka była. Śliczna, szczęśliwa i radosna. I po raz pierwszy z oczu zniknął jej ten straszliwy wyraz starczej powagi. Choć może nie tak do końca, może gdzieś tam jeszcze w głębi się czał, ale w końcu nie można było się łudzić, że zniknie tak szybko. Obu im potrzebny był czas, ale na całe szczęście miały go pod dostatkiem. Przynajmniej wtedy jej się tak wydawało.

Tak zaczęła nowe życie, w którym, o dziwo, całkiem nieźle sobie radziła. Znalazła pracę, była dobrą krawcową, wynajęła większe mieszkanie. Było tak dobrze, że w końcu poczuła się zbyt pewnie i zaczęła wierzyć w to, że przecież skoro tyle się zmieniło, ona się zmieniła, to może ma też szansę na miłość. Tym bardziej że ktoś, wydawałoby się dobry i całkiem przyzwoity, pojawił się w jej życiu.

I to był najgorszy błąd, który popełniła. Straciła czujność i umknęło jej, że słowo „całkiem” jest niewystarczające. Zanim się zorientowała, było już za późno. Już nie umiała się wyzwolić, nie miała sił na zaczynanie wszystkiego od początku.

Jedynym plusem było to, że jej nie bił. Nigdy nie podniósł na nią ani na małą rękę. Dręczył je w zupełnie inny sposób. Po pierwszym roku z nim czuła się głupia i bezwartościowa, a oczy córki znów zaczęły przypominać oczy starego, doświadczonego przez życie człowieka.

O tym właśnie myślała, widząc idące ulicą dziewczyny z wózkami. Na ich widok mimowolnie się uśmiechnęła, z poczuciem absurdalnego szczęścia, że mają siebie. Przyspieszyła kroku i wtedy kątem oka go zobaczyła: granatowy, dobrze znajomy samochód jadący wolniutko tuż przy krawężniku. Ten ułamek sekundy wystarczył, żeby uchwycić, że kierowca nie spuszcza z niej oczu.

Starając się nie dać po sobie poznać, że cokolwiek zauważyła, i pilnując, żeby – broń Boże – nie przyspieszyć ani trochę kroku, obrzuciła spojrzeniem budynki, które miała przed sobą. A jednak miała szczęście! Teraz już nie przejmowała się tym, żeby iść tym samym tempem, wręcz przeciwnie – z pełnym rozmysłem przyspieszyła i wpatrując się uważnie w przeszkloną witrynę, nawet zamachała ręką i zmusiła się do uśmiechu. A potem pewnym krokiem, z tłukącym się w piersiach sercem, popchnęła z całych sił oszklone drzwi i weszła do wnętrza znajdującej się za nimi kawiarni. Ledwo znalazła się w środku, sztuczny uśmiech znikł z jej twarzy, a na jego miejscu pojawił się wyraz czujności. Przystanęła koło stojącego blisko wejścia wieszaka i drżącymi palcami zaczęła odpinać guziki płaszcza, nie spuszczać wzroku z widocznej stąd ulicy.

Tak jak przypuszczała, samochód zatrzymał się *vis-à-vis* kawiarni i wysiadł z niego mężczyzna o ostrych rysach twarzy, o wąskich ustach zaciśniętych w surową linijkę. Nie troszczył się o miejsce parkingowe, po prostu zostawił samochód tam, gdzie było mu wygodnie, co zresztą jej nie zdziwiło. Widziała, jak zmierza ukosem przez chodnik w stronę kawiarni, i przyspieszyła ruchy, gorączkowo starając się pozbyć płaszcza, w rękawie którego jak na złość utknęła jej ręka. W końcu jej się udało, odwiesiła go byle jak i nie zastanawiając się, podeszła do jednego ze stolików stojących tuż przy oknie. Był zajęty. Siedziała przy nim kobieta, elegancko ubrana, z nogą założoną na nogę. Wyglądała tak, jakby wyszła prosto z kart

żurnalu. I to niewątpliwie był szczęśliwy zbieg okoliczności, ktoś taki był jej teraz bardzo potrzebny. Gdy stanęła przy stoliku, kątem oka zobaczyła, że mężczyzna przystaje tuż przed oszkloną witryną i wpatruje się w nią intensywnie. Odwróciła głowę tak, żeby nie domyślił się, że go zobaczyła, oparła się dłonią o blat. Siedząca kobieta z pytającym wyrazem w oczach uniosła głowę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale słabo się poczułam, zakręciło mi się w głowie. Mogę na chwilę przysiąść? – zapytała, przywołując na twarz uśmiech.

– Oczywiście, może pani pomogę albo przyniosę wody? – Elegantka zareagowała dokładnie tak, jak na to liczyła: natychmiast się podniosła i pochyliła w jej stronę.

Dla kogoś z zewnątrz wyglądało to tak, jakby obie panie się witały. I o to właśnie chodziło. Przecież wychodząc z domu, powiedziała mu, że zaprzyjaźniła się z jedną z klientek i umówiła się z nią na kawę. Wyzwał ją wtedy od kłamliwych, obrzydliwych świń, rzucił, że z takim niczym nikt wartościowy nawet słowa nie zamieni. Jego słowa nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia. Była do nich przyzwyczajona do tego stopnia, że nawet nie za bardzo ich słuchała. Miał stały repertuar i dość zawężone słownictwo. Bała się tylko, że nie pozwoli jej wyjść. Ale o dziwo – machnął ręką i dał jej spokój. Teraz rozumiała dlaczego. Po prostu coś podejrzewał i chciał ją przyłapać, chciał ją zdemaskować. Nic dziwnego, że widząc ją podchodzącą do stolika zajętego przez elegancką kobietę, stanął jak wryty. Na jego twarzy odbiło się autentyczne zdumienie.

– To co? Ja pójdę po tę wodę – powiedziała elegantka i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że zajęta ukradkowym obserwowaniem mężczyzny nie odpowiedziała jej na pytanie.

– Nie, nie trzeba, wystarczy, jeżeli chwilę posiedzę – powiedziała, odsuwając krzesło i przysiadając na nim.

Jej towarzyszka zrobiła to samo. Zakłopotana, nie do końca wiedząc, co ma zrobić, zaplotła palce na filiżance z kawą.

– A może powinna pani coś zjeść? – przerwała w końcu przedłużając się ciszę. – Zawsze jak wyjdę z domu bez śniadania, to potem czuję się nie najlepiej – dodała.

– Pewnie ma pani rację, ale już mi przeszło – powiedziała, lekko przechylając głowę i widząc, że mężczyzna odchodzi w stronę samochodu. – Jakaś chwilowa niedyspozycja – dodała. – To ja już nie przeszkadzam – dorzuciła, rejestrując, że tamten wszedł właśnie do auta.

Z samochodu nie mógł widzieć wnętrza kawiarni, a ona nie miała ani minuty do stracenia. Zerwała się od stolika.

– Dziękuję – rzuciła w biegu i chwyciwszy swój płaszcz, wypadła na zewnątrz.

Dla pewności rozejrzała się wokół siebie, nie dostrzegła jednak ani samochodu, ani kierowcy. Ale i tak wiedziała, że nie odważy się zaryzykować. Ani dziś, ani w najbliższym czasie. Trzeba było wymyślić coś innego. I w tym momencie przypomniały jej się dwa wózki i dwie dziewczyny. Już wiedziała, co ma zrobić. Jedna z nich weszła do bramy, a druga zawróciła. I to była jej szansa.

Po pierwszym ataku paniki Michalina niespodziewanie szybko odzyskała zimną krew.

Obca kobieta, bo niewątpliwie to właśnie była kobieta – poznała po głosie – pewnie szła za nią już od jakiegoś czasu.

„Czego ona może ode mnie chcieć? Kim jest i kto ją na mnie nasłał?” – przemknęło jej przez głowę.

Nerwowo przełknęła ślinę, zastanawiając się, co teraz powinna zrobić. Nie знаła tego głosu, tego była pewna. Ale wokół niej było pełno ludzi, szły ruchliwą ulicą... Co kobieta mogła chcieć uzyskać, atakując ją wśród takiego tłumu? W końcu co by zrobiła, gdyby Michalina jej nie posłuchała i się odwróciła? Albo zwyczajnie stanęła, zaczepiła kogoś i poprosiła o pomoc? Chyba by się na nią nie rzuciła ani nie wyrwała wózka na oczach tylu ludzi...

To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Ale też nie zmieniało faktu, że ani chybi jakaś psychopatka postawiła jej żądania. A ze stosowania się do zaleceń psychopatów nigdy nie wynikało nic dobrego. Taki morał przynajmniej można było wyciągnąć z filmów. Innej wiedzy na ten temat niestety nie miała.

Jednocześnie to żądanie było co najmniej dziwne, żeby nie powiedzieć: głupie. Bo po jakie licho kazać swojej potencjalnej ofierze iść do dużego marketu, w którym pełno jest ochrony? To po prostu nie miało sensu.

„Chyba że to jakiś głupi dowcip... Albo trafił mi się psychopata o małym rozumku – pomyślała, zagryzając dolną wargę. – Właściwie to wolałabym już to pierwsze, chociaż nie chciałabym być później w skórze tego dowcipnisia, bo chyba bym go własnoręcznie udusiła...”

Najchętniej w tej chwili odwróciłaby się, żeby sprawdzić, kto za nią idzie, lecz coś ją przed tym powstrzymywało. W końcu była sama z Klarą i przede wszystkim musiała chronić dziecko. Jeżeli ten ktoś miał nie po kolei w głowie, to jednak nie można było mieć pewności, jak się zachowa.

„Chyba najlepiej będzie, jeżeli zastosuję się do tego idiotycznego żądania – dotarło do niej. – Wejdę do tego sklepu, znajdę alejkę, w której akurat będzie dużo ludzi albo najlepiej ochroniarz, i przekonam się, o co chodzi i kim jest ta skradająca się kobieta. Tam jest wszędzie pełno kamer, w razie czego zacznę krzyczeć, wzywać pomocy, ostatecznie zwałę coś z półek. A wtedy mam zagwarantowane, że co najmniej pół ochrony z własnej, nieprzymuszonej woli do mnie przybiegnie” – zdecydowała, zaciskając dłonie na rękojeści wózka, i odruchowo przyspieszyła kroku.

Gdy stanęła przed rozsuwanymi drzwiami, głośno przełknęła ślinę i szybko weszła do środka. Błyskawicznie rozejrzała się wokół siebie, jednocześnie sięgając do kieszeni kurtki i wyciągając z niej telefon, który wsunęła w rękaw, tak że na pierwszy rzut oka był niewidoczny. Zapamiętała, że przy bramkach przy kasach samoobsługowych stoi dwóch ochroniarzy.

„No to trzeba dostać się jak najbliżej nich” – pomyślała i szybkim krokiem ruszyła w głąb sklepu.

Nie doszła jednak do upatrzonego miejsca, bo ktoś mocno chwycił ją za rękaw kurtki.

Niewiele myśląc, obróciła się tak, żeby przede wszystkim całą sobą zasłonić wózek, i stanęła oko w oko z mizernie wyglądającą kobietą. Zielony, wyraźnie zbyt obszerny płaszcz sprawiał, że wyglądała na jeszcze drobniejszą, niż była.

I nie wyglądała wcale na psychopatkę, ale na kogoś przerażonego bardziej niż Michalina.

Przez moment stały naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem.

– Kim pani jest i czego chce? – Michalina w końcu pierwsza przerwała przedłużającą się ciszę i mocno zacisnęła palce na komórce.

– Przepraszam, że to tak wyszło – powiedziała tamta, jakby nie słysząc pytań. – Nie chciałam cię przestraszyć, ale bałam się, że tam na ulicy może nas ktoś zobaczyć... Ktoś konkretny. A to by była katastrofa, uwierz mi! Katastrofa do potęgi entej!

– Nic z tego nie rozumiem. Najpierw mnie pani straszy, potem przeprasza... O co chodzi? – Michalina nerwowo rozejrzała się dookoła i uspokojona zobaczyła, że przygląda im się jeden z ochroniarzy.

Widać tym, że stały wciąż w tym samym miejscu, w dziwnych pozach – bo Michalina cały czas robiła wszystko, żeby przysłaniać wózek – obudziły jego czujność.

Zwykle potwornie ją drażniło, gdy zauważała, że któryś z ochroniarzy zaczyna podejrzliwie na nią patrzeć albo – jeszcze gorzej – niby to przypadkiem podąża jej śladem. Rozumiała poniekąd, że taką mieli robotę, jednak taka jawna, wręcz ostentacyjna podejrzliwość niepomrotnie ją wkurzała. Ale teraz była gotowa wręcz ozłocić tego nieufnego i niezbyt biegłego w kamuflażu faceta.

– Widziałam cię z nią! I tak się cieszę, że w końcu ma kogoś, z kim się zaprzyjaźniła, i to kogoś w podobnym wieku! Przecież to nienormalne, żeby młoda dziewczyna nie miała żadnej przyjaciółki, prawda? Żeby nie miała nikogo! Zwłaszcza teraz... No właśnie – ciągnęła dalej, nie czekając na odpowiedź. – Ja do niej szłam, staram się przychodzić chociaż raz w miesiącu, ale nie zawsze mi się udaje. I dziś właśnie się nie udało, chociaż było blisko! Tak bardzo za nimi tęsknię, za Tosią i Haską – dodała, a w oczach Michaliny pojawił się błysk zrozumienia.

– A więc chodzi o Haśkę – powiedziała powoli, zastanawiając się, czy przypadkiem nie powinna uświadomić tej kobiecie, że ona tak naprawdę Haśki nie zna i że zapewne, cokolwiek będzie od niej chciała, to raczej nie potrafi pomóc. – Widzi pani, ja nie bardzo wiem...

– Domyślam się, że nie wiesz. Ona ci pewnie nic nie powiedziała. Nie przejmuj się, powie wszystko, jak ci bardziej zaufa. A teraz mam do ciebie ogromną prośbę: daj jej to, dobrze? – Wyciągnęła w stronę Michaliny małą reklamówkę. – Ja już nie odważę się do niej podejść. Nie w najbliższym czasie. Edward nie może się dowiedzieć, gdzie ona mieszka i że ja ją od czasu do czasu widuję. Niby wiesz, nic jej nie może zrobić, ale znam go, on umie komplikować życie... Przekażesz jej to? Tam jest koperta, udało mi się odłożyć parę groszy, będą miały z Tosią na święta. I rękawiczki. Sama uszyłam. Ostatnio miała tak bardzo zmarzniete ręce... Jak sobie pomyślę, że jak była malutka, to miała takie ciepłe, gładkie i miękkie rączki. – Przerwała i pokręciła głową, a w oczach zalśniły jej łzy. – Jak sobie pomyślę, że ona teraz marznie, to... To... Zresztą nieważne. – Ukradkiem wytarła policzek, po którym spłynęła jej mokra strużka. – Muszę już iść. Bo wiesz, nie wiadomo, czy on cię nie widział i nie skojarzy. Czy gdzieś się tu nie czai. – Odwróciła się z zamiarem odejścia. – Aha, może nie idź tam dziś, tylko jutro – jednak zmieniła zdanie i zawróciła. – Tak na wszelki wypadek. Jutro Edward cały dzień jest w szwalni, ja też... Nie będzie miał głowy do niczego innego, tylko do pilnowania interesu.

– W szwalni? – powtórzyła Michalina, gęsto mrugając i czując w głowie narastający mętlik.

– W szwalni. Jest ogromne przedświąteczne zamówienie na kostiumy elfów... Zabawne, że zajmuje się tym ktoś, kto kompletnie nie ma pojęcia, czym są święta... Ale za to wie, jak robić pieniądze – dodała i znów się odwróciła.

I zanim Michalina zdumiona tym wszystkim, co usłyszała, zdążyła zebrać, myśli tamta już była przy drzwiach wejściowych.

– Proszę pani! – zawołała za nią i lawirując wózkiem pomiędzy porozstawianymi stertami towarów, rzuciła się w kierunku wyjściowych bramek. – Proszę pani!

– No właśnie, proszę pani. – Nagle tuż przed nią wyrosła wybujała postać potężnego ochroniarza i zastąpiła jej drogę tak gwałtownie, że ledwo zdążyła wyhamować. – Tego to jeszcze nie widziałem, ładnie to sobie panie wykombinowały – powiedział olbrzym, unosząc brwi i patrząc na Michalinę wzrokiem pełnym potępienia.

– Nie wiem, o co panu chodzi – odparła nieuważnie, stając na palcach i usiłując przez szybę dostrzec, w którą stronę pójdzie kobieta.

– No pewnie, w takich sytuacjach nikt nigdy nic nie rozumie. A to pani dziecko, tak? I nie wstyd pani? Na robotę z takim maluchem chodzić? To miało osłabić naszą czujność, co? Mama z wózkiem powinna budzić zaufanie. Wspólniczka już sobie poszła, niby to pani ją goni, a w rękawie co jest? – zakończył i spojrzał na Michalinę spod groźnie zmarszczonych brwi.

– W jakim rękawie? – Dziewczyna obrzuciła go zdumionym spojrzeniem, a potem w nagłym olśnieniu popatrzyła na swoją schowaną w rękaw kurtki dłoń. – O matko – jęknęła i pokręciła głową.

– No właśnie, i wyszło szydło z worka. Jak trwoga, to matkę się wzywa, a lepiej, żeby nie wiedziała, co córeczka wyczynia...

– Panie kochany, tak dla wiadomości, to moja matka nie żyje. – Michalina poczuła, że opanowuje ją wściekłość. – A w rękawie mam schowaną swoją własną komórkę, telefon, za który uczciwie zapłaciłam! A pan nawet nie wie, jak skomplikował mi życie! – Gotując się ze złości, wyciągnęła ukrytą do tej pory dłoń.

– A, rzeczywiście... No głupio wyszło – zwalisty, niedźwiedziowaty ochroniarz wyraźnie się speszył. – Ale to po co panie tak się pomiędzy tymi regałami czały, co?

– Nawet gdybym chciała to panu wyjaśnić, to i tak by pan nie zrozumiał! A ja jej chciałam tylko powiedzieć, żeby się nie martwiła, bo Haśka ma już rękawiczki! Wrzuciłam jej do wózka. – Pokręciła z rezygnacją głową.

– Nic z tego nie rozumiem. – Ochroniarz z minuty na minutę wyglądał na coraz bardziej strapionego.

– No, przecież mówiłam, że tak będzie – uświadomiła go Michalina. – Mogę już iść czy chce pan przeszukać wózek? – dodała kąśliwie.

– Nie, nie! Proszę iść. I tego, przepraszam – rzucił, chociaż nie bardzo wiedział, czemu właściwie to mówi. W końcu nic złego nie zrobił, wykonywał tylko swoją pracę, ale było w tej dziewczynie coś takiego, co sprawiało, że jednak było mu głupio. – No i poszła – mruknął, patrząc za znikającą za drzwiami postacią. – Ludzie to jednak dziwni byli, są i dziwni zostaną – dodał i głęboko westchnął, godząc się w ten sposób z tym, że nigdy nie zrozumie swoich bliźnich. Nawet jeżeli nie wiem, jak by się starał.

Mimo że po wyjściu ze sklepu Michalina uważnie się rozglądała, nigdzie już nie dostrzegła drobnej kobiety w zbyt obszernym zielonym płaszczu. Z westchnieniem schowała więc reklamówkę, którą od niej dostała, do torby i w tym samym momencie rozdzwoniła się jej komórka, a Klara otworzyła oczy i powiodła wokół siebie uważnym spojrzeniem.

„No to zaraz się zacznij” – pomyślała zgnębiona Michalina i ruszyła szybkim krokiem przed siebie, odbierając jednocześnie telefon.

– Nelu, wiem, powinnam już być, ale tu się dzieją takie rzeczy, że trudno w to uwierzyć. Opowiem ci, jak dotrę. Tylko najpierw chyba przejdę pod dom, bo mam po drodze...

– Nie wiem, jakim cudem idąc do mnie, ty nadal masz swój dom po drodze, ale teraz nie będę w to wnikać – odpowiedział jej wyraźnie urażony głos Neli. – I dobrze ci radzę, nie zachodź tam, tylko przyjdź od razu do mnie. Inaczej będziesz w ciężkim szoku, a ja będę miała wyrzuty sumienia, a sama wiesz, że w przypadku zgryźliwych staruszek, nienawykłych do takich uczuć, wyrzuty sumienia są bardzo niebezpieczne. I mogą je wpędzić do grobu!

– Nie sądzę, żeby to było możliwe. Ani wpędzenie cię do grobu, ani to, że doznam szoku. Mnie po dzisiejszym poranku raczej nic już nie zdziwi. No chyba że Kotula ma kochankę i mają tam właśnie schadzkę...

– Czyś ty, dziewczyno, kompletnie oszalała? Ten biedny chłopak nie widzi świata poza tobą! Żadna kochanka z głową na karku by na to nie poszła! Ale do domu i tak nie chodź. Bo popsujesz całą niespodziankę! Chociaż między nami mówiąc, nie wiem, co to zmieni, i tak zobaczysz to rumowisko, bo przecież dziś ci cali fachowcy mają li i jedynie wybebeszyć

kuchnię... No i wychlapałam – połapała się ponieważ. – To wszystko przez ciebie! Po co zadajesz podchwytliwe pytania?

– Ja? Ja od długiego czasu nie mogę ci przerwać i dojść do głosu, sama jesteś sobie winna! A teraz mów, jacy fachowcy i co robią z kuchnią!

– I tak mleko się rozlało. Powiem ci, ale u mnie! I czyżbym słyszała, że nasze małeństwo kwili? – zapytała z zaniepokojeniem.

– No, jeżeli ten ogłuszający ryk nazywasz kwileniem, to rzeczywiście kwili tak, że uszy więdną. A teraz kończę, bo i tak cię w tym wrzasku nie słyszę. I nie przejmuj się, idę prosto do ciebie. I przygotuj się na to, że wyciągnę z ciebie wszystkie ponure szczegóły – zakończyła i się rozłączyła.

A potem, prawie biegnąc, ruszyła w kierunku kamienicy Neli.

Był już późny wieczór, gdy wrócili do domu. Kotula przyjechał po nią do Neli, ale nie wyszli od razu, bo jeszcze przygotowali wspólną kolację, zasiedzieli się przy niej, Michalina po raz kolejny opowiedziała o tym, jak spotkała Haškę. A potem starsza pani wyciągnęła z kredensu koniakówki i z uroczystą miną postawiła je na stole.

– No, kochani, nie wypuszczę was bez toastu – powiedziała z uśmiechem.

– A co? Opijamy to, że ślusarz uszedł z życiem? – mruknęła Michalina.

– Nawet nie wspominaj mi o tym partaczu! Przez niego będę musiała wymieniać cały zamek! A on przetrwał i Ruskich, i Niemca, wojnę przeżył! Byliśmy ze sobą zżyci! – Nela pociągnęła nosem.

– To może spróbujemy dać mu jakoś drugie życie, coś z niego zrobić. – Kotula rzucił Michalinie karcące spojrzenie. – A teraz powiedz lepiej, Nelu, co to za okazja – umiejętnie odwrócił uwagę starszej pani od przykrego dla niej tematu.

– Ostatni dzień listopada – odpowiedziała krótko i popatrzyła na siedzących przy jej stole z ogromną, niespotykaną u niej na co dzień, czułością. – Rok temu... Cóż, rok temu byłam na was wściekła. Bo storpedowaliście moje plany, zlekceważyliście moje zalecenia, zwaliliście mi się na głowę i kompletnie namieszaliście mi w życiu. I za to możemy wypić pierwszy toast, bo właściwie sprawiliście mi tym ogromną przyjemność. Zanim się zjawiliście, mogłam wkurzać się jedynie ogólnie: na świat. A tu nareszcie pojawił się konkret. I jak wam doskonale wiadomo, ja uwielbiam się wyzłośliwiać, więc początek naszej znajomości wyglądał bardzo obiecująco.

– I wzajemnie, Nelu. – Michalina uśmiechnęła się rozczulona. – A nawiązując do tej twojej wściekłości: do dziś pamiętam, jak usiłowałaś mną rządzić! Ale... – zamachała ręką, nie dopuszczając starszej pani do głosu – ... ale pamiętam też, co wtedy usłyszałam od Gabrysi. Coś bardzo ważnego i mądrego. I to właściwie było i o mnie, i o tobie, Nelu, jednocześnie. – Uśmiechnęła się lekko.

– No co takiego od niej usłyszałaś? – mówiąc to, starsza pani otworzyła kredens i na moment zanurzyła się w jego wnętrzu. – I to dodatkowo pasującego do nas obu? – zapytała i wyciągnęła z czeluści szafki koniak, po czym wręczyła go Konstantemu, który bez słowa odkręcił butelkę i nalał bursztynowego płynu do kieliszków.

– A to wymaga pewnego wstępu – powiedziała Michalina. – Wtedy zupełnie tak jak ty, Nelu, byłam zła i przestraszona. Bo nagle zetknęłam się z kimś takim jak ty, wiem, jak to brzmi, ale mam nadzieję, że mnie rozumiesz i się nie gniewasz. – Zerknęła na nią spod oka. – Z kimś, kto na mnie pokrzykiwał, mówił mi, co mam robić, i bezpardonowo mną rządził. A co najgorsze, bałam się, że widzisz we mnie kogoś, kim nigdy nie mogłam się stać... – Zamilkła, przygryzając wargę, i widać było, że zastanawia się, czy może mówić dalej. To był delikatny temat.

– Przecież wiem. – Nela poklepała ją uspokajająco po dłoni. – Nie musisz się tak nade mną trząść, nie jestem z porcelany, nie rozpadnę się, spokojna głowa. A poza tym wykrzyczałaś mi to prosto w twarz. Wtedy gdy byliśmy na zakupach i chciałaś iść do Gabrysi, a ja nie chciałam cię puścić...

Nela na moment odwróciła głowę i zapatrzyła się w panującą za oknem ciemność. Przed oczami stanęła jej tamta scena.

Sklep z ubraniami i wściekła Michalina stojąca przed nią.

„Nie uciekam, nie zostawiam cię... Nie martw się, dobrze zrozumiałam, co mi chciałaś w zawołany sposób powiedzieć. Uważasz, że dostałaś mnie w zastępstwie zaginionej siostry... Wolałabyś ją, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma! I wydaje ci się, że musisz się mną zająć! Ale ja nie jestem tą dawno temu zaginioną, której tak uparcie wypatrujesz!”

Tak jej wtedy powiedziała. Nie licząc się ze słowami, niesiona gniewem i wściekłością. Zresztą chyba dzięki temu, że była i szczerą, i taką pyską, Nela tak bardzo ją polubiła.

No i po tym jak to wszystko z siebie wyrzuciła i odeszła załatwiać te swoje ważne sprawy, właśnie wtedy, patrząc, jak zamykają się za nią drzwi sklepu, Nela zdała sobie sprawę, jak bardzo ważna stała się dla niej ta dziewczyna, która na początku jawiła jej się jedynie jako dopust boży. Tak bardzo się do niej przywiązała, że to odejście wywołało w niej całą burzę uczuć. I doprowadziło do łez. A przecież ona z założenia nie płakała. A już na pewno nie w towarzystwie.

Tamtego dnia jednak zupełnie jak nie ona straciła panowanie nad sobą i gdy zjawił się Konstanty, na którego czekała, roztrzęsiona i zrozpaczona, przez łzy powiedziała mu, że się spóźnił. I że już nic nie można zrobić. I że ją zgubili, a właściwie to ona ją zgubiła. I że zupełnie nie wie, co to znaczy i czym się skończy.

I właśnie wtedy, patrząc na pobladłego nagle Konstantego, dotarło do niej, że nie tylko dla niej Michalina stała się kimś wyjątkowym. Owszem, wiedziała, że coś tam pomiędzy tą dwójką iskrzy, ale przecież to jeszcze nic nie znaczyło. Dopiero wtedy, w tym sklepie, pośród puchatych swetrów, spodni dżinsowych, czapek z pomponami, zrozumiała, patrząc w nagle pociemniałe oczy mężczyzny, że nawet jeżeli on jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, już pokochał Michalinę.

– Halo, Nelu, tu ziemia – wdarł się w jej rozmyślania głos dziewczyny. – Jak zwykle mnie nie słuchasz!

– A gdzie tam, słucham, tylko z przerwami – mruknęła starsza pani. – Zaczęłaś o tym wszystkim mówić i tak jakoś też mi się przypomniał tamten dzień. Ale poczekajcie, najpierw wypijmy za to, że wtedy, pod kościołem, na mnie wpadliście! – mówiąc to, uniosła kieliszek i upiła mały łycalek.

Konstanty i Michalina zrobili to samo.

– No to teraz mów: chyba już możesz bez zbędnych wstępów przejść do Gabrysi. – Nela uśmiechnęła się i zakołysała lekko kieliszkiem.

– A więc ja wtedy poszłam do kwaciarni i opowiedziałam Gabrysi o wszystkim, o naszej kłótni i o tym, że jest z ciebie, Nelu, potworna zamordystka... Znaczący nie powiedziałam tego tymi słowami, ale to miałam na myśli. Byłam wtedy bardzo zła, a jednocześnie czułam niesmak na myśl o tym, jak podle cię potraktowałam.

– Podoba mi się twój bezinteresowny i jakże właściwy samokrytycyzm – mruknęła starsza pani pod nosem.

– Wyznałam jej też w przypływie szczerości, że najbardziej boję się tego, że ty widzisz we mnie swoją zaginioną siostrę, a przecież ja nigdy nią nie będę – ciągnęła Michalina, z rozmysłem ignorując uwagę o samokrytycyzmie. – I wtedy padły słowa, które będę do końca życia pamiętać, chyba nawet zrobię sobie taką tabliczkę z tekstem, który wtedy usłyszałam, i powieszę ją w jakimś widocznym miejscu...

– Nie chcę być czepliwy, ale strasznie kluczysz. Do sedna, Michasia, konkret. Co powiedziała Gabrysia? – wtrącił ponagłajaco Kotula.

– Gabrysia powiedziała, że może to kompletnie nie tak, jak mi się wydaje. Że może Nela wcale nie widzi we mnie kogoś, kto dawno temu odszedł, tylko dostrzega we mnie nadzieję, bo przecież nie można żyć tylko przeszłością. I że może to, że ja się u niej zjawiłam, otworzyło zatrzaśnięte

do tej pory drzwi do tego, co tu i teraz. I że niewykluczone, że dla ciebie – tu pochyliła się w stronę starszej pani – jestem tym wyproszonym cudem, bo z cudami nigdy nic nie wiadomo. A na koniec, gdy już wychodziłam, dodała coś, co najbardziej zapadło mi w pamięć i zostało w sercu, i chyba to najbardziej mnie zmieniło – głos Michaliny nieznacznie drgnął. – Powiedziała, że nigdy nie można mieć wszystkiego. – Zamilkła na chwilę i na sekundę przymknęła oczy.

„Gdy nikogo koło ciebie nie było, mogłaś robić, co chciałaś i jak chciałaś – przemknęły jej przez głowę słowa Gabrysi, które były wstępem do tego najważniejszego. – Ale byłaś samotna, prawda?”

Chcąc nie chcąc, musiała jej wtedy przytaknąć.

„Choć zrobiłam to niechętnie” – pomyślała, marszcząc nos.

– Nigdy mi o tym nie opowiadałaś – głos Konstantego dotarł do niej jakby z oddali.

– Możliwe, to było coś, co najpierw musiałam sobie przemyśleć. – Potrząsnęła głową.

– To, że nie można mieć wszystkiego? – w głosie Neli zabrzmiało zdumienie. – To chyba dość oczywista oczywistość.

– Nie, to, co powiedziała później. Że kiedy jest się samotnym, można robić, co się chce, ale kiedy zaczynają się wokół ciebie gromadzić ludzie, którym na tobie zależy, to okazują ci troskę. I nie zawsze musi ci się to podobać, bo czasem może wyglądać to tak, jakby wchodzili bezpardonowo z butami w każdy centymetr twojego życia. A jednak to właśnie jest wyznacznik tego, że nie jesteś im obojętna. I tego, że już nie jesteś sama. I teraz, słuchajcie, najważniejsze, coś, co dotyczy nawet nie tylko mnie i Neli, ale nas wszystkich: że nie jest samotny ten, kto ma kogoś do kochania. Wiecie, jak wielkie szczęście nas spotkało? Nie grozi nam

samotność. Bo przecież mamy siebie – zakończyła i poczuła, że w oczach ma łzy.

Zresztą nie była w tym odosobniona, bo oczy starszej pani też podejrzenie zwilgotniały.

– Cóż, czuję się trochę tak, jakby już były święta, a ja bym otrzymała właśnie najpiękniejszy prezent... – wyszeptała Nela. – Brakuje tylko opłatka, żeby się nim przełamać... Ale tym nie ma się co przejmować, nadrobimy, i to już niebawem. A jak będziesz robiła dla siebie tabliczkę, o której wspominałaś, to pamiętaj też o mnie. Nie jest samotny ten, kto ma kogoś do kochania – powtórzyła i pociągnęła nosem. – Dobrze, że zdecydowałam się na wyciągnięcie najlepszego koniaku, jaki mam. TAKI – to słowo wymówiła ze szczególnym naciskiem – ostatni dzień listopada zasługuje na specjalne potraktowanie. A swoją drogą: jak ja mogłam przez tyle lat myśleć, że to najpaskudniejszy miesiąc w roku! Teraz już wiem, że uwielbiam listopad! I że do tej pory traktowałam go po macoszemu!

– To co? Jeszcze raz za ostatni dzień listopada. – Kotula uśmiechnął się i uniósł kieliszek.

– O tak, za dzień, który odmienił nasze życia, za odnalezienie tego, co pogubione, i za to, że rok temu poczułam coś, czego nie czułam od lat. Za to, że gdy kładłam się tamtego wieczoru do łóżka i już usypiałam, uświadomiłam sobie, że, paradoksalnie, układając się do snu, tak naprawdę budzę się do życia! I to wy mnie do tego życia przywróciliście, wasze zdrowie. – Nela również podniosła kieliszek i zamrugła gwałtownie, a po policzkach spłynęły jej dwie mokre strużki.

O dziwo, tym razem nie usiłowała tego ukryć. W końcu to były łzy wzruszenia i szczęścia, a tego nikt, absolutnie nikt nie musiał się wstydzić. Nawet starsze panie, które z założenia nigdy nie płaczą.

Zostawili samochód pod kamienicą Neli i wracali do domu piechotą.

– Zobacz, a ja, buc i kompletny ignorant, zupełnie zapomniałem, że dziś jest nasza pierwsza rocznica. – Konstanty uśmiechnął się, przyciągając Michalinę do siebie.

– Uważaj, wariacie, bo przewrócisz wózek. – Roześmiała się. – Jeżeli cię to pocieszy, to ja też jakoś tego w ten sposób nie widzę. – Spojrzała mu w oczy i poczuła, że nogi robią jej się miękkie jak z waty.

„Minął już rok, a ja nadal jestem w nim tak samo zakochana” – pomyślała i poczuła wszechogarniające szczęście.

– Czego nie widzisz? – zapytał, pochylając się jeszcze bardziej i muskając wargami kąciki jej ust.

– Tego, że to jest nasza rocznica... Dla mnie takim szczególnym dniem zawsze będzie Wigilia – wyszeptała.

– A nie dzień, gdy pierwszy raz cię pocałowałem? – wyszeptał prosto w jej usta. – Bo ja właśnie wtedy zrozumiałem, tak w pełni, że przepadłem, zakochałem się na zabój, na amen, na zawsze... Stałaś przede mną zapłakana, z zapuchniętymi oczami, zasmarkana. I nadal wydawałaś mi się piękna! Byłaś piękna. I smakowałaś... – Nic już nie powiedział i poszukał jej warg. – Dokładnie tak jak teraz, choć zupełnie inaczej – wyszeptał, gdy oderwał się w końcu od jej ust. – Smakowałaś tak jak to wszystko, za czym się tęskni, do czego się wraca, czego nigdy się nie zapomina. Byłaś i jesteś obietnicą. Tego, co najlepsze. Jesteś moja, a ja jestem twój. I tak, masz rację, nasza prawdziwa rocznica jest właśnie dwudziestego czwartego grudnia, bo może wcześniej wszystko się zaczęło, ale to właśnie w Wigilię już niczego nie musieliśmy przed sobą ukrywać. Dziś też możemy, Chaśka,

poświętować. Co ty na to, żebyśmy weszli na górę i napili się trochę wina...?

– Taak? – wymruczała Michalina. – A potem?

– A potem, potem... – Jego oczy rozgorzały i przeciągnął palcem po jej brodzie. – Może pozwolisz mi się zaskoczyć? – wymruczał.

W tym samym momencie z wózka rozległo się marudzenie.

– Hmmm, no to chyba rzeczywiście musimy iść na górę. – Zaśmiała się, z niechęcią wyplątując się z jego objęć. – I to obiecujące zaskoczenie będzie musiało chwilę poczekać. – W tym momencie znieruchomiała i zmarszczyła brwi. – A właśnie, tak mi się skojarzyło z zaskoczeniem... Czy ty na pewno nie chciałbyś mi czegoś powiedzieć, zanim wejdę do domu?

– Nie, chyba nie... – Zaskoczony Konstanty zmarszczył z zastanowieniem brwi.

– Na pewno? A powiedzmy, że tak jak wspomniałeś, będę chciała się napić wina... Wiesz, że najbardziej lubię wieczorami siedzieć przy kuchennym stole w wysprzątej, przytulnej kuchni...

– O cholera, zupełnie zapomniałem, miałem ci powiedzieć... Ale czekaj, ty wiesz! Nela się wygadała, tak?

– Tak jakby. – Rozbawiona, parsknęła śmiechem. – Nie mów jej, że ci powiedziałam, bo i po co? Tym razem naprawdę starała się trzymać język za zębami i rzeczywiście wychlapała niechcący. A teraz pozwól, że ci szybciotko podziękuję – dodała i wspiąwszy się na palce, pocałowała go namiętnie. – Za to, że o mnie myślisz, za to, że chciałeś mi zrobić niespodziankę, i za to, że spełnisz moje marzenie o pierwszych świętach z Klarą w naszym domu – wyszeptwała. – Wiem, że zaplanowałeś ten remont kuchni tak szybko, bo wiedziałeś, że o tym marzę, a w przeciwnym razie nie byłoby gdzie postawić dostatecznie dużego stołu. A teraz naprawdę

musimy iść na górę, bo za moment Klara postawi na nogi pół osiedla. – Uśmiechnęła się.

– Nie wiem, czy nie wycofasz się z każdego słowa, gdy zobaczysz, jak wygląda mieszkanie – mruknął i pochylając się nad wózkiem, wyjął z niego marudzącą dziewczynkę. – Nie do końca wiedziałem, czy będziesz zadowolona, bo przecież ostatnio stwierdziłaś, że tak późna jesień to beznadziejna pora na remont.

– Bo widziałam, jak jest ci przykro, gdy okazało się, że nie możemy znaleźć ekipy, która podjęłaby się to zrobić w tak krótkim terminie. – Zaśmiała się i wprowadziła wózek na klatkę. – I nadal nie mam pojęcia, jak ci się to udało, ale to nie zmienia faktu, że cieszę się jak nie wiem co!

Po chwili stała w mieszkaniu i w oszołomieniu patrzyła na to, co zostało ze starej kuchni. I na dziurę ziejącą w miejscu, gdzie kiedyś była ściana odgradzająca kuchnię od pomieszczenia służącego do tej pory za składzik, a teraz mającego stać się jadalnią. Wszędzie wały się resztki połamanych szafek, leżały sterty gruzu, a w powietrzu unosił się pył, który wgryzał się w oczy.

– Cóż, jutro będzie lepiej – przemówił wreszcie Konstanty. – Dziś byli sami robotnicy, kierownik projektu ma pojawić się jutro i ponoć kiedy on jest, to trzyma wszystkich twardą ręką... No, mówiłem ci, że niekoniecznie musisz popaść w zachwyty. – Zakołysał małą na rękach. – I chy...

– Zgłupiałeś? – przerwała mu Michalina, okręcając się na pięcie i stając do niego przodem. – To jest najpiękniejsza demolka, jaką widziałam. A ty jesteś pierwszy, który podarował mi coś takiego! Jesteś moim bohaterem! Taka piękna ruinacja specjalnie dla mnie. – Roześmiała się. – A tak na poważnie: ja naprawdę jestem szczęśliwa, bo widzę już oczami wyobraźni, jak to będzie wyglądało, gdy będzie skończone! – Wspięła się na palce, pocałowała go w szorstki od zarostu policzek i zabrała mu Klarę. – A teraz

ja ją wykąpię i położę, a ty przygotuj to wino. – Uśmiechnęła się rozkosznie. – Nagle poczułam, że jednak najbardziej lubię pić je w łóżku – dodała i zniknęła z małą w pokoju dzieciennym.

A Konstanty pomyślał, że jednym z jego ulubionych zajęć jest robienie dla niej czegoś, co dostawała w życiu pierwszy raz. Nawet jeżeli to było zdemolowanie kuchni. Miał rację, gdy rok temu doszedł do wniosku, że na własne życzenie skomplikował sobie życie. I że zakochał się jak pierwszy lepszy sztubak. Miał rację, gdy myślał, że z nią nie będzie wcale tak prosto i że trzeba ją będzie powolutku oswajać i przekonać ją, iż miłość istnieje, a on ma mnóstwo do zaoferowania właśnie jej. Nikomu innemu. I rzeczywiście kosztowało go to sporo cierpliwości. I zmian w życiu. Ale opłacało się. We wszystkim miał stuprocentową rację. Również w tym, że nigdy nawet przez minutę nie pożałował, że ją pokochał. I nie przestawał dziękować losowi, że postawił go na jej drodze i że ona też go pokochała.

I że nie zadowolili się dobrym początkiem, który został im podarowany, lecz konsekwentnie dopisywali do niego dalszą część. Dzięki Bogu nic nie wskazywało na to, że zbliżali się do zakończenia. Zwyczajnie była to niekończąca się opowieść. Taka, która ma trwać i trwać i przed którą zawsze jest jutro.

Listopad w tym roku odchodził, płacząc. Mimo że powietrze było mroźne, to jednak wiatr przestał wiać o wiele za wcześnie, żeby przyznać śniegowe chmury. Zamiast tego zostawił te, z których strumieniami lał lodowaty deszcz. Ustał dopiero grubo po północy, a przymrozek, który nadszedł nad ranem, zmroził kałuże swoim srogim spojrzeniem i oddechem. W powietrzu znów zapachniało mrozem. Listopad znikł za kotarą ciemnych, ciężkich chmur. I nastał grudzień. Dzień pierwszy.

PIERWSZY GRUDNIA



Następnego dnia codzienny plan uległ małej zmianie. Zgodnie doszli do wniosku, że bez sensu byłoby, by Nela do nich przychodziła.

– I tak byś tu nie wysiedziała – powiedziała jej Michalina przez telefon i na potwierdzenie swoich słów zaniosła się kaszlem. – Wszędzie pełno jest pyłu, Konstanty zbyt optymistycznie założył, że jak się zamkniemy w pokojach, to będzie dobrze. Nie jest. A poza tym jak przyjdzie ekipa, to i tak byście musiały się przenieść do ciebie, więc podrzucimy ci po prostu Klarę – zakończyła, przyjmując z rąk Kotuli kubek z kawą.

– Na mój gust to później podrzucicie też siebie – mruknęła Nela. – Przecież nie będziecie żyli na placu budowy, gdy u mnie tyle wolnych pokoi się kurzy. Kuchni też nie macie, więc jeść będziemy tutaj. Pomieszkacie po prostu przez te dwa tygodnie u mnie...

– Hmm, czy mi się właśnie wydaje, że podjęłaś za nas decyzję? Kompletnie nie licząc się z naszym zdaniem? – ubawiła się Michalina.

– Też mi nowina! Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że cię to zdziwiło – parsknęła starsza pani.

– Szczerze mówiąc, ani trochę, a co więcej, nawet mi ulżyło – wyznała Michalina, pocierając załzawione oko, do którego właśnie dostały się wszechobecne drobinki pyłu.

W taki oto sposób plan na kolejne dni został ustalony błyskawicznie i Michalina w rekordowym tempie spakowała małą.

„Po resztę przyjedziemy później, po pracy – pomyślała. – Tym bardziej że i tak trzeba będzie zajrzeć i zobaczyć, jak wygląda kuchnia. I kierownik projektu. A przede wszystkim sam projekt”.

Wprawdzie Konstanty zapewniał, że w kuchni i jadalni będzie wszystko, co chciała, przecież wielokrotnie pokazywała, co jej się podoba,

a jednak mimo wszystko wołała zobaczyć to na własne oczy.

Zanim wyszła, jeszcze raz zerknęła do spakowanej torby, upewniając się, że włożyła i pieluchy, i wilgotne chusteczki. Były na miejscu. Zarzuciła torbę na ramię i już miała wychodzić, bo Konstanty z Klarą czekali na dole w taksówce, gdy przypomniała sobie o reklamówce, którą poprzedniego dnia dostała od matki Haśki. Wróciła po nią do dzieciennego pokoju. Wczoraj położyła ją na małym stoliku, na wierzchu, żeby nie zapomnieć. Teraz sięgnęła po nią i przez moment ważyła ją w dłoni, a potem w zamyśleniu zerknęła na wiszący nad łóżeczkiem obraz z Aniołem Stróżem.

– No i co? – mruknęła, przyglądając mu się z lekką kpina. – Powiedziałam ci wprawdzie, że jak masz dla mnie zadanie, to jestem i jestem gotowa, ale nie sądziłam, że weźmiesz to sobie tak do serca... A poza tym przesadziłeś. Musisz mnie uważać za niezłego tępaka, skoro historia powtarza się prawie jeden do jednego! Bałeś się, że inaczej nie skojarzę czy co? Ta sama ławka, ten sam sprzedawca obwarzanków i bułeczek i jakby tego było mało, to jej imię, prawie identyczne z moim: Haśka! Potwornie przesadziłeś – powtórzyła, kiwając z mocą głową, a potem wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Zbiegając po schodach, pomyślała, że czy to anioł, czy los, czy ktokolwiek, kto maczał w tym palce, jednak trochę ją przecenił. Bo prawdę mówiąc, kompletnie nie wiedziała, co byłąby w stanie zrobić. Oczywiście poza dostarczeniem dziewczynie przesyłki. Przecież nie mogła jej zmusić do przyjęcia pomocy. Nawet jeśli założyć, że wiedziałyby, jak ta pomoc mogłaby wyglądać. A prawdę mówiąc, nie miała bladego pojęcia. Pewnie mogłaby Haškę nakarmić, ale przecież tamta nie przyjęłaby od niej niczego. Z jakiegoś powodu od pierwszego wejrzenia ją znieubiła i Michalina miała

wrażenie, że prędeż wolałaby znów zemdleć z głodu, niż przyjąć od niej chociażby bułkę.

„Cóż, zaniosę jej ten pakunek i tyle – zdecydowała, wychodząc z klatki i opatulając się szczelniej szalikiem. – Chociaż... – nagle ją olśniło. – No pewnie, to jest jakiś pomysł” – pomyślała z ożywieniem.

A potem pobiegła do taksówki, której kierowca wyraźnie zaczynał się niecierpliwić.

Michalina nie wiedziała, bo skąd miała wiedzieć, że tak naprawdę absolutnie nie musiała się kłopotać Hašką. Przecież ta historia zaczęła się toczyć zgodnie z planem, o którym ani Haška, ani Michalina nie wiedziały. Chociaż grały w niej główne role.

Gabrysia powrót z urlopu zamierzała rozpocząć rozstawieniem w kwiaciarni starej, rodzinnej szopki. Stało się to już pewnego rodzaju tradycją, że w ostatnich dniach listopada, najpóźniej na początku grudnia na szerokim parapecie kwiaciarni stawał żłóbek z maleńkim Jezusem, pojawiała się jego zatroskana matka i Józef, i dwa anioły, i osioł, i wół. Gabrysia wiedziała, że odwiedzający jej kwiaciarnię czekają na pojawienie się tej gromadki, i miała szczerą chęć wyjąć szopkę od razu po powrocie do pracy. Ale wczorajszy dzień trochę wymknął się spod kontroli, Michaliny nie było, drzwi kwiaciarni się nie zamykały, przyjeżdżali dostawcy z towarami, trzeba było ogarnąć zamówienie dla teatru, obsługiwać na bieżąco klientów... Gdy w końcu za ostatnim z nich zamknęły się drzwi, Gabrysia nie wiedziała już, jak się nazywa, i z mimowolnym podziwem pomyślała o Michalinie. Dała radę tak funkcjonować przez prawie dwa tygodnie! Tymczasem ją prawie że pokonał jeden dzień! W sumie to nie wyobrażała już sobie kwiaciarni bez tej dziewczyny o świetlistoszarych oczach. I oczywiście jej pomoc była nieoceniona, jej prace przyciągały dodatkowych klientów, ale nie to było najważniejsze. Gabrysia po prostu przywiązała się do niej całym sercem i nie wiedzieć kiedy zaczęła traktować Michalinę jak przybrane dziecko.

„To może i lepiej, że rozstawienie szopki przesunęło się na moment, gdy Michalina też będzie” – pomyślała.

Z zeszłego roku pamiętała zachwyty dziewczyny, gdy po raz pierwszy zobaczyła figurki, i to, z jaką uwagą słuchała wtedy opowiadanej przez Gabrysię historii szopki.

Tego ranka specjalnie przysłała nieco wcześniej, żeby na pewno nikt i nic nie przeszkodziło jej w wyjęciu całej Świętej Rodziny. Lubiła ten

moment. Lubiła gładzić pieśczośliwie figurki po ich gipsowych buziach, przyglądać się im ze zrozumieniem. Józefowi, świeżo upieczonemu ojcu, zatroskanemu o los rodziny, ale też gotowemu, by o nią walczyć; maleńkiemu Jezuskowi, który ufnie wyciągał rączki do całego świata; pochylonej nad nim Marii i jej figlarnemu dołączkowi w policzku. Lubiła je wszystkie, lecz to Maria była jej najbliższa. Z każdym rokiem Gabrysia bardziej ją rozumiała. Najpierw, gdy sama została mamą, zobaczyła w figurce coś, czego nie widziała wcześniej: miłość, zmęczenie, niepewność jutra, ale też nadzieję. Teraz też zajrzała jej w oczy i odniosła wrażenie, że dostrzega w nich więcej spokoju i pewności siebie.

– Co myślisz? – Przesunęła nieznacznie Marię w stronę żłóbka i obejrzała się przez ramię, pytając spoglądając na Michalinę.

– Maria w porządku, ale Józef za daleko – powiedziała Michalina, wychodząc zza stołu i przyglądając się uważnie szerokiemu parapetowi, na którym rozlokowała się Święta Rodzina. – Wygląda tak, jakby się zastanawiał, po co mu to było i czy przypadkiem nie wziąć nóg za pas.

– No wiesz co! – oburzyła się Gabrysia. – Spójrz na jego twarz, na to, z jakim zafrasowaniem na nich spogląda, jak bardzo ich kocha i martwi się tym, że nic nie może poradzić na to, że jego rodzina znalazła się w tak opłakanej sytuacji! Czy ktoś taki mógłby w ogóle pomyśleć: po co mi to było?

– Moja babcia mówiła: nie chcesz usłyszeć odpowiedzi, nie pytaj – zripostowała Michalina celnie. – A poza tym, Gabrysiu, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia i akurat w tym wypadku sprawdza się to doskonale. Podejź tutaj i zobacz go z mojej perspektywy.

Gabrysia prychnęła zniecierpliwiona, ale po chwili podeszła do dziewczyny.

– Wiesz co, miałam ochotę odsądzić cię od czci i wiary za gadanie takich głupot, ale masz rację! Jak tak stoi, nie widać jego twarzy, tylko ten zamaszysty ruch płaszcza, i to rzeczywiście wygląda, jakby właśnie zmywał się po angielsku!

– No i proszę, odkryłyśmy zupełnie nowe oblicze Józefa – parsknęła śmiechem Michalina.

– O nie, nie ma mowy! Józef może mieć jedno oblicze, to jest ta rzadka stałość na świecie, której absolutnie nie pozwolę sobie zabrać! – Gabrysia podeszła do parapetu i przestawiła ojca Jezusa tak, jak sugerowała jej Michalina. – Teraz jest dobrze?

– Idealnie. Teraz widać to wszystko, o czym mówiłaś, a nawet jeszcze więcej. – Michalina kiwnęła głową. – Widać, że on oddałby za nich wszystko i że to jest bardzo ładna miłość. Myślę, że dlatego tak chętnie ogląda się szopki. Bo oni są tak blisko nas, tak do nas podobni i pokazują, tak po ludzku, jak można się kochać – dodała w zamyśleniu i podeszła do pudła stojącego na podłodze. Przykucnęła, wyjęła leżącego na dnie anioła i podała go Gabrysi. – A on nadal z przetrąconymi skrzydłami? Nie chcesz go naprawić? Wiem, gdzie w Warszawie jest lekarz od takich nieszczęśliwców.

– A wiesz co, myślałam o tym od tego momentu, gdy rok temu powiedziałaś mi, że można to zrobić, tak żeby nawet nie było śladu, ale... – Zamilkła na chwilę. – Możesz się ze mnie śmiać, pomyślałam jednak, że tak naprawdę nie należy ingerować w anielskie sprawy. – Uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem. – Kto wie, może on brakujące fragmenty skrzydeł dobrowolnie komuś podarował, albo pogubił te anielskie pióra z jakiegoś konkretnego powodu...

– A może je zwyczajnie przepił – zaśmiała się Michalina. – Tak jak w tej piosence Starego Dobrego Małżeństwa:

Odfrunęły anioły do ciepłych rajów
tylko jeden w karczmie na rozstaju
głuchy na boskie wołania
hulał z karczmareczką do świtania
pióra piwem złane sosem musztardowym
skaranie boskie z takim aniołem
jedno skrzydło złamał drugie zastawił
wszystkich wyczałował pod ławę się zwalił

– zanuciła.

– Może być i tak. – Gabrysia uśmiechnęła się. – W sumie to on ma minę niezłego hultaja i mąciwody. A swoją drogą, to co cię dzisiaj naszło? Józefa posądzasz o chęć zdezerterowania, anioła o wątpliwe prowadzenie...

– A sama nie wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – To chyba z ulgi, że już wróciłaś i że przez najbliższy czas nie będę musiała układać bukietów i nie spać po nocach dręczona wyrzutami sumienia, że nie uda mi się uratować kwiatków, które przynieśli zatroskani właściciele. A właśnie, widziałaś te niedobitki? Nie było cię zaledwie przez dwie środy, a zebrała się ich prawie dziesiątka. Postawiłam je w odosobnieniu, tak jak kazałaś, podlewałam, ale znam się na tym jak kura na pieprzu, więc raczej ich stan się od tego nie poprawił.

– Widziałam, większość da się uratować – uspokoiła ją Gabrysia. – Niesamowite jest to, że nasz środowy Ostry Dyżur zdobył taką popularność. Mnóstwo osób przynosi niedomagające rośliny... A skoro już jesteśmy przy temacie, to muszę cię trochę rozczarować – powiedziała, obkładając figurkę Jezusa siankiem, i zerknęła na Michalinę spod oka.

– Tak? A czego mianowicie to rozczarowanie będzie dotyczyło? – zapytała Michalina, podnosząc się z kucek i otrzepując ręce.

– Składania bukietów. Bo widzisz, wczoraj, jak cię nie było, z samego rana wpadł tutaj nasz Kochanieńki...

– O nie! – Michalina gwałtownie zamachała rękami. – Nie ma mowy! Za nic na świecie! Mam nadzieję, że właśnie w ten sposób mu odpowiedziałś – dodała, biorąc się pod boki.

– Ale spokojnie, jeszcze nawet nie wiesz, czego chciał...

– Otóż wiem! Czegoś koszmarnego! W końcu to jest nasz dobry, poczciwy Kochanieńki! Spodziewać się po nim czegoś innego to trochę jak oczekiwać od kota, że nagle zacznie szczekać!

– No wiesz, rzeczą ludzką jest się łudzić – roześmiała się Gabrysia, parafrazując znane powiedzenie. – A poza tym naprawdę nie wiesz, o co chodzi.

– Obawiam się, że niestety nie mam wyboru i zaraz się dowiem – mruknęła Michalina. – I że wcale a wcale mnie to nie ucieszy. No to dawaj, stańto na tym, że Kochanieńki był tu wczoraj z rana. Co akurat mnie nie dziwi, bo przecież miał odebrać ten bukietowy koszmar.

– No i przyszedł, cały w złocie i szkarłacie. Swoją drogą, to co mu strzeliło do głowy z tym błyskiem? – zastanowiła się Gabrysia.

– Nie wiem, chyba wydaje mu się, że tak trzeba, jeżeli się jest artystą, biznesmenem i kimś, kto ma budzić ogólny podziw i szacunek – mruknęła Michalina.

– No cóż, przy takiej wybuchowej mieszance to może rzeczywiście jest jedyne wyjście – ubawiła się Gabrysia. – W każdym razie na brak zainteresowania nie mógł narzekać. Na ulicy nie było chyba nikogo, kto by się za nim nie obejrzał. Miał takie spodnie, coś jak dzwony w pionowe pasy: złote, tak lśniące, że aż oślepiały, i szkarłatne z ponaszywanymi gdzieniegdzie perełkami. A płaszcz! Te...

– Gabrysiu, ty mi tu oczu nie mydl ubranie Kochanieńskiego. Przypominam ci, że widziałam go przedwczoraj. Nie unikaj tematu, tylko

wyduś w końcu z siebie, co też tym razem wymyślił nasz pan Patryk. I co ja mam z tym wspólnego.

– Spokojnie i po kolei. Tak jak wspomniałam, był rano, odebrał bukiet, wyraził rozczarowanie, że nie ma szopki oraz ciebie. Zapewniłam go, że i tak niczego z szopki bym mu nie sprzedała, a ty wrócisz najdalej jutro, więc nie musi się niepokoić. Udało mi się też, co zaliczam do jednego z większych sukcesów w ostatnim czasie, nie odpowiedzieć bezpośrednio na pytanie, co myślę o jego kompozycji i o ulotności motylego psychopaty. Znaczący psychopata to mój własny wkład w opowieść, bo jak doskonale wiesz, Kochanieńki jest nim zachwycony. Na całe szczęście był tak zajęty wychwalaniem swojego dzieła, że moje z trudem wyduszone „Yhhh” mu wystarczyło.

– Zapewne uznał, że słów ci zabrakło, z podziwu rzecz jasna – skwitowała Michalina, uśmiechając się nieznacznie.

– Obawiam się, że możesz mieć rację. No więc pozachwycił się, chwilę mnie ponęcił kuszącą wizją bogactwa, które na mnie czeka, jeżeli odsprzedam mu Świętą Rodzinę, bo przecież, rozumiesz, on może zapłacić i złożyć ofertę bez krzywdy dla mnie! No a potem sobie poszedł – zakończyła Gabrysia na wydechu.

– I już? – Michalina znieruchomiała, zdumiona takim obrotem sprawy. – To gdzie jest haczyk? Bo gdzieś jest! W końcu nie opowiadasz mi tego ot, tak sobie! I nie bez przyczyny wspomniałaś o bukietach.

– No, masz rację. To nie wszystko. Bo poszedł, a i owszem, ale potem, po południu...

– Wrócił? – przerwała ponuro Michalina. – I ty mu znowu pozwoliłaś na jakieś dzikie harce wśród kwiatów, tak?

– Otóż nie, choć dzikie harce w wykonaniu Kochanieńskiego niebezpiecznie kojarzą mi się z filmem dla dorosłych. – Gabrysia się

roześmiała.

– Łeeee!!!! Czemu mi to powiedziałaś?! Ja nawet nie chcę myśleć o Kochanieńkim bez odzienia – jęknęła rozdzierająco Michalina. – I to wśród kwiatów! Może jeszcze harującego tutaj na naszym blacie...

– O nie, przesadziłaś. – Gabrysia zatkała uszy.

– Nie będę wskazywała palcem, kto zaczął. – W końcu parsknęła śmiechem. – To co? Zgadłam? Znów się znęcał nad kwiatkami i tym razem nad tobą?

– Otóż nie! Gdybyś w kółko mi nie przerywała, to już dawno bym ci powiedziała, że nie przyszedł, ale zadzwonił! I powiedział, z ogromnym żalem zresztą, że niestety musi nas przeprosić, ale musiał usunąć nas z Facebooka. I że to pewnie dla nas cios i to taki poniżej pasa, lecz interes to interes i tam nie bierze się jeńców.

– Poczekaj, bo ja jednak nie bardzo rozumiem, o co w tym chodzi – przerwała jej Michalina. – Jak to nas usunął?

– No jak, jak? Sama mówiłaś, że oznaczył kwiaciarnię i ciebie na Facebooku. A teraz nas wydeletował. Usunął, wykasował – wyjaśniła cierpliwie Gabrysia.

– Ależ to jest najwspanialsza wiadomość, jaką mogłam usłyszeć! Autentycznie, gdyby nasz kochany Kochanieńki tu był, to chyba bym go wycalowała!

– No nie obiecuj, nie obiecuj, bo będziesz musiała się wywiązać. – Gabrysia zdarła taśmę z drugiego pudła stojącego na podłodze i wydobyła z niego okazały pakunek zawinięty w kilka warstw gazet i folię bąbelkową. – Bo i owszem, usunął nas, ale przecież, jak mi chwilę później wyznał, to nie znaczy, że jest z niego ostatnia świnia.

– Raczej *nomen omen* osioł – wtrąciła Michalina, patrząc, jak Gabrysia wydobywa z pakunku szopkowego towarzysza Marii i Józefa, osiołka.

– Coś w tym jest, w każdym razie tajemniczo, acz stanowczo powiedział, że on raczej po swoim trupie dałby nas ukrzywdzić i to wszystko jest głęboko przemyślane, i że będzie dziś po południu u nas, i żebym absolutnie nie pozwoliła ci wyjść przed jego przybyciem. Dodał też, że ma to bezpośredni związek z bukietem, który wczoraj zrobiłaś, i że jak usłyszymy, co ma nam do powiedzenia, to go ozłocimy.

– Dobrze, że nie wyciągamy po piętach. – Michalina przewróciła oczami. – Nie domyślasz się, o co może mu chodzić?

– No, jak to o co? Przecież sama przed chwilą odpowiedziałaś na to pytanie. – Kwiaciarka teatralnie zawiesiła głos. – Oczywiście o coś koszmarnego – dokończyła, nie doczekawszy się odpowiedzi, i parsknęła śmiechem. – I coś mi mówi, że tym razem to ciebie upatrzył sobie na główną ofiarę.

– A to się jeszcze zobaczy! Za nic na świecie! I za żadne pieniądze – zarzekała się Michalina.

– Nigdy nie mów nigdy – filozoficznie odpowiedziała Gabrysia i wsadziła osłowi za ucho małą słomianą gwiazdkę. – Poczekamy, zobaczymy, co dzie... – chciała coś jeszcze dodać, ale drzwi kwiaciarni właśnie się otworzyły i do wnętrza weszła pani z dwójką dzieci, które z miejsca rzuciły się oglądać i podziwiać szopkę.

A potem aż do popołudnia nie miały już okazji do swobodnej rozmowy. I sprawa Kochanieńskiego musiała poczekać, aż on sam we własnej osobie się zjawi i rozwieje wszelkie wątpliwości i pytania.

Kochanieńki stał przy parapecie i z namysłem przyglądał się ustawionej tam szopce.

– A jakbym dorzucił jeszcze pięćset... No niech będzie moja strata, tysiąc, to by mi ją pani opchnęła? – zapytał bez większej nadziei w głosie.

– Nie. Jeżeli mi pan dorzuci dziesięć tysięcy, też nie. – Gabrysia wzniosła oczy do sufitu.

– No to może chociaż osła, co? On ma coś takiego w sobie, co sprawia, że czuję się z nim jakoś tak...

– Spokrewniony – podpowiedziała usłużnie Michalina, dusząc się od powstrzymanego śmiechu.

– Że co? – Kochanieńki zajęty kontemplowaniem szopki na całe szczęście nie dosłyszał.

– Nic, nic – wtrąciła szybko Gabrysia, rzucając Michalinie karcące spojrzenie. – Panie Patryku, niech pan da spokój, szopka naprawdę nie jest na sprzedaż... Jak by to panu wytłumaczyć, żeby pan zrozumiał... – Gabrysia zawiesiła głos i widać było, że intensywnie myśli.

– Ależ to jest bardzo proste. – Na twarzy Michaliny znienacka pojawił się wyraz olśnienia. – Pamięta pan fotel babci pana narzeczonej? I co się stało, jak się okazało, że pan, jak to pan określa, go opchnął?

– Stało się piekło! – powiedział ponuro, kiwając z mocą głową. – Tak właśnie musi wyglądać to straszne miejsce! Ale co ma fotel mojej Bzini, Niuni kochanej wspólnego z tą szopką? – Zmarszczył z namysłem brwi.

– A ma, i to dużo. – Michalina wyszła zza swojego stołu i przysiadła na taborecie stojącym obok Kochanieńskiego; jednocześnie wymownie machnęła ręką w stronę Gabrysi, dając jej znać, że ma milczeć. – Bo widzi pan, panie Patryku, to jest ta sama wartość sentymentalna... Tylko że

u pana narzeczonej, Bzi... to znaczy Karoli, rzecz dotyczyła fotela, a tutaj szopki. Cała rodzina Gabrysi jest do niej w ten konkretny sposób przywiązana. Mąż, dzieci, wnuki... Wyobraża pan sobie, przez co ona biedna... – tu spojrzała znacząco na kwiaciarkę, która natychmiast zrobiła zbolaną minę – przez co ona biedna musiałaby przechodzić, gdyby pozbyła się wartości sentymentalnej całej rodziny? Wie pan, jak by to się nazywało? – zapytała z grozą w głosie.

– Jak? – Kochanieńki znieruchomiał,

– Piekło piekiel, panie Patryku! A fotel przecież w końcu udało się odkupić, ale taką szopkę... Krótko mówiąc, jest nie do zdobycia! No chyba nie chce pan nikogo narażać na to samo, co pan już przeszedł – dorzuciła, patrząc mu w oczy.

– A Boże broń! Czemu od razu mi pani, pani Gabrysiu, tego nie powiedziała? Z miejsca bym zrozumiał! To są argumenty, a nie takie nie, bo nie! – wykrzyknął, podciągając jedną ręką nieco przydługie spodnie, które majtały mu się po ziemi i które cały czas przydeptywał.

– Ależ mówiłam, i to... – Widząc minę Michaliny, zamilkła skonsternowana.

– Mówiłaś, ale nie wprost – wtrąciła szybko dziewczyna. – A w biznesach niewskazane są niedomówienia, tylko rąbanie prostu z mostu, prawda, panie Patryku?

– Najprawdziwsza. – Kochanieńki patrzył na nią jak urzeczony. – Ja już wczoraj wiedziałem, że połączyła nas specjalna więź, taka duchowa, takie porozumienie dusz – dorzucił, a Michalina poczuła, jak po plecach przelatuje jej zimny dreszcz, i ponieważ zdała sobie sprawę, że chcąc uwolnić Gabrysię od natręta, sama wpadła w zastawione na niego sidła.

„No to już się od niego nie uwolnię” – pomyślała ponuro.

– I teraz już wiem – ciągnął tymczasem niczym niezrażony Kochanieńki – że jak zwykle miałem rację. Mówię wam, to jest taki ciężar, który wcale nie jest łatwo dźwigać... – dodał z rozpędu.

– W sensie ta racja – upewniła się Gabrysia.

– Tak, właśnie tak, wiecie, z jaką trudnością inni to przyjmują? Że ja nigdy, ale to nigdy się nie mylę?

– No może z wyjątkami, kiedy nie ma pan racji – rzuciła niewinnie Gabrysia.

– To z rzadka. No ale dzięki temu już teraz wiem, że to, z czym tutaj przyszedłem, musi, po prostu musi się udać! Jesteśmy skazani na sukces! Wprowadziła pani, pani Gabrysiu, panią Michalinę w szczegóły?

– Tyle o ile. Powtórzyłam mniej więcej to, co usłyszałam od pana: że niestety musiał pan usunąć nas z mediów społecznościowych...

– No właśnie, ale to dla naszego wspólnego dobra! Ja mam dla was propozycję nie do odrzucenia!

– Nie wiem dlaczego, ale zaczynam się bać – kątem ust wycedziła Michalina w stronę Gabrysi.

– Co tam panie mówiły? – zainteresował się Kochanieńki.

– A nic szczególnego. – Gabrysia jak gdyby nigdy nic przysiadła na swoim krześle. – To co to za propozycja, panie Patryku?

– Szczerze mówiąc, to proszę się nie obrazić, ale pani to będzie tu grała drugoplanową rolę... Jak by to delikatnie powiedzieć, takie... przynieś, wynieś, pozamiataj.

– Cóż, nad subtelnością to musi pan jeszcze trochę popracować – Michalina z najwyższym trudem zachowała powagę – ale przejdźmy w końcu do meritum: o co chodzi?

– O to, moje kochanieńkie, że tak jak wiecie, ja wczoraj wrzuciłem na swojego Facebooka moją autorską kompozycję kwiatową. Ale nie jestem

taki, żeby nie dać nikomu uszczknąć szczypty mojego własnego sukcesu, i oznaczyłem waszą kwiaciarnię. Pomyślałem, że może trochę was rozreklamuję i pokażę bardziej designerskie oblicze tych nieciekawych, nudnych, pozbawionych polotu bukietów. No i wiecie, co się potem wydarzyło?

– Obawiam się, że nasza wyobraźnia tak daleko nie sięga – widząc, co się dzieje z Michaliną, która wyglądała tak, jakby ją coś sparaliżowało, Gabrysia przejęła na siebie ciężar prowadzenia konwersacji.

– Tak myślałem. Otóż widząc zainteresowanie i moc komentarzy takich jak: „Naprawdę ktoś to wymyślił?” albo „Chciałbym zobaczyć maksimum możliwości tego geniusza”, pomyślałem, że oto znalazłem niszę i coś, co będę mógł robić w międzyczasie, takiego twórczego, artystycznego! Ale jednocześnie przynoszącego przyzwoite pieniądze, bo wiecie, Kochanieńkie, jak jest: kasa musi się zgadzać – dorzucił zupełnie innym tonem. – Ale na czym to ja skończyłem? – chyba przypomniał sobie, że bycie artystą zobowiązuje, bo westchnął rozdzierająco i zerwał się ze stołka, wstrząsając płaszczem tak, że cały dół złociście załopotał.

– Na tym, że znalazł pan niszę – odpowiedziała Gabrysia, a Michalina nadal patrzyła na niego w niemym osłupieniu.

– A właśnie, żeby się upewnić, najpierw opublikowałem zdjęcia wszystkich moich bukietów z zeszłego roku.

– O matko – jęknęła Michalina, odzyskując w końcu głos. – Ale najpierw pan usunął nas. W sensie kwiaciarnię i mnie?

– O, i to się nazywa głowa do interesów! W lot się rozumiemy – Kochanieńki był zachwycony. – Oczywiście, że usunąłem.

– Dzięki Bogu. – Michalina odetchnęła z ulgą. – I co się potem wydarzyło?

– Było głosowanie, który jest najbardziej nietypowy, i wygrał oczywiście ten wczorajszy. Ludzie się zakładali, wskazywali swoje typy, kłócili, no mówię wam: istny szal! No więc ja, widząc, co się dzieje, z miejsca zwęszyłem doskonały interes i idąc za ciosem, zaproponowałem, że mogę takie bukiety projektować. W sensie, że klient mówi, z jakich kwiatów chce mieć takie dzieło, a ja je umaterialniam! I wiecie co? Wiecie?

– No niech pan na litość wszystkiego w końcu to z siebie wydusi – przynagliła go Gabrysia.

– Dostałem pierwsze zamówienia! – oznajmił Kochanieńki z dumą, która aż go zapierała. – Zamawiający chcą potem publikować zdjęcia i porównywać! I płacą dobre pieniądze! No i tutaj właśnie dotarliśmy do sedna: żeby zarabiać, na wszelki wypadek nie mogę ujawniać swoich kontaktów, czyli was, ale będę płacił za urzeczywistnienie moich wizji. Teraz mam zamówienie na cztery pierwsze bukiety i tutaj, no przepraszam, pani Gabrysiu, wiem, że dla pani to cios, ale mogę pracować tylko z panią Michaliną. Artysta musi czuć to szczególne coś do swojego asystenta, mam nadzieję, że mnie panie rozumieją... – Zawiesił znacząco głos.

– No jasne, dusze artystyczne rządzą się swoimi prawami – odkaszlnęła Gabrysia, a Michalina obrzuciła ją morderczym spojrzeniem.

– To dobrze, że pani tak rozsądnie do tego podchodzi...

– Ja natom... – zaczęła Michalina, lecz nie skończyła, bo Kochanieńki uciszył ją władczym ruchem dłoni.

– Za chwileczkę wszystko mi pani powie, tylko najpierw chciałem paniom pokazać, ile z tych bukietów będzie dla was – powiedział, wyciągając z kieszeni płaszcza kartkę i długopis. Następnie coś napisał, a potem podniósł tak, żeby obie panie dokładnie widziały cyfry, które tam umieścił. – I co? Co powiecie? – zapytał, przerywając przedłużającą się ciszę.

– To jest kwota dla nas? Dla kwaciarni? – upewniła się Gabrysia, przełykając głośno ślinę.

– I te bukiety nie mają być wielkości niedźwiedzia albo słonia? – dorzuciła Michalina.

– Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: tak, na drugie: to mają być mniej więcej takie bukiety, jakie zwykle ja zamawiam.

– I daje pan słowo, Kochanieńki, że nie będzie tam ani jednej wzmianki o nas? – Gabrysia przygryzła dolną wargę.

– No, wybaczcie, ale nie można mieć wszystkiego! – Z pozorowaną bezradnością rozłożył ręce. – Ja wiem, że trudno zajmować zaszczytne drugie miejsce, ale takiego poświęcenia wymaga robienie intratnych interesów. Ostatecznie, żeby trochę zrekompensować wam żal, mogę jeszcze dorzucić parę groszy...

– Nie, naprawdę nie trzeba, to chyba byłoby wręcz niemoralne. – Gabrysia machnęła ręką. – Ja to bym... Zresztą nie mogę się wypowiadać, skoro to głównie spadnie na Michalinę. Niech ona zadecyduje! – dorzuciła z miną męczennicy, nie mogąc oderwać oczu od wypisanej na kartce kwoty.

– No cóż, skoro to pozwoli rozwinąć panu skrzydła, panie Patryku, to oczywiście, wchodzimy w to! Tylko z zapewnieniem pełnej anonimowości – powiedziała powoli Michalina. – Nie mogłabym spać spokojnie, gdybym miała odebrać panu część należącego się panu i tylko panu splendoru – dorzuciła i przełknęła głośno ślinę.

– Cudownie! Wiedziałem, że się dogadamy! – Uszczęśliwiony Kochanieńki klasnął w pulchne dłonie. – To co? Zaczynamy? Już teraz?

– O nie, nie, nie! – przeraziła się Michalina. – To musi być ustalone i umówione. Dziś już nie damy rady. Umówimy się na jutro, dobrze? Na dwa bukiety, żeby pan się nie wypalił twórczo – dorzuciła przebiegle. –

A następne dwa... No to tutaj się jeszcze domówimy, bo obawiam się, że będzie trzeba odczekać kolejny dzień.

– Ooo, a dziś się naprawdę nie da? Wicie panie, żelazo należy kuć, póki gorące!

– No tak, ale dziś jest już późno, mamy przyjęte zamówienia, no po prostu nie damy rady – przyszła jej w sukurs Gabrysia. – Poza tym to wyjdzie panu na dobre... Bo dobrze wizerunkowo będzie wyglądało, jeżeli będzie pan sprawiał wrażenie zajętego – dorzuciła w przypływie natchnienia. – Jutro umówimy się godzinę przed otwarciem i skupimy się tylko na panu – zapewniła.

– O, to mi odpowiada! Bo chcę dać z siebie wszystko, naprawdę wszystko, i nic i nikt nie może mi wtedy przeszkadzać! To co, do zobaczenia jutro! A tutaj proszę bardzo, kasa dla was z góry. – Położył na ladzie kopertę.

– Jak to z góry? Przecież jeszcze nic nie zrobiliśmy – wybąkała skonsternowana Gabrysia, wpatrując się w leżącą na ladzie kopertę.

– To nieważne. To jest jedna z moich żelaznych zasad: zamawiasz coś u mnie, płacisz z góry! Ja zamawiam coś u was, kochanieńkie, i robię to samo – powiedział, zapinając złote guziki płaszcza.

– Czyli pan już dostał pieniądze na te bukiety? – Michalina spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Oczywiście, to podstawa, zabezpieczenie! Przecież nie inwestowałbym swoich pieniędzy! Muszę już lecieć! Do zobaczenia, do jutra – dorzucił, podciągając spodnie i kierując się do wyjścia.

– Panie Patryku! – zawołała za nim Michalina. – Ale przecież... Przecież pan nie wiedział, czy my się zgodzimy – potrząsnęła głową.

– Cóż, nie chciało mi się w to wierzyć, ale gdyby tak się stało, kochanieńkie, to z nieutulonym żalem wprowadzie, lecz nie miałbym

wyboru, musiałbym pójść do konkurencji. – Uśmiechnął się szeroko i zniknął w ciemnościach grudniowego popołudnia.

Gabrysia i Michalina zaś przez moment jeszcze tkwiły bez ruchu, wpatrzone w drzwi powoli zamykające się za Połączanym Patrykiem, a potem bez słowa spojrzały po sobie i jednocześnie pochyliły się nad leżącą na stole kopertą.

W końcu Gabrysia wzięła głęboki wdech i wysunęła z niej okazały plik banknotów.

– A jednak nie wyobraziłam sobie tego, to rzeczywistość – mruknęła, przyglądając się pieniądzom. – Mimo wszystko chyba na wszelki wypadek się uszczypnę – dodała i uszczypnęła się w rękę. – Jednak nie śnię – zawyrokowała.

– I tak oto Kochanieńki właśnie udowodnił, że od początku miał rację – powiedziała Michalina w zadumie, również wpatrując się w rozsypane na ladzie banknoty.

– A mianowicie? – Gabrysia spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– A mianowicie że wszystko jest kwestią ceny... chociaż gdyby nie zagwarantował anonimowości, w życiu bym się na to nie zgodziła...

– Czyli jednak nie wszystko jest na sprzedaż. – Gabrysia uśmiechnęła się promiennie. – I przestań się zadreczać! W końcu nikogo nie okradamy ani nie robimy nikomu krzywdy! Matko, wiesz, ile to jest pieniędzy?

– Wiem, choć nie dowierzam, że istnieje ktokolwiek, kto chciałby płacić taką kasę za... za... Nawet nie umiem znaleźć odpowiedniego określenia. – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – A, i żeby było jasne: ja nie będę potem składać Kochanieńskiego do kupy ani zeskrobywać z podłogi jego rozpadniętego na tysiące kawałków i łkającego z rozpacz *ego*! A ktoś to będzie musiał zrobić, jak w końcu do niego dotrze, co tak naprawdę znaczący te komentarze: „Naprawdę ktoś to wymyślił?”. I: „Chciałbym

zobaczyć maksimum możliwości tego geniusza” – zacytowała, przewracając oczami. – Czy jemu nikt nigdy nie wyjaśnił, co to jest kpina?

– Widać nie albo ewentualnie Kochanieńki nie zrozumiał. – Gabrysia zgarnęła pieniądze, odliczyła z nich sporą część i podała Michalinie. – Masz, twoja działka!

– Ale to jest za dużo, powinniśmy podzielić się po równo!

– Jest po równo. Biorąc pod uwagę, że to z tobą nasz pan Patryk czuje duchową więź, to uwierz, jest po równo – zaśmiała się Gabrysia i odwróciła się do drzwi, bo właśnie rozległ się srebrzysty dźwięk dzwoneczka: znak, że zjawił się klient i trzeba się nim zająć.

Michalina wyszła z kwaciarni chwilę przed zamknięciem. Weszła jeszcze do pobliskiego sklepu spożywczego i zrobiła zakupy. Chodząc pomiędzy półkami, miała ogromną ochotę wziąć z nich to, na co się w rezultacie decydowała, ale odwołała się do zdrowego rozsądku. Jeżeli jej plan miał nie spalić na panewce, nie mogła szaleć. Potem gdy już zapłaciła i zapakowała rzeczy w płócienną torbę, wyciągnęła ze swojej torebki małą reklamówkę, tę samą, którą wczoraj dostała od matki Haški.

Przez moment niepewnie ważyła ją w dłoni, a potem biorąc głęboki wdech, zapuściła do środka dłoń i wyciągnęła niezawinięte w nic rękawiczki i cieniutką kopertę. Zagryzła dolną wargę i zajrzała do środka. Wyjęła z koperty dwa banknoty stużłotowe. Sięgnęła do portfeli i dołożyła trzysta złotych. Włożyła kopertę do torby z zakupami.

„Ode mnie nie przyjmie – pomyślała, wrzucając kopertę i rękawiczki do siatki z zakupami. – Ale od matki to co innego”. Uśmiechnęła się pod nosem, po czym wyszła ze sklepu i ze zdumieniem stwierdziła, że pada śnieg.

Białe płatki spływały bezszelestnie na szare ulice, na błyszczące od wcześniejszego deszczu dachy, na bezlistne konary drzew. Wygładzały i zaokrąglały kanciaste, ostre kształty, przykrywały to, co ponure. Przeistaczały bury świat w krainę z dziecięcych baśni. Michalina przez moment przyglądała się wirującym w powietrzu, migotliwym gwiazdkom, a potem uśmiechnęła się do siebie: pierwszy śnieg miał w sobie coś takiego, co w każdym człowieku budziło zapomniane dawno beztroskie dziecko.

„O ile oczywiście miało się ciepły dom i koc, i zimowe ubrania” – przywołała się do rzeczywistości i szybkim krokiem ruszyła w kierunku kamienicy, w której mieszkała Haška.

Gdy dotarła do bramy, w której wczoraj zniknęła dziewczyna, uniosła głowę i spojrzała na zasnute ciemnymi chmurami niebo. Śnieg nadal padał.

„Przyjmijmy, że to musi być dobry znak” – pomyślała i zdecydowanym ruchem pchnęła skrzydło bramy. Otworzyło się ze zgrzytliwym jęknięciem. Michalina najpierw ostrożnie zajrzała do środka, a potem włączyła w telefonie latarkę i omiotła ściany w poszukiwaniu włącznika światła. Znalazła go w końcu i nacisnęła. Jej oczom ukazały się stare drewniane schody, ściany były pomazane i brudne. Tuż koło niej w ciemnej wnęce stał znajomy wózek.

„Na całe szczęście mnie nie oszukała i jednak mieszka tutaj – stwierdziła z ulgą i wsunęła telefon do kieszeni płaszcza, przekładając torbę z zakupami do drugiej ręki. – Teraz tylko muszę się jakoś dowiedzieć, które to mieszkanie”.

W tym samym momencie w drzwiach na parterze zazgrzytał klucz. Pojawiła się w nich staruszka z trzymanym pod pachą pieskiem.

„No to mamy rozwiązanie, koniec języka za przewodnika” – pomyślała i uśmiechnęła się do schodzącej powolutku po schodach starszej pani.

– Dzień dobry, jaki śliczny – zachwyciła się pieskiem. Mogła to zrobić zupełnie szczerze, bo rzeczywiście zwierzak był przeuroczy. Gdyby nie to, że wiercił się nieustająco i machał ogonkiem, można by było pomyśleć, że patrzy się na pluszaka.

– Dzień dobry, co racja, to racja, urody nie można mu odmówić, ale niezły z niego huncwot i ladaco – uśmiechnęła się w odpowiedzi staruszka. – Zjadł mi wszystkie kapcie, co do sztuki... Właściwie to były tak znoszone, że nawet się cieszę, bo mam pretekst, żeby kupić nowe, ale obawiam się, że dla tamtych też nie będzie miał litości – dodała.

– Jest młodziutki, pewnie go swędzą dziąsła. – Michalina podrapała wyrywającego się do niej psiaka za uchem. – Moja córeczka też niedługo

będzie ząbkować – dodała, bo nie wiedzieć czemu, jakoś to wszystko jej się pokojarzyło.

– No, miejmy nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy obgryzać mebli i szarpać bamboszy – ubawiła się staruszka. – A do kogo ty, dziecko, przyszłaś, bo mieszkać to tutaj nie mieszkasz, ja kojarzę wszystkich – dodała z błyskiem zaciekawienia w oczach, nie zdając sobie sprawy, że niespodziewanie ułatwiła Michalinie zadanie.

– To prawda, nie mieszkam i jestem tu pierwszy raz. Mam podzucić te zakupy znajomej, takiej młodej dziewczynie z dzieckiem, jej wózek tutaj stoi. – Obejrzała się za siebie.

– A, tej... Dobrze ją znasz? – Oczy staruszki zapłonęły ciekawością.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo. Z widzenia. A te zakupy... Po prostu wyświadczam komuś przysługę – odpowiedziała, ostrożnie dobierając słowa, bo nagle przed oczami stanęła jej wystraszona twarz matki Haśki i zmęczone, wypełnione po brzegi nieufnością oczy dziewczyny.

Coś mówiło jej, że lepiej oszczędzać słowa i nie wdawać się w szczegóły.

– Właśnie, jej chyba nikt dobrze nie zna – ciągnęła niezrażona jej ogólnikową wypowiedzią starsza pani. – Wprowadziła się tu niedawno, dziwna jakaś taka jest, dzika. Po klatce to chodzi tak, jakby się skradała i jakby przed kimś cały czas się kryła. No, a ostatnio to w ogóle na to swoje najwyższe piętro wchodziła ledwo co. Nawet się zastanawiałam, czy ona nie z tych, co to dają sobie w żyłę albo wachają jakieś świństwa. Bo pić to nie pije, czuć by było w powietrzu...

– A pani to takie rzeczy wie z autopsji? – zapytała niewinnie Michalina. – Bo wydaje się pani nadspodziewanie dobrze obeznana z tematem...

– A gdzie tam z autopsji! Dziecko kochane, a gdzie ja bym te narkotyki miała zdobywać, co? Zresztą ja nigdy nie miałam do takich spraw szczęścia, jak byłam taka siusmajtka, co to tak naprawdę dopiero co od ziemi odrosła, ale sobie wydawałam się już całkiem dojrzałą panienką, to nawet wtedy nie mogłam kupić żadnego winka ani niczego wyskokowego. Nie chcieli mi sprzedawać, chociaż inne panny, i to moje rówieśnice, nie miały takiego problemu. Na całe szczęście zawsze miałam dużo koleżanek, to biedy nie cierpiałymy i zawsze któraś coś tam na zabawy przynosiła, a i ja nie byłam w ciemną bitą, bo tatusiowi i mamusi z barku nie raz i nie dwa coś tam zawinęłam. – Zaśmiała się, a potem ten śmiech płynnie zamieniła w tęskne westchnienie. – A teraz to tyle mojego, co sobie powspominam... Przyplątało się do mnie to i owo, a to ciśnienie nie takie, a to cukier za wysoki i teraz o wypiciu wiśnióweczki albo raczeniu się naleweczką mogę tylko pomarzyć. I dobrze ci radzę, dziecko, nie odkładaj niczego na później, baw się, tańcz, pij i używaj życia, bo to nigdy nic nie wiadomo... I widzisz, od słowa do słowa dotarliśmy do tego, czym zawsze kończą się rozmowy z takimi jak ja: do tęsknoty za młodością. A co do tych narkotyków, to żadne doświadczenie nie jest potrzebne, tyle się człowiek w telewizji na to napatrzy, że potem samo mu się kojarzy. A ona, ta twoja znajoma, z dnia na dzień chudsza się robi, jak tak dalej pójdzie, to zupełnie zniknie. Wczoraj wieczorem jak wróciła, to tak jakoś się zataczała, ścian przytrzymywała, a przecież dziecko niosła. Poszłam potem pod jej drzwi, nie z żadnego wścibstwa, Boże broń – zastrzegła w odpowiedzi na minę Michaliny – tylko dlatego, że tam nie ma już żadnych innych mieszkań, ten jej przybytek to przecież na samym strychu jest. Chciałam sprawdzić, czy na pewno u niej wszystko w porządku. Zapukałam nawet, bo pomyślałam, że może czegoś jej trzeba, ot chociażby aspiryny, ale mi nie otworzyła. A była w domu! Po pierwsze, nie miała jak zejść, bo musiałaby mnie

minąć, a po drugie, słyszałam, jak szurała nogami, podchodząc do drzwi. Tak więc jeśli jej za dobrze nie znasz, dziecko, nie zdziw się, jeżeli ona w ogóle ci nie otworzy. A w domu jest, bo wózek stoi – dodała na wydechu, kompletnie nieświadoma tego, że niepytana, powiedziała wszystko, co Michalina chciała wiedzieć.

– To ja już pani nie zatrzymuję, piesek coraz bardziej się niecierpliwi. – Michalinie nagle zaczęło się spieszyć. Po ostatnich słowach staruszki poczuła, że chce mieć to już za sobą. – Miłego spaceru i do zobaczenia – dorzuciła i nie czekając, aż starsza pani znów dorwie się do głosu, wbiegła na schody i zaczęła przeskakiwać po dwa stopnie.

– Do zobaczenia, do zobaczenia – odskrzyknęła za nią. – Widzisz, Lolek, młoda, a uprzejma. Widać, że z tamtą ma niewiele wspólnego, bo gdzie tamtej dzikusce do niej! – Michalinę dobiegł jeszcze głos staruszki, a po chwili usłyszała zgrzyt otwieranej bramy.

Znak, że starsza pani z pieskiem wyszła na zewnątrz.

Na samą górę dotarła z lekką zadyszka. Rzeczywiście były tu tylko jedne drzwi. Obdrapane, pomalowane brzydką musztardową farbą. W jednej ze swoich ostatnich książek Musierowicz określiła taki kolor jako odcień fizjologicznego brązu. I tutaj ta nazwa pasowała jak ulał. Tyle że podczas lektury Michalina śmiała się z tego do rozpuku, a teraz wcale a wcale nie było jej do śmiechu. To piéterko, liche, zniszczone drzwi w paskudnej barwie, zimno, bo na ostatnim półpiętrze nie było już kaloryfera – wszystko wyglądało przygnębiająco.

Michalina przez moment stała bez ruchu, zastanawiając się, co ma powiedzieć, gdy Haśka jej otworzy.

– O ile w ogóle otworzy – westchnęła i pokręciła głową. Ze słów spotkanej na dole staruszki wynikało, że raczej nie ma co na to liczyć.

„No, ale nie dowiem się, dopóki nie zapukam. Dalej więc, już, miej to za sobą” – ponagliła się w duchu, zapukała zdecydowanie i zastygła, uważnie nasłuchując.

W pierwszym momencie nie słyszała nic. Żadnego dźwięku ani poruszenia. Dopiero po chwili coś jakby skrzypnęło, zaszurało i w końcu powietrze rozdarł dźwięk gwałtownego kaszlu.

Michalina odsunęła się trochę od drzwi, tak żeby było ją dobrze widać w wizjerze. Stała spokojnie, nie pukała po raz kolejny, czekając, aż Haśka podejmie decyzję. W końcu zazgrzytała przekręcana zasuwka i drzwi się uchyliły.

I teraz Michalina lepiej zrozumiała, co miała na myśli staruszka z dołu, gdy mówiła, że Haśka w końcu zniknie. Dziewczyna była przezroczyista – to, co wczoraj wydawało się bladością, w porównaniu z tym, jak wyglądała teraz, można było spokojnie wziąć za szczyt czerstwości. Oczy jej błyszczały gorączkowo, usta miała spierzchnięte.

– Po co przysłaś? – wychrypiała, opierając się na wpół otwartych drzwiach. – Miałam cię więcej nie zobaczyć. – Rozkaszała się na nowo.

– Nie chciałam przychodzić – zapewniła ją Michalina, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo uderzył ją widok opłakanego stanu, w jakim znajdowała się dziewczyna. – Ale...

– Tak, tak, martwiłaś się o małą, bo widziałaś, że kaszlę. Dostrzegłam to w tym twoim maślanym, współczującym spojrzeniu – przerwała jej niecierpliwie. – No to już nie musisz. Zaraz do mnie przyjdzie moja mama i się nami zajmie. Już? Dowiedziałaś się, czego chciałaś, to idź! – powiedziawszy to, chciała zatrzasać drzwi, ale Michalina była szybsza.

– Haśka, daj spokój. – Czubek jej kozaka skutecznie zablokował wejście. – Obie wiemy, że twoja mama nie przyjdzie. – Spojrzała w rozszerzające się strachem oczy dziewczyny. – Spotkałam ją wczoraj.

Szła do ciebie, ale ktoś jej przeszkodził – ciągnęła na wydechu, chcąc jak najszybciej powiedzieć to, co musiała, i to, co mogło Haśkę choć trochę przekonać, że nie ma ani złych zamiarów, ani nie kłamie. – Nie wiem, o kogo jej chodziło, i nie zamierzam wnikać. I naprawdę nie przyszedłabym dzisiaj, zazwyczaj dotrzymuję obietnic... Ale twoja mama prosiła, żebym przekazała ci tę siatkę. – Na potwierdzenie swoich słów wyciągnęła przed siebie wypakowaną po brzegi torbę. – Więc jej też obiecałam, że to zrobię, bo nie umiałam odmówić. I widzisz, znalazłam się w patowej sytuacji: obietnica kontra obietnica – usiłowała zażartować, choć prawdę mówiąc, wcale nie miała nastroju na dowcipkowanie.

– Oki. Dotrzymałaś obietnicy, ja ci teraz dziękuję, dasz mi to i sobie pójdiesz – wychrypięła, wyciągając rękę, ale w tej chwili znów chwycił ją kaszel tak mocny, że aż się zgięła w pół.

– Nie wygłupiaj się, wniosę ci to do środka, przecież ty ledwo stoisz na nogach. – Michalina nie czekała już na nic i bezceremonialnie, nie zważając na jej protesty, weszła do pokoiku.

Dopiero w tej chwili pojęła, dlaczego Haśka nie chciała jej wpuścić. Wewnątrz było potwornie zimno. Na stojącym pośrodku stole stała miska do połowy wypełniona wodą. Michalina odruchowo uniosła wzrok i zobaczyła, że na suficie rozlewa się wielka mokra plama. Widać deszcz był tutaj od dawna zadomowiony i wpadał jak do siebie. W kącie pokoju stała stara, wysłużona kanapa, na której leżała pomięta kołdra, obok kłębiło się kilka koców. Tuż obok kanapy stało łóżeczko, w którym spokojnie spała małeńka dziewczynka. I to był największy szok: kontrast pomiędzy resztą pokoju a tym łóżeczkiem właśnie. Ono było jak nie z tego świata. Puchaty kocyk w pastelowych kolorach, czyściutka, kolorowa pościel, wisząca karuzela. I szumiąca cicho farelka skierowana tak, żeby owiewała ciepłym

powietrzem miejsce, gdzie przebywała Tosia. Widać było, z jaką troską urządzony był ten mały dziecinny kącik.

Michalina mogła się założyć, że większość tego, co Haśka zarabiała, przeznaczala na to, żeby jej córce niczego nie zabrakło.

Przełknęła głośno ślinę i spojrzała na dziewczynę, która ciężko usiadła na łóżku.

Znów, tak jak wtedy na przystanku, spojrzały sobie w oczy. Haśka pierwsza odwróciła wzrok i pokręciła głową.

– No to już wniosłaś, weszłaś, obejrzałaś sobie wszystko. Możesz już iść? Ja nawet kiedy jestem w dużo lepszej formie, nie lubię gości. A dziś zwyczajnie nie nadaję się do przyjmowania kogokolwiek.

– Dobrze, już idę. Tylko może bym ci pomo... – zamilkła, zdawszy sobie sprawę, że to słowo niechybnie podziala na Haśkę jak czerwona płachta na byka. Przecież wyraźnie dała do zrozumienia, że niczego od niej nie chce. – Rozpakuję ci zakupy, co? – dokończyła wreszcie, przerywając niezręczną ciszę.

– Nie trzeba, chwilę posiedzę i sama sobie poradzę. Naprawdę, idź sobie – powiedziała z tak głęboką niechęcią i jednocześnie rozpaczą, że Michalina poczuła, że nic tu po niej.

Nic nie wskóra, chociażby nie wiem jak bardzo chciała być pomocna.

– Jak chcesz. – Odwróciła się, ale znów przystanęła i po chwili namysłu wyciągnęła z torebki pudełko, a z niego ręcznie malowane bileciki. Wybrała jeden ze swoich ulubionych, z aniołem siedzącym pod drzewem, podeszła do niespuszczającej z niej oczu Haśki i wcisnęła jej kartonik do ręki. – To jest moja wizytówka – powiedziała, patrząc jej w oczy. – Wiem, że pewnie nigdy z niej nie skorzystasz, ale gdyby coś, to tam jest mój numer. Telefon mam zawsze włączony – dorzuciła i tym razem nie oglądając się za siebie, podeszła do drzwi.

Była już na klatce, gdy usłyszała, że Haśka chyba coś do niej mówi.

– Tak? Mówiłaś coś? – Zajrzała do pokoju.

– Tak, Michalina, mówiłam – wychrypiiała z trudem. – Mówiłam, żebyś trzymała się ode mnie z daleka, bo ja przynoszę tylko kłopoty. A poza tym, że nie umiesz kłamać. Nie rób tego, bo wychodzi ci fatalnie – dorzuciła i kaszlnęła.

– Nie wiem, o co ci chodzi... – Michalina pokręciła głową i z troską machinalnie spojrzała na łóżeczko małej. Serce jej się ścisnęło na myśl, że za moment obie zostaną tu same.

„A co będzie, jeżeli nie da rady jej wyjąć, jak jej się wyslizgnie z rąk albo...”

– Wiesz, wiesz – wdarł się w jej rozmyślania głos dziewczyny. – Moja matka w życiu nie mogłaby mi zrobić takich zakupów – dodała i nieoczekiwanie jej twarz rozjaśnił uśmiech, który zmienił ją zupełnie.

Sprawił, że rysy jej złagodniały, a dołeczek w policzku nadał jej zaczepnego wyglądu. Przez ułamek sekundy wyglądała na kogoś, kim mogłaby być, gdyby w życiu poukładało jej się inaczej: na młodą, zadziorną i bardzo sympatyczną dziewczynę.

„Taką, z którą mogłabym się zaprzyjaźnić – pomyślała Michalina z nagłą tęsknotą. – Przecież ja nie mam żadnej przyjaciółki...”

Ale to był tylko moment, tak ulotny, że Michalina potem zastanawiała się, czy przypadkiem sobie tego nie wyobraziła.

– Tak więc idź już być dobra gdzie indziej. Nie wracaj i zamknij za sobą porządnie drzwi. – Uśmiech znikł jak za skinieniem różdżki złej wiedźmy, twarz znów się wydłużyła, a głos brzmiał tak ostro, że Michalina się wzdrygnęła.

No to poszła, bo co miała robić? Na lodowatym półpiętrze przystanąła i dotarło do niej, jak okropnie się czuje. Tak jakby w okolicach serca

i w dole brzucha zaległy ciężkie zwały kamieni. Tak jakby zawiodła. Siebie i tamto niczemu niewinne dziecko, i, paradoksalnie, nawet Haškę...

Choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że zrobiła wszystko, co mogła, ale to „wszystko” niepokojąco przypominało nic.

Wracała do domu z poczuciem totalnej klęski. I z niepokojem w sercu. Bo jedyne, co przychodziło jej do głowy, co mogłaby zrobić w tej sytuacji, to zawiadomienie opieki społecznej. To byłoby właściwe i odpowiedzialne. Ale jednocześnie to by było okrucieństwo nie do przyjęcia. Wobec Haški, którą – akurat tego Michalina była pewna – przy życiu trzymało tylko jedno: miłość do Tosi. Gdyby odebrano jej dziecko, skazano by ją na zatracenie. Jak więc mogłaby uczynić coś takiego? Jak mogłaby jednym telefonem odebrać komuś cały sens życia? I czy naprawdę wyszłoby to komukolwiek na dobre? Mała bez matki, matka bez dziecka... Jakieś bezduszne, bezosobowe łóżeczko, obce twarze i maleńkie serduszko kulące się w piersi z trwogi.

Michalina poczuła wręcz ten strach, rozpacz, poczucie krzywdy i osamotnienia.

„Nie mogłabym z tym żyć” – pomyślała, zaciskając mocno pięści, tak że paznokcie wbiły jej się w skórę.

„A z tym, co tam zostawiłaś, możesz?” – prześladowający ją od jakiegoś czasu irytujący głosik pojawił się jak na zawołanie.

– Uhhh! – W bezsilnej złości tupnęła nogą i to tupnięcie poniosło się echem po klatce schodowej. – Uhhh – powtórzyła jeszcze raz, zbiegając po schodach.

„Cholera, zrobiłaś, co mogłaś, a teraz wracaj do domu i nie myśl o tym. Zajmij się swoimi sprawami” – nakazała sobie w duchu, zatrząskując bramę kamienicy.

Ale jak to zwykle bywa w takich momentach, łatwiej było powiedzieć, niż wprowadzić w czyn.

DRUGI GRUDNIA



Michalina naprawdę nie sądziła, że kiedykolwiek dojdzie do tego, iż będzie wdzięczna losowi za Kochanieńskiego i jego koszarne pomysły. A jednak tak właśnie było.

Po raz pierwszy z prawdziwą radością powitała jego przyście i z entuzjazmem zajęła się realizowaniem potwornie artystycznych wizji. A nie bez znaczenia było to, że Kochanieński znajdował się w szczytowej formie, która niebezpiecznie przypominała początki szaleństwa. Ale najważniejsze, że wypełniając jego absurdalne pomysły, nie miała czasu na to, żeby myśleć, zastanawiać się i zamartwiać.

I tak zanim się zorientowała, minął ranek i duża część popołudnia. A potem musiała z kolei gasić pożar u siebie w domu i okiełznać Nelę, która z niezbitą pewnością stwierdziła, że ani Konstancy, ani tym bardziej Michalina nie znają się ni w ząb na czymś tak skomplikowanym jak remont, i postanowiła pójść i na własne oczy obejrzeć kierownika projektu, i poddać go szczegółowym badaniom, które skończyły się tym, że zdesperowany człowiek zadzwonił do Michaliny po pomoc. Gdy w końcu dotarła na miejsce, biedak wyglądał tak, jakby go ktoś przeżuł i wypluł. Czego absolutnie nie można było powiedzieć o Neli. Starsza pani była promienna i bardzo widocznie ukontentowana swoją działalnością.

– Bo wy jesteście durni! – powiedziała później, gdy usiłowali jej wspólnie z Kotulą wyjaśnić, że nie może się wtrącać i że jeden kierownik do remontu i przebudowy małej kuchni naprawdę wystarczy, tym bardziej taki, który zna się na rzeczy. – On się może i zna, chociaż ręki za to bym sobie nie dała uciąć, ale do ludzi to za grosz nie ma podejścia! Robotnicy, a już budowlańcy, to jest specyficzny rodzaj człowieka. Czy wy zdajecie sobie sprawę, że on im nie pozwolił nawet na małą puszczkę piwa? To jak

oni mają pracować? To jest tak, jakby oczekiwać, że parowóz ruszy bez podsypywania węgla!

– No, akurat tego to się po tobie nie spodziewałem! – Konstanty spojrział na nią ze zgrozą. – Przecież oni nie mogą pić w pracy!

– Ależ już mogą, ja im pozwoliłam – oznajmiła starsza pani ze stoickim spokojem. – I dlatego potrzebny jest wam ktoś taki jak ja.

– Aha, do rozpijania i sprowadzania na złą drogę pracowników? Doprawdy bardzo kusząca wizja. – Konstanty wywrócił oczami.

– Oj, Kotula, nie dramatyzuj. Przecież tamten też może zostać, niech pilnuje tych wszystkich papierków, ja się zajmę ludźmi. To dobra gimnastyka dla umysłu, trochę się rozruszam – dodała, zacierając ręce. – A co do piwa, to ja nie tylko przyzwoliłam, ale sama im przyniosłam. Kulturalnie, nalane w szklankach, co doprowadziło tego biednego Klemensa... tak ma na imię ten biedak? – zawiesiła pytająco głos.

– Jeżeli masz na myśli kierownika tego remontu, to tak, ma na imię Klemens, i obawiam się, że jak tak dalej pójdzie, niebawem będziemy musieli o nim mówić były kierownik, bo on nie wytrzyma tego emocjonalnego rollercoastera i zrezygnuje, i dopiero będziemy w czarnej dupie! – zaprorokowała grobowym głosem Michalina.

– Nelu, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak teraz jest trudno o porządną ekipę? – Konstanty spróbował ją podejść od innej strony. – A ty właśnie jedną z tych nielicznych rozpijasz! I podrywasz ich szefowi autorytet!

– A co ty tam wiesz – parsknęła Nela. – Do ludzi trzeba po ludzku. Wiesz, co mi jeden z nich, Zdzicho, taki zarośnięty, powiedział? Że ten Klemens to im wodę kupił. „I co? My mamy wodę pić? Jak zwierzęta?” Tak mi powiedział i wybuchnął śmiechem, choć tu muszę przyznać, nie bardzo rozumiałam, co go tak ubawiło...

– Bo on nie mówił tego na poważnie, to taki żart, powszechnie używany! Widzisz? Jednak czasy się trochę zmieniają i...

– Czasy może i tak, ale nie ludzie – przerwała Michalinie bezpardonowo. – A poza tym myślicie, że ja jestem taka głupia? Waszym zdaniem dlaczego ja im to piwo tak ładnie przelałam i zaniosiłam? Czy to jest do mnie podobne, żebym biegała ze szklankami? – Wbiła pytający wzrok w Kotulę.

– No właśnie nie bardzo, no, chyba że nagle obudziła się w tobie estetka – mruknęła Michalina, wyręczając Konstantego.

– E tam, estetka podczas remontu! Szkło było niezbędne, wlałam tam pyszne piwo, takie jak lubią! Tyle tylko, że to była zeróweczka! Zapytam raz jeszcze: czy myślicie, że ja jestem głupia? A wiecie, jak oni mnie teraz kochają? No właśnie. – Pokiwała głową, nie czekając na ich odpowiedź. – I jak im się z miejsca humor poprawił? Obiecali, że w dziesięć dni wam ten remont opędzą, bo nareszcie mają godne warunki do pracy. Chciałam nawet temu Klemensowi wyjaśnić, jak z nimi trzeba postępować, ale on najpierw usiłował mnie besztać, a potem popadł w rozpacz. Strasznie niestabilny, jakiś taki rozhisteryzowany – zacmokała Nela z przyganą.

– Matko i córko, ja już nie wiem, co powiedzieć – jęknął Konstanty.

– To ty lepiej nic nie mów i niczym się nie przejmuj – poradziła mu ze stoickim spokojem Nela.

– Daj spokój, bo się jeszcze, nie daj Boże, uprze na amen przy tym nadzorowaniu i dopiero wtedy będziemy mieli cyrk. To trzeba będzie jakoś sposobem rozwiązać, odwrócić jej uwagę – wyszeptała mu do ucha Michalina.

I rzeczywiście chwilowo rozsądnie dali spokój tematowi, zjedli kolację, potem Klara za nic nie chciała usnąć i w rezultacie Michalina padła, siedząc na kanapie – i przespała tak do rana.

Nic dziwnego, że nie miała kiedy zamęczać się Hašką.

I tak niepostrzeżenie, wśród wciąż padającego śniegu i wzmagającego się mrozu, nastał grudnia dzień trzeci.

TRZECI GRUDNIA



Tego ranka panował taki ziąb, że gdy Michalina wyszła z ciepłej klatki na zewnątrz, aż ją cofnęło. Przy każdym oddechu w powietrzu pojawiały się obłoczki pary, a lodowaty wiatr dął z taką mocą, że miała wrażenie, iż drepcze w miejscu i uprawia z nim zapasy. Dotarła do pracy zziębnięta, z czerwonymi od mrozu policzkami.

– Zima jak co roku znów zaskoczyła drogowców – oznajmiła, obtupując buty i wchodząc do kwiaciarni. – Chodniki i ulice są nieodsnieżone, a komunikacja miejska stoi. Ludzie na przystankach również.

– Co chcesz, to już tradycja. – Gabrysia nieznacznie wzruszyła ramionami. – A z tego, co zapowiadają w pogodzie, to dopiero początek. Zbliżają się śnieżyce i zamiecie, i dodatkowo jeszcze większy mróz. Pogoda zwariowała, bo zima zimą, ale takie nagłe ochłodzenie, z dnia na dzień, nie jest normalne – pokręciła głową.

– Mówisz, że ma być jeszcze większy mróz i śnieżyce – mruknęła Michalina, a przed oczami pojawiła jej się mokra, ciemna plama na suficie, wyiębione pomieszczenie i leżąca na kanapie rozgorączkowana dziewczyna.

Zacisnęła powieki, żeby pozbyć się niechcianych obrazów i, broń Boże, nie przywołać widoku łóżeczka i leżącej w nim dziewczynki. Ale oczywiście to wszystko było na nic. Nie mogła przestać o nich myśleć. Nie wtedy gdy za oknem grubymi płatami nie tyle padał, ile walił śnieg, a lodowaty wiatr gniewnie uderzał w okna kwiaciarni.

„Ale przecież nic już nie możesz zrobić! – Zacisnęła wargi. – Nie można nikogo zmusić do przyjęcia pomocy...”

„A dziecko? – zaszepotało jej coś natychmiast. – Co z nim?”

– Michalina? Halo – w tym momencie w jej rozmyślania wdarł się głos Gabrysi. – Pani do ciebie – powiedziała kwiaciarka, przyglądając jej się z uwagą.

– Miałam dziś odebrać stroiki na świece. – W progu kwiaciarni stała okutana w grube palto kobieta i patrzyła na nią wyczekująco.

– A, stroiki. – Michalina potrząsnęła głową i podeszła do swojego stołu. – Są gotowe – powiedziała, przywołując na twarz uśmiech, choć przyszło jej to z trudem.

Gdy zadowolona klientka opuściła kwiaciarnię, unosząc pod pachą sporą paczkę ze stroikami, dziewczyna podeszła do parapetu, na którym stała szopka, i spojrzała na pochylającą się nad swoim synkiem Marię.

– Może ty mi powiesz, co mam robić? – wyszeptła, bezgłośnie poruszając ustami, i zajrzała Matce Boskiej w twarz.

Tym razem jednak nie znalazła tam odpowiedzi, tylko ogromny niepokój. Dokładnie odzwierciedlający ten, który szarpał jej sercem.

Tego ranka Haśka z trudem zwlokła się z łóżka i ostatkiem sił wyjęła Tosię z łóżeczka. Położyła ją na kanapie i rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu pieluch. Jak na złość leżały w przeciwległym kącie. Dotarła tam, trzymając się ścian. Bolały ją wszystkie kości, piekło za oczami. Ale jakoś udało jej się wrócić i przewinąć małą, a potem opadła bez sił obok niej i poczuła, jak wstrząsają nią lodowate dreszcze.

„Farelka – dotarło do niej. – Nie przestawiłam farelki, a ona musi grać Tosię”... Szczołgała się z kanapy i pociągnęła za kabel urządzenia, usiłując przysunąć je jak najbliżej. I w tym samym momencie pociągnięta gwałtownie wtyczka wysunęła się z gniazdka, stojąca przy kanapie lampka, jarząca się bladym światłem, zgasła, a w głowie Haśki eksplodowało coś potwornie bolącego, kłującego za oczami i rozsadzającego skronie.

„Chyba wyłączyli światło...” A to oznaczało, że nawet jeżeli jakimś cudem udałoby jej się dotrzeć do gniazdka i wetknąć w nie wtyczkę, farelka i tak nie zadziała. Haśka poczuła, że oblewa ją zimny pot. Chciała odetchnąć głębiej, ale brakowało jej powietrza. Podłoga, na której klęczała, była lodowata i Haśka miała wrażenie, że za moment zamarznie.

Ostatkiem sił na czworakach dobrnęła do łóżka i wgramoliła się na górę. Tam była Tosia. I komórka. I wizytówka, którą zostawiła jej wczoraj na odchodnym malowana lala.

„Na całe szczęście jej nie wyrzuciłam” – pomyślała, rozgarniając kłębowisko koców. Każdy ruch był torturą, czuła każdy mięsień, a kłujący ból w kościach był nie do wytrzymania.

– Jest. – Mały kartonik w końcu wysunął się spod poduszki.

Telefon ku jej wielkiej uldze leżał na wierzchu. Sięgnęła po niego, czując, że palce ma sztywne, ale zmusiła je do współpracy. „Trudno, to

całkowity upadek, ale tonący brzytwy się chwyta” – pomyślała, usiłując skupić wzrok na malutkich cyferkach z numerem telefonu. I wtedy dotarło do niej, że aparat się nie załącza. Był rozładowany.

Nie było prądu, żeby można było temu zaradzić.

Nie było ciepła, żeby móc się ogrzać.

Nie było jak ani kogo poprosić o pomoc.

Nie było nadziei.

Było za to sennie i przerażająco cicho.

„Idealnie, żeby umrzeć” – przemknęło jej przez głowę i doznała dziwnego wrażenia, że jeżeli tylko da sobie przyzwolenie, to zamknie oczy i odejdzie. Tak jak ta dziewczynka z zapałkami...

„Może w końcu ja też bym mogła usiąść pod najpiękniejszą choinką...” – zakołatało w jej rozgorączkowanej głowie. Jak to było?

I oto siedziała pod najpiękniejszą choinką; była ona jeszcze wspanialsza i piękniej ubrana niż choinka u bogatego kupca, którą ujrzała przez szklane drzwi podczas ostatnich świąt; tysiące świeczek płonęło na zielonych gałęziach, a kolorowe obrazki, takie, jakie zdobiły okna sklepów, spozierały ku niej. Dziewczynka wyciągnęła do nich obie rączki – ale tu zgasła zapałka; mnóstwo światełek choinki wznosiło się ku górze, coraz wyżej i wyżej, i oto ujrzała ona, że były to tylko jasne gwiazdy, a jedna z nich spadła właśnie i zakreśliła na niebie długi, błyszczący ślad.

– Ktoś umarł! – powiedziała malutka, gdyż jej stara babka, która jedyna okazywała jej serce, ale już umarła, powiadała zawsze, że kiedy gwiazdka spada, dusza ludzka wstępuje do Boga

– wyrecytowało coś w jej głowie. Opowieść o dziewczynce z zapałkami znała na pamięć. Baśnie, szczególnie te Andersena, jako jedne z niewielu książek mogła czytać. Edward twierdził, że uczą życia i nie mieszają w umyśle.

„Ktoś umarł” – zaszumiało jej jeszcze raz w uszach i westchnęła przyzwalająco, i w tym samym momencie poczuła na policzku dotyk cieplej rączki. Malutkie paluszki muskały jej rozpaloną twarz.

„Tosia” – dotarło do niej, ale tym razem to nie wystarczyło. Jedyne, co zdołała zrobić, to lekko się podczołgać ku górze i podciągnąć koszulkę. Jeszcze mogła ją nakarmić, nie straciła całkowicie mleka...

To była ostatnia rzecz, o której pomyślała, bo potem jej głowa opadła na poduszkę. Tuż koło wizytówki, z której spoglądał na nią anioł, trzymający w rękach tabliczkę z napisem: „Zagubiony anioł”.

A minę miał pełną troski i niepokoju.

Michalina tymczasem denerwowała się coraz bardziej.

Owszem, zajęła się pracą, bo czekały na nią bombki do malowania i pliczki bilecików prezentowych, które zamierzała zamienić w miniaturowe zimowe obrazki, a pierwsza partia cyprysików do przyozdobienia prężyła swoje zielone gałązki w pełnej gotowości. Ale to wszystko świetnie zajmowało ręce i ani trochę głowy.

Cały czas przed oczami stał jej zimny pokój, z pięknie udekorowanym łóżeczkiem i kanapą, i siedząca na niej rozgorączkowana i kaszląca Haśka.

„Co ja mam z tym zrobić?” – pomyślała ze złością i z rozmachem cisnęła trzymanym w ręku pędzelkiem.

– Cholera, cholera, cholera – powiedziała i klapnęła na stojący obok niej taboret.

– No, cholera – powtórzyła za nią Gabrysia, unosząc nieznacznie brwi i przyglądając się niebieskim kropelkom farby, które osiadły na kremowych różanych płatkach. – Powiesz mi, co się dzieje, czy mam cię jakoś szczególnie ciągnąć za język? Bo od rana miotasz się i ciskasz. W ogóle mam wrażenie, że od wczoraj jesteś jakaś nieswoja, ale składałam to na karb pracy z Kochanieńkim.

– Nie, on nie ma z tym nic wspólnego – mruknęła Michalina i potarła ręką czoło. – Szczerze mówiąc, zupełnie o nim zapomniałam. Słuchaj, Gabrysiu... – Zamilkła na moment.

– Słucham, słucham – zapewniła ją kwiaciarka.

– Jak pierwszy raz przyszłam do ciebie w zeszłym roku... Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam bardzo dobrze ten moment, gdy się pojawiłaś, ale jeszcze lepiej chwilę, w której zniknęłaś. I nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. Na dodatek w takich momentach człowiekowi kojarzą się

różne rzeczy... – Zamyśliła się. – Wtedy zaczął padać śnieg, sypał zupełnie tak jak teraz, bez umiaru, przez kilka dni, a ty mimo że zostawiłaś u mnie swój pakunek, do którego wydawałaś się bardzo przywiązana, nie przychodziłaś, żeby go odebrać. Nawet nie wiesz, ile hartu ducha mnie kosztowało, żeby nie zajrzeć do środka. – Roześmiała się i pokręciła głową. – W każdym razie miałam ogromne wyrzuty sumienia i to tym większe, im częściej spoglądałam na szopkę – dodała i pokręciła głową.

– Na szopkę? Dlaczego?

– No, mówiłam ci, że w takich momentach człowiekowi kojarzą się najróżniejsze rzeczy, a mi się pokoiarzyło właśnie to: że ja wszystkich zawiodłam. I ciebie, i Marię, i Józefa, i małego Jezusa. Nie zdałam egzaminu. Bo zachowałam się tak jak wszyscy ci, którzy odmawiali im schronienia. Nie otworzyłam w porę drzwi, a właściwie to ja je właśnie otworzyłam, ale w drugą stronę: pozwoliłam ci odejść, chociaż wiedziałam, że nie masz się gdzie podziać. Patrzyłam beczynn timer, jak wchodzisz prosto w grudniową ciemność, w mróz i samotność. – Gabrysia wzdrgnęła się na to wspomnienie.

– Przecież zrobiłaś, co mogłaś... Czasem trzeba zrobić tyle, ile się da, bo więcej nie sposób! – Michalina w końcu wypowiedziała na głos to, co ją dręczyło, odkąd wyszła od Haški.

– Tak samo to sobie tłumaczyłam, jednak cały szkopuł był w tym, że mogłam więcej. Mogłam, tylko poszłam po linii najmniejszego oporu. A wiesz, jest takie powiedzenie, które wtedy zresztą też mi się przypomniało, że ten, kto biernie akceptuje zło, jest za nie tak samo odpowiedzialny jak ten, co je popełnia. A ja je zaakceptowałam. Ale właściwie dlaczego pytasz o to dopiero teraz? – Gabrysia uniosła w zastanowieniu brwi i spojrzała na dziewczynę ze wzmożoną uwagą.

– Bo mam wrażenie, że właśnie ja też mogłam zrobić o wiele więcej – odparła wolno, po czym nagle zerwała się z taboretu i złapała wiszącą na oparciu krzesła kurtkę. – Gabrysiu, ja cię bardzo przepraszam, ale muszę wyjść i coś sprawdzić – powiedziała, ubierając się w pośpiechu.

– Może najpierw powiedz mi przynajmniej, co się dzieje i gdzie idziesz. – Kwiaciarka poczuła nagle zaniepokojenie.

– Opowiem ci, jak wrócę, ale żebyś się nie martwiła, to na wszelki wypadek masz tu adres, pod którym będę. – Nagryzmoliła coś na kartce i podała ją Gabrysi.

– To niedaleko, może ja po prostu z tobą pójde, co? – zaproponowała Gabrysia, zerkając na karteluszek.

– Nie, uwierz, to nie jest dobry pomysł. – Michalina stanowczo pokręciła głową. – To sprawa, którą muszę załatwić sama – dodała i już jej nie było.

Zniknęła w gęsto padającym śniegu targana porywistymi podmuchami wiatru. Zupełnie tak jak wtedy, gdy Gabrysia widziała Haškę po raz pierwszy. I tak samo jak tamtego dnia poczuła, że nie powinna jej puszczać samej. Ale było już za późno, by cokolwiek zmienić.

Później, gdy Michalina usiłowała przypomnieć sobie minuta po minucie przebieg wydarzeń, nie do końca jej się to udawało.

Bo od chwili gdy wspięła się na lodowate poddasze i stanęła pod obdrapanymi i znajomymi już drzwiami, wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Na pukanie do drzwi nikt nie odpowiadał, ale wiedziała, że Haśka jest w domu, bo na dole wózek stał dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio. W końcu, zdesperowana, załomotała w drzwi pięściami, prosząc w duchu wszelkie dobre moce, żeby mieszkająca na parterze wścibska staruszka była poza domem albo chwilowo ogłuchła, bo ostatnie, czego jej było potrzeba, to jej wszędobyłski i ciekawski nos, który zapewne wściubiłaby od razu do mieszkania Haśki.

I mimo że Michalina nie wiedziała jeszcze, co tam zastanie, coś mówiło jej wyraźnie, że nie powinien tego oglądać nikt poza nią.

Niestety dobijanie się do drzwi też nie przyniosło rezultatu. Przez chwilę stała niezdecydowana. W końcu wyciągnęła rękę i położyła ją na klamce – w tym samym momencie z wewnątrz dobiegł cichy dziecięcy płacz. Nie zastanawiając się już dłużej, nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Na całe szczęście były otwarte.

Nawet nie wiedziała, jak znalazła się koło kanapy, na której na pierwszy rzut oka widać było tylko kłębowisko koców. Odgarnęła je drżącymi rękami. Najpierw jeden, potem drugi. Spod nich dobiegał słaby płacz dziecka. Pod trzecim wreszcie natrafiła na dziewczynkę. Miała czerwoną twarz, była zapłakana, ale poza tym wyglądało, że chyba jest wszystko w porządku. Michalina uspokajająco położyła jej dłoń na brzuszku i odgarnęła ostatnią warstwę – kołdrę. Pod nią leżała Haśka. Miała zlaną potem twarz, ale otworzyła oczy i spojrzała na Michalinę półprzytomnie.

– Dobrze, już jest dobrze – przemówiła Michalina, starając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie i pewnie, choć tak naprawdę cała w środku się trzęsła. Przyłożyła dłoń do jej czoła i przełknęła głośno ślinę. – Masz bardzo wysoką gorączkę... Nie możesz tu zostać, zabiorę cię stąd... – Odetchnęła głęboko i obrzuciła spojrzeniem wnętrze pokoju.

Nie zmieniło się za bardzo od jej ostatniej wizyty. Tylko postawiona na stole miska z wodą, do której nadal kapało z wciąż powiększającej się na suficie plamy, przelała się i na podłodze przykrytej linoleum stała kałuża. Siatka z zakupami była rozgrzebana. Część rzeczy została z niej wyjęta i rzucona byle gdzie, widać Haśce nie starczyło już siły, żeby to wszystko pochować.

– Ale żadnego szpitala, żadnego lekarza... – wychrypiła z trudem dziewczyna, a w jej oczach pałających gorączką pojawił się inny błysk: przerażenia.

– Żadnego szpitala, zaufaj mi. – Michalina powoli, żeby nie wzbudzić w dziewczynie strachu, podniosła z łóżka płaczącą coraz bardziej Tosię i przytuliła ją do siebie. – Teraz zadzwonię po kogoś, kto po nas

przyjedzie – dodała, kołysząc małą i gorączkowo zastanawiając się, do kogo ma się zwrócić o pomoc.

Kotula, który wydawał się na pierwszy rzut oka oczywistym wyborem, odpadał, bo był w sądzie. Znajomy taksówkarz, ulubieniec Neli, mógłby być w każdej innej sytuacji, ale tutaj trzeba było kogoś silnego...

– Nie dam rady się podnieść – wychrypiała Haśka, jakby czytając jej w myślach.

– Nie przejmuj się, jakoś to ogarniemy... – Michalina brzmiała dużo pewniej, niż się czuła.

„Cholera, nie mam do kogo zadzwonić – dotarło do niej z całą jasnością. – Nie mam przyjaciół, a to chyba nie jest normalne, żeby w moim wieku nie mieć wokół siebie żadnych rówieśników... Ale to nie jest najlepszy pomysł, żeby się tym zajmować akurat teraz...”

Przysiadła na jedynym krześle, jakie było w pomieszczeniu, ułożyła sobie małą na kolanach, kołysząc ją miarowo. Z torby wygrzebała komórkę i wybrała numer Gabrysi.

– No i co tam? Wszystko w porządku? – ku jej niewypowiedzianej uldze kwiaciarka odebrała od razu.

– No, powiedzmy – mruknęła, obrzucając spojrzeniem leżącą na łóżku i półprzytomną od gorączki dziewczynę, i pomyślała, że z całą pewnością określenie „w porządku” tu nie pasuje. Ale jednocześnie to nie był najlepszy moment, żeby wdawać się w szczegóły. – Gabrysiu, ja ci to wszystko wytłumaczę później, ale teraz potrzebuję twojej pomocy. Potrzebuję kogoś z samochodem, kogoś, kto nie będzie zadawał zbędnych pytań i ma na tyle siły, żeby znieść z kilku pięter dziewczynę. Nie waży zbyt wiele, jest wychudzona. Mnie nikt nie przychodzi do głowy, a muszę na szybko coś wymyślić – dodała, a w jej głosie zabrzmiała desperacja.

– To może ja się nadam? – niespodziewanie komórka przemówiła męskim głosem, który wydał jej się znajomy, ale jednocześnie nie mogła go przypisać do nikogo konkretnego.

– Przepraszam cię, Michalina, ale nie zdążyłam ci powiedzieć, że jesteś na głośnomówiącym, bo ja mam ręce zajęte bukietem, który składam na szybko dla pana Broneczka z teatru – mruknęła Gabrysia ze skrucą.

– To nie ma w tej chwili znaczenia. – Michalina poczuła, jak z jej serca spada ogromny ciężar. – A właściwie ma! Panie Bronku, ja potem pana ozłocę i nawet zaproszę w ramach rozrywki i pokazu specjalnego na kolejne składanie bukietu przez pana Patryka, tylko niech pan tutaj jak najszybciej przyjedzie. Adres Gabrysia ma, to ten, który zapisałam na kartce, gdy wychodziłam – dodała i rozłączyła się. – No to teraz szybko, trzeba was przygotować do wyjścia – powiedziała do dziewczynki, która znów zaczęła płakać. – Coś mi mówi, że jesteś głodna... Obiecuję, że nakarmię cię już za moment, jak dojedziemy na miejsce. Teraz najważniejsze, żeby jak najszybciej was zabrać z tego zimna – wyszeptała i zerknęła na Haśkę.

Nie wyglądała dobrze, przepocone włosy lepiły się do rozpalonej twarzy, oczy miała zamknięte, oddychała chrapliwie przez uchylone usta.

– No proszę cię, nie płacz – szepnęła do małej i zakołysała ją w ramionach.

Ale tym razem nie pomogło. Dziecięcą buzię wykrzywił grymas.

– Poczekaj, już zobacz, tu jest twoja mama. – Michalina przyłożyła ją do Haški.

„I tak to nic już nie zmieni, bo jeżeli miała się zarazić, to pewnie się zaraziła” – pomyślała ponuro.

– No, przynajmniej osiągnęliśmy jakiś sukces, przestałaś się drzeć – powiedziała, bo dziewczynka, czując obecność mamy, natychmiast się

uspokoiła. – Dobrze, to teraz twoje ubranie... Twoją mamę opatulimy w koce...

„To chwilowo będzie musiało wystarczyć – pomyślała. – U Neli znajdziemy jej coś do przebrania”.

I dopiero teraz zdała sobie sprawę, że czeka ją jeszcze przeprawa ze starszą panią. A znając ją, nie będzie łatwo. Jakby w odpowiedzi na jej myśli komórka się rozdzwoniła, wyświetlając numer stacjonarnego telefonu Neli, która trwała w uporze i za nic nie dała się przekonać do komórki.

– Coś się stało, Nelu? – Chyba ta cała sytuacja z Hašką sprawiła, że Michalina poczuła irracjonalny niepokój.

– Nie, a co się miało stać? – zdziwiła się starsza pani. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że mama Kotuli przyjechała. Poszła do was, oczywiście zastała plac budowy. Na całe szczęście pan Zdzicho, ten z brodą, był na tyle przytomny, że kazał jej dzwonić do mnie, bo ani ty, ani Kotula nie odbieraliście...

– Nelu, posłuchaj... – Michalina usiłowała przerwać ten słowotok, oczywiście bez skutku.

– Dobrze, dobrze, pewnie chcesz mnie uświadomić, że nie powinnam dawać numeru telefonu nieznanym ludziom, ale sami w kółko to robicie – weszła jej w słowo Nela. – Rozdajecie swoje wizytówki na prawo i lewo, więc sobie daruj! A co do mamy Konstantego, to zostanie przez dwa dni, bo ma jakieś sprawy do załatwienia w Warszawie. A ja pomyślałam, że może jak będziesz wracać, to kupisz coś słodkiego u Wedla? Albo u Bliklego? Bo ja z małą w taką pogodę nie wyjdę, a to wstyd nie podać czegoś przyzwoitego na podwieczorek.

– No cóż, obawiam się, że po słodkości wyskoczę dopiero po powrocie – mruknęła Michalina. – I wiesz, dobrze, Nelu, że ty masz takie

duże mieszkanie, oj dobrze. A teraz przepraszam cię, muszę kończyć, mamę ucałuję, jak wrócę.

„O ile oczywiście zdążę to zrobić, zanim mnie obedziesz ze skóry” – dorzuciła już w myślach, kończąc połączenie. Bo czego jak czego, ale tego, że Nela nie będzie zachwycona kukułczym jajem, które właśnie miało zostać do niej podrzucone, Michalina była pewna. Tak samo jak i tego, że nieźle za to oberwie.

Pan Bronek przyjechał razem z Gabrysią. I musiała minąć chwila, żeby otrząsnęli się z tego, co ukazało się ich oczom. Tkwili nieruchomo w progu, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co widzą, aż w końcu Michalina stwierdziła, że trzeba ich przywołać do rzeczywistości.

– Słuchajcie, trzeba ją zawinąć w koce i znieść na dół, a potem podrzucić nas do Neli, zaraz podam panu adres – powiedziała, nie wdając się w zbędne wyjaśnienia, wskazując tylko ruchem głowy leżącą na kanapie dziewczynę.

Mała była już ubrana w kombinezon i w dwie czapki. Biorąc pod uwagę przeraźliwe zimno, jakie panowało na strychu, obawa, że się przegrzeje, odpadała.

– Widzicie, jak to wygląda... One nie mogą tu zostać. Panie Bronku, da pan radę ją znieść? – spytała, biorąc dziecko na ręce i sugestywnie patrząc na Haškę, która właśnie zaniósła się kaszlem.

– Dam, pewnie, że dam, ale nie wiem, czy jej nie trzeba zawieźć do...

– Nie trzeba – przerwała Michalina stanowczo, widząc, że dziewczyna otwiera oczy i toczy po zebranych przestraszonym spojrzeniem. – Bez zbędnych pytań, pamięta pan?

– Dobrze, umowa to umowa – pan Bronek pokiwał głową – ale to nie znaczy, że odpuszczę na amen.

– Ja na pewno nie, będziesz mi musiała wszystko ze szczegółami opowiedzieć – mruknęła zafrasowana Gabrysia i pokręciła głową, jednocześnie sięgając po stojącą obok, wypchaną dziecięcymi ubrankami, torbę. – Rozumiem, że to zabieramy ze sobą – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Tak – Michalina przytaknęła, patrząc, jak pan Broniek bierze Haśkę na rękę.

– A Tosia? – wychrypiała, z trudem unosząc głowę ponad jego ramię.

– Mam ją, jest bezpieczna. – Michalina stanęła tak, żeby Haśka widziała trzymane przez nią dziecko.

A potem już nikt nic nie mówił. Tylko gdy przekraczali próg obdrapanego i zimnego pokoiku, z dłoni Haśki wysunął się mały prostokącik. Michalina pochyliła się, żeby go podnieść, i zobaczyła swoją wizytówkę. Tę samą, którą wręczyła dziewczynie, gdy ostatnim razem od niej wychodziła.

Wydawała jej się wtedy odpowiednia do sytuacji. I chyba rzeczywiście taka była.

– Zagubiony anioł – szepnęła Michalina do siebie, zamykając drzwi na klucz, który odnalazła bez trudu, bo cały czas tkwił w zamku po drugiej stronie. – Najwyższy czas, żebyś się odnalazł, stary, najwyższy czas – dodała, poprawiając w ramionach Tosię i ostrożnie schodząc po stromych stopniach.

Tym razem szczęście im dopisało. Bo wszystko poszło nad podziw gładko. Bez problemów umieszczono Haśkę na tyle samochodu, Gabrysia usiadła na przodzie koło pana Bronka, a Michalina z Tosią zajęły miejsce z tyłu koło opatulonej w koce rozgorączkowanej dziewczyny.

Gdy ruszyli, na chodniku mignęła jej postać starszej pani z pieskiem. Najwidoczniej właśnie wracała do domu. W najlepszym z możliwych momentów, gdy już nic nie mogła zobaczyć.

„Cóż, czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” – pomyślała filozoficznie Michalina i głęboko westchnęła.

Niestety, nieobecność tej konkretnej starszej pani była tylko połowicznym sukcesem. Bo konfrontacji z drugą, tą z ostrym językiem

i mocno zarysowanym charakterem, stanowczo nie dało się uniknąć. Tym bardziej że to w jej mieszkaniu Michalina zamierzała umieścić swoje obie podopieczne.

Czyś ty zupełnie oszalała? – Nela poczekała, aż za Gabrysią i panem Bronieczkiem zamkną się drzwi wejściowe, i z miejsca przystąpiła do ataku.

Trzeba jej było przyznać, biorąc pod uwagę okoliczności i jej temperament, że i tak długo wytrzymała.

Bez słowa patrzyła, jak do jej mieszkania wtaszczano półprzytomną dziewczynę, jak w nosidełku Klary Michalina sadza jakieś nieznane rozplakane dziecko, jak prowadzi kwiaciarkę i jej towarzysza do tego samego pokoju, w którym w zeszłym roku Nela położyła Michalinę, i jak w łóżu z baldachimem, w którym w dawnych czasach sypiała jej babka, kładą tego obcego zdychulca.

W pierwszej chwili była tak oszołomiona, że kompletnie nie wiedziała, jak zareagować, co z miejsca doprowadziło ją do tak ogromnej wściekłości, że czuła, że jeżeli się odezwie, to powie o wiele więcej, niż powinna. I że zapewne będzie tego potem żałować. Milczała zatem, zgrzytając zębami i czekając na jedno z dwojga: aż zniknie Gabrysia i niejaki Bronieczek albo aż wściekłość choć odrobinę zelżeje. Traf chciał, że obie te rzeczy wydarzyły się jednocześnie. Dlatego zapewne, że złość w niej wrzała jakby odrobinę mniej, zanim zaczęła rozprawiać się z Michaliną, przytomnie przymknęła drzwi, za którymi leżał podrzutek – jak w myślach nazywała chorą dziewczynę.

– Czyś ty zwariowała, głupia dziewucho? – powtórzyła z mocą.

– Ale, Nelu, nawet nie wiesz, kim ona jest, skąd się wzięła, a już krzyczysz. A może...

– A ty wiesz? – zapytała starsza pani celnie. – Kim jest i skąd się wzięła? – powtórzyła sarkastycznie jej słowa. – Oprócz tego oczywiście, że ma zwyczaj mdleć na przystankach, bo przecież to ta sama dziewczyna,

o której opowiadałaś kilka dni temu! Na całe szczęście mam jeszcze zdolność kojarzenia! Przecież ona jest chora!

– No właśnie, dlatego nie mogłam jej tam zostawić – Michalina podniosła głos.

– A co, jeżeli zarazi Klarę? Pomyślałaś o tym? A co, jeżeli ona nie jest wcale matką tego dziecka, tylko je porwała? A co...

– Nie no, Nelu, to już są teorie spiskowe – zdenerwowała się na całego Michalina.

– A skąd możesz mieć pewność? – Starsza pani aż cała się zatrzęsła. – Wybacz, ale w takich sytuacjach przecucie nie wystarczy i...

– Ja was bardzo przepraszam, ale chyba to nie jest dobry moment na ciągnięcie tej kłótni. – Zafrasowana i podenerwowana mama Konstantego zajrzała do kuchni.

– Irenko, i ty przeciwko mnie? – oburzyła się Nela.

– Cóż... I tak pewnie bym się jakoś włączyła do tej dyskusji, bo ona szła ani chybi w kierunku brania się za łby, ale nie o to chodzi, kto za kim, a kto przeciwko. I przepraszam z góry za to, co powiem, lecz bycie mocną w gębie, jak mawiał mój dziadek, w niczym tu nie pomoże. I czy to się komuś podoba, czy nie, mleko już się rozlało i trzeba działać. Ja już rozebrałam tę malutką, bo się potwornie grzała, i zajrzałam do jej mamy i coś mi się wydaje, że jej się pogarsza. – Pokręciła głową. – Chodźcie i same zobaczcie – dodała i szybkim krokiem podążyła w kierunku pokoju z baldachimem.

Mama Konstantego nie przesadzała. Haśka wyglądała naprawdę źle.

– Nie ma rady, trzeba wezwać lekarza – zawyrokowała Nela, spoglądając na leżącą w łóżku dziewczynę i jednocześnie kołysząc leżaczką, w którym leżała Tosia. Klary stanowczo nie pozwoliła przynieść w to siedlisko bakterii i zarazy, jak powiedziała, i tutaj nikt z nią specjalnie nie dyskutował, bo zarówno Irenka, jak i Michalina w duchu przyznały jej rację. – Gorąco aż od niej bucha, jakby się uparł, to można by było ogrzewać nią ten pokój – ciągnęła starsza pani, trzęsąc głową.

– Nie możemy tego zrobić, ona w kółko powtarzała jak mantrę: „żadnych lekarzy!” – zaprotestowała Michalina, zagryzając dolną wargę i z niepokojem patrząc, jak dziewczyna rzuca się w pościeli.

– Powtarzała, powtarzała – przedrzeźniła ją Nela. – I co z tego? Spójrz na nią: jest rozpalona, kaszle. A jak się przed momentem przebudziła, to oczy miała mętne i widać było, że niewiele kojarzy. Leczenie jej herbatkami z lipy i ogólnie dostępnym syropem raczej nie wystarczy. Potrzebny jest lekarz i basta!

– I kto to mówi! – parsknęła Michalina. – Ktoś, kto rok temu, tracąc przytomność, powtarzał to samo! „Żadnych szpitali, żadnych lekarzy”, to twoje własne słowa – wytknęła jej.

– Które bezczelnie razem z Kotulą zlekceważyliście i ściągnęliście mi na głowę doktora Leona Mioduszewskiego *vel* Judyma – przypomniała jej Nela. – I w sumie dobrze się stało, bo wprowadzie mi nie był on do niczego potrzebny, doszłabym do siebie bez jego świątłych rad i wskazówek, ale on z całą pewnością na tym zyskał! Jak dziś pamiętam to, co zobaczyły moje biedne wiekowe oczy tuż po otwarciu: jego okropną kozią bródkę! Istna zgroza!

– Tak, tak, ja też pamiętam to dokładnie, jak zasłaniając się swoim ojcem, wystrzeżiłaś, że gdyby żył, toby mu powiedział, że jeśli ktoś nie ma predyspozycji, to powinien golić się na gładko, bo lepsze to niż broda, która wygląda, jakby ktoś patyków w gówno nawtykał – przypomniła usłudźnie Michalina. – Dodatkowo zarzuciłaś mu, że na pewno ma nieczne zamiary i że bada cię tylko dlatego, że przyszła mu ochota popodglądać starsze panie.

– Wielkie mi mecyje, byłam po prostu nieco zdenerwowana. – Nela wzruszyła ramionami. – Też byś była, gdybyś odzyskała przytomność i z miejsca poczuła, że ktoś majstruje ci przy ubraniu. A zresztą to są tylko nic niewarte szczegóły, najważniejsze jest to, że Judym od tamtego czasu wreszcie wygląda jak człowiek, bo zaczął się golić. Ewentualnie pozwala sobie na jednodniowy zarost, w którym, nie powiem, wygląda nawet pociągająco...

– Matko i córko, jesteście nieznośne – przerwała im mama Konstantego, przewracając oczami. – Jak przekupki na targu, co owszem, jest nawet zabawne, ale nie w momencie gdy ktoś ciężko chory potrzebuje pomocy!

– Ja się wcale nie pisałam na bycie samarytanką – odeła się Nela.

– Co i tak nie zmienia faktu, że dziewczyna jest tutaj, pod twoim dachem, i niejako czy chcemy, czy nie, jesteśmy za nią odpowiedzialne. – Irenka, którą do tej pory i Michalina, i Nela znały od zupełnie innej, łagodnej strony, zaskoczyła je niepomierne swoją stanowczością i ostrym jak na nią tonem. – I ja mam iście salomonowe rozwiązanie – dodała. – Skoro standardowe wezwanie lekarza odpada, z różnych względów, wezwijcie tego, o którym tu rozprawiacie. Jeśli oczywiście jest z tych, którzy przyjadą i nie będą zadawać zbyt wielu pytań, bo o ile zdążyłam się zorientować, właśnie w tym tkwi główny problem. Żeby za dużo nie pytał.

– Ty, Irenko, to masz głowę. – Nela popatrzyła na nią z uznaniem. – To jest bardzo dobry pomysł. Z małym „ale”. Bo wprawdzie Judym nie odmówi przyjazdu, co to, to nie, on jest mentalnie z tych porządných, przedwojenných eskulapów. Przypędzi tu gnany poczuciem obowiązku i troski, a przede wszystkim niepokojem o mnie – dorzuciła z zadowoleniem.

– O ciebie? – zdumiała się Michalina. – Przecież ty jesteś zdrowa jak ryba!

– Oczywiście złego diabli nie biorą, bo by im robił konkurencję, ale Judym nie przyjmuje tego do wiadomości. Uparł się, że z racji mojego wieku trzeba na mnie chuchać i dmuchać. Wieszczy, że jeżeli nie będę łykać tych wszystkich zalecanych przez niego witamin i suplementów, to niechybnie zmarnięję, złapie mnie zapalenie płuc, a najmarniej oskrzeli, i zejdem z tego świata. Zostawia mi te wszystkie dobroci z rozpiskami, co i kiedy mam brać.

– No proszę, wychodzi na to, że masz swoje tajemnice, nie wiedziałam, że utrzymujecie stały kontakt...

– Kobieta jest tylko wtedy interesująca, gdy na drugie ma sekret, a na trzecie nieprzewidywalność i nieprzyzwoitość. To ostatnie oczywiście zarezerwowane dla ściśle określonych osób, zapamiętaj to sobie na przyszłość – poradziła jej starsza pani, a jej twarz rozjaśnił uśmiech pełen zadowolenia.

– No, ale gdzie w tym wszystkim miejsce na niepokój o ciebie? – Irenka nawet nie wiedziała, kiedy dała się wciągnąć w rozmowę.

– No, jak to gdzie? On będzie szalał z zaniepokojenia, że ja się od niej zarazę. Ba, on będzie tego pewien! A wracając do tematu, to tak jak powiedziałam, Judym przybędzie w te pędy, ale zapomnijcie, że nie będzie zadawał pytań. Będzie. Będzie drążył i dociekał, a bestia ma nosa w tych

sprawach. Nawet ja muszę się często namęczyć, żeby wyprowadzić go w pole.

– Poczekajcie, to może zrobimy tak: ja podam Haśce coś na zbiecie gorączki, ty, Nelu, w tym czasie zadzwonisz po Judyma, a gdy on będzie jechał, bo zakładam, że nie zjawi się tu w ciągu pięciu minut, my wymyślimy jakąś zgrabną opowiastkę o tym, kim jest Haśka – zaproponowała Michalina.

– A co ty jej chcesz dawać? A wiadomo, co ona może przyjmować? Przecież ona ma malutkie dziecko, może je karmi... – sprzeciwiła się Nela.

– Nawet jeżeli, to na pewno dokarmia ją mlekiem. Znalazłam u niej w domu puszkę i butelki stały na zlewie. Poza tym nie sądzę, żeby w ciągu najbliższej doby dała radę zająć się dzieckiem, a mała musi coś jeść, więc raczej nie mamy wyboru. Słuchajcie, nie jest dobrze, ona ma prawie czterdzieści stopni gorączki – dodała, wyciągając spod pachy śpiącej niespokojnie dziewczyny termometr.

W pokoju na moment zapanowała cisza. Tak jakby wszyscy przyswajali sobie jej ostatnie słowa.

– Czterdzieści stopni to rzeczywiście nie przelewki – pierwsza doszła do siebie Nela. – Daj jej coś na zbiecie temperatury, Michalina, faktycznie nie ma nad czym myśleć. Ja idę zadzwonić do naszego eskulapa.

– To ja zaparzę herbatę i spotkamy się w kuchni. Aha, i przygotuję mleko dla dziewczynek – dołożyła swoją cegiełkę Irenka, a Nela nagle poczuła, jak wokół serca robi jej się ciepło.

„Dziewczynek – pomyślała z nagłym rozrzewnieniem, podchodząc do aparatu telefonicznego i zdejmując słuchawkę z widełek. – Jak to ładnie brzmi i jak dawno już nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił, szczególnie w tym mieszkaniu... Dziewczynek...” Przed oczami przesunęły jej się sceny, które od wieków należały już do dawno przebrzmiałej przeszłości.

Tupot butów w przedpokoju, towarzyszący mu zapach mroźnego powietrza, uśmiech na twarzy ojca. Jego podekscytowany głos, gdy wykrzykiwał, że za moment wszystko się zacznie i że trzeba się pakować, bo jadą na święta do domu na wsi... Trzeba się zbierać, moje grudniowe dziewczynki – śmiał się i okręcał je wokół siebie... Ją i jej siostrę.

Niesamowite było to, że w jej wspomnieniach był taki żywy, taki młody. A przecież w rzeczywistości miał już nigdy się tu nie pojawić, nie roześmiać, nie tupać w przedpokoju, nie przytargać ze strychu pudeł z choinkowymi ozdobami. „Nigdy... Nigdy to bardzo długo” – pomyślała z nagłym smutkiem i z zastanowieniem spojrzała na trzymaną w ręku słuchawkę. No tak, miała przecież zadzwonić i wezwać Judyma. Zdychulec potrzebował pomocy. A dziewczynki rąk do opieki. Nie było na co czekać.

Doktor Judym, jak nazywała go Nela, siedział przy stole w kuchni i wpatrywał się baczny wzrokiem w otaczające go kobiety.

– I ja mam uwierzyć, że to jest pani kuzynka – zwrócił się do Neli, wznosząc oczy do sufitu.

– Ależ znów pan wszystko pokręcił – zbeształa go Nela. – To jest jej kuzynka – wskazała na Michalinę.

– Aha. I dlatego nie kojarzysz, młoda damo, jak ona ma na nazwisko. To brzmi sensownie. – Jego mina pozostawała niewzruszona.

– Nie kojarzy, bo to jest bardzo daleka kuzynka – parsknęła Nela. – Od strony drugiej żony wuja Zdzisława, a wuj z kolei był bratem ciotecznym szwagra siostry... Czyjej to siostry? Bo to było chyba z kolei coś od was? – zwróciła się z niewinną miną do Ireny.

– Od nas to chyba nie bardzo, bo jak od niej, to nie od nas – mama Konstantego najwyraźniej nie dorosła do poziomu Neli, bo kompletnie się zagubiła w pokrętnym, tworzonym naprędce rodzinnym rodowodzie. – No, chyba że jakoś to się pokrzyżowało – dorzuciła natychmiast, widząc minę Neli.

– O Jezu – jęknęła rozdzierająco Michalina, chowając twarz w złożonych dłoniach. – O matko – dorzuciła stamtąd stłumionym głosem. – To jest po prostu moja kuzynka, niezbyt znajoma, bo nie utrzymywałyśmy kontaktów – powiedziała w końcu, odejmując dłonie od twarzy.

– Uboga i nie dałabym sobie ręki uciąć, czy nie zakała rodziny – podłapała natychmiast Nela. – No co? – zaperzyła się, widząc minę Michaliny. – Nieprawdę mówię?

– A dobrze, że pani, pani Nelu, sama to powiedziała, bo mi właśnie cały czas coś takiego chodzi po głowie – wtrącił ze śmiertelną powagą doktor. – Coś mi tu wyraźnie nie gra i...

– I to jest pana problem, wąpiący młody człowieku, i na pana miejscu to ja bym, bez urazy, poszła się przebadać. W zeszłym roku też pan podejrzewał i węszył, że to niby jakaś mistyfikacja, że Michalina nie jest moją wnuczką, że w ogóle się nie znamy. I co? Co wyszło z tej pana podejrzliwości? Powinien się pan wstydzić, a nawet jeżeli nie, to przynajmniej jakieś wnioski wyciągnąć – zbesztła go, groźnie marszcząc brwi. – Ale oczywiście skutki tej pańskiej chorobliwej nieufności poniesie kto? No kto? Najbardziej niewinny, ofiara! Niech to biedactwo się tam zamęczy na śmierć, niech umrze z gorączki, osieroci dzieci...

– Jakie dzieci? – Oszołomiony doktor gwałtownie zamrugał. – Do tej pory była mowa o jednym dziecku!

– A co za różnica, ile ich jest?! Ważne, że będzie musiało żyć bez matki, która bidna wykańcza się, podczas gdy pan tu siedzi i sporządza jej drzewo genealogiczne! Za moich czasów to jednak lekarze byli inni!

– To ja już nic z tego nie rozumiem. – Judym spojrzął na Nelę spod oka. – W końcu uboga zakała rodziny czy wykańczająca się bidulka!

– A wie pan co! Z panem to jest rozmowa jak z dupą w nocy! – zdenerwowała się Nela nie na żarty. – Nawet jak zakała, to nasza! A jeśli pan ma zamiar tutaj siedzieć i ustalać nasze więzy pokrewieństwa, to lepiej niech się pan przekwalifikuje i pójdzie na genealogię! Ale najpierw niech pan zrobi to, co do niego należy! Ona jest chora, a pan jest doktorem!

– A to akurat święta prawda, na moje nieszczęście. No więc, moje panie, wasza daleka bezimienna kuzynka – słowo „kuzynka” wymówił z wyjątkową starannością – jest skrajnie wycieńczona, niedożywiona i ma grypę.

– Ona jest imienna – zaprotestowała słabo Michalina. – Ma na imię Haśka. Halina. Chyba. No co pan tak patrzy? Wszyscy zawsze mówili o niej Haśka. To i tak lepiej niż Pani Ryba – dorzuciła z rozpędu, bo jej się nagle pokojarzyło.

– Kim jest Pani Ryba? – zainteresowała się żywo Nela.

– Właścicielką sklepu rybnego – mruknęła Michalina. – Wszyscy o niej tak mówią i właściwie jeszcze nie spotkałam nikogo, kto by wiedział, jak ona naprawdę się nazywa.

– To trochę dramatyczne, nie sądzisz, Irenko? Przez całe życie być Panią Rybą – Nela zwróciła się tonem towarzyskiej pogawędki do mamy Konstantego i w tym momencie doktor Leon Mioduszewski *vel* Judym zrozumiał, że został pokonany.

Miał mętlik w głowie, jak zwykle zresztą, gdy dawał się wciągnąć w szermierkę słowną z tą upiorną, z piekła rodem, staruszką. Pojął, że od początku był na przegranej pozycji i nie pozostaje mu nic innego, jak przepisać potrzebne leki i wpisać w swój i tak bardzo szczelnie wypełniony kalendarz dodatkowe domowe wizyty. Bo jednego był pewien: skoro już został w to wszystko, czego zresztą kompletnie nie rozumiał, zamieszany, to zamierzał przynajmniej dopilnować, żeby swoją rolę wypełnić skrupulatnie. I absolutnie nie dać się wodzić nikomu za nos.

– Trzeba ją poić, podkarmić i pilnować, żeby brała leki i witaminy. Ta dziewczyna jest u kresu sił. Ma zostać w łóżku co najmniej tydzień – powiedział z ciężkim westchnieniem. – A potem, gdy zacznie wstawać, kolejne kilka dni nie będzie mogła wychodzić. Zostawię wam rozpiszę, co i kiedy trzeba jej podawać. Zresztą zajrzę do niej jutro...

– Ależ my sobie poradzimy, a jakby co, to będziemy dzwonić – wtrąciła pospiesznie Nela.

– Niech pani nawet tego nie próbuje – lekarz w końcu pozwolił sobie na nieznaczny, ledwo unoszący kąciki ust, uśmiech.

– To znaczy czego? – Starsza pani zrobiła niewinną minę.

– Próbować się wykręcić od moich wizyt. To się właśnie nazywa konsekwencja. Bidulka kuzynka musi być pod stałą kontrolą lekarską, a jeżeli paniom tak zależy, żeby nie trafiła do szpitala, to jesteście skazane na mnie – dodał z błyskiem w oku i udając obojętność, zajął się wypisywaniem recept.

Cisza, która zapanowała po jego słowach, była najlepszym dowodem, że trafił w sedno.

„A jednak nie zostałem pokonany, mogę przyjąć, że tym razem mamy remis” – pomyślał, uśmiechając się pod nosem.

Gdy wyszedł z kamienicy, na zewnątrz było już ciemno. Śnieg sypał nieustająco, pod butami skrzypiał mróz, a wiatr był zimny i przenikający. A jednak, o dziwo, on, stojąc na tym zimnie na chodniku, kompletnie nieosłonięty i smagany wiatrem, czuł płynące od środka ciepło. Zadarł głowę i spojrzał w oświetlone okna Nelinej kuchni. Tam właśnie biło to gorące źródło. Zawsze gdy stamtąd wychodził, czuł, że to ciepło opromienia go całego i zostaje z nim jeszcze na bardzo, bardzo długo. I dlatego w głębi serca miał nadzieję, że Nela będzie nadal nieustająco sprawiała mu kłopoty, stawiała okoniem, besztła go w ten czarujący, starodawny sposób i ćwiczyła na nim swój ostry niczym brzytwa język. Przez następne sto lat, a może nawet i dłużej.

Bo może i prawdą było to, co sama często z ukontentowaniem powtarzała: że świat nie jest na nią gotowy, ale Leon wiedział swoje. Być może rzeczywiście świat nie był na nią przygotowany, lecz jeszcze bardziej nie był gotowy na jej nieobecność.

I w tym momencie doktor pomyślał z ogromną sympatią o fikcyjnej kuzynce, bidulce, zakale rodziny. Przynajmniej dzięki niej miał pretekst, żeby zaglądać częściej do tego domu, gdzie serce mu się rozgrzewało.

Konstanty był wściekły. Był chyba bardziej wściekły niż wcześniej Nela.

– Jak mogłaś zrobić coś takiego? – Pochylił się w stronę Michaliny i spojrzał jej głęboko w oczy. – Pójść tam sama w momencie, gdy już wiedziałaś, że coś jest nie w porządku! I jeszcze żebyś nie zdawała sobie z tego sprawy, ale musiałaś wiedzieć, bo właśnie dlatego nie opowiedziałaś nam, mnie i Neli, wszystkiego! Nie powiedziałaś o spotkaniu matki tej Haśki, która albo jest wariatką, albo się czegoś lub kogoś obłądnie boi. Nie powiedziałaś, że tam byłaś! A dziś przeszłaś samą siebie!

– Bo co? Bo uratowałam człowieka? – Spojrzała na niego przez łyżę. – Bo zrobiłam to sama?

– Bo nie wiesz, kogo uratowałaś, kogo wprowadziłaś pod nasz dach, a poza tym Nela miała rację: ona jest chora i...

– I dlatego miała tam zostać sama, Konstanty? – nieoczekiwanie do ich rozmowy wtrąciła się jego mama. – Leżeć nieprzytomna? A dziecko? Co by się wtedy stało z dzieckiem?

– Mamo, nie udawaj, że nie rozumiesz – zdenerwował się jeszcze bardziej. – To nie o to chodzi.

– A o co w takim razie ci chodzi, Konstanty? – Michalina uniosła się od stołu i spojrzała na niego z żalem.

– Dzieci, dajcie spokój, trzeba o tym porozmawiać na spokojnie – wtrąciła się Nela, która już zdążyła przemyśleć sprawę i spojrzeć na nią z należyty dystansem.

Właśnie wróciła z salonu, gdzie usypiała Klarę. Tosia spała już od jakiegoś czasu, usnęła dopiero wtedy, gdy położyli ją koło wciąż gorącej niczym piecyk Haśki.

I teraz słysząc słowa Konstantego, który właściwie mówił to samo co ona wcześniej, w pełni uświadomiła sobie, że przecież Michalina zrobiła to, co należało. A teraz, proszę bardzo, dostaje raz za razem po uszach. Oczywiście jej, Neli, należało wybaczyć wybuch, a nawet się z niego ucieszyć, bo to w końcu było dowodem na to, że nadal jest w najbardziej szczytowej formie, ale Konstanty? Doprawdy mógł sobie darować! Dlatego zaapelowała o spokój, choć sama miała świadomość tego, że w jej ustach takie wezwanie brzmi dość dziwnie.

– Nie, Nelu, bo tu spokój nie ma nic do rzeczy – powiedziała Michalina gorzko. – Tu trzeba wprost odpowiedzieć na pytanie: o co chodzi? Bo może o to, Konstanty, że zapomniałeś, skąd mnie wzięłeś w zeszłym roku. Skąd ja tu się wzięłam. Może właśnie o to chodzi, że jest nam za dobrze i nagle przestajemy widzieć to, co najważniejsze. Mamy ciepło, jedzenie, miłość. Mamy mnóstwo wszystkości i wiecie, co jest najgorsze? – Potoczyła po obecnych mokrym spojrzeniem. – Że zapomnieliśmy, jak się tym dzielić. Jak mieliśmy mniej, to, paradoksalnie, przychodziło nam to łatwiej. Umieliśmy dać więcej. Bo czuliśmy na własnej skórze, czego nam brakuje.

– Michalina, a przyszło ci do głowy, że ja po prostu się o ciebie boję? – Konstanty złapał jej rękę i mocno ścisnął. – Tak jak człowiek się boi, gdy kogoś bardzo kocha. Tak jak ja ciebie. A gdyby z tą dziewczyną było coś nie tak? Sama powiedziałaś, że wyglądała na zaszczutą, że jej matka przed kimś uciekała. A co by było, gdyby ten ktoś wszedł tam za tobą?

– Wiecie co, ta rozmowa jest kompletnie bezsensowna. – Michalina przełknęła głośno ślinę. – Mam wrażenie, że tylko mama – tu spojrzała na Irenkę – rozumie, o co mi tak naprawdę chodzi. Nawet ty, Nelu, chociaż już ci przeszła furia, nie do końca pojmujesz, co mną kierowało. Ani o co w tym, co powiedziałam: że jest nam za dobrze, o co w tym tak naprawdę chodzi. I te wszystkie pytania, Kotula, które mi właśnie zadałeś... A co by

było, gdyby ona mi coś zrobiła, i tak dalej... – Zamilkła na chwilę. – Wiecie co, ja mam do was prośbę. Chcę wam coś pokazać – dodała w nagłym olśnieniu. – Tobie, Konstanty, i tobie, Nelu – sprecyzowała. – Mamo, zostaniesz na chwilę z dziewczynkami i z Haśką? To nie powinno zająć dłużej niż pół godziny. – Spojrzała prosząco na Irenkę.

– Nie ma najmniejszego problemu, zostanę – zgodziła się i pokiwała głową Irena.

Domyślała się, co Michalina chce zrobić, i była z niej dumna.

– Gdzie ty chcesz nas zabrać? To nie może poczekać do jutra? – zamarudził Konstanty. – Nela też nie powinna wychodzić w taką pogodę...

– Ty się mną tutaj nie zasłaniaj, bo ja bardzo chętnie obejrzę to tajemnicze coś. Tym bardziej że widać, iż dla niej to jest niezmiernie ważne – rzuciła ściszym głosem, patrząc za wychodzącą do przedpokoju Michaliną. – Weź się w końcu w garść, Kotula, i przestań zrędzić jak stary dziad, bo jeszcze, nie daj Boże, wejdzie ci to w krew. Naprawdę tylko brakuje tego, żebyś zaczął co drugie zdanie dodawać: „A nie mówiłem!”. Uwierz, to jest potwornie irytujące u kobiet, a całkowicie nie do zniesienia u mężczyzn!

– Nie wiem dlaczego, ale nagle wszystko zaczęło się skrupiać na mnie! Co złego jest w tym, że się martwię?

– Nic a nic, synku, tylko chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś w stanie poświęcić pół godziny komuś, komu właśnie z miłości zrobiłeś karczemną awanturę. – Irenka spojrzała na niego znacząco.

– Ja z wami wszystkimi oszaleję – zapowiedział ponuro Konstanty i sięgnął po leżące na szafce kluczyki do auta.

– Dobra decyzja, kochanie. – Irenka uśmiechnęła się do niego i pomyślała, że Konstantemu niewątpliwie przyda się zimny prysznic i że jej syn ma ogromne szczęście, iż trafił na kogoś takiego jak Michalina.

Na kogoś, kto nigdy nie da mu zapomnieć o tym, co w życiu liczy się najbardziej: o drugim człowieku.

W samochodzie panowała cisza. Jakoś nikt nie kwapił się, żeby rozpocząć rozmowę. Nawet Nela milczała, choć było to kompletnie do niej niepodobne. Złożyła dłonie na kolanach i w zamyśleniu patrzyła na sunące tuż obok nich samochody.

Na całe szczęście droga nie była długa, po dziesięciu minutach dojechali na miejsce. Wyszli pod starą, dość ponuro wyglądającą kamienicą.

Michalina bez słowa skierowała się do bramy, otworzyła ją i poczekała, aż podejdą.

– Musimy wejść aż na strych – oznajmiła zwięźle.

– Michalina, po co to wszystko? – Konstanty westchnął głęboko. – Może źle się do tego zabrałem, złych słów użyłem... Ale naprawdę nic o tej dziewczynie nie wiemy, kim ona jest, jakie ma kłopoty, bo że jakieś ma, to akurat pewne. Nie wiem, po co ci ta demonstracja! I na...

– Konstanty, poczekaj, powiesz mi to wszystko za chwilę – przerwała mu. – Chodźmy, zobacz, Nela już poszła, już zrozumiała, że musicie zobaczyć to na własne oczy. Ty też zrozumiesz – dodała ze smutkiem i ruszyła po schodach na górę.

– To jednak nie na moje lata – sapnęła starsza pani, gdy dotarli na nieogrzewane półpiętro. – Matko, jak tutaj jest zimno! – dodała, wstrząsając się i zacierając ręce.

– To wy tu sobie jeszcze odsapnijcie, a ja pójde przodem i otworzę...

– Mowy nie ma. – Konstanty złapał Michalinę za rękaw kurtki. – Nie myśl, że nie wiem, gdzie jesteśmy. Nie będziesz sama otwierała tych drzwi. Jaką masz pewność, że tamta nie miała współlokatora...

– No to chodźmy wszyscy – wtrąciła ugodowo Nela.

Prawdę mówiąc, była zmęczona i marzyła o tym, żeby wrócić do domu i w żadnym razie nie wywoływać kolejnej awantury. Była tak bardzo wykończona, że postanowiła zostać buforem pomiędzy tymi dwojgiem, choć w normalnych okolicznościach zapewne jeszcze dołalałyby oliwy do ognia.

– Ja już złapałam oddech, a poza tym jak dłużej bym tu stała, to zamieniłabym się w sopel lodu – dodała z westchnieniem.

Poszli więc. Michalina przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi na oścież. Wymacała włącznik światła i nacisnęła go otulonym rękawiczką palcem. Małe pomieszczenie zalała nagle jasność. Dziewczyna usunęła się trochę, tak żeby i Nela, i Konstanty dokładnie mogli obejrzeć wnętrze.

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

Wszyscy milczeli jak zakłęci, nie mogąc wydobyć głosu, wpatrując się w oszronioną płamę na suficie, w miskę z wodą, na której utworzyła się cieniutka warstewka lodu, na obłoczki pary unoszące się z ich ust. Na kontrastujące z tym wszystkim piękne łóżeczko. Na kanapę i leżącą na niej zmiętą kołdrę. Na farelkę, jedyne dostępne tu ogrzewanie.

A potem Michalina w milczeniu zgasiła światło i zamknęła drzwi. Pełnym smutku spojrzeniem obrzuciła Nelę i Konstantego.

– Teraz rozumiecie? – wyszeptała. – To jest odpowiedź na te wszystkie pytania, które dziś usłyszałam. Co by było, gdyby... Odpowiedź, która sama jest pytaniem: co by było, gdybym jej stąd nie zabrała, Konstanty? – Spojrzała wymownie na mężczyznę, który stał oszołomiony, czując się tak, jakby ktoś właśnie przywalił mu z całych sił czymś ciężkim w głowę i paradoksalnie, dopiero to uderzenie przywróciło mu ostrość widzenia. – A poza tym – ciągnęła, zniżając jeszcze bardziej głos. – Poza tym ja nie mogłabym postąpić inaczej. Bo widzicie, ona w jakiś zadziwiający sposób przypomina mnie. Tę sprzed roku. I wiem, że ratując ją, ratuję tamtą siebie.

Gdybym ją zostawiła, toby było tak, jakbyście wy zostawili wtedy mnie – dodała i poczuła, jak po policzkach spływają jej łzy.

W tym samym momencie objęły ją mocno dwie pary ramion. Jedne męskie i silne, drugie ptasie, ale też nadspodziewanie mocne.

I nie trzeba już było żadnych słów. Tu, na tym zimnym, obdrapanym półpiętrze, w kompletnym milczeniu zostało powiedziane wszystko. I w tej wszystkości była ogromna moc miłości i zrozumienia.

Kolejne dwa dni minęły spokojnie. Haśka głównie spała. Była budzona na jedzenie, na wyjście do łazienki, ale to wszystko działo się w dziwnym stanie półsnu. Kiedy otwierała oczy, szukała niespokojnym spojrzeniem Tosi, a gdy tylko upewniła się, że mała jest w zasięgu jej wzroku, znów zapadała w sen.

Mama Konstantego została o jeden dzień dłużej, żeby pomóc Neli przy dziewczynkach.

Prawdę mówiąc, poza tym, że zamiast jednego dziecka do opieki było dwoje, obecność nowej lokatorki była niedostrzegalna i Nela zaczęła myśleć, że chyba tym razem instynkt, który wyraźnie ostrzegał ją, że ze zdychulcem będą same kłopoty, się pomylił.

I jakoś umknęło jej, że przecież przeczucia rzadko ją zawodzą.

O tym jednak miała sobie przypomnieć już niebawem.

PIĄTY GRUDNIA



Haśka otworzyła oczy i wbiła zdumiony wzrok w rozpięty nad sobą wielki starodawny baldachim. Rozejrzała się wokół siebie niepewnie i stwierdziła, że znajduje się w jakimś obcym, przypominającym trochę muzealne wnętrze, pokoju.

„Gdzie ja, do cholery, jestem?”

Zmarszczyła brwi w skupieniu i jak przez mgłę przypomniała sobie tę malowaną lalę. Przyszła do niej i zabrała ją tutaj. Mgliście pamiętała jakiegoś mężczyznę, który ją tu przyniósł, i w ogóle było tu dużo ludzi, których nie знаła. Jakieś kobiety chyba od czasu do czasu dowlekały ją do łazienki. Jedna z nich, stara, zazwyczaj przynosiła do niej Tosię – ledwo to pomyślała, usiadła na łóżku na baczność.

„Tosia!” – spanikowana rozejrzała się dookoła, ale nigdzie nie było widać ani wózka, ani łóżeczka, ani czegokolwiek, co by świadczyło, że jej córeczka tu jest.

Pełna trwogi, z tłukącym się oszalałym ze strachu sercem, chwiejnie stanęła na nogi i poczuła, że kręci jej się w głowie. Instynktownie chwyciła się drewnianego słupka podtrzymującego baldachim i chwilę tak stała, usiłując wyrównać oddech. W końcu latające przed oczami mroczki zniknęły, a jej udało się zrobić kilka pewniejszych kroków. Jednak na wszelki wypadek, gdyby potrzebowała oparcia, starała się trzymać blisko ściany. Cicho podeszła do drzwi, otworzyła je i wyjrzała na korytarz. Była w jakimś dużym, obcym mieszkaniu.

Starając się stąpać jak najciszej, zrobiła kilka kroków, ale jej ostrożność na nic się nie zdała, bo z pokoju obok natychmiast wyjrzała starsza kobieta.

„Chyba ta sama, która przynosiła mi Tosię” – pomyślała.

– Gdzie ja jestem i gdzie jest moje dziecko? – wypaliła, nie siląc się na wstępy ani uprzejmości, bo stwierdziła, że za nic nie da po sobie poznać, jak bardzo bezradnie i niepewnie się czuje.

– No proszę, widzę, że zdrowiejesz i że błyskawicznie wracasz do sił – sarknęła starsza pani. – A może tak dzień dobry? Nazywam się tak a tak, bo chyba masz jakieś imię...

– To co, księżniczka nie raczyła powiedzieć? Przecież wiedziała – błyskawicznie się najeżyła i dopiero teraz dotarło do niej, że ubrana jest w jakąś dziwną, długą i przypominającą namiot koszulę nocną i że jest na bosaka.

Skrzywiła się mimowolnie i pomyślała, że trudno jest grać kogoś pewnego siebie, będąc tak idiotycznie ubranym i mając gołe stopy. Odruchowo podkuliła zmarznięte palce. Od podłogi ciągnęło chłodem.

– Nie wiem, o czym mówisz, ale zanim mi to wszystko wyjaśnisz, a uwierz: mamy sobie sporo do powiedzenia, wróć do pokoju, na krześle masz przygotowane ubranie. I załóż kapcie. A o dziecko się nie martw, śpi spokojnie w salonie. – Nela skinęła głową w kierunku uchylonych drzwi na końcu korytarza.

To Haśce wystarczyło, runęła w tamtym kierunku i wpadła do pokoju, ciężko oddychając i obrzucając wewnątrz spanikowanym spojrzeniem. Jak się okazało, staruszka mówiła prawdę. Na środku pokoju stały dwa wózki. W jednym, dobrze znajomym, ale jakby przejaśniałym, spała, posapując, jej córeczka.

Haśka pochyliła się nad nią i ze łzami w oczach pogłaskała ciepłą, gładką buzię. Dotknęła maleńkich paluszków u rączki, palcem, jak najdelikatniej, przejechała po puchatych, jasnych włoskach.

– Jesteś, jak dobrze, że jesteś – wyszeptwała.

Obserwująca tę scenę z progu pokoju zirytowana Nela, słysząc jej słowa, trochę złagodniała.

– Słuchaj, nie chcę być upiorna, ale albo wracasz do łóżka, albo się ubierasz – rozsądnie postanowiła nie komentować zachowania dziewczyny.

– Ubiorę się. – Odwróciła się do niej. – A potem pójdę do siebie...

– Nie ma mowy, młoda damo, nigdzie nie pójdziesz. Niestety, czy ci się to podoba, czy nie, jesteś na mnie skazana. Nie po to kłamałam lekarzowi, żebyś teraz beztrudno znów mogła zamarzać w tamtej norze.

– Lekarzowi? Wezwaliście lekarza? – Haśka spojrzała na nią rozszerzonymi oczyma.

– A jak to sobie inaczej wyobrażasz? Miałam ci pozwolić umrzeć pod moim dachem? Wybacz, ale w moim wieku takie komplikacje to stanowczo za dużo. Poza tym jestem stara, nie wiem, ile mi życia zostało... Twoja śmierć mogłaby wszystko strasznie skomplikować...

– Znaczy jakbym umarła, to po pani śmierci skomplikowałyby to pani życie... Czegoś tu nie rozumiem. – Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– A czego tu nie rozumieć! Jakbyś mi tu umarła, to potem by się to błyskawicznie rozeszło, nawet mieszkania nie byłoby można normalnie sprzedać, bo ludzie boją się miejsc, gdzie wcześniej były trupy. A poza tym zapamiętaj moje słowa, mała: umieranie jest mocno przereklamowane, nie ma się do czego spieszyć. Ja to wiem i dlatego tyle żyję – zaśmiała się starsza pani. – A na poważnie, wracając do twojego zdumionego: „Wezwaliście lekarza?”. Jakie to ma znaczenie? Przecież tobie chodziło o to, żeby nie zabrali cię do szpitala, bo wtedy nie miałby się kto zająć dzieckiem.

– A skąd to pani wie? – Dziewczyna wpiła w Nelę rozszerzone zdumieniem oczy.

– Bo jestem stara i umiem czytać w myślach – parsknęła. – Idź się ubrać, bo domyślam się, że do łóżka to cię nawet końmi nie zaciągnę, a ja zrobię gorącą herbatę i coś do jedzenia. Trzeba cię odkarmić, takie jest zalecenie lekarza – dodała i podreptała w kierunku wielkich białych drzwi, za którymi, jak się Haśka domyśliła, znajdowała się kuchnia.

Dziewczyna przez moment stała jeszcze przy wózku, nie mogąc się napatrzyć na śpiącą Tosię. A potem zerknęła w stronę przymkniętych kuchennych drzwi. Słysząc zza nich było szum odkręconej wody i szczękanie wyjmowanych z szafki talerzy. Widać starsza pani rzeczywiście zajęła się przygotowywaniem śniadania. Haśka z namysłem zagryzła dolną wargę, obrzuciła uważnym spojrzeniem podłogę wyłożoną grubym, miękkim dywanem i uśmiechnęła się pod nosem. Los jej sprzyjał. Delikatnie ujęła rączkę wózka i wyprowadziła go na korytarz, a potem poszła z nim do sypialni. Za nic nie chciała tracić z oczu swojego dziecka.

„Już nigdy” – pomyślała, wciągając na siebie najpierw bluzeczkę z krótkim rękawem, a potem puchaty sweter.

„Ubrania pewnie pożyczyła mi wielkoduszna księżniczka” – pomyślała, krzywiąc się i wkładając czarne dżinsy. Były za duże, musiała porządnie ścisnąć się paskiem, żeby jej nie spadały. A potem pochyliła się i dotarło do niej, że w planie, który naprędce ułożyła, jest tylko jeden mały szkopuł: nie miała butów!

Wyjrzała przez okno i uniosła w zdumieniu brwi. Przez te kilka dni świat zmienił się nie do poznania. Całe podwórze, na które patrzyła, było pokryte grubą warstwą śniegu. Konary drzew otuliła biała miękka pierzyna, dachy domów straciły swoje ostre, kanciaste kształty, przykryte zaokrąglonymi, iskrzącymi się błękitnawo śniegowymi czapami. Było jak w zimowej baśni. Baśni, w której za żadne skarby świata nie mogła wyjść z domu w kapciach. Odwróciła się od okna i jeszcze raz uważnie

zlustrowała wzrokiem wnętrze pokoju. Niestety niczego nowego nie odkryła. Wypchnęła więc wózek na korytarz i cichutko podeszła do drzwi wejściowych. Tuż koło nich na wycieracze stały dwie pary długich kozaków. Haśka odetchnęła głęboko, wzięła jedną z nich i włożyła do wózka, a potem, starając się nawet nie oddychać, nacisnęła klamkę drzwi prowadzących na klatkę. Ani drgnęły. Dopiero w tej chwili uzmysłowiła sobie, że przecież nie odsunęła zasuw. Zrobiła to najdelikatniej, jak tylko mogła. I znów nacisnęła klamkę z podobnym rezultatem.

– No cóż, spodziewałam się tego, niestety – rozległ się za nią spokojny głos starszej pani, na dźwięk którego cała aż podskoczyła. – Byłabym głupia, gdybym zostawiła te drzwi otwarte, a z głupoty, moje dziecko, to ja już dawno, ku swojemu wielkiemu żalowi zresztą, wyrosłam. Bo bycie rozsądnym i mądrym jest na dłuższą metę dość jednostajne i nudne. A teraz z łaski swojej odłóż te buty na miejsce i przyjdź do mnie. Chyba musimy naprawdę poważnie porozmawiać – zakończyła i nie czekając, aż Haśka się odwróci, poszła do kuchni.

Dziewczyna przez moment stała bez ruchu, wciąż trzymając rękę na klamce. Dopiero po chwili w pełni do niej dotarło, że nie ma wyboru i musi zrobić dokładnie to, czego oczekiwała od niej ta potworna, więżąca ją w swoim mieszkaniu staruszka. Odstawiła buty na ich poprzednie miejsce, wózek zostawiła obok tego drugiego w salonie i weszła do kuchni.

Stół był zastawiony, starsza pani stała odwrócona do niej tyłem, przy oknie. Dopiero teraz Haśka zauważyła, że nie przypomina jej żadnej z poznanych wcześniej starszych osób. Była wyprostowana, jakoś tak dumnie i pewnie siebie, siwe włosy miała starannie ułożone w fale. Elegancka sukienka z cienkiej wełenki była doskonale skrojona i dopasowana, a materiał na pewno nie należał do najtańszych. Mogła to ocenić, bo akurat na czym jak na czym, ale na tym się znała.

Przez chwilę kobieta prezentowała jeszcze Hańce swoje plecy, aż w końcu odwróciła się do niej przodem i spojrzała na nią z przenikliwością i namysłem.

I nie wiedzieć czemu, Hańce nagle zrobiło się wstyd.

– Żeby była jasność: nie jestem złodziejką – mruknęła i dumnie uniosła głowę.

– Żeby była jasność: wcale tak o tobie nie myślałam – odpowiedziała jej, siadając przy stole. – Ale być może się pomyliłam. Bo myślałam też, że jednak masz krztynę rozumu, z której zechcesz korzystać – dorzuciła cierpko. – Zdajesz sobie sprawę, że ledwo trzymasz się na nogach? Że masz ciężką grypę? Że niedawno dostałaś leki, czego pewnie nie pamiętasz, i że to one na moment postawiły cię na nogi, ale za chwilę z powrotem opadniesz z sił? I że zamierzałaś wyjść na dwudziestostopniowy mróz bez kurtki i czapki? Za to z kaszlem takim, że niemal wypluwasz wnętrzności. I z dzieckiem, któremu nie założyłaś kombinezonu ani czapki, ani szalika. I w dodat...

– Już, niech pani przestanie, proszę. – Zaczerwieniona, opadła na najbliższe krzesło. – I tak już czuję się jak ostatnia idiotka. Nie dlatego, że chciałam wyjść, bo to, że nie mogłam, nadal mi się nie podoba, ale ta reszta... No cóż... Czuję się jak idiotka – powtórzyła.

– A to akurat dobrze o tobie świadczy – parsknęła Nela. – A teraz zrobimy tak: ty będziesz jeść i słuchać, a ja będę mówić. Potem, żeby było sprawiedliwie, się zamienimy – dodała i oczy jej podejrzenie zabłyśły. – Może tak być?

– A czy gdybym powiedziała, że nie, miałyby to jakieś znaczenie? – retorycznie zapytała Hańka. – No właśnie, tak myślałam. – Pokiwała głową, sięgając po bułkę i smarując ją grubo masłem.

– Wiesz, zaczynasz mi się podobać – uśmiechnęła się Nela. – Może nawet dojdzie do tego, że nieco zmienię o tobie zdanie... Bo chwilowo, jak wiesz, nie jest ono najlepsze. I właśnie w ten sposób płynnie przeszliśmy do tematu. – Przesiadła się tak, żeby móc patrzeć swojemu gościowi prosto w oczy, i sięgnęła po kromkę bagietki i słoiczek konfitur. – Otóż nie będę owijać w bawełnę: jesteś tu, bo przywlokła cię Michalina. Jesteś chora i Judym, w sensie doktor, stanowczo nie pozwolił ci wyjść z tego domu przez najbliższe dwa tygodnie...

– Ile? – Haśka odłożyła na talerz trzymaną w ręku bułkę i wpatrzyła się w Nelę z niedowierzaniem.

– Dwa tygodnie minimum – powtórzyła starsza pani ze stoickim spokojem. – Nie patrz się na mnie tak, jakbym wybiła ci pół najbliższej rodziny, dla mnie to też żadna rewelacja, ale jest, jak jest... On tu przychodzi i cię dogląda, myśli, że jesteś kuzynką Michaliny... Dziecko kochane, nie rzucaj mi takich spojrzeń, bo i tak nic w ten sposób nie zyskasz. Niejeden już chciał mnie zabić morderczym wzrokiem i jak widzisz, siedzę tu porządnie stara, ale nadal żywa! Zastanów się, co miałyśmy mu powiedzieć? Prawdę? Że cię nie znamy, że mieszkasz w zimnej, nieogrzewanej norze razem z maleńkim dzieckiem? Że nie masz co jeść? Mogłyśmy to zrobić, ale wtedy z miejsca sprawy potoczyłyby się inaczej. I skracając, bo nie lubię strzępić języka po próżnicy: jesteśmy na siebie skazane przez dwa tygodnie. Albo dłużej, zobaczymy, co doktor powie. Ale tak czy siak, to dość długo. I chcę, żebyś wiedziała, że nie zamierzam robić za strażnika więziennego. Drzwi zamknęłam tylko dziś, bo chciałam, żebyś zanim podejmiesz jakąś decyzję, wiedziała, na co się piszesz. Więc tak jak powiedziałam: drzwi będą otwarte. A ja nie będę chodziła za tobą krok w krok. Mam dość rozrywek, uwierz mi. Wiedz jednak, że jeżeli stąd wyjdiesz, parasol ochronny zniknie w tej samej

minucie, w której przekroczysz próg. Wiemy, gdzie mieszkasz, i raczej nie przypuszczam, żebyś miała jakieś inne miejsce, dokąd mogłabyś pójść. I gwarantuję ci, że będzie tam na ciebie czekać opieka społeczna, bo o ile ty sobie rób, co chcesz, twoja sprawa, o tyle dziecka nie można narażać i ja z całą pewnością nie wezmę na siebie odpowiedzialności za to, że być może gdzieś kiedyś ta mała zginie razem z tobą. Zamarznie albo nie będzie miał jej kto nakarmić...

– Czemu pani się tak nade mną pastwi? Myśli pani, że ja chcę tak żyć? – przerwała jej drżącym głosem. – Że mnie to nie boli? Nie każdemu los sprzyja tak jak wam, pani i tej pani wnuczce, Michalinie. Wystarczyło, że na nią spojrzałam, na jej ubranie, na sposób, w jaki patrzyła, na wózek, żeby wiedzieć, że ona jest z tych, którzy nigdy nawet nie otarli się o takie życie jak moje! Taka pieprzona księżniczka, która chce zbawić pieprzony świat, ale kompletnie nie wie, czego dotyka, i dlatego bez znieczulenia wchodzi z buciarami w czyjeś życie!

– Pieprzone – podsunęła usłużnie starsza pani. – Zapomniałaś dodać. W czyjeś pieprzone życie. Z tego, co mówisz, wynika, że masz wybitnie seksualne podejście do większości rzeczy.

– Jakie? – Haśka poczuła, że pieką ją policzki. Ta kobieta miała niesamowitą zdolność wprawiania jej w konsternację.

– No, seksualne, pieprzysz wszystko – wyjaśniła ze stoickim spokojem.

– No dobrze, zapędziłam się, przepraszam za słownictwo. A pani też potrafi nieźle dogryźć! – mruknęła.

– Cóż, urodziłam się już z tą umiejętnością i cały czas się w niej doskonalam. – Po twarzy Neli przemknęło coś na kształt rozbawienia.

– Jeszcze raz przepraszam, postaram się za bardzo nie bluźnić, ale o tej pani wnuczce zdania i tak nie zmienię!

– Tak, pamiętam, rozpieszczona księżniczka. Ciekawe, że tak ją widzisz. – Nela spojrzała na nią z namysłem.

– No i co w tym takiego ciekawego? – parsknęła zirytowana Haśka i przypomniała sobie, że w bardzo podobny sposób zareagował na jej słowa mężczyzna w granatowym płaszczu, ten, od którego dostała drożdżówki.

– Właściwie to nic, powiedz mi lepiej, Haśka, bo tak masz na imię, prawda? Powiedz mi, jakim cudem wpakowałaś się w takie łajno i co na to ojciec tej małej...

– A dlaczego miałabym mówić pani takie rzeczy? – zapytała po chwili milczenia dziewczyna. – Dlaczego miałabym to zrobić? – powtórzyła, potrząsając głową.

– Matko, mam wrażenie, że cofnęłam się w czasie i przeżywam dokładnie to samo co rok temu – mruknęła Nela, wznosząc oczy do sufitu. – Jednak wy, młodzi, w ogóle się od siebie nie różnicie. Tylko mi nie mów, że ojcem tej sierotki jest blondyn, taki jak z tej piosenki... Czekać, śpiewać ci nie będę, bo mam jeszcze odrobinę litości, ale refren szedł tak:

To był blondyn, to był blondyn
męska odmiana bella biondy
Uśmiech rozciągał wkrąg Giocondy,
budząc wśród pań powszechny dreszcz
Choć górski szlak się giął od blondyn,
ujął go czar mych oczu mądrych
i choć ogólnie był porządny,
w szczegółach był porządny mniej

– wyrecytowała. – Bardzo lubię ten tekst, bo jest dowcipny, no i ta zabawa słowami... – Nela zamilkła, nie kończąc, bo nagle dotarło do niej, że Haśka z lekka pobladła.

„No nie – pomyślała w popłochu. – Tylko żartowałam. Jeżeli okaże się, że to prawda, to chyba uznam, że dzieje się tu coś dziwnego. I że można

wykluczyć zbieg okoliczności, bo aż taki jest po prostu niemożliwy!”

Haśka tymczasem zapatrzyła się w okno i z całych sił usiłowała się pozbierać. Bo po słowach starszej pani nagle poczuła, jak coś mocnego i potwornie bolesnego rozrywa jej serce na tysiące kawałków.

– Nie, to nie był blondyn, choć rzeczywiście tak jak w tym tekście: i choć ogólnie był porządny, w szczegółach był porządny mniej – przemówiła w końcu, pokonując to coś dławiącego, co zaległo w jej gardle. – Był szatynem. Miał najpiękniejsze oczy, w jakie kiedykolwiek patrzyłam. Zresztą on... po prostu on był czymś najpiękniejszym, co mnie w życiu spotkało. Wie pani – spojrzała na Nelę szklanym wzrokiem – to było coś niesamowitego. Od pewnego momentu chodziliśmy razem do tej samej szkoły. Ja zdałam do czwartej klasy podstawówki, to był początek roku. Przed wakacjami wprowadziliśmy się do Edwarda. Mojego ojczyrna – dorzuciła wyjaśniająco. – To były najkoszmarniejsze miesiące w moim życiu. – Potrząsnęła głową i przełknęła głośno ślinę, usiłując połknąć podchodzące do oczu łzy. – Znaczący potem nie było lepiej, wprost przeciwnie, ale te pierwsze tygodnie były najgorsze, bo tak inne od tego, co miałyśmy z mamą wcześniej. Nic wielkiego, ale był spokój, mama się często śmiała, jadłyśmy razem obiady, czytała mi wieczorami książki. A potem pojawił się Edward i wszystko się zmieniło. Nic nie mogłyśmy już razem robić. No, chyba że szykować jedzenie w kuchni. I to takie, żeby nie wychodziło za drogo. Nie mogłyśmy przy tym za dużo mówić, bo Edward nie lubił częściej paplaniny... Wieczorem nie było czytania, bo moje książki, najbardziej ukochane, ulubione, wszystkie poszły na śmietnik...

– Co takiego? – nie zdołała się powstrzymać Nela. – Jak to poszły na śmietnik? – W jej głosie zabrzmiało zdumienie pomieszane ze zgrozą.

– Zwyczajnie. – Wzruszyła ramionami. – Edward nie lubił książek. Twierdził, że te wszystkie bzdurne historie mieszają kobietom w głowach.

– Kobietom? – sarknęła Nela. – Cóż za prawdziwy mężczyzna! Samiec pełną gębą! Uwielbiam takich pasjami! Wiele rzeczy w swoim życiu widziałam i słyszałam, ale czegoś takiego jeszcze nie! Wyrzucić dziecku książki! Chociaż historia uczy, że należy uważać na tych, co żywią złe uczucia do literatury... Weź na przykład Niemców. Jest taki piękny cytat ze *Złodziejki książek*... Teraz go nie przywołam w całości, ale w każdym razie tam jest taki fragment, trafiający w punkt. To szło jakoś tak: „Niemcy uwielbiali palić rzeczy. Sklepy, synagogi, Reichstagi, domy, dokumenty, zwłoki, no i oczywiście książki. Uwielbiali patrzeć na płonące stosy książek”. A co z tego wynikło, to wszystkim wiadomo – dorzuciła, krzywiąc się szpetnie. – Ale czekaj, co z tym Edwardem? On naprawdę nie pozwalał wam czytać?

– Nie pozwalał. Z trzema wyjątkami: baśni, szczególnie Andersena, bo uważał, że one mnie nauczą pokory. Miał szczególny sentyment do tych, w których ktoś umierał. Z wycieńczenia, chłodu... No to mogłam je czytać do woli. I jeszcze poezja, nie wiem dlaczego, ale jej nie uważał za szkodliwą...

– Bo jej za grosz nie rozumiał – sarknęła Nela. – Uroczy człowiek, doprawdy... Lubię go już prawie tak jak pewną Wandeczkę, *nomen omen*, macochę. Pasowaliby do siebie jak ulał, aż szkoda, że nie ma jakiegoś prawa, które mówiłoby, że takie typy mają się schodzić wyłącznie ze sobą...

– A kim jest Wandeczka? – zaciekała się Haśka.

– Podłą gadziną, dziecko, coś mi mówi, że z tym twoim Edwardem dogadaliby się doskonale. Ale czekaj, mówiłaś, że robił trzy wyjątki. Pierwszy to okrutne baśnie, drugi poezja, a trzeci?

– Lektury szkolne. – Uśmiechnęła się. – Ale tylko dlatego, że nie miał wyboru. Do szkoły musiałam chodzić, a Edward był bardzo wyczulony na

wypełnianie obowiązków. Tak więc lektury, chcąc nie chcąc, tolerował. No i oczywiście podręczniki szycia, podstawy wykroju... Codziennie po szkole i po odrobieniu lekcji sadzał mnie do maszyny. I kazał fastrygować, obrębiać, zszywać... – W oczach Haški pojawił się wyraz udręczenia. – Zresztą, co ja mówię po szkole. Tak wyglądały całe moje pierwsze wakacje w domu Edwarda... Mój świat się skończył, tak mi się wtedy wydawało. Edward cały czas powtarzał, że przyszliśmy do niego z niczym, więc niczym jesteśmy. Że takie nic jak ja do niczego nie dojdzie, bo dojść nie może. Że jedyne, co mogę, to dziękować Bogu za to, że on się zjawił, bo przynajmniej nie umrę z głodu, bo on ma litość nad takimi wykolejeńcami jak ja i zatrudni mnie po szkole w szwalni. Zapomniałam powiedzieć, że miał swój zakład krawiecki, nazywał go z dumą „szwalnią”. A moja szkoła to miała być oczywiście zawodówka krawiecka, bo o innej nie miałam co marzyć. „Tylko byś wstyd przyniosła”, to słyszałam cały czas, gdy byłam w ósmej klasie... No i chyba wybiegłam za bardzo naprzód i nie wiem, o czym miałam mówić. – Dziewczyna wstrząsnęła się i objęła ramionami tak, jakby chciała przytulić samą siebie.

Na ten widok Neli ścisnęło się serce. A z kolei na myśl o „uroczym Edziu” nóż jej się sam w kieszeni otwierał.

– O tym nieblondynie – przypomniawszy jej łagodnie.

– A tak, rzeczywiście... No to właśnie po tych koszmarach wakacjach przyszedłam do szkoły. Dla mnie nowej, bo przecież zamieszkałyśmy z Edwardem i do starej miałam za daleko. Stałam sama, bo jakoś nie miałam śmiałości podejść do innych dzieci. Najwyraźniej wyglądałam jak ofiara, bo w pewnym momencie otoczyła mnie grupka chłopców i zaczęła popychać, szarpać, ciągnąć za kucyki. Bałam się ich strasznie. Ale w ostatnich dniach bałam się tak często, że nie umiałam nawet się rozplakać ani zawołać po pomoc. Tak jakbym już w tym swoim życiu wypłakała

wszystkie łyzy, jakby mi odebrano głos. I wiem, jak to zabrzmiało, jakbym opowiadała jakąś scenę z filmu, ale wtedy właśnie zjawił się Jurek z kolegami. W moich oczach dorosły, bo przeszedł już do szóstej klasy... – Uśmiechnęła się na to wspomnienie i ten uśmiech sprawił, że z miejsca zrobiła się ładniejsza. Buzia jej złagodniała, w policzku pojawił się śmieszny dołeczek, nadający całej twarzy wyraz zaczepekności.

„To niesamowite, od niepamiętnych czasów miłość i szczęście były najlepszymi kosmetykami, odpowiednimi dla każdego rodzaju cery, do stosowania w dowolnym wieku” – pomyślała Nela.

– Miał brązowe włosy, które mu się śmiesznie zawijały w loki nad czołem, i oczy jak dojrzałe kasztany – ciągnęła Haśka z rozmarzeniem. – Tak właśnie sobie pomyślałam, gdy go zobaczyłam wtedy na boisku: „On ma oczy koloru kasztanów”, i wiedziałam, że od tego momentu to będzie mój ulubiony kolor. No i stanął tuż koło mnie, z tymi swoimi kumplami, zasłonił mnie sobą i kazał tamtym spie... To znaczy iść do diabła – zreflektowała się, rzucając Neli spojrzenie spod oka.

– I co? Spieprzyli? – Starsza pani mrugnęła do niej.

– Tak – roześmiała się Haśka. – I to jak! I on wtedy na mnie jeszcze raz popatrzył, poprawił mi sweterek, który mi się zsunął z ramienia, i powiedział... – Haśka przymknęła na moment oczy.

Wróciła do niej tamta scena. Kolorowe liście klonu leżące na chodniku, na którym stali, uśmiechnięty szelmowsko Jurek, dzieciak jeszcze, i wianuszek kumpli, którzy go nie odstępowali. Zawsze był otoczony takim gronem gotowym iść za nim aż do piekła. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, to była ich dewiza, choć Haśka zastanawiała się nie raz i nie dwa, czy oni w ogóle wiedzą, skąd pochodzi to zawołanie.

Ale wtedy nie myślała o niczym innym, tylko o tym, że po raz pierwszy od wielu dni poczuła, że komuś na niej zależy i że jest bezpieczna.

„No to już postanowione, chłopaki – podszedł do niej i uśmiechnął się czarująco. – Zapamiętajcie sobie, jak przyjdzie czas, to się z nią ożenię – dodał i potargał jej grzywkę. – Ale najpierw pokochasz mnie na zabój” – szepnął już tylko do niej, tak żeby tamci nie słyszeli.

– I on to mówił całkiem poważnie – ciągnęła swoją opowieść, otwierając oczy i patrząc wprost na Nelę. – Był takim niedorostkiem, nastolatkiem z fiu-bździu w głowie, a jednak mówił to na poważnie. Ja wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, ale Jurek właśnie taki był. Jak coś obiecywał, to nie było odpuść. Za nic.

– No i co? Pokochałaś go na zabój?

– Skoro obiecał. – Uśmiechnęła się smutno. – Chociaż najpierw to była bardziej przyjaźń niż jakaś wielka miłość, dopiero później, gdy skończyłam szesnaście lat, dotarło do mnie, że ja naprawdę nie mogę bez niego żyć. Bez tej jego beztroski, śmiechu, lekkiego traktowania życia. On miał wtedy osiemnaście lat... Był dla mnie wszystkim. Miałam na co w życiu czekać. A on, nie wiedzieć czemu, też mnie kochał. Chyba taki typ, skoro raz postanowił, to tak miało być... A poza tym Jurek miał w sobie ogromne pokłady czułości. Tak jakby ktoś tam na górze wiedział, że tego właśnie najbardziej mi będzie potrzeba. Opiekował się mną jak nikt inny.

– To co się stało? – Nela postanowiła nie owijać w bawełnę i zapytała wprost.

– Najpierw Edward cały czas powtarzał, że jestem głupia cipa, jeżeli myślę, że mam u niego szansę. Że ktoś taki jak Jurek to może tylko chcieć się ze mną zabawić... Widzi pani, z Jurka był taki złoty chłopiec. Z bogatego domu, z pieniędzmi, z obiecany autem, jak tylko zda prawo jazdy. Najmodniejsze ciuchy, najnowsze gadżety. Niczego mu nie brakowało. No, może momentami odrobiny rozsądku, bo przy tak beztroskim życiu to Jurek miewał głupie pomysły. Na przykład razem

z tymi kolegami potrafili popić w parku, a potem rozwalić kosze na śmieci... Było mu później strasznie głupio, nawet poszedł te śmieci zbierać, ale co zrobił, to zrobił. Kiedy indziej znowu ogołócili cały różany klomb przed szkołą, to już w liceum, a później zrobili z niego bukiety i wręczyli nauczycielkom. A jednocześnie to byli tacy czarusie, że zwykle im to wszystko uchodziło na sucho. Tymi bukietami to nauczycielki były tak rozczulone i rozbawione zarazem, że same ich kryły.

– A jego rodzice cię polubili? – badała Nela.

– Ja tam u niego byłam tylko kilka razy, znaczy wtedy jak byli rodzice, bo jak ich nie było, to bywałam częściej. – Zaczerwieniła się. – Ale wydawało mi się, że nic do mnie nie mają. Mili byli, troskliwi. Nie wiem, ile Jurek im o mnie opowiedział, ale pewnie sporo, bo on był z nimi bardzo zżyty. Chciał, żebym przychodziła, chyba chciał mi podarować trochę normalności; to ja od nich stroniłam. Bałam się, że zaczną mną pogardzać, bo przecież takie nic... – W jej głosie zabrzmiała gorycz. – Wie pani, jak się tyle lat coś takiego słyszy, zaczyna się w to wierzyć.

– A ten twój Jurek na to pozwalał? W sensie nie obchodziło go to? To, co się dzieje u ciebie w domu?

– Jurek nienawidził Edwarda i wiem, że nie raz i nie dwa jedynie moja interwencja powstrzymała jego i pozostałych chłopaków przed obiciem mojemu ojczymowi gęby. Ale widzi pani, w tym wszystkim była jeszcze moja mama. Ona by potem oberwała za wszystko, nie, nie bił jej ani mnie – odpowiedziała na niezadane pytanie, które zabłysło w oczach starszej pani. – Czasem nie trzeba podnosić ręki, żeby bolało. Edward nie pozwalał jej wychodzić, wyzywał, kazał wkładać poplamione rzeczy... W sumie to nie chcę o tym mówić. W każdym razie mama zaczęła wierzyć, że bez niego jest nikim, że nie poradzi sobie w życiu. A wracając do Jurka i do tego, czy go to obchodziło... On chciał, żebym natychmiast, jak tylko

skończyłam osiemnaście lat, się stamtąd wyprowadziła. Wiedziałam, że by mi pomógł, ale nie mogłam zostawić mamy. To dzięki niej poszłam do technikum, a nie do zawodówki. Wprawdzie nie odważyła się mnie zapisać do liceum, ale technikum też było w porządku. Przynajmniej mogłam zdawać maturę. Nie mogłam, po prostu nie mogłam jej tam zostawić – zakończyła, wzruszając ramionami

– Posłuchaj, jednego nie mogę zrozumieć... Czemu twoja mama w ogóle na to pozwoliła? – powiedziała powoli Nela, obejmując dłońmi filiżankę z wystygłą już herbatą.

– Bo uwierzyła, że wyżej dupy nie podskoczy. – W oczach Haški pojawiły się łzy. – Tak zawsze mówił jej ojciec, w sensie mój dziadek. „Wyżej dupy nie podskoczysz!” Mój tatuś prał ją tak, że kilka razy nieomal zatłukł ją na śmierć. I dziadek uważał, że skoro tłucze, to widać mama zasłużyła. Ja pamiętam to jak przez mgłę, byłam mała. Potem uciekłyśmy. Zamieszkałyśmy daleko od tamtych, w Warszawie. No, a jak pojawił się Edward, mama zwyczajnie straciła wiarę w to, że może być inaczej. Uwierzyła w słowa dziadka. I ja chyba też w nie wierzę, niech pani spojrzy na mnie i na moją córkę... Jaką mamy przed sobą przyszłość, no, jaką? Jest takie powiedzenie, że ze wsi człowiek może wyjść, ale wieś z człowieka nigdy... I z nami widać jest podobnie. Powtarzamy jeden i ten sam schemat. Wpadamy z deszczu pod rynnę. Ja na przykład już podpisałam na sobie wyrok, cokolwiek bym robiła... – Zawiesiła na moment głos i pokręciła głową. – No po prostu wyżej dupy nie podskoczę. – Otarła oczy wierzchem dłoni. – Już mówiłam to pani wnuczce: ze mną nie warto się zadawać, bo ja przynoszę ze sobą same nieszczęścia i kłopoty – zakończyła, zagryzając wargi tak, żeby powstrzymać ich drzenie.

– A co to w ogóle za fatalistyczne podejście. – Nela otrząsnęła się. – I co się, na litość boską, stało z tym całym boskim Jurkiem? Umarł czy

jak? – wypaliła i ponieważ zdawała sobie sprawę, że zachowała się, nie przymierzając, jak słoń w składzie porcelany. Gdy wystrzeliła z tym „umarł”, nawet przez sekundę nie brała pod uwagę, że tak może być naprawdę, a dopiero gdy to powiedziała, dotarło do niej, że przecież dziewczyna z jakiegoś powodu mówiła o nim w czasie przeszłym. Do tej pory sądziła, że to dlatego, że go tu nie ma, ale teraz, widząc jej minę, już nie była taka pewna.

– Właściwe to nie wiem – powiedziała w końcu wolno. – Naprawdę nie wiem...

– Jak to nie wiesz? No przecież nie można nie żyć tylko trochę! – Starsza pani spojrzała na Hańkę, zastanawiając się, czy dziewczyna przypadkiem nie stroi sobie z niej żartów.

– Nie wiem, on po prostu zniknął! Przeze mnie. – Łzy, które do tej pory powstrzymywała, w końcu poleciały jej gęstym strumyczkiem i spłynęły po policzkach. – To ja najpierw sprowadziłam go na złą drogę, to ja go sprowokowałam, a potem kazałam mu iść do stu diabłów. Wykrzyczałam, że nie wpakuję się w takie gówno jak moja matka. Rozumie pani? Porównałam go do mojego ojca i ojczyma. I on o tym wiedział, doskonale rozumiał, co miałam na myśli. I nawet wtedy nie chciał odejść, chciał tłumaczyć, przekonywać, ale mu nie dałam. A potem zniknął. Chodziłam do jego kolegów, żeby się o niego dowiadywać, zresztą do tej pory raz w miesiącu dzwonię do takiego jednego Andrzeja... Nic nie wiadomo.

– Ale ty mówisz! Tak, że nie wiadomo, o co chodzi! Jak go sprowokowałaś? I dlaczego porównywałaś go do tych oprawców? – Teraz Nela już wiedziała, że nie odpuści. Brakowało jej zaledwie kilku kawałeczków, żeby zrozumieć całość, i zamierzała je za wszelką cenę umieścić we właściwych miejscach.

– Mówię, jak mówię. Chyba już dość tych zwierzeń na dziś, i tak powiedziałam pani o sobie tyle, ile nikomu... – Potrząsnęła głową.

– Nic z tego, jestem potwornie uparta i nie odpuszczę. I mam czas, a ciebie pod ręką. Po prostu skończ w kilku zdaniach. – Nela zamachała gwałtownie ręką.

– Bo ciekawość nie da pani żyć? – Uśmiechnęła się ponuro.

– A nawet jeżeli, to dziwisz mi się? Ty nie byłabyś ciekawa?

– No dobrze, miejmy to za sobą. I tak w końcu by pani ze mnie to wyciągnęła... – Znużona, przymknęła oczy. – Krótko mówiąc: w pewnym momencie zrozumiałam, że jestem największym złem, jakie mogło Jurka spotkać. Że ściągam go w dół, że nie wyjedzie na swoje wymarzone studia, bo mnie nie zostawi, że nawet jeżeli za niego wyjdę, zostaje Edward, matka... Jak to wszystko wyglądało w zestawieniu z jego rodziną? On miał wszystko, ja nie miałam nic. Byłam niczym. Edward miał w tym względzie rację: najlepiej by było, żeby tak jak w tych baśniach gdzieś zamarzała albo żeby pożarł mnie smok... Choć na te ostatnie jest lekki deficyt w obecnych czasach.

– Ze smokami to chyba zazwyczaj jest inaczej, to one są ofiarami nawiedzonych rycerzy. Właściwie to zawsze było mi ich trochę szkoda, nawet gdyby nie były tylko wytworem fantazji, to musiałyby wyginąć, skoro wszyscy za rękę księżniczki żądali smoczego łba. Właściwie to pachnie trochę paranoją. A poza tym abstrahując od smoków, to jest jeszcze parę innych baśniowych opcji, chociażby Kopciuszek i księżę – podsunęła Nela, siląc się na optymizm.

– Aha, i obcięte pięty i palce u stóp... – zripostowała Haśka. – Ale wracając do tematu: chciałam z nim zerwać. Naprawdę. Tłumaczyłam najlepiej, jak umiałam, dlaczego, po co, jak, ale on nie słuchał. Albo się wściekał, albo mnie całował, żeby zamknąć mi usta...

– Coraz bardziej mi się ten chłopak podoba – mruknęła Nela z aprobatą.

– Aż w końcu któregoś razu spotkał się ze mną... A właściwie spotkali, bo przyszli całą zgrają, z chłopakami, tymi, wie pani, od jeden za wszystkich, wszyscy za jednego... I on wyciągnął z kieszeni pudełko z pierścionkiem. Runął na kolana i powiedział, że ani jednego dnia dłużej nie pozwoli mi być z dala od siebie. I mnie zatkało, chyba bym nawet w końcu uwierzyła, że jestem tym wyjątkiem potwierdzającym regułę, że jednak mi, a właściwie nam się uda, ale wtedy Andrzej, ten, do którego teraz dzwonię, żeby pytać, czy wie coś o Jurku, wyciągnął komórkę i z dumą pokazał mi filmik, na którym obrabiają sklep jubilerski. Grożą ekspedientce, zabierają ten sam pierścionek, który właśnie zamierzałam pozwolić Jurkowi wsunąć na mój palec. I wtedy coś we mnie pękło. Resztę pani już zna. Posłałam go do diabła, wrzeszczałam, porównałam do ojca i ojczyma. A potem mówiłam, że to przeze mnie. Zero ładu ni składu. – Potrząsnęła głową. – Nie dopuściłam go do głosu. Do tej pory tego żałuję, bo może gdybym pozwoliła mu powiedzieć, dowiedziałabym się, czemu to zrobił. Czemu tego pierścionka nie kupił, choć mógł. Zresztą mógł mi dać jakikolwiek, nawet z plastikowym oczkiem, bo to dla mnie nie miało znaczenia. No i wreszcie poszedł sobie. Więcej go nie widziałam. Nikt nie wie, gdzie jest. Podobno razem z nim zniknęła jego gitara, co daje nadzieję, że zwyczajnie gdzieś się zaszył. Bez niej się nie ruszał, pięknie grał i śpiewał... – Jej głos zadrżał, gdy to mówiła. – Szukali go wszyscy jego przyjaciele, szukają zresztą do tej pory. A po jego wyjeździe okazało się, że jestem w czwartym miesiącu ciąży. Powiedziałam mamie; ona tak się bała, że w końcu jak na spowiedzi wyznała wszystko Edwardowi. I zaczęło się piekło. „Sprzedajna kurwa”, „dziwka” i „zdzira” to były najłagodniejsze określenia, jakie codziennie słyszałam. W końcu gdy poszłam do lekarza i wyznaczył mi datę porodu, Edward powiesił na ścianie kalendarz,

w którym wykreślał dzień po dniu... A potem patrzył na mnie i mówił: „Jeszcze tylko sto dwadzieścia dni i wrzucimy tego szczeniaka do okna życia, suko”. „Jeszcze tylko sto dziewiętnaście dni”, „Jeszcze tylko sto osiemnaście dni, pieprzona szmato, okno życia, rozumiesz? Otworzymy bękartowi okno na świat” – powiedziała to jednym ciągiem, beznamiętnie. W oczach miała pustkę. – I zrozumiałam, że nie mam wyjścia. Uciekłam. Wyniosłam się. W przeciwnym razie w końcu stałabym się moją matką. Kocham ją, ale też miałam mieć dziecko, moje i Jurka, i nie zamierzałam dać go sobie odebrać. Albo zgotować mu takiego piekła. Pomyślałam, że jakoś dam radę, że na pewno lepiej biedniej, ale w spokoju. Za parę groszy wynajęłam pokój na strychu. Latem było jeszcze w porządku, lecz teraz zaczęło się robić nie do wytrzymania. Matka usiłuje mi trochę pomóc, ale szczerze mówiąc, to sama nie wiem, czy bardziej się tego boję, czy jednak jeszcze mocniej za nią tęsknię. Bo z jednej strony boję się, że w końcu przywlecze mi za sobą Edwarda, że on ją będzie śledził i dotrze do mnie i do Tosi, a z drugiej strony ona jest jedyną osobą, z którą mogę jakoś tak w miarę normalnie porozmawiać. Poza nią nie mam nikogo – dokończyła i wsparła coraz bardziej ciężącą głowę na dłoni. – A żeby była jasność: to, że ja to wszystko pani opowiedziałam, wcale nie znaczy, że podoba mi się, że mnie pani szantażuje, bo ten tekst o opiece społecznej, która zjawia się u mnie, jeżeli stąd wyjdę, był niczym innym jak szantażem. Jestem tu, bo muszę, a nie dlatego, że chcę – zakończyła, pociągając nosem.

– Dobrze, że o tym wspomniałaś – Nela błyskawicznie wzięła się w garść, bo szczerze mówiąc, przez moment czuła się autentycznie wstrząśnięta tym, co usłyszała. Tak bardzo mocno uderzyła ją opowieść dziewczyny, że kompletnie nie wiedziała, co ma powiedzieć. Na całe szczęście to, co Haśka dodała na koniec, pozwoliło jej się opanować. – Bo

to, że mi to wszystko opowiedziałaś, nie zmienia w naszych ustaleniach niczego...

– W pani ustaleniach. Ja się na nic nie umawiałam...

– Nie wchodząc w szczegóły: wyjdiesz stąd dopiero, jak lekarz na to pozwoli, bo inaczej masz przechłapanie – dodała, przybierając obojętny ton. – A teraz weź leki, leżą na tacce na lodówce, i idź się położyć, bo zaczynasz lecieć przez ręce. Proszę, popij – mówiąc to, podniosła się i nalała do szklanki wody.

Haśka posłusznie sięgnęła na lodówkę, zgarnęła z tacki przygotowane proszki i wsypała jej sobie do ust.

– Rzeczywiście muszę iść się położyć – powiedziała zmęczonym głosem, oczy znowu zaczęły jej błyszczeć. – Ale zabieram ze sobą Tosię, chyba powinnam zrobić jej mleko...

– Do tej pory dawałyśmy sobie radę, to i teraz damy. Ale zabierz ją, dopóki śpi, niech będzie koło ciebie. Obudzi się, to ją nakarmię, naprawdę nie musisz się martwić... Za chwilę wró... – Przerwała i zerknęła na dziewczynę, po czym stwierdziła, że jednak nie będzie w tym momencie wspominać Michaliny. – Wrócą pozostali, jest sporo rąk do pomocy – dodała oględnie. – Haśka, mam już tylko ostatnie pytanie, nie będę więcej cię męczyć. Czemu ty się kryjesz? Przecież on nie może ci zabrać dziecka, jesteś pełnoletnia. Bo jesteś, prawda?

– Mam prawie dwadzieścia lat i nawet zdaną maturę, i ma pani rację, Edward nie może mi zabrać dziecka. Nie wtedy gdy jestem zdrowa i przytomna – dodała, patrząc na Nelę znacząco. – Bo gdyby to on mnie znalazł na tym strychu, to kto by go powstrzymał? A poza tym pani jednego nie rozumie. Nawet jeżeli ma na tyle zdrowego rozsądku, że sam nie tknie Tosi, to zrobi wszystko, żeby mi ją zabrano. To nawet nie będzie trudne,

wystarczy spojrzeć na warunki, w jakich mieszkaliśmy, i na mnie... Zrobi wszystko, żeby mnie zniszczyć, bo mnie nienawidzi. Za to, co zrobiłam.

– Odeszłaś – zrozumiała w końcu Nela.

– Odeszłam i pozbawiłam go kontroli i władzy nad sobą – przytaknęła i już nie oglądając się za siebie, powłokła się w kierunku salonu.

Po chwili Nela usłyszała skrzypienie kółek wózka na podłodze w korytarzu i skrzypnięcie drzwi od pokoju. Tym razem nie wyjrzała i nie sprawdziła, co dziewczyna robi. Coś jej mówiło, że Haśka nie będzie już próbowała uciekać. A przynajmniej nie w tym momencie, bo chyba do niej dotarło, że zwyczajnie jest za słaba.

– Wyżej dupy nie podskoczysz – mruknęła Nela do siebie i gdy zdała sobie sprawę, co powiedziała, cała aż się wzdrygnęła.

„I co ja mam z tym wszystkim zrobić?” – pomyślała zafrasowana.

„No jak to co? – zaszumiało jej w głowie. – Odnaleźć chłopaka, zaciukać Edwarda, a matkę wysłać na terapię... I wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie” – dodała w duchu i przewróciła oczami.

A potem uznała, że ta sprawa wymaga solidnego zastanowienia i czasu do namysłu.

– A mogłam nie pytać – powiedziała z westchnieniem, zbierając ze stołu pozostałości po śniadaniu. – Na pewno mogłaś. – Zgodnie pokiwała głową. – Tyle tylko że wtedy nie byłabyś sobą – dodała i pomyślała, że rozmowy prowadzone ze sobą samym są zawsze wielce satysfakcjonujące, bo tak czy inaczej wychodziło na jej.

Nawet jeżeli aktualnie zawzięcie się ze sobą kłóciła, to w końcu musiała się ze sobą zgodzić. Nawet jeżeli ta zgoda polegała na stwierdzeniu, że głupszej staruszki nie widziała w całym swoim długim życiu.

Przez kolejne dni, zupełnie tak jak w poprzednim roku, śnieg padał nieustająco. Dzieciaki, korzystając z białej obfitości, ujeżdżały sanki i urządzały bitwy na śnieżki. Na blokowych podwórkach w ilościach hurtowych wyrastały całe rodziny bałwanów. W parkach dekorowano choinki i rozwieszano światełka. W śnieżnej scenerii to wszystko nabierało jeszcze większego uroku. W powietrzu zaczynało pachnieć nadchodzącymi powolutku świętami.

Ale u Neli atmosfera w niczym nie przypominała tej zewnętrznej, beztroskiej. Kilka ostatnich dni okazało się bardzo męczących. Tak bardzo, że starsza pani nawet nie miała kiedy pozachwytać się zimą przypominającą te z jej młodości. Bo jeśli Neli wydawało się, że po tym jak pogadały sobie z Haską szczerze, będzie się łatwiej z nią dogadać, to była w dużym błędzie.

Dziewczyna chyba żałowała tego, że tak otwarcie opowiedziała swoją historię. Stała się opryskliwa i niemila. I nie omieszkała nieomalże codziennie przypominać, iż jest tutaj wyłącznie dlatego, że musi. I że najchętniej natychmiast spakowałaby się i wróciła do siebie.

Michalinę zauważała tylko wtedy, gdy było to konieczne, starała się nawet na nią nie patrzeć i traktowała ją jak powietrze.

I w takiej napiętej atmosferze, dalekiej od przedświątecznej beztroski, o jakiej w głębi ducha marzyła Nela, nastał grudzień, dzień jedenasty.

JEDENASTY GRUDNIA



Tego ranka Nela wstała z potwornym bólem głowy. Podreptała do kuchni i ku swojemu zdumieniu zastała w niej opatuloną w grubym szlafroku, spokojnie siedzącą przy stole Michalinę.

– A ty nie idziesz do pracy? – zapytała, otwierając apteczkę i grzebiąc w niej w poszukiwaniu proszków przeciwbólowych.

– Nie, dzisiaj mam wolne – uśmiechnęła się Michalina. – A jakoś tak pomyślałam, że już najwyższy czas spokojnie usiąść i zaplanować święta, a poza tym ostatnio prawie się nie widzimy. Popołudniami panuje tu rozgardiasz, wieczorem wszyscy są padnięci...

– Dobrze, dobrze, daj spokój z tym owijaniem w bawełnę, zostałam, bo się o mnie martwisz, tak? – przerwała jej starsza pani z błyskiem w oku.

– Trafiony, zatopiony... – Michalina uznała, że nie ma sensu kręcić. – Jesteś ostatnio przemęczona i przygaszona. Konstanty miał rację, gdy powiedział, że dwoje dzieci i obca osoba w domu to za dużo, nawet jak na ciebie. Więc zostałam, żeby szczerze pogadać, co możemy z tym zrobić. Ale żeby nie było, to święta też są na mojej liście do omówienia. Poza tym mam dla ciebie konkretną propozycję.

– No to dawaj. – Nela usiadła przy stole i poczuła, że ból głowy jakby ustępuje. „Może nawet obejdzie się bez proszka” – pomyślała, masując skronie.

– Otóż do świąt będę zostawała z tobą w domu. Mam dużo pracy, ale już się umówiłam z Gabrysią, że zabiorę wszystkie kłopoty tutaj, do ciebie. W końcu malować mogę gdzie bądź, bylebym miała dobre światło. A biorąc pod uwagę, że to grudzień i że poranki są ciemne, wczesne popołudnia szare, a potem natychmiast zapada noc, to światło jest wszędzie mniej więcej takie samo. – Uśmiechnęła się. – Jak będę w domu, to

automatycznie trochę bardziej zajmę się dziećmi, a ty będziesz mogła więcej poodpoczywać.

– Wiesz co, może i dobrze, że mamy okazję porozmawiać na ten temat. – Nela w zamyśleniu wygładziła i tak idealnie równy obrus. – Bo między nami mówiąc, nie jestem zmęczona dziećmi... Wbrew pozorom Haśka jest dużą część dnia na nogach i do Tosi mnie wtedy prawie nie dopuszcza. Ale co innego mnie męczy... A właściwie nie tyle co, ile kto.

– Haśka – domyśliła się Michalina. – Poczekaj – dodała, po czym wyszła z kuchni i zamknęła drzwi do salonu, a potem wracając, przymknęła te kuchenne. – Tak na wszelki wypadek – powiedziała i zajęła swoje miejsce przy stole. – Mów, słucham.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć, bo nadal pamiętam, co mi tam wtedy u niej na tym lodowatym strychu powiedziałaś. Że ratując ją, ratujesz tę dawną samą siebie. I ja to rozumiem, ale... – Starsza pani zamilkła i pokręciła głową.

– No, Nelu, wal prosto z mostu, bo takie przerywanie w połowie jest zupełnie do ciebie niepodobne – przynagliła ją Michalina.

– Po prostu już nie mogę! Najpierw usiłowałam myśleć o tym w kategoriach tego, co wydarzyło się rok temu, i tego, w jakich okolicznościach ty się tu pojawiłaś. To jednak nie pomaga, nie mogę jej nijak porównywać z tobą, bo z tobą było zupełnie inaczej! A i owszem, byłaś pyskata, wygadana, ale nigdy tak opryskliwa i odpychająca! To po pierwsze. – Nela zmarszczyła brwi i wzięła głęboki wdech, ale nic nie powiedziała.

– A po drugie? – Michalina wstała i naląła wody do czajnika.

– To zaraz, a gdzie jest w ogóle Klara? – Starsza pani pociągnęła nosem i widać było, że odwleka moment odpowiedzi.

– Z Kotulą. On ma dziś całe przedpołudnie wolne i za chwilę zabierze małą na spacer. – Michalina rozsądnie przemilczała, że ich celem jest zajrzenie do mieszkania i zerknięcie na to, jak wygląda kuchnia.

Niewątpliwym plusem pojawienia się Haški u Neli było to, że starsza pani chwilowo zapomniała o biednej, nienawożonej piwnym nawozem przetrwania ekipie remontowej.

– No to co jest z tym po drugie? – postanowiła nie dać się Neli wykręcić od odpowiedzi, bo cokolwiek to było, mówienie o tym przychodziło jej z widocznym trudem.

– A po drugie, to ja wtedy wyraźnie poprosiłam o ciebie! – wyrzuciła z miną człowieka, który wstydy się tego, co mówi. – No dobrze, dobrze, nie patrz tak na mnie, może nie bezpośrednio, ale tak czy siak, to ty byłaś odpowiedzią! A ona, no cóż. – Nela rozłożyła znacząco ręce. – Ja o nią na pewno nie prosiłam, a ona z kolei każdego dnia przypomina mi, że jest tu wyłącznie dlatego, że ją zmuszamy! I nie chodzi o to, że ja oczekuję jakiejś wdzięczności, ale trzeźwego spojrzenia na sytuację, to i owszem! Ciebie też traktuje jak powietrze, zastanawiam się, jak ty to znosisz – zakończyła na wydechu.

– Kiepsko – przyznała Michalina. – Denerwuje mnie nieziemsko. Ale tak sobie myślę, że musi to z czegoś wynikać, że ona ma jakieś powody. Poza tym jest jeszcze jedna możliwość... Widzisz, może tym razem chodzi o coś zupełnie innego. Ty o nią nie prosiłaś. Ja może trochę, bo myślałam o tym, że dobrze by było jakoś podzielić się tym wszystkim, co mamy... Jednak nawet przez myśl mi nie przeszedł ktoś w typie Haški. Cały szkopał w tym, że może tym razem to ona poprosiła o nas. Pewnie nie wprost, lecz zapewne to my jesteśmy odpowiedzią – powiedziała cicho Michalina i sięgnęła po rękę Neli, i lekko ją uścisnęła.

A potem pomyślała, że nadszedł najwyższy czas, żeby poważnie porozmawiać z dziewczyną. Bo wszystko wszystkim, anioły, los i co tam jeszcze maczało w tym palce – co do jednego mogli mieć swoje plany i tylko sobie znane zamiary, ona z kolei nie zamierzała dopuścić, żeby Nela czuła się obco we własnym domu. W żadnym razie i pod żadnym pozorem.

Pomimo najszczerzych chęci Michalina tego dnia nie porozmawiała z Hašką. I nawet nie dlatego, że nie było jak, ale okazało się, że to wszystko, co chciała jej powiedzieć, nagle wydało jej się zupełnie niepasujące, wręcz głupie.

Bo po wspólnie spędzonym poranku Nela poszła do siebie i Michalina pomyślała, że starsza pani będzie chciała odpocząć. Po chwili jednak wróciła i z niezwykłą determinacją oznajmiła, że musi im, Michalinie i Konstantemu, coś powiedzieć.

– Oczywiście nie tutaj. Tu ściany mają uszy. Chodźmy do Wedla. Lubię to miejsce, przypomina mi przedwojenną Warszawę – dodała i potarła zmęczone oczy.

I właśnie tam, nad gorącą, gęstą i obłędnie pachnącą czekoladą, Nela opowiedziała im historię Haški.

– Do tej pory wam o tym nie mówiłam, bo najpierw myślałam, że sama coś wymyślę, tak jak było z tobą i Wandeczką. – Spojrzała znacząco na Michalinę. – Ale to jest zupełnie inna sytuacja i szczerze mówiąc, nic sensownego nie przychodzi mi do głowy – zakończyła z westchnieniem.

– To wszystko jest straszne – wyszeptała po chwili milczenia Michalina. – To, co przeżyła, i że się obwinia... I że ona już zaczyna wierzyć, że jest taka jak matka. I to zniknięcie chłopaka. Wcale się nie dziwię, że jest taka kolczasta.

– Jeszcze gorsze jest to, że ona nie rozumie czegoś, co jest jasne jak słońce. – Nela z lubością wciągnęła przesycone zapachem czekolady powietrze. – Kiedy ze mną rozmawiała, powiedziała mi coś takiego, że ona już jest skazana i podpisała na sobie wyrok. I ja to tak zrozumiałam, jakby ona w zawołany sposób mówiła, że to ten chłopak, Jurek, i Tosia. Że to

oni w pewien sposób ją skazali. Mimo że ona ich kocha, to właśnie tak to widzi. A przecież tak naprawdę to im wszystko zawdzięcza! Bo gdyby historia potoczyła się inaczej, nigdy nie odważyłaby się odejść z tego piekła...

– A ja się z wami nie zgadzam. – Konstanty spojrział na siedzące naprzeciwko niego kobiety i zabębnił palcami o blat stolika. – Najgorsze w tym wszystkim jest to, nie umniejszając, broń Boże, tego, co przeżyła, bo to był koszmar i myślę, że z całą pewnością przydałby jej się przyzwoity psycholog... Najgorsze jest to, że ona utknęła w miejscu. I dopóki się nie ruszy, my nic nie zrobimy. Ona nie chce pomocy!

– A tutaj z kolei ja się z tobą nie zgodzę. – Michalina przykryła swoją dłonią jego rękę. – Nie zgodzę się i to jest wyłącznie wasza zasługa, twoja i Neli, ten mój dzisiejszy upór. Bo to wy, nikt inny, nauczyliście mnie, że w sytuacjach gdy ktoś jest śmiertelnie wystraszony, należy go powolutku, krok po kroku oswajać. Doskonale pamiętam, co czułam, gdy tuż po tym jak byłam zdana tylko na siebie, nagle wokół mnie znalazło się mnóstwo ludzi, którzy zaczęli o mnie dbać, troszczyć się, pouczać i mówić mi, co mam robić. Wszystko to było z dobrego serca! Pamiętasz, Konstanty, ja ci to powiedziałam wprost, pamiętam to jak dziś. – Spojrzała mu miękko w oczy.

Bo rzeczywiście pamiętała! Jak miała nie pamiętać, skoro wtedy wiele rzeczy wydarzyło się po raz pierwszy, pierwszy raz widziała go tak wściekłego, i to na nią, i jednocześnie tak zmartwionego. A tak wściekać i martwić mógł się jedynie ktoś, komu na kimś bardzo zależało. Po raz pierwszy ją wtedy pocałował i zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

„I obietnicy dotrzymał” – pomyślała i wyczytała w jego spojrzeniu, że on też pamięta i w tej chwili myśli dokładnie o tym samym co ona...

– Oj, Michalina – mruknął w końcu i przesunął palcem po wnętrzu jej dłoni.

– No to co mu takiego ważnego powiedziałaś? – w tym momencie dotarł do nich głos Neli i to błyskawicznie sprowadziło ich na ziemię.

Oboje westchnęli i w tym westchnieniu była wyraźna tęsknota za tym, żeby w końcu побыć sam na sam. Ale teraz nie było na to najmniejszych szans. Siedzieli w trójkę, a właściwie w czwórkę, bo Konstanty trzymał na kolanach wiercącą się Klarę, która co jakiś czas z ukontentowaniem waliła grzechotką w blat przy wedłowskim stoliku. Wokół było mnóstwo ludzi, a w domu czekała nadąsana dziewczyna, której absolutnie nie można było zostawić samej sobie.

– Powiedziałam, że nie radzę sobie z tą nagłą troską, że się boję. Bo jeżeli wszystkich odtrączę i nikomu nie zaufam, to nie dam się zranić, a na to absolutnie nie mogłam sobie pozwolić. Bo to by mnie osłabiło, a ja i tak nie miałam już zbyt wielu sił. To właśnie powiedziałam Konstantemu. Mimo to mnie nie zostawił, ani on, ani ty, Nelu. I myślę, że z Haśką jest podobnie. Jest śmiertelnie przerażona, a co za tym idzie, okropna.

– I co, my mamy to potulnie znosić? – najeżyła się Nela. – Bo między nami mówiąc, ja raczej nie wytrzymam. Potulność nie leży w mojej naturze. A poza tym ona mnie wykańcza! Dodatkowo wiem, że nie można jej powiedzieć, żeby robiła, co chce! Bo przecież jest Tosia! I to mnie jeszcze bardziej denerwuje. Nie znoszę być tak rozdarta i niezdecydowana. Psuje mi to humor. – Starsza pani śmiesznie zmarszczyła nos.

– A na to nie można pozwolić. – Michalina w zamyśleniu przesunęła palcem po rancie filiżanki z czekoladą. – Coś wymyślimy, bo nie mamy wyboru. I jeżeli rzeczywiście Konstanty ma rację i ona utknęła w miejscu, trzeba ją zwyczajnie pchnąć do przodu... Ale to trzeba zrobić sposobem. I obawiam się, że dziś go nie odkryjemy, ale za to możemy wykorzystać to,

że tu jesteśmy, i chwilowo przestać się zamartwiać. Ostatecznie siedzimy w miejscu, w którym czekolada jest wszędzie, a czekolada nie pyta, czekolada rozumie. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Masz rację, zamartwianie się w takich okolicznościach przyrody byłoby czymś bardzo niestosownym – Nela wyraźnie się ożywiła i poczuła się ciut lepiej.

I wszyscy jak jeden mąż postanowili być jak Scarlett O'Hara i o Hańce pomyśleć jutro.

I nie zdawali sobie sprawy, że właściwie nie muszą się tym za bardzo kłopotać. Rozwiązanie problemu nadchodziło samo.

I tak w mgiełce aromatu czekolady, cynamonu i nadziei nadeszła noc. A wraz z nią przybyło rozwiązanie różnych zawiłych kwestii. Stało tuż za ośnieżonym rogiem i nieco się czaiło, ale w końcu miało się ruszyć. Zupełnie jak Haśka, która przecież nie mogła do końca życia tkwić w miejscu. I nadszedł grudzień. Dzień dwunasty.

DWUNASTY GRUDNIA



Gdy Michalina otworzyła oczy, z rozczarowaniem poczuła, iż mimo że nadszedł poranek, wcale a wcale nie czuje się mądrzejsza.

– A ponoć ranek nieraz przynosi radę, a noc często odmienia myśli, a mnie nie spotkało ani jedno, ani drugie – mruknęła do Klary, którą zupełnie niepedagogicznie tej nocy zabrali do siebie do łóżka, bo mała za nic nie chciała spać w łóżeczku. – A muszę szybko podjąć decyzję, bo Nela wygląda na porządnie zmęczoną – dodała i wygramoliła się z łóżka, wzięła dziewczynkę na ręce i cichutko wymknęła się do kuchni, starając się nie obudzić Konstantego.

„Niech sobie jeszcze pośpi. W końcu jest jakaś koszmarnie wczesna godzina” – pomyślała i przystanęła pod drzwiami pokoju Haški. Tam też już nikt nie spał. Słysząc było coś na kształt rozmowy. Michalina na palcach podeszła pod same drzwi i przyłożyła do nich ucho.

– Czemu ty nie śpisz? – usłyszała przyciszony głos dziewczyny. – Powinnaś spać... Szkoda, że nie mamy twojej karuzelki, tej, co wisi nad twoim łóżeczkiem, ona cię zawsze uspokajała. Ale wiesz, ja nie mogę po nią pójść, a prosić... Też nie mogę, bo musiałabym rozmawiać z tą Nelą. A ona zawsze usiłuje mnie ciągnąć za język. I tak powiedziałam jej za dużo... Zobacz, oczy ci się kleją, naprawdę, pośpij trochę, bo będziesz marudzić przez cały dzień! Może ja ci zaśpiewam, co? Kołysankę, moją ulubioną, co ty na to? Mnie śpiewała ją kiedyś mama, dawno, dawno temu, kiedy jeszcze nie odebrano jej głosu...

Był sobie król

Był sobie paż

I była też królowna

Żyli wśród róż, nie znali burz

Rzecz najzupełniej pewna

Żyli wśród róż, nie znali burz

Rzecz najzupełniej pewna
Kochał ją król
Kochał ją paź
Kochali ją oboje
I ona też kochała ich
Kochali się we troje
Lecz srogi los
Okrutna śmierć
W udziale im przypadła
Króla zjadł pies
Pazia zjadł kot
Królownę myszka zjadła
Króla zjadł pies
Pazia zjadł kot
Królownę myszka zjadła
Lecz żeby ci
Nie było żal
Dziecino ukochana
Z cukru był król
Z piernika paź
Królowna z marcepana
Z cukru był król
Z piernika paź
Królowna z marcepana

– popłynęło zza zamkniętych drzwi, a Michalina, starając się nawet nie oddychać, na palcach wycofała się w kierunku kuchni. Znów poczuła zalewające ją od stóp do głów współczucie. Haśka musiała się czuć okropnie ze świadomością, że nie może wyjść, a co gorsza, że tak naprawdę nawet gdyby mogła, to nie ma dokąd pójść.

„No tak, może powinnam ją zapytać, czy jej czegoś nie potrzeba – pomyślała z potężnym westchnieniem. – Tyle tylko, że to jest zupełnie bezcelowe, bo ona ze mną rozmawia jeszcze gorzej niż z Nelą. Półśłówkami. W każdym razie pójdę tam dziś i przyniosę jej tę karuzelę i resztę rzeczy z łóżeczka małej. Może to był błąd, że go nie przywieźliśmy,

tylko postawiliśmy to, które było zostawione u Neli dla Klary... Ale wtedy wszystko działo się tak szybko, nie było kiedy porządnie się zastanowić”.

Ziewnęła rozziewając i ze zdumieniem stwierdziła, że w kuchni już urzęduje Nela.

– A ty co, nie możesz spać? – zapytała, unosząc brwi.

– Jakoś tak nie mogłam uleżeć, bo ja już wiem, co trzeba zrobić, znaczy nie tak kompleksowo, lecz na początek wystarczy. – W głosie starszej pani słychać było ożywienie i ekscytację. – Pół nocy się zastanawiałam, co z tym upartym niczym koza dziewczuszką uczynić i jak ją ugryźć. I nic zgoła nie wymyśliłam. Usnęłam w fatalnym nastroju, nawet pomyślałam, że skoro fantazja u mnie szwankuje i wyobraźnię mam zaśniedziałą, to chyba pora umierać, ale jak otworzyłam oczy, to mnie olśniło. Ona już dobrze się czuje i trzeba ją czymś zwyczajnie zająć. Zapędzić ją do roboty, bo jej z nadmiaru czasu charakter parszywieje...

– Zawsze jest to jakiś pomysł, ale co ona niby miałyby robić?

– Tym to się nie przejmuj, coś się zawsze znajdzie, takiego mało wysiłkowego, bo jednak grypa to nie przelewki i zdychulec nadal ma krzepę kurczaka.

– Wiesz co, tak właśnie zaczęłam się zastanawiać... – Michalina zawiesiła głos i zakołysała w ramionach zaczynając marudzić Klarę. – Czym ona właściwie się zajmowała? Bo chyba musiała jakoś pracować...

– Ona sprzątała – rozległ się tuż za ich plecami pełen ironii głos Haški. – Jeżeli chcecie mnie obgadywać, to przynajmniej mogłybyście przymknąć drzwi. I to żadna tajemnica, sprzątałam u ludzi. Tam gdzie pozwalali mi zabierać Tosię, bo przecież nie miałam jej z kim zostawić. A pozwalali zazwyczaj wszędzie, bo płacili mi mniej niż innym. Za możliwość opieki nad dzieckiem. Słyszała pani kiedyś o czymś tak

absurdalnym? – zwróciła się do Neli, starannie omijając wzrokiem Michalinę.

Widać przypomniała sobie, że jej nie lubi i że miała jej nie zauważać.

– Potrącano mi kasę za to, że wózek z moim dzieckiem mógł stać obok mnie. Czyli trochę tak jakbym musiała sama sobie płacić za opiekę nad własną córką. Teraz z powodu mojej przedłużającej się nieobecności większość mnie zwolniła, tak jakby mogli zwolnić kogoś, kogo przecież nie zatrudniali. Bo oczywiście pracowałam na czarno. Wkurzyli się porządnie, bo idą święta, a im się wielozadaniowa maszynka do czyszczenia, polerowania, pucowania zepsuła. – Skrzywiła się. – Ale spokojnie, u pani też mogę posprzątać. Może mi to dobrze zrobi na mój parszywy charakter – dodała złośliwie.

– A to z całą pewnością – przytaknęła jakby nic Nela.

Na widok konsternacji, w jaką wprawiła Haškę odpowiedź starszej pani, Michalinie zachciało się śmiać.

„Biedna, nie doceniła przeciwnika, jeszcze nie zauważyła, że to nie jest taka łatwa sprawa wprawić Nelę w zakłopotanie” – pomyślała, wyjmując z podgrzewacza butelkę z mlekiem i podając ją starszej pani. Klara już od kilku minut się do niej wyrywała. I nie było sensu nakłaniać jej do zmiany planów.

– Ale sprzątać nie będziesz – stwierdziła Nela, odstawiając butelkę na stół i biorąc od Michaliny Klarę, którą wygodnie ułożyła sobie na kolanach i z rozczuleniem rozlewającym się po całej twarzy i wypełniającym każdą najdrobniejszą zmarszczkę pochyliła się nad małą.

Było w tej scenie coś niebywale wzruszającego, coś, co poruszyło i Michalinę, i Haškę.

„Jakim cudem w jednej sekundzie można tak odmłodnieć?” – pomyślała Haška, a potem jej sercem szarpnęło coś bardzo bolesnego, gdy dotarło do

niej, że Tosi nikt poza nią nigdy nie będzie tak kochał. Nikt nie będzie nad nią tak pięknie młodniał. Nikt!

„No, chyba że na to pozwolisz” – zaszepotała jej coś zdradziecko do ucha tak natarczywym tonem, że aż musiała potrząsnąć głową, żeby się tego pozbyć.

– Nie będę sprzątać? A co, jeżeli to jest jedyna umiejętność, jaką posiadam? Jeśli niczego innego nie umiem? – odezwała się czym prędzej, żeby odpędzić od siebie te niebezpieczne, zalewające ją zewsząd uczucia.

– To się nauczysz – ze stoickim spokojem odpowiedziała Nela. – A ty, Michalina, czego tam szukasz? – zwróciła się do dziewczyny, która otworzyła dolną szafkę i zawzięcie przegrzebywała jej zawartość.

– Tego kamionkowego naczynia, wiesz, tego, w którym w zeszłym roku trzymałam ciasto na piernik. Bo wprawdzie tegoroczny zagniotłam w zupełnie innym, ale chciałabym, żeby choć chwilę poleżało w tym należącym do babci. Ona zawsze je w nim zagniałała i mam wyrzuty sumienia, że zrobiłam inaczej. A tak to chociaż trochę tradycji stanie się zadość – dodała miękko jak kisiel głosem.

– Jest na drugiej półce po lewej stronie, nie musisz robić mi takiego kipiszu, wystarczy zapytać. A swoją drogą, to dobrze, że poprzestajesz na kamionce i tego targania piernikowego ciasta ze sobą nie uznajesz za tradycję – rzuciła Nela, wycierając Klarze brudną od mleka bródkę.

– A kto ci powiedział, że nie uznajesz? – Michalina wydobyła z szafki dużą kamionkową misę i ostrożnie postawiła ją na środku stołu.

Na stojącą z boku Haśkę w ogóle nie zwracała uwagi.

„Cóż, skoro tak chcesz, to tak będzie” – pomyślała, dokładnie tak samo jak tamta wcześniej, omijając ją wzrokiem.

– Przecież ja wożę to ciasto w wózku od dnia, w którym je zrobiłam – dodała z szelmowskim uśmiechem i przejechała pieszczotliwie palcem po

brzegu miski.

Skupiona na naczyniu kompletnie nie zauważyła, że na twarzy starszej pani pojawił się wyraz zdumienia, który płynnie przeszedł w popłoch.

Tę dziwną mimiczną grę zauważyła tylko Haśka. Niewiele wprawdzie z tej rozmowy rozumiała, ale dotarło do niej, że niewątpliwie dzieje się tutaj coś interesującego.

– Wozisz to ciasto ze sobą? – starsza pani w końcu odzyskała głos. – A możesz mi, niemądra dziewczyno, powiedzieć, co ci przyświecało, gdy zdecydowałaś się na coś tak dziwnego?

– Czemu się wściekasz? – Michalina spojrzała na nią ze zdumieniem. – Przecież sama powiedziałaś, że to był najlepszy piernik, jaki w życiu jadłaś! Ja też tak uważam. A jedyne, co go odróżnia od tych pozostałych, wcześniejszych, to właśnie to, że wędrował ze mną po mrozie...

– Wilgoci i chłodzie – zakończyła ponuro Nela. – No cóż, skoro w tym upatrujesz jego wyjątkowości, to ja nie mogę nic innego w tym temacie zrobić, jak tylko się z tobą zgodzić – dodała i zrobiła doskonale obojętną minę.

I tylko Haśce nie umknęło, że gdy starsza pani myślała, że nikt na nią nie patrzy, skrzywiła się koszmarnie i wywróciła oczami.

To co mam robić? – Haśka poczekała, aż usłyszy trzaśnięcie drzwi wejściowych, oznajmiające, że Michalina wyszła, i dopiero wtedy zajrzała do kuchni. – Bo nie chcę, żeby mnie pani postrzegą jako pasożyta – dorzuciła kąśliwie.

– Upierdliwego pasożyta – sprecyzowała Nela. – Cóż, miałam inny plan, ale wyszło, że przede wszystkim będziemy zagniatać ciasto na piernik – dorzuciła ponuro. – Im szybciej, tym lepiej, bo ono powinno już od dawna dojrzewać.

– A to nie jest ten sam piernik, o którym wspominała pani wnuczka? Ten, który jest już od dawna zrobiony?

– Ona ma na imię Michalina, możesz przestać tak ostentacyjnie się od niej separować – parsknęła starsza pani w odpowiedzi. – I tak, to jest ten sam piernik, który ona właśnie beztrąsko psuje! A ja nic z tym nie mogę zrobić. Poza tym oczywiście, że przygotuję nowy! Nie mogę zrobić inaczej, ona wierzy, że ten piernik jest gwarancją szczęścia na cały przyszły rok, a jak jej klapnie, to kto wie, czy czegoś sobie nie wmówi i nie wykracze...

– I dlatego można jej pozwalać na kaprysy wożenia go ze sobą, psucia, marnowania produktów, zamiast powiedzieć jej prawdę – nie wytrzymała Haśka. – Bo co, bo rozpieszczona księżniczka wychowana w piernatach tego nie zniesie?

– Co głupiemu po koronkach, jeżeli powiada, że to same dziury! – Nela pokiwała z politowaniem głową. – Jak ty nic nie pojmujesz, ale za to wypowiadasz się tak, jakbyś wszystkie rozumy zjadła! Właściwie to ja nie jestem najlepszą osobą, żeby ci uświadamiać takie rzeczy, bo sama mam dość podły charakter. Jestem kąśliwa, nie liczę się ze słowami, często zanim pomyślę, to powiem, bo język przez te wszystkie lata, które spędziłam na

tym świecie, mi się rozpuścił. Ale zadam ci teraz pytanie, które ja też swego czasu usłyszałam, w bardzo podobnej sytuacji: czemu mówisz o niej w ten sposób? Ona była dla ciebie dobra. Nikt inny, tylko właśnie ona! I nie odpowiadaj mi, najlepiej nic nie mów. – Widząc, że dziewczyna otwiera usta, żeby coś powiedzieć, zamachała gwałtownie ręką. – Pomyśl tylko o tym. Aha, i radziłabym ci jeszcze jedno, chociaż wiem, że za radami to ty nie przepadasz: nie oceniaj po pozorach, bo czasem myślą tak strasznie, że potem nie wiadomo, co zrobić ze wstydem i z poczuciem zażenowania. To tyle ode mnie, a teraz bierzemy się za to nieszczęsne ciasto! I od razu ci mówię: ani słowa o tym, co tu się będzie działo. Michalina nie może się o tym pod żadnym pozorem dowiedzieć. Właściwie to sama jestem sobie winna, mamusia mi powtarzała, że kłamstwo zawsze odbija się czkawką, i jak zwykle miała rację. Dobrze, że przynajmniej w tym roku nie będę musiała psuć piekarnika, jakoś ją przekonam, że skoro ten poprzedni był taki doskonały, to ten też trzeba upiec dokładnie w tym samym czasie co tamten...

– Nic z tego nie rozumiem – mruknęła Haśka, która kompletnie zagubiła się już wśród tajemniczych: poprzednich, tych i tamtych.

– Uwierz, nie musisz. Bierzemy się do roboty. – Nela zatarła rękę, po czym wyciągnęła z półki z książkami poźółkły ze starości zeszyt i odszukała odpowiednią stronę.

A potem Haśka nawet się nie obejrzała, a już została przepasana fartuszkami i wlewała do rondelka odpowiednie proporcje miodu, cukru i masła. Mieszała to wszystko, pilnowała, żeby zawrzało, później czekając, aż masa się wystudzi, pod dyktando Neli wyciągała z szafek mąkę, sodę, przyprawy do piernika. Po chwili obłędnie pachniało cynamonem i goździkami. Z tym aromatem do kuchni i przylegających do niej pokoi powolutku i nieśmiało zaczęły zaglądać nadchodzące święta. I Haśka, idąc

po Tosię, która zaczęła popłakiwać w pokoju, pomyślała, że musi spisać od Neli ten przepis. I jak już będzie miała dom, w którym będzie piekarnik i grzejący kaloryfer, i stół, i komplet talerzy, to przygotują taki piernik razem z Tosią. I kto wie, może nawet będą przy tym śpiewać kolędy...

I nawet nie zauważyła, że po raz pierwszy od wielu tygodni pomyślała o przyszłości. I że poczuła nadzieję pachnącą rozgrzanym miodem, cynamonem i goździkami.

Tymczasem Michalina szła zaśnieżonymi warszawskimi ulicami, z trudem pchając przed sobą wózek z Klarą. W koszyku zawinięte starannie w dwie warstwy grubego papieru i zabezpieczone reklamówką jechało ciasto na piernik.

Michalina szła do mieszkania Haški. Zamierzała przynieść stamtąd karuzelkę i resztę rzeczy, które zostały w łóżeczku.

„Może to będzie jakiś pretekst, żeby z nią normalnie porozmawiać” – pomyślała, wychodząc zza zakrętu prosto na kamienicę, do której kierowała swoje kroki. W tym momencie zobaczyła matkę Haški. Kobieta tkwiła na środku chodnika, a obok niej, szarpiąc ją za ramię, stał wysoki, chudy mężczyzna.

– Które to mieszkanie? Masz mnie tam natychmiast zaprowadzić, pod same drzwi, słyszysz, zdradziecka su... – Facet przerwał i rozejrzał się dookoła.

Michalina błyskawicznie skręciła wózką na przystanek autobusowy i zamarkowała pilne wpatrywanie się w rozkład jazdy. Serce jej biło tak szybko i głośno, że miała wrażenie, iż ma je w uszach i w głowie.

– No mów! – doszedł ją podniesiony męski głos.

– Nie powiem ci, za nic ci nie powiem – głos matki Haški drżał i zanikał. Słysząc w nim było przerażenie, ale też determinację. – Możesz mówić, co chcesz, możesz mnie potem trzymać w zamknięciu, ale tego ci, Edward, nie powiem – zakończyła z taką rozpaczą, że Michalina z trudem powstrzymała się, żeby się nie odwrócić i nie sprawdzić, co się dzieje. Bała się jednak, że jeżeli matka Haški ją zobaczy, to, nie daj Boże, czymś się zdradzi i zwróci na nią uwagę mężczyzny.

A ona przecież była tu sama z Klarą. A ten tam, z tego, co mówiła o nim Nela, i sądząc po tym, jak się teraz zachowywał, był nieprzewidywalny.

– Nie to nie! Zresztą ja i tak wiem, gdzie tej małej dziwki szukać!

Michalina delikatnie obróciła głowę i kątem oka zobaczyła, że tuż koło Edwarda i matki Haški zatrzymuje się jakiś mężczyzna, widać zaniepokojony tym, co się działo.

– Widzisz, kochanie, budzimy niepotrzebną sensację, wejdź do samochodu, poczekasz na mnie. – Chwycił matkę Haški pod ramię i bezceremonialnie wepchnął do granatowego auta stojącego tuż przy krawężniku. – Idę teraz na strych, bo przecież tam mieszka ta twoja córka, przyszedłem tu ostatnio za tobą! – dodał i nie oglądając się za siebie, poszedł pewnym krokiem do bramy.

Mężczyzna, który przedtem koło niego przystanął, podszedł z wahaniem do samochodu. Michalina widziała, że matka Haški opuszcza szybę i coś do niego mówi. Z jej ruchów wywnioskowała, że zapewnia go, iż nic się nie stało. Po chwili tamten pokręcił bez przekonania głową i odszedł. Na to właśnie czekała Michalina.

Truchtem ruszyła do stojącego na poboczu auta i dopadła do szyby. Matka Haški spojrzała na nią zaczerwienionymi, zapłakanymi oczami i dziewczyna dostrzegła w nich błysk rozpoznania.

– Niech się pani nie martwi, Haški tam nie ma, jest bezpieczna. A jakby co, to ja pracuję w kwaciarni. – Podała nazwę ulicy. – Jeżeli będzie się chciała pani skontaktować z córką, to za moim pośrednictwem, proszę pytać o Michalinę – powiedziała szybko, jak najszybciej, a potem nie oglądając się za siebie, wróciła na przystanek.

Tym razem wiedziała, że zrobiła dokładnie tyle, ile w tej sytuacji mogła uczynić. Poczekwała na przystanku, aż wściekły ojczym Haški wrócił do auta. Upewniła się, że samochód na dobre odjechał, i dopiero wtedy ruszyła

w kierunku kamienicy. Przechodząc koło miejsca, gdzie stało auto Edwarda, zobaczyła, że na ziemi leży kartka. Musiała dopiero co tam się znaleźć, bo nie zdążyła jeszcze nasiąknąć wilgocią ani zapaść się w śnieg. Podniosła ją i spojrzała na rząd krzywych, pisanych trzęsącą się dłonią liter:

Dziękuję. Modliłam się o Ciebie dla Niej. Dobrze, że Haśka ma swojego Anioła.

„No to pięknie” – pomyślała Michalina i podeszła do dobrze już znanej bramy.

– Zostałam aniołem i coś mi mówi, że nie będę miała łatwego życia, bo anioły, szczególnie te opiekuńcze, to mają przechlapane – mruknęła i na wszelki wypadek zanim weszła do budynku, obejrzała się za siebie.

Nie sądziła wprawdzie, że Edward wróci, ale wolała się upewnić. Nigdzie nie było widać granatowego auta.

Weszła na klatkę, wyjęła śpiącą Klarę z wózka i ruszyła na górę.

„Gdyby Konstanty mnie teraz widział, z całą pewnością by mnie zamordował albo ewentualnie ubezwłasnowolnił” – pomyślała, krzywiąc się szpetnie.

Ale jednocześnie coś, czego absolutnie nie mogła zignorować, pchało ją na górę. Kiedy dotarła do obdrapanych drzwi na strychu, od razu zobaczyła wciśniętą w nie kartkę. Wyjęła ją drżącymi palcami i zrezygnowała z wchodzenia do środka.

„Przyjadę tu później z Kotulą” – pomyślała, zawracając, i jak najszybciej, na tyle, na ile pozwalała jej trzymana na rękach Klara, pokonała schody, zapakowała córeczkę do wózka i ruszyła w kierunku domu Neli.

Po chwili przystanęła i po krótkim namyśle zmieniła zdanie. Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła stamtąd kartkę, którą zabrała z drzwi. Rzuciła okiem na tekst.

Znalazłem cię mała suko. I uwierz wróć!

Tatuś Edward

Michalina poczuła, jak wstrząsa nią dreszcz obrzydzenia. Miała ochotę wyrzucić kartkę, ale tego nie zrobiła. Wiedziała, że to byłoby najgłupsze, co może zrobić. Wsunęła ją więc na powrót do kieszeni kurtki, po czym odruchowo wytarła ręce w tetrową pieluchę, która wystawała z torebki.

A potem ruszyła w kierunku kwiaciarni. Chciała ochłoniąć, zanim wróci do domu. I napić się cynamonowej herbaty. A taką, najlepszą i mającą moc leczenia wszelkich zmartwień, robiła właśnie Gabryśia, do której Michalina nagle zatęskniła całym sercem.

Tymczasem Nela, kompletnie nieświadoma tego, co właśnie przeżyła Michalina, po zrobieniu ciasta na piernik i wywietrzeniu kuchni poczuła, że jest gotowa do odhaczenia kolejnego punktu z listy przedświątecznych zajęć.

I zgodnie z tym, co sobie rano umyśliła, z miejsca poszła po Haškę.

– Chodź, pójdziesz ze mną na strych, trzeba przynieść trochę pudeł – powiedziała do dziewczyny.

– Ale jak...

– Normalnie, tuk, tuk, tuk na górę po schodach, tuk, tuk, tuk z powrotem z ładunkiem – przerwała jej Nela.

– Nie no, dziękuję bardzo, że mi pani to wyjaśniła, bo inaczej w życiu bym się nie domyśliła – sarknęła dziewczyna. – Chodziło mi o Tosię. Przecież samej jej tu nie zostawię!

– Kotula jest w domu, zerknie na małą – oznajmiła Nela krótko i nie czekając na reakcję Haški, wyjęła dziewczynkę z łóżeczka i poszła z nią do pokoju Konstantego. – Masz, trzymaj, w końcu wszystkie dzieci nasze są – powiedziała, nie bawiąc się w żadne wstępy. – Jakby płakała, to ją pohuśtaj, ona to bardzo lubi. My z Hašką zaraz wrócimy, idziemy na strych po parę pudełek...

– To może ja pójde, w końcu ona miała grypę, nie może dźwigać.

– A ja nadal, Kotula, mam głowę na karku i wyobraź sobie, że wiem, że zdychulec wciąż słabuje. Ale te pudła będą ważyły tyle co nic, tam są głównie ozdoby choinkowe. Takie, które pamiętają moje młode lata – rzuciła i nie oglądając się, poszła do przedpokoju, gdzie już stała Haška. – A tobie co? – Nela zerknęła na nią spod oka. – Jakoś tak spotulniałaś

dzisiaj, nie buntujesz się, nie wrzeszczysz, że masz dość tego zamknięcia, gorzej się czujesz czy jak?

– Niech pani da spokój, idźmy po te pudła. – Zbyła ją machnięciem ręki.

I poszły. Na strychu było mnóstwo szpargałów, skrzyń, stert gazet, kurzu i pajęczyn.

Pachniało przeszłością.

Tak właśnie pomyślała Haśka, gdy tylko tam weszła.

Nela pewnym krokiem skierowała się w najdalszy kąt i wysunęła stamtąd kilka okazałych pudeł. Były wielkie, ale tak jak zapowiadała – leciutkie.

Zanim Haśka je podniosła, rozejrzała się uważnie wokół siebie.

– To wszystko pani? – Potoczyła dookoła ręką.

– Moje. Strych przynależy do mieszkania.

Nela powoli, omijając pajęczyny, podeszła pod okno i położyła dłoń na wieku wielkiego kufra. Pogładziła go i pozwoliła palcom, żeby zsunęły się do skobla, ale gdy tylko zorientowała się, co robi, cofnęła rękę i wytarła ją o spódnicę.

– Chodźmy, chciałabym, żebyśmy jeszcze dziś to przejrzały – powiedziała zmienionym nagle głosem.

Haśka wychwyciła tę zmianę i nawet chciała jakoś zagadnąć starszą panią o kufer, bo to ewidentnie on tak na nią podziałał, jednak nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć.

– W tamtym roku nie miałam choinki, byliśmy u rodziców Kotuli, a w tym chciałabym, żeby drzewko było duże, i muszę się upewnić, że mam dostateczną ilość ozdób – ciągnęła Nela już normalnym tonem i Haśka pomyślała, że teraz to już niezręcznie pytać o skrzynię.

„A jednak ciekawe, co w niej jest” – pomyślała i wzięła w objęcia leżące na samej górze pudła, po czym ruszyła z nimi do mieszkania. Tuż za nią szła Nela z kolejnymi. Musiały wracać jeszcze dwa razy, żeby znieść wszystkie.

Na koniec Nela poszła już sama, żeby zamknąć na klucz ciężkie drewniane drzwi. Stała w progu i spojrzała raz jeszcze w głąb strychu. W mosiężnych okuciach kufra odbijało się żółte światło żarówki, sprawiając wrażenie, że to ze środka wydobywa się lśniąca poświata.

„Niczym aureola – przemknęło jej przez głowę. – Jak adekwatnie!”

– Proszę bardzo, wzięło cię na wspominki – parsknęła cicho pod nosem, a potem z irytacją na twarzy zdecydowanym ruchem wyłączyła światło, poświata znad kufra zniknęła, a Nela zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Mimo że na strychu zapanowała ciemność, ona wciąż widziała ten blask. I coś w niej drgnęło, coś, co trwało w bezruchu przez wiele lat.

Gdy zeszła na dół, ku swojej nieziemskiej irytacji zastała zdychulca siedzącego na podłodze w salonie nad już otworzonym pudłem. W drzwiach stał Konstanty, Tosia leżała w bujaku, a z pokoju słychać było głos Michaliny gadającej z kimś przez telefon. Widać dziewczyna musiała wrócić wtedy, gdy Nela była jeszcze na górze.

Już otwierała usta, żeby zbesztać Haškę za samowolkę, ale natychmiast je zamknęła.

„To, że jesteś zirytowana, nie znaczy, że możesz wyżywać się na innych – przywołała się w duchu do porządku. – A poza tym to chyba o to chodziło, żeby ją czymś zająć. No to właśnie udało ci się osiągnąć cel”.

Chociaż właściwie wyobrażała sobie, że to będzie wyglądało trochę inaczej. Że wszyscy razem usiądą przy wielkim stole i po kolei pudło po pudle będą je opróżniać, wspólnie oglądać ozdoby. No, ale wyszło, jak wyszło.

W tym momencie Haška wyciągnęła z czeluści kartonu bombkę w kształcie miniaturowego konika na biegunach i zastygła nad nią w zachwycie.

– Matko, jaka ona jest piękna – powiedziała po chwili z nabożną czcią. – W życiu nie widziałam nic tak ulotnego, tak, tak bardzo świątecznego... Kiedyś to święta musiały wyglądać zupełnie inaczej. Prawda? – Podniosła na nią oczy. – Jak ja bym chciała móc przenieść się w czasie i zobaczyć, jak było kiedyś...

– Na pewno inaczej – powiedziała Nela cicho i przysiadła na brzegu zielonej pluszowej sofy.

– A pani? Jakby pani mogła wybierać, to wróciłaby pani do czasu dzieciństwa? Czy raczej do dni, gdy już była pani dorosła i miała własny

dom? – Haśka rozgadała się nadspodziewanie dla samej siebie i kompletnie umknęło jej to, że Michalina, która właśnie pojawiła się tuż koło Kotuli, błędnie i rzuca Neli ostrzegawcze spojrzenie.

Ale już było za późno – słowa właśnie padły, lawina wspomnień ruszyła i nic nie mogło jej powstrzymać.

„Właściwie już po tym blasku unoszącym się znad kufra mogłam się tego spodziewać” – pomyślała Nela, ignorując kompletnie Michalinę, która usiłowała odwrócić jej uwagę, mówiąc coś pośpiesznie o pozostałych kartonach.

Nela uciszyła ją jednym stanowczym machnięciem ręki. Przed oczami przesuwały się jej różne obrazy.

A gdyby... Gdyby tak rzeczywiście móc przenieść się do przeszłości i przeżyć jeszcze raz kilka dni z tych minionych i niedostępnych...

„To które byś wybrała?” – zaszepotało jej w głowie. Czy na pewno te, które już należały do Aleksandra? Kochała go nad życie, w końcu za niego wyszła, a nie wyobrażała sobie innego powodu do małżeństwa niż wielka miłość.

Ale czy to do niego cofnęłaby się w czasie?

„A może jednak wybrałabym ostatnią przedwojenną Wigilię?” – pomyślała z nagłą nostalgią.

– Dwudziesty czwarty grudnia był jednocześnie dniem urodzin moich i mojej siostry Klary – skoncentrowana na obrazach, które płynnie przewijały się jej przed oczami, nawet nie wiedziała, że powiedziała to głośno.

A potem jakby poza nią popłynęła historia.

„Moje grudniowe dziewczynki, najlepszy podarek z możliwych” – tak mówił o nich tatuś.

Ta ostatnia przedwojenna Wigilia była wyjątkowa. A może po prostu tak odcisnęła się w jej pamięci, bo była linią graniczną, w pewnym sensie końcem dobrze znanego, bezpiecznego świata. Spędzili ją na wsi. Och, jak ona kochała tamten stary dom. I jak za nim tęskniła! Kamienicę w Warszawie, gdzie mieszkali na co dzień, też uwielbiała, ale właśnie na tym polegała subtelna różnica. Ją się uwielbiało, była na wskroś miejska, świadoma, że stoi w stolicy, dumna, wysoka, światowa dama. Nawykła do luksusu i pławienia się w światłach neonów. A dom na wsi, otoczony ogrodem, wysrebrzony światłem księżyca, z okiennicami strzegącymi jego mieszkańców przed niepożądanymi, wścibskimi spojrzeniami, ten dom po prostu się kochało. W przeciwieństwie do kamienicy, która wymuszała dystans. Dom tych, którzy wstępowali w jego progi, natychmiast przygarniał. Nela razem z siostrą przepadały za tym momentem, gdy wysiadały z pociągu, a pod stacją już czekały sanie, zaprzężone w parę przepięknych karych koni. Woźnica, wąsaty Pawlik, rubaszny i wesoły, witał się z nimi wylewnie i czekał, aż usadowią się z tyłu, starannie opatulął je grubymi futrami, mama nakazywała chowanie rąk w mufki, bo ziąb był niezmierny.

– Bałam się, Gustawie, że nie dojedziesz. Przez całą noc bardzo sypało i obawialiśmy się z mężem, że droga będzie kompletnie nieprzejezdna – wyznawała mama Pawlikowi.

– A bo i tak było, jedna wielka, nieprzetarta biała połęcz, ale ja już wczoraj skrzyknąłem chłopaków i dziś z samego rana cztery pary saní puściliśmy, żeby sannę przetrzeć, a przy okazji w drodze powrotnej sanie

drzewem napakowaliśmy, coby na pusto nie jeździć. Zresztą jak by mogło być inaczej? Żeby panią i dziewczynki na mrozie zostawić? To chyba po moim trupie! Jak by nie można było inaczej, to byśmy tunele w śniegu przekopali, żeby na stację się dostać – dodawał z mocą, cmokając na konie.

„O tak, zimy wtedy były naprawdę śnieżne i ostre. Nie to co teraz – pomyślała Nela, pociągając nosem. – Teraz mówią o kuligach, a gdyby tak ich przenieść w tamte lata, to ci wszyscy amatorzy sanny zobaczyliby, co znaczy tak naprawdę zimowa przejażdżka! Mknęło się saniami z szybkością wiatru, mróz szczypał w policzki, zabarwiał nosy na czerwono. Cały krajobraz tonął w bieli, konie rażno parskały, śnieg zwodniczo migotał błękitną mroźną poświatą”.

Nela znów wróciła do tamtej podróży.

Pięknie było! Jedynym mankamentem z punktu widzenia siedzących z tyłu dziewczynek było to, że nie pozwalano im zająć miejsca koło woźnicy i nie mogły na własne oczy zobaczyć, czy rzeczywiście spod końskich kopyt lecą skry, a ponoć tak właśnie się działo. Pawlik zapytywany o to zawsze unosił wysoko siwe krzaczaste brwi i mówił z niezmaconą powagą: „Ależ moje drogie panienki, sypało ogniem jak złoto, pochodni nie było trzeba, bo kopyta same świeciły. Szkoda, że nie mogłyście tego zobaczyć!”.

No i to było jedno z ich niespełnionych marzeń, o których zresztą natychmiast przestawały myśleć – tak samo jak zaprzestawały zanudzania Pawlika pytaniami i prośbami o posadzenie ich na koźle, gdy tylko w dali zaczynał majaczyć dach domu. Teraz ledwie chwila dzieliła je od tego, by zobaczyć go w pełnej krasie. I w końcu wyłaniał się cały: otulony śniegiem wyglądał jak żywcem wyjęty z bożonarodzeniowej pocztówki. Z niecierpliwością razem z Klarą czekały, aż sanie zajadą przed ganek, wyskakiwały z nich, mierząc tak, żeby – broń Boże – nie trafić na

odgarnięty podjazd, tylko prosto w jak najgłębszy śnieg, nie bacząc na połajanki mamusi, która wieszczyla, że nie dość, że przemoczą buty, to jeszcze zaziębia się na śmierć. Ale te ponure przepowiednie jakoś nigdy się nie spełniały i dziewczynki nie dostawały nawet kataru. Nawet wtedy gdy rzucały się na ziemię, żeby w śniegu zrobić orła, albo gdy wespół w zespół z woźnicą, piszcząc i wybuchając głośnym śmiechem, obrzucali się śnieżkami. A później na wyścigi gnały po oblodzonych schodkach na ganek i wpadały do korytarza, a stamtąd do obszernego pokoju, gdzie w dużym kominku płonął ogień, obejmując ciepłym światłem wnętrze: duże okna z przymkniętymi okiennicami, swojsko otulone muślinowymi zwojami firanek, głębokie fotele obite bordowym adamaszkiem, stojący nieco z boku okrągły stolik, a na nim czekające już na przyjezdnych porcelanowe filiżanki i przyjaźnie gulgoczący i sapiący gotującą się w nim wodą samowar. Ale najważniejsza była ciemna wnęka, w której majaczyły kształty dwóch potężnych drewnianych skrzyń. Obie siostry nie mogły oderwać od niej wzroku.

Teraz też Nela miała wrażenie, że jeżeli dostatecznie mocno zaciśnie powieki, to czas rzeczywiście się cofnie i ona znów stanie się tamtą podekscytowaną dziewczynką. Obrazy z dawnych dni napływały, jeden po drugim, wyraziste i mocne, prawdziwe.

– Jak myślisz, Nelu, czy już są? – szeptała siostra, wyplątując się pospiesznie z grubego, podbitego futerkiem płaszczyka.

– Nie wiem, ale mam nadzieję, że tak – odszeptywała Nela, mocując się z guzikami w kształcie drewnianych kołeczków. – Idziemy? Tylko szybko, dopóki jesteśmy same, dopóki mama gawędzi jeszcze z kochaną Martysią! – rzucała, gdy w końcu udało jej się uporać z ostatnim kołeczkiem i z ulgą pozbyła się i płaszcz, i futrzanej eleganckiej czapki.

– Pewnie!

Klary nie trzeba było zachęcać. W końcu obie wyglądały tego magicznego momentu, gdy wreszcie będą mogły unieść wieka kufrów i zajrzeć do ich tajemniczych wnętrz.

Choć doskonale wiedziały, że powinny z tym poczekać, że mama pozwala na zgłębienie zawartości skrzyń dopiero po tym, jak zjedzą i porządnie się rozgrzeją.

Ale kto by chciał odkładać to na tak długo! Kto by miał ochotę zajmować się czymś tak prozaicznym jak jedzenie w momencie, gdy tam czekała tajemnica, niespodzianka, pachnąca choinką, będąca przedsmakiem i obietnicą świątecznej magii.

I teraz też na paluszkach, usiłując nie robić najmniejszego hałasu, zmierzały do kuszącej wnęki.

– A wy, moje panny, dokąd?

Zawsze gdy już wydawało się, że tym razem udało im się przechytryć i uprzedzić mamę, ta niespodziewanie zjawiała się tuż za nimi. I zaczynały się coroczne, tradycyjne prośby:

– Niech mamusia pozwoli chociaż zerknąć! Na pół minutki, nie dłużej! No, przecież mamusia nie może być tak okrutna!

– No, rzeczywiście tak to przedstawiacie, że i ja zaczynam wierzyć, że odwołanie tej przyjemności byłoby okrucieństwem nie do przyjęcia. – Śmiała się w końcu mama. – W takim razie krakowskim targiem: zgoda, ale musicie wybrać, jeżeli oba są otwarte, możecie zajrzeć tylko do jednego – zezwalała w końcu i wręczała jednej z dziewczynek lampę naftową, żeby mogły rozświetlić mroki panujące we wnęce. – Tylko szybko, bo Martysia już nakryła do stołu, nieładnie nie szanować jej pracy – dodawała dla porządku, choć i tak tych ostatnich słów dziewczynki już nie słyszały, bo w te pędy biegły do kufrów.

Zazwyczaj żaden z nich nie był zamknięty, choć czasem, wyjątkowo, z niewiadomych powodów do jednego z nich broniła dostępu gruba, solidna kłódka.

Tym razem oba kufry były otwarte i trzeba było zdecydować, który idzie na pierwszy ogień, a który będzie musiał poczekać.

– Cholera, znów czuję się jak ten osioł, któremu w żłoby dano – grobowo skwitowała sytuację Nela.

– Wyrażaj się, bo jak doleci do mamusi, to palnie nam takie kazanie, że uszy będą wędznąć! Już słyszę, jak mówi: „Nela! Toż to żargon, jakiego nie powstydziliby się niejeden furman, i to taki z dziada pradziada!”. A jakby tego było mało, to dodatkowo nie pozwoli nam się zbliżyć do kufrów przez tydzień! W ramach uszlachetniania naszego charakteru, bo oczywiście ja też będę pociągnięta do odpowiedzialności!

– Zapomniałaś dodać, że za niewinność – parsknęła Nela i przewróciła oczami. – Ale daj spokój, pokłócimy się później, będzie jeszcze niejedna okazja, teraz nie ma czasu – dorzuciła, widząc, że oburzona do żywego siostra już nabiera powietrza i szykuje się do wygłoszenia jakiejś ciętej riposty. – Wprawdzie to gruba przesada pieklić się o jedną małą, maleńką cholerunię, ale mniejsza o większość: zamiast gadać, bierzmy się do roboty. Zajrzyjmy do tego kufra po prawej stronie, bo tam zawsze czeka tylko coś nowego i jest tego mało. – Zachęcająco poklepała drewniane wieko. – Będzie szybciej, a mama zaraz będzie nas wołać i tym razem na nic się zdadzą błagania i prośby. Sama wiesz, jak jest.

– Wiem, będzie nieugięta, ale być może jak będziemy miały szczęście, to tatuś w lewym położył jakieś nowinki na samym wierzchu! – Klara natychmiast się uspokoiła.

Nela miała rację, czas je gonił, a pokłócić się i wziąć za łby jeszcze zdążą, i to nie raz.

– Ale tam są wszystkie ozdoby choinkowe! I jeżeli to coś nowego jest jednak głębiej, to za nic się do tego nie dokopujemy! I nie mów głośno, że tatuś jest spirytusem movensem, pamiętaj, oficjalnie to przecież sprawa aniołów. – Nela zabawnie wydeła policzki.

– No właśnie, nie wiem, dlaczego my cały czas gramy z nimi w tę grę! Nie można by było po prostu powiedzieć, że już od dawna wiemy... Przecież nawet oni muszą zdawać sobie sprawę, że już jesteśmy za duże na wiarę w mikołaja i anioły targające prezenty. O ile oczywiście nie wątpię w istnienie tych ostatnich, w sensie w niebie i tak dalej, to mam wrażenie, że one mają jednak coś innego na głowie niż roznoszenie paczek po domach! Toż to nie pocztowi i...

– Klara, ale ty jesteś niemądra – parsknęła Nela, przerywając jej z niecierpliwością. – Przecież właśnie o to chodzi! Tatuś i mamusia wiedzą, że my wiemy, ale jeżeli byśmy się do tego przyznały, nie będzie to już miało takiego smaku! Ani dla nich, ani dla nas! Zresztą kto wie, czy gdyby im tak prosto z mostu o tym powiedzieć, to te kufry nie wyszłyby z mody i nie dostawałybyśmy tego wszystkiego, co w nich znajdujemy, ot tak, po prostu. Wyłożonego na stole albo leżącego w zwykłych, odkrytych skrzynkach w korytarzu...

– Nie no, co ty? – Klara zrobiła wielkie oczy. – Przecież to nie byłoby to samo! Tak zwyczajnie, bez dreszczyku emocji, bez skrzypnięcia starych zawiasów, bez odwijania, odpakowywania? Nie, nie, nie! To już stanowczo wolę robić z siebie naiwnego dzieciaka, jak będzie trzeba, to mogę nawet zaświadczyć, że w zeszłym roku widziałam, jak anioł nieborak i niezdara przytrzaskuje sobie jedno ze skrzydeł. – Klara parsknęła śmiechem. – Pamiętasz to?

– W życiu nie zapomnę! Ale wiesz, że to było przez nas? Gdybyśmy wtedy nie podglądały, to pewnie by tatuś tej ręki nie przytrzasnął, bo to my

go rozproszyłyśmy tymi skrzypiącymi drzwiami... I potem szedł w zaparte, że to przecież anioł tak wrzasnął, no bo kto? Ale tak czy siak, to jeżeli mam podtrzymać w sobie tę anielską wiarę, to muszę ci powiedzieć, że pierwszy raz widziałam, a raczej słyszałam anioła, który by tak szpetnie kłął!

– Tatusia też po raz pierwszy słyszałyśmy w takim wydaniu – zauważyła trzeźwo Klara. – Ale masz rację, lepiej nie wrywać się z tą nadmierną szczerością, niech już będzie, że to anioły zapełniają te kufry. Jeszcze by nam święta spowszedniały, a biedne kufry stałyby puste!

– Ano właśnie, skoro jesteśmy przy temacie, to w końcu lewy czy prawy? – Nela klękła przed kufkami.

– To niech już będzie na twoje, dawaj prawy.

Słyszac ponagłające nawoływania mamy, Klara machnęła ręką. Wspólnie podniosły wieko wybranego kufra i wstrzymały na moment oddech.

Na dnie skrzyni leżały dwa pudła. W jednym z nich były słomki, bibułki we wszystkich kolorach tęczy, koraliki, anielskie włosy i mnóstwo innych drobiazgów. To było pudełko, którego się spodziewały. Co roku dostawały cały pakiet różności, z których potem miały powstać ozdoby na choinkę – albo miały posłużyć do zreperowania tych, które zostały uszkodzone. I co roku cieszył je tak samo.

Z rozrzwieniem spojrzały po sobie. Nie musiały nic mówić, po prostu wiedziały, że bez tego pudełka świętom by czegoś zabrakło. Nie mogło obyć się bez wspólnego zasiadania przy ogromnym stole i klejenia, nanizania na niteczki, zszywania, zaginania. Bez pośpiechu, ręka w rękę, słomka w słomkę. To właśnie był pierwszy krok w stronę świąt, w stronę pachnącej zielonym lasem choinki, w stronę pierwszej gwiazdy, która miała dopiero pojawić się na ciemnym zimowym niebie. Bo przecież od tego

właśnie powinny zaczynać się przygotowania do tych wyjątkowych dni: od bycia razem.

Tak więc pierwsze pudełko było wyczekiwany pewniakiem, a pomimo to zawsze i nieodmiennie sprawiało im moc radości.

Natomiast w drugim, większym, co roku znajdowało się coś innego. Tym razem leżały tam jakieś dziwne pakunki połączone sznurkami, a na nich karteczka z napisem:

Coś do mnie znajdziecie w drugim kufrze.

Czym jest to tajemnicze coś, oczywiście nie wiedziały i nie mogły tego natychmiast sprawdzić, bo mamusia, coraz bardziej zniecierpliwiona, nawoływała z sąsiedniego pokoju i trzeba było tę przyjemność przełożyć na „po jedzeniu”. Gdy w końcu po pospiesznie pochłoniętym podwieczorku dorwały się do kufra, okazało się, że poza mnóstwem dobrze znanych i ukochanych zabawek choinkowych – czeka na nie spora figurka wielbłąda, a znalezione wcześniej pakuneczki to jego juki. Ukryta głębiej leżała również i oczekująco lśniła przepięknie złożona gwiazda, którą tatuś jeszcze tego samego wieczoru umieścił pod sufitem, w pokoju, gdzie w poranek wigilijny miała stanąć choinka.

A później dziewczynki dzień po dniu znajdowały w kufrach kolejne figurki. Wielbłądów, osłów, owiec i innych zwierząt, potem pojawili się egzotyczni Trzej Królowie, a na cztery dni przed Wigilią podekscytowane siostry znalazły dwie naprawdę duże figury aniołów. Każdy z nich trzymał w rękach latarenkę, w której można było umieścić świecę. A na daszku lamp wyrzeźbiono imiona: na jednej napisane było „Nela”, na drugiej „Klara”.

Dziewczynki były zachwycone. Wstyd się przyznać, ale nawet znaleziona dzień później figurka Matki Boskiej nie zrobiła na nich takiego

wrażenia, tak samo zresztą czekający na nich kolejnego ranka Józef, a w samą Wigilię Dzieciątko leżące w przepięknie wykonanym żłóbku.

Anioły po prostu przebiły wszystko. I obie wiedziały, że absolutnie nie zgodzą się na rozstanie z nimi.

– Trudno, one bardziej niż do szopki należą do nas, nie damy ich schować, trzeba będzie przekonać tatusia, że musimy je zabrać do Warszawy! I mieć na co dzień – półgłosem i z determinacją powiedziała Nela wieczorem przed Wigilią, gdy obie z Klarą leżały już w łóżkach.

– No coś ty, przecież tatuś to niewielki problem, to mamusia stanie okoniem, zobaczysz – odszepnęła siostra. – To ją przede wszystkim trzeba przekonać, ale marnie to widzę. Jakkolwiek by patrzeć, to elementy szopki i pewnie, koniec końców, usłyszymy, że dobrze nam zrobi, jeżeli się stęsknimy za naszymi aniołami, i że...

– No właśnie, dlatego trzeba zacząć od tatusia – przerwała jej zniecierpliwiona Nela. – Bo jeżeli ktokolwiek może mamusię przekabacić, to tylko on.

I rzeczywiście tatusia urobiło się w miarę prosto, a on po swojemu i tylko sobie znanymi sposobami załatwił anielską sprawę z mamą – w rezultacie anioły zostały zapakowane do podróżnego bagażu i zabrane do Warszawy.

„To był piękny i magiczny grudzień” – pomyślała z rozrzewnieniem Nela. To oczekiwanie na każdy kolejny dzień, to przyspieszone bicie serca, gdy zbliżały się do kufrów! Za każdym razem gdy z czeluści kufra wyjmowały kolejne postacie, czuły się trochę tak, jakby wędrowały ku świętom. Razem z karawaną wielbłądów, Trzema Królami, zwierzętami, które miały ogrzać swoim ciepłem maleńkie Dzieciątko, wielką miłość. Co wieczór stawały pod złotą gwiazdą, zadzierały wysoko głowy i wpatrywały się w nią, a potem opuszczały wzrok i przyglądały się wciąż powiększającej

się gromadzie zmierzającej do Betlejem, by jak co roku powitać tego, który się miał pojawić.

Nela też nabrała nowego zwyczaju i zawsze przed pójściem spać podchodziła do swojego anioła i porozumiewawczo klepała go po jednym ze skrzydeł. Tak po kumpelsku, bo do niego nijak nie pasowało nic innego. Wcale a wcale nie wyglądał na uduchowionego. Patrzył zawadiacko, spod oka, widać było, że niezły z niego zakapior i zabijaka.

I to się w nim Neli niesamowicie podobało, pasował do niej jak ulał i cieszyła się, że to właśnie ten przypadł jej w udziale. Bo anioł Klary był z całkiem innej parafii. Zamyślony, uważny i współczujący. Jego za nic nie można było przyjacielsko klepnąć, ewentualnie delikatnie i nieśmiało musnąć. Krótko mówiąc, każdy z nich pasował do swojej grudniowej dziewczynki i chyba taki był zamysł.

– To macie teraz swoich własnych aniołów stróżów – śmiał się tato.

– Będą was pilnować, w sumie to może i dobrze, że pojedą z nami do Warszawy, bo przyda mi się ich pomoc przy takich dwóch szalapatkach. Choć ten twój, Neluniu, to wygląda tak, jakby raczej miał ochotę podsunąć ci trochę niebanalnych pomysłów, widać ten, kto wam je podarował, musiał wiedzieć o was wszystko – dodawała mama, uśmiechając się ukradkiem.

– Cóż, anioły to anioły, nawet jeżeli są wśród nich zawadiaki, to i tak można na nich polegać. A na tych w szczególności, w końcu tak samo jak i cała szopka przyjechały z Paryża, a więc i szyk, i wdzięk, i kulturę mają we krwi – wymknęło się niechcący ojcu.

„No to się nasz anioł pocztowy, ten, który niby jest odpowiedzialny za zawartość kufrów, nalatał bidula z Francji do Polski i z powrotem, tak dzień po dniu dźwigając te wszystkie nieporęczne figury” – pomyślała z rozbawieniem Nela, ale rozsądnie zmilczała.

W każdym razie anioły przylgnęły do dziewczynek i pojechały z nimi do warszawskiego domu, gdzie z bożonarodzeniowych stały się aniołami codziennymi, dużo bardziej zapracowanymi i mającymi mnóstwo na głowie. Na ich anielskich skrzydłach spoczęły wszystkie dziewczęce kłopoty i problemy.

Wiele lat później Nela wciąż nie mogła pozbyć się absurdałnego przekonania, że być może gdyby nie uparły się wtedy, żeby zabrać je do domu, to może wszystko potoczyłoby się inaczej. I niby zdawała sobie sprawę, że to irracjonalne, że żaden anioł nie ma tu nic do rzeczy, a jednak nie mogła przestać o tym myśleć.

„Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. – Uśmiechnęła się jakby do siebie. – Wtedy zwyczajnie, z ogromną niecierpliwością czekałam na to wszystko, z czym kojarzą się święta. Na pieczenie i lukrowanie pierniczków, na przekładanie piernika staropolskiego śliwkowymi powidłami, na dodawanie do kutii konfitur z płatków róż, na ubieranie choinki. Tak, to były piękne święta”. W zamyśleniu pokiwała głową.

Pamiętała tamten wieczór wigilijny jak dziś. Pokój, w którym stały kufry, tego dnia przestawał grać pierwsze skrzypce, a jego rolę przejmował ten leżący tuż obok.

Stał tam ogromny dębowy stół i właśnie przy nim w tę ostatnią przedwojenną Wigilię zasiadła cała liczna rodzina.

A potem, zupełnie jak w tym wierszu Jana Twardowskiego, ta Wigilia wracała do niej w snach:

Przyszła mi na wigilię zziębnięta głuchociemna
z gwiazdą jak z jasną twarzą – wigilia przedwojenna
z domem co został jeszcze na cienkiej fotografii
z sercem co nigdy umrzeć porządnie nie potrafi
z niemądrym bardzo piórem skrobiącym w kałamarzu
z przedpotopowym świętym z Piłsudskim w kalendarzu
z mamusią co od nieszczęść zasłonić chciała łzami

podając barszcz czerwony co śmieszył nas uszkami
z lampką z czajnikiem starym wydartym chyba niebu
z całą rodziną jeszcze to znaczy sprzed pogrzebów
Nad stołem mym samotnym zwiesiła czułą głowę
Nad wszystkie figi z makiem – dziś już posoborowe
Przyszła usiadła sobie. Jak żołnierz pomilczała
Jezusa z klasy pierwszej z opłatkiem mi podała.

„Żeby tylko w snach”. – Nela pokiwała głową, bezwiednie zaciskając palce tak mocno, że paznokcie wbiły się w jej cieniutką, nieomal pergaminową skórę. Potem po wojnie to wcale nie był sen, tylko rzeczywistość, tamta ostatnia przedwojenna Wigilia wracała do niej rok w rok niczym widmo z *Opowieści wigilijnej* Dickensa, pojawiała się w ten jeden wieczór, gdy nakrywała stół białym obrusem, tym samym, którym wtedy w wiejskim domu nakryty był ich szczęśliwy stół. „Otoczony rodziną, tą właśnie jeszcze sprzed pogrzebów” – zaszemrały jej w głowie słowa Jana Twardowskiego i boleśnie uderzyły w okolice serca. Siadała przy nim sama, przy tym dużym stole, przeznaczonym przynajmniej dla tuzina biesiadników. Wtedy miała wrażenie, że ktoś tam na górze okrutnie z niej zakpił i odwrócił proporcje. Oto jej najbliżsi sąsiedzi, i ci, którzy mieszkali w okolicznych kamienicach i blokach, i ci nieznani, nigdy niewidziani, mieszkający w oddalonych miastach i wsiach, siadali do stołów, dostawiając do nich jedno, mające pozostać puste krzesło, szykując jedno wolne nakrycie... A tymczasem u niej to właśnie to jedno krzesło było zajęte. Siedziała osaczona przez wspomnienia minionych, jeszcze przecież nie tak dawnych dni, spędzała Wigilię otoczona mglistą obecnością tych, którzy odeszli... Przy suto zastawionym stole, nakładając sobie po odrobinie każdej z potraw, bo przecież tak było trzeba, żeby kolejny rok był szczęśliwy, tak przecież mówiła mamusia... I przykazywała, że muszą dbać o tradycje. Więc dbała. Bo skoro mamusi zabrakło... Tak samo, zanim jeszcze usiadła do stołu, zanim nadszedł

wieczór, sama wciągała po schodach duże zielone drzewko, mając przed oczami naznaczoną szczęściem twarz tatusia, bo przecież wcześniej, kiedyś, on to robił. A potem usiłując obsadzić je w mosiężnym, bogato rzeźbionym stojaku, mocując się z chwiejącą się w każdą stronę choinką i kłując się w palce zielonymi, pachnącymi lasem igłami, przełykała łyzy i czasem wydawało jej się, że w przedpokoju słyszy echo śmiechu ojca. Zastygała wtedy w bezruchu, ale nigdy nie usłyszała tego, na co absurdalnie czekała: obtupywania ośnieżonych butów na dywanie, radosnego zacierania rąk i pytania, które zawsze wraz z ojcem pojawiała się w wigilijne popołudnie: „Gdzie są moje grudniowe dziewczynki?”. Ale ono nie mogło się pojawić, bo przecież nie było już tatusia. Zostało po nim to drzewko do wniesienia, które potem przystrajała tymi samymi ozdobami, których jeszcze niedawno dotykały mamine ręce, w których niecierpliwie przebierała Klara, w pierwszej kolejności wybierając te najbardziej ulubione. Koniki na biegunach, anioły z posrebrzanymi skrzydłami i skrzydlate krowy, które tatuś przywiózł z jednej ze swoich licznych zagranicznych podróży. A potem, gdy już zabłysła ta pierwsza gwiazdka, ułamywała kawałek z opłatka leżącego na talerzyku i szeptała jedno, jedyne życzenie. Żeby w następnym roku nie musieć już siadać samotnie przy tym wielkim stole, żeby nie musieć w pojedynkę troszczyć się o te cholerne tradycje. I nie nasłuchiwać każdego szmeru pod drzwiami, nie wpatrywać się w klamkę, łudząc się, że może to właśnie dziś, może tym razem się poruszy i w drzwiach stanie jej siostra. Bo przecież umówiły się tamtego wojennego popołudnia, że się tu spotkają, w dniu Wigilii i ich urodzin. Obiecała, że będzie czekać, i czekała. Przecież tak jak jej matka nie należała do kobiet, które uciekają. Przed niczym – ani przed wojną, ani przed złożonymi obietnicami.

„A więc czekałam”. – Nela uśmiechnęła się tęsknie.

Najpierw z podsycaną co roku nadzieją. Bo przecież na najniższym piętrze nieoczekiwanie wrócił do rodziny zaginiony na samym początku wojny syn, później jakaś kobieta w kolejce po chleb opowiadała, że odnalazła się siostra jej sąsiadki. Długo wracała z Niemiec, potem bała się sprawdzić, czy bliscy żyją, i ponoć zanim odważyła się odwiedzić dawne miejsce zamieszkania, przez kilkanaście tygodni błąkała się po mieście...

Uchwyciła się tej historii jak ostatniej deski ratunku. „Nie bój się, przyjdź, sprawdź” – tak od tamtego dnia zaklinała w duchu Klarę.

Ale rok za rokiem mijał, Klara nie wracała, Nela nie zdołała dowiedzieć się o jej losach zgoła niczego, choć przecież szukała – przez znajomości, przez ogłoszenia przyklejane na murach, przez Czerwony Krzyż. Nikt nic nie wiedział. A potem w jej życiu zjawił się Aleksander. Przystojny, czarnowłosa, wysoki. Przedwojenny szyk i wdzięk w powojennym świecie. „Można by rzec: towar deficytowy”. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie i odruchowo wyprostowała plecy. Zawsze gdy stawał jej przed oczami taki, jakim zobaczyła go po raz pierwszy, z płaszczem nonszalancko przewieszonym przez ramię, z uśmiechem trochę zaczepnym, trochę uwodzicielskim, nieodmiennie na kilka bezcennych sekund młodniała.

„Zawsze miał na mnie dobry wpływ i widać tak pozostało” – pomyślała z rozrzewnieniem.

A więc zjawił się, przywrócił ją do życia, przypomniał, jak to jest, gdy się kogoś kocha, i w jakimś stopniu jej życzenie się spełniło: nie musiała już sama siadać przy wigilijnym stole. Długo trwało, zanim wyznała mu, czemu w Wigilię, święta, dzień swoich urodzin, nagle smutnieje i czemu za nic na świecie nie chce ruszyć się wtedy z domu. Długo trwało, zanim przyznała się, czemu nie chce pozwolić, żeby to on wniósł choinkę i umieścił ją w stojaku. Nie wiedziała, jak powiedzieć, jak wytłumaczyć, że się boi, że gdy zrobi to ktoś inny, gdy zmieni się cokolwiek, co każdego

roku uparcie powtarzała, oni wszyscy znikną bezpowrotnie. Że nie zostanie jej nawet to echo śmiechu, że zniknie ten widmowy głos mówiący o prywatnych pierwszych gwiazdkach, grudniowych panienkach...

Nic dziwnego, że miała opory przed wyjawieniem mu prawdy, bała się, że uzna ją za kogoś na skraju obłądu, słabeusza, który nie umie uporać się z przeszłością. Źle go oceniła, zresztą wstydziła się tego do dziś.

„I bardzo ci tak dobrze! – wytknęła sobie bezlitośnie. – Ostatecznie tak mógł pomyśleć tylko człowiek małostkowy, a nie ktoś pokroju Aleksandra!”

On zwyczajnie zrozumiał. I wziął sprawy w swoje ręce. Pamiętała jak dziś tamten wigilijny wieczór, gdy wszystko się zmieniło. Stół był jak zwykle zastawiony, stały na nim wszystkie potrawy, które pojawiały się jeszcze przed wojną. Podane na tej samej porcelanie, ukrytej w wiejskim domu, tym samym, w którym spędzały z rodzicami ostatnią przedwojenną Wigilię, zachowanej w nienaruszonym stanie. Wszystkiego było w bród, o wiele za dużo jak na dwie osoby.

Jednak pierwszego dnia świąt jak zwykle mieli pojechać do jego rodziców, więc Nela nie przejmowała się, że coś się zmarnuje. Aleksander w przeciwieństwie do niej, samotnej, miał dużą rodzinę, odznaczającą się ogromnym apetytem.

Jednak w tej chwili Nela nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że wraz z pojawieniem się pierwszej gwiazdki znów zacznie się to koszmarne oczekiwanie. Nasłuchiwanie, drzenie przy każdym szmerze na korytarzu. I wyrzuty sumienia, że wszystko psuje, że odbiera Aleksandrowi radość ze świąt, które uwielbiał. Tak jak i cała jego rodzina, która przyjęła Nelę z otwartymi ramionami. I nikt nie mógł zrozumieć, szczególnie teściowie, dlaczego Nela tak kategorycznie odmawia spędzania z nimi Wigilii.

„Dobrze, że przynajmniej on już wie, że nie musi szukać odpowiedzi, których przecież sam, bez mojej pomocy i wyjaśnień, nie mógł odnaleźć” – myślała, siadając przed toaletką. W jej lustrze odbijały się najpierw twarze jej prababek, a potem mamusi i siostry.

Poprawiła niesforny pukiel, który opadł jej na czoło, i pogładziła pieszczotliwie srebrną rączkę szczotki do włosów, w kształcie wdzięcznie wygiętej szyi łabędzia. Ta szczotka była zrobiona na specjalne zamówienie mamy, wygięcie szyi dopasowane było do dłoni właścicielki. Nelę cieszyło, że w jej ręce też mieściła się idealnie, bo to było dowodem, że ma coś po mamie, ot, chociażby kształt dłoni...

A potem jeszcze raz spojrzała w lustrzaną taflę i na moment przymknęła oczy. Potrzebna jej była ta chwila, żeby ich wszystkich przywołać, a następnie spróbować dać im odejść. W stronę stołu i pustych miejsc, które mieli zająć.

W tym samym momencie tuż za nią pojawił się Olek. Objął ją mocno za ramiona, kołysząc jak małe dziecko, pochylił się i przytulił policzek do jej głowy, patrząc jej głęboko w oczy w lustrzanym odbiciu.

– Goście idą – powiedział, obejmując ją jeszcze mocniej.

– To znaczy? – zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

Zagubiona pomiędzy tym, co było, a tym, co jest, skupiona na przywoływaniu tych, którzy odeszli, tych swoich widmowych gości, przez ułamek sekundy miała wrażenie, że Aleksander, mówiąc o gościach, okrutnie z niej zakpił.

Ale przecież pomijając fakt, że nie mógł wiedzieć, jakim torem podążają jej myśli, to w życiu by tego nie zrobił. Nie zraniłby jej, nie powiedział czegoś tak potwornego i upiornego.

– Jacy goście, Olek? – ponagliła go. – No wyduś to z siebie!

– Zaprosiłem moich rodziców, braci... No wiesz, wszystkich. – Przytulił ją jeszcze mocniej, nie dając się odepchnąć, choć naprawdę próbowała uwolnić się z jego ramion.

Rozgoryczona, wściekle zła, a przede wszystkim potwornie przestraszona. Tym, jak zareaguje, widząc przy tym stole, przy którym do tej pory zasiadali jej najbliżsi, obcych... – ledwo to pomyślała, poczuła, jak zalewa ją ogromny wstyd.

„Jakich obcych? – zapytała się w duchu. – Jak w ogóle mogę tak myśleć o tych, którzy od pierwszego spotkania przyjęli mnie z otwartymi ramionami? Przytulili, otoczyli miłością i opieką. Jak mogę tak myśleć w Wigilię, gdy przed momentem bałam się widoku tych wszystkich pustych miejsc, w dniu, w którym drzwi powinny być szeroko otwarte, w którym powinna przede wszystkim liczyć się miłość?”

I to była prawda, ale ta świadomość wcale a wcale nie wpływała na to, że kompletnie nie była na to gotowa. Na widok innych zajmujących miejsca jej ukochanych, na gwar, który zagłuszy przecież dźwięki dochodzące z korytarza, nie pozwoli nasłuchiwać!

Jakby w odpowiedzi na jej myśli trzasnęły drzwi wejściowe, w przedpokoju rozległy się głosy, tupanie butów, śmiech.

Nela skamieniała, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, zastygła z zaciśniętymi kurczowo palcami na rękojeści szczotki. W głowie miała jeden wielki chaos. Przed oczami przemknął jej obraz roześmianego tatusia wnoszącego do mieszkania ogromną choinkę i od razu nałożył się na to dochodzący teraz z korytarza głos brata Olka, zobaczyła Klarę, usłyszała, jak postukują jej buciki na malutkich obcasach, a jednocześnie wiedziała, że to stukają już całkiem inne buty, należące do zupełnie kogoś innego. I poczuła, że nie da rady, bo jeżeli tam pójdzie, to zrobi scenę taką, jakiej

nikt z obecnych jeszcze nie widział. Taką z krzykami, rwaniem włosów z głowy i rzucaniem w ścianę czym popadnie.

– Wszyscy już są. – Aleksander nie odrywał wzroku od jej odbicia, patrzył jej prosto w oczy z troską, miłością i niepokojem. – Pójdziemy ich przywitać? Nela, kochanie...

W tym samym momencie w drzwiach pokoju stanęła mama Olka. Wystarczyło jedno spojrzenie rzucone w stronę Neli, żeby wszystko zrozumieć.

– Synku, zostaw nas na moment same – powiedziała energicznie, wchodząc do pokoju.

– Ale mammo...

– I wychodząc, zamknij, proszę, drzwi – przerwała mu tonem nieznoszącym sprzeciwu. – No już, jesteś gospodarzem, to do czegoś zobowiązuję! – przynagliła go i znacząco spojrzała mu w oczy. – My za chwilę dołączymy – dodała już łagodniej.

Aleksander przez moment stał niezdecydowany, jednak w końcu z widocznym oporem wypuścił Nelę z objęć.

– To chyba jednak nie był dobry pomysł – powiedział cicho do matki i wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Jego mama, patrząc na pobladłą, prawie że przezroczystą twarz Neli widoczną w lustrzanym odbiciu, na jej skulone drobne plecy, na zaciśnięte aż do białości palce, które wciąż obejmowały przepiękną rękojeść szczotki, tak jakby to było jedyne oparcie, jakie jej zostało, poczuła, że ściska jej się serce.

Powoli podeszła do żony syna, przykucnęła koło niej i unosząc głowę, spojrzała prosto w wypełnione przerażeniem i rozpaczą oczy, a potem delikatnie rozgięła jej zaciśnięte kurczowo palce, wyjęła z nich szczotkę i ujęła tę lodowatą dłoń w swoje dwie ręce.

– Posłuchaj, wiem, o co ci chodzi, ale naprawdę nie musisz się bać... – przemówiła takim tonem, jakim zazwyczaj mówiła do synów, gdy byli jeszcze malutcy i przyśnił im się jakiś koszmar albo coś innego wprowadziło ich w przerażenie. – Pójdziemy tam razem i obiecuję, że nikt nie będzie o nic pytał ani się dziwił, jeżeli powiesz, że część krzesel ma zostać pustych, że te miejsca są już zajęte. Obiecuję ci, że pogodzimy się z nimi wszystkimi, my tutaj z tymi stamtąd. Bo tego się boisz, prawda? Że ci ich przepłoszymy, tak, kochanie?

Pod wpływem tego „kochanie” powiedzianego miękkiem głosem, takim, jakim przemawiała do niej kiedyś mamusia, Nela poczuła, jak jej oczy po same brzegi wypełniają się łzami.

Usiłowała odpowiedzieć, ale z zaciśniętego gardła nie zdołała wydobyć najmniejszego dźwięku, więc w końcu pokiwała tylko głową.

– To już się nie bój. Nie zrobimy tego. Wszyscy mamy jakichś swoich na tych pustych miejscach i wszyscy to rozumiemy. Ale wiesz, już najwyższy czas, żebyś na nowo wpuściła do swojego życia to życie właśnie – dodała łagodnie. – I to jest idealny moment, żeby zrobić pierwszy krok. Przecież jeżeli się na niego zdecydujesz, to wcale nie znaczy, że dopuścisz się zdrady, Nelu. Trzeba żyć właśnie tak, jak cię uczyli ci, dla których trzymasz te puste miejsca, czerpać z tego życia pełnymi garściami. I pielęgnować pamięć o tych, których już zabrakło, ale nie zamykać się wśród nich... Przy stole wigilijnym i potem, gdy święta przeminą, w codzienności, dla wszystkich starczy miejsca. Dla wszystkich – dodała z mocą i pogładziła synową po buzi. – To co, idziemy?

– Tak – wychrypiała Nela i pokiwała głową. – Tak – powtórzyła już wyraźniej i powoli się podniosła. – Dziękuję – dodała, stojąc już koło wyjścia z pokoju i odwracając się, żeby popatrzeć mamie Olka prosto

w oczy. – Bardzo ci dziękuję – mówiąc to, otworzyła drzwi i poszła wprost do salonu, skąd dobiegały gwar i śmiech.

Stanąła w progu i obrzuciła spojrzeniem stół, przy którym było tłoczno, bracia Aleksandra, ich żony i dzieci, dwie ciotki – jedna malutka i okrągłutka, druga wysoka i koścista, wujek, który zawsze zjawiał się u nich na wigilii – wszyscy oni siedzieli przy stole albo przepychali się, usiłując wyjrzeć przez okno, zajrzeć pod choinkę, spod której wysypywały się prezenty.

I dzięki nim pokój ożył. Ktoś puścił płytę gramofonową z kolędami i niosła się po domu nowina o cichej, pięknej nocy, o uśmiechniętej, czuwającej nad swoim dzieciątkiem matce, o spełnionym cudzie.

A Nela nagle poczuła, że ten cud się materializuje i spełnia się właśnie w tej chwili, na jej oczach i w jej sercu, tak jakby lodowata powłoka otaczająca je nagle się roztopiła i znów to serce mogło zacząć bić we właściwym rytmie.

– Kochanie, to co? Które krzesła mają być niezajęte? Kogo przesadzamy? – Mama Olka opiekuńczym gestem położyła jej rękę na ramieniu.

– Nikogo – wyszeptała w odpowiedzi i przycisnęła dłoń do piersi. – Nikogo! Miała mama rację, dla wszystkich starczy miejsca – dodała, ukradkiem ocierając oczy. – Dla wszystkich, mamó – powtórzyła i odwróciła głowę tak, żeby spojrzeć na teściową.

Zrobiła to akurat w momencie, w którym zdążyła zobaczyć, jak oczy tamtej też wypełniają się łzami. I wielką miłością.

Nela otworzyła przymknięte do tej pory oczy i potoczyła po rześście oświetlonym pokoju nieprzytomnym spojrzeniem, zdając sobie sprawę, że chyba właśnie opowiedziała wszystkim tu obecnym o tym, o czym nie mówiła nigdy nikomu. Po odejściu Aleksandra zamknęła swoje serce na klucz i odrzuciła go daleko. Ale jakimś cudem znalazł się właśnie dziś. Wciąż idealnie pasujący.

– Mama Olka była bardzo mądrą kobietą. – Michalina błyskawicznie znalazła się koło Neli. Przykucnęła przy niej, ignorując pełne niechęci spojrzenie Haśki.

– O tak – przytaknęła Nela. – A ja wtedy, w tamtą Wigilię, po raz pierwszy powiedziałam do niej „mamo”, bo do tamtego momentu nie chciało mi to przejść przez gardło. I zrozumiałam, że żyć i być szczęśliwą nie znaczyło zdradzić tych, których już nie było. Znaczyło coś wprost przeciwnego, pozwalało pamiętać – dodała z widocznym wzruszeniem. – I wiecie co, jutro jeszcze raz pójdziemy na strych, tylko że tym razem z Kotulą. I otworzymy ten sam kufer, który wtedy przyjechał z nami z naszego wiejskiego domu, i wyjmemy z niego mojego anioła...

– Masz tego anioła? I trzymasz go w kufrze? Dlaczego? – Michalina spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Bo do tej pory przebywał na wygnaniu – powiedziała Nela, powoli podnosząc się z sofy. – Został banitą. Gdy na niego patrzyłam, nie mogłam nie myśleć o tym, że gdy Klara wychodziła stąd po raz ostatni, miała swojego anioła pod pachą. Szła z nim wprost w sierpniowe gorące popołudnie, mówiąc, że on ochroni i ją, i wszystkich, którzy z nią będą. Jak już wiecie, zaginęli oboje.

Haśka do tej pory nie wiedziała, ale pomyślała, że nie ma sensu o tym informować.

– A mój anioł został za karę, że do tego dopuścił, zamknięty na głucho w kufrze – zakończyła starsza pani.

– Tym samym, na który dzisiaj pani tak patrzyła – wtrąciła domyślnie Haśka.

– Dokładnie, i właśnie poczułam, że bardzo, ale to bardzo chciałabym go zobaczyć. – Przed oczami Neli przemknęło to dziwne odbicie światła, które dziś ujrzała na strychu, i na to wspomnienie po jej twarzy przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

„Widać szelma przypominał o sobie i postanowił nie dać zapomnieć” – pomyślała z rozrzewnieniem i w tym samym momencie poczuła, że jest bardzo, ale to bardzo zmęczona. Mimo że wcale nie było późno.

– Słuchajcie, pójdę się położyć – powiedziała i nagle wydała się wszystkim jakaś taka bardziej krucha i drobna. – Te bombki... Zajmiemy się nimi jutro – dodała i podreptała do swojego pokoju.

Michalina odprowadziła Nelę zatroskanym spojrzeniem, a potem ostro spojrzała na Haśkę.

– Nie rób tego więcej. Nie dotykaj, jeżeli nie wiesz, jak bardzo głęboko to dotknięcie dotrze – powiedziała i wyszła z salonu, nie oglądając się za siebie.

Haśka została sama z wyraźnie zakłopotanym Kotulą.

– Nie bierz tego na poważnie, ona się po prostu o nią martwi – powiedział w końcu i też sobie poszedł.

A Haśka nagle i zupełnie niespodziewanie poczuła, że chce jej się płakać. Nawet nie do końca wiedziała dlaczego. Może dlatego, że ona nigdy nie miała swojego anioła, nawet takiego, którego mogła zgubić, a może dlatego, że bardzo bała się, że brak anioła jest dziedziczny i tym

samym skazuje na jego nieobecność również swoją córkę. A może dlatego, że opowieść Neli o Aleksandrze tak mocno przypomniała jej o Jurku, którego być może już nigdy nie zobaczy. Nie przeżyje z nim ani jednych wspólnych świąt, nie dostanie szansy na to, żeby mu powiedzieć... Właściwie sama nie wiedziała co. Chyba tylko tyle, że bardzo, bardzo za nim tęskni. I że to on był jej domem, jedynym, który miała.

I w końcu odłożyła ostrożnie bombkę w kształcie konika z powrotem do pudła, z którego ją wyjęła, odgarnęła rękami pozostałe ozdoby, oparła łokcie na stole i schowała twarz w dłoniach. Tym razem pozwoliła sobie na płacz. I o dziwo, gdy w końcu skończyły się jej łzy, poczuła się lepiej. Wyjęła z leżaczka Tosię i poszła do siebie. Z każdym krokiem czuła, że podąża ku czemuś ważnemu – czemuś, co totalnie odmieni jej życie.

Tej nocy śnieg już nie padał. Chwycił za to jeszcze większy mróz. Rozłożone na stole stare zabawki choinkowe lśniły tajemniczo w blasku latarni, który wpadał do pokoju przez niezastłonięte okna.

I zdawało się, że wszystko zastygło w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie czegoś bardzo ważnego.

I nastał grudzień, dzień trzynasty.

TRZYNASTY GRUDNIA



Zanim Michalina zdecydowała się powiedzieć o wczorajszej wizycie w domu Haški, upewniła się, że Nela ma się dobrze. Na całe szczęście po wczorajszym zmęczeniu nie pozostał nawet ślad. Starsza pani była rześka i kąśliwa, co najlepiej świadczyło o jej niezłym samopoczuciu. W związku z tym Michalina stwierdziła, że nie ma powodów, żeby odwlekać to, co i tak musiało zostać powiedziane.

Wyczekała na moment, aż wszyscy będą w kuchni, i weszła tam, ściskając w palcach kartkę, którą wczoraj znalazła w drzwiach mieszkania Haški.

– Słuchajcie, musimy porozmawiać – powiedziała, stając koło okna i opierając się o parapet.

Słyszając tę deklarację, Haška, która siedziała przy stole i piła herbatę, podniosła się z zamiarem wyjścia.

– Nie, Haška, to właśnie ty przede wszystkim musisz zostać – powstrzymała ją Michalina. – Chciałam wam to powiedzieć już wczoraj, ale nie bardzo było jak. Po tej opowieści Neli nie chciałam jeszcze dolewać oliwy do ognia...

– Oho, wydaje mi się, że szykuje się coś poważnego – mruknęła Nela, z troską marszcząc brwi.

– Wczoraj poszłam do twojego mieszkania, Haška – Michalina postanowiła nie rozdrabniać się i jak najszybciej powiedzieć to, co musi. – Przed kamienicą natknęłam się na twojego ojczyma...

– A po co tam w ogóle poszłaś i skąd wiesz o Edwardzie? – Haška zmarszczyła brwi i w nagłym zrozumieniu przeniosła wzrok na Nelę. – Powiedziała jej pani, tak? – w jej głosie zabrzmiał wyraźny wyrzut. – Powiedziała jej pani o mnie wszystko: jej, która pewnie nic z tego nie

zrozumiała! Przecież to jasne jak słońce, że nie zrozumie głodnego syty, bo ich różnią apetyty! A ja pani...

– Zejdź z Neli, z łaski swojej – przerwała jej Michalina z wściekłością, nad którą kompletnie już nie panowała. – To ty, a nie ja zachowujesz się jak pieprzona księżniczka!

– Michalina – wtrącił ostrzegawczo Konstanty i znacząco spojrzął jej w oczy.

– Żadna Michalina! Taka jest prawda. Musiałabym być głucha, ślepa i przygłupia, żeby nie słyszeć, jak tak o mnie mówisz. – Wbiła pałające złością spojrzenie w dziewczynę. – Siedzisz tu nadąsana, wściekła, że się ciebie pilnuje i pasie lekami. Pomaga przy dziecku i traktuje jak śmierdzące jajo, z którym nie wiadomo, co zrobić! I gdzie je umieścić, żeby tylko się nie rozbiło! Żeby skorupki nie uszkodzić! Wydaje ci się, że jesteś taka wyjątkowa? Bo co? Nie miałaś co jeść? Było ci zimno? Wyobraź sobie, że wiem, co czułaś, bo rok temu nie miałam nawet dachu nad głową! Byłam w ciąży, spałam po bramach i zastanawiałam się, czy przypadkiem nie dać sobie świętego spokoju z tym całym życiem! Widzisz, jaka historia księżniczki? – Spojrzała na oniemiałą ze zdumienia Haškę. – Nie chciałam ci tego mówić, bo po co? Po co miałaś wiedzieć, że ty słyszałaś o oknie życia, a mnie moja macocha usiłowała zmusić do aborcji. Albo względnie do oddania dziecka do adopcji. Nie chciałam wpychać ci swojej historii na siłę, bo naiwnie myślałam, że ona nie ma znaczenia, a za to liczy się to, że chcę ci pomóc! I traktuję jak człowieka! Ale ty jesteś taka uparta, że mam dość! Masz do wszystkich pretensje, do mnie, że cię nie zostawiłam, do Neli, że powtórzyła nam twoją historię! A przyszło ci do głowy, że zrobiła to z bezsilności? Codziennie strzelałaś focha i mówiłaś, jak bardzo cię ograniczamy. Chcesz, to masz. – Michalina rzuciła na stół klucze od jej mieszkania. – Ale jeżeli jednak masz wątpliwości i trochę rozumu w tej

swojej upartej ośle głowie, to posłuchaj, co mam do powiedzenia, i zastanów się razem z nami, co można z tym zrobić – zakończyła, kładąc na stole kartkę.

Przez moment w kuchni panowała cisza jak makiem zasiał. Wszyscy ze zdumieniem wpatrywali się w Michalinę, tak jakby widzieli ją po raz pierwszy.

– Ty, Kotula, wiedziałeś, że ona ma taki temperament? – przemówiła w końcu Nela i sięgnęła po kartkę. – Bo ja w takim wydaniu widzę ją pierwszy raz... Zobaczmy, co my tu mamy – dorzuciła, nie czekając na jego odpowiedź, po czym przebiegła wzrokiem po zapisanych słowach i zbladła.

– Niech pani przeczyta na głos – poprosiła Haśka zdławionym głosem, ubiegając tym Kotulę, który zamierzał właśnie zaproponować to samo.

– „Znalazłem cię mała suko. I uwierz wróć! Tatuś Edward” – przeczytała Nela i odłożyła kartkę tak ostrożnie, jakby to była bomba, która w każdym momencie może eksplodować.

– Michalina, zanim nam wszystko opowiesz, wyjaśnij mi, tylko tak ze szczegółami: czemu ty znowu sama tam poszłaś? – Konstanty wbił w nią gniewne spojrzenie.

– Wiedziałam, że nie odpuścisz. – Michalina poczuła nagle, że jest potwornie zmęczona i że kompletnie nie wie, jak ma mu to wszystko w miarę klarownie wyłożyć. Jak wyjaśnić to, że Haśka ją wkurza, ale jednocześnie budzi ogromne pokłady współczucia; to, że mimo iż jej nie rozumie, to jednak pojmuje. To, że gdy już Edward odjechał, i tak musiała wejść tam na górę gnana przeświadczeniem, że jeżeli tego nie zrobi, zaprzepaści szansę... Na co? Tego nie wiedziała nawet w tej chwili. I skoro ona tego nie rozumiała, to jak mogła wytłumaczyć to jemu?

– Kotula, ja mam pewną propozycję. To, co Michalina ci w tej kwestii powie, niewiele już zmieni – niespodziewanie z pomocą przyszła jej Nela. –

Wyjaśnicie to sobie później, a poza tym najważniejsze jest to, że jest tu cała i zdrowa, nie sądzisz? Przecież czasu nie cofniesz, nie zawrócisz jej z tych schodów. No właśnie. – Widząc jego minę, pokiwała głową. – A teraz niech nam zwyczajnie opowie, co takiego tam się stało – dodała i głęboko odetchnęła.

I Michalina zaczęła mówić. O tym, jak chciała zabrać rzeczy z łóżeczka, o tym, jak zobaczyła matkę Haški i jej ojczyma, jak poczekała na przystanku, aż on wejdzie do budynku.

– Wtedy podeszłam do samochodu i powiedziałam twojej mamie, że jesteś bezpieczna, i znów wróciłam na przystanek, a potem on wrócił...

– Strasznie dużo tych powrotów. – Nela przewróciła oczami. – No dobrze, dobrze, już się nie czepiam. – Widząc miny pozostałych, westchnęła głęboko. – No to on wrócił i? – Spojrzała na Michalinę przynaglająco.

– I odjechali, a ja tam weszłam... Nie wiem właściwie, jak to wyjaśnić, ale miałam przeczucie, że to ważne. Do tej pory nie wiem, czy było słuszne, bo właściwie znalazłam tam tylko tę kartkę, którą napisał. Jest obrzydliwa i straszna, to prawda, jednak niewiele wnosi – zakończyła z westchnieniem.

– A, tutaj akurat nie masz racji – mruknął Konstanty, patrząc z odrazą na świstek papieru. – Wbrew pozorom ten liścik może nam naprawdę pomóc... Pod warunkiem że zbierzesz się w sobie i zaczniesz zachowywać się jak normalny człowiek – zwrócił się do Haški, która w milczeniu siedziała ze splecionymi mocno palcami. – Nie chciałem, żeby Michalina mówiła ci to wszystko, co od niej usłyszałaś, na pewno nie tymi słowami, bo można to było ująć inaczej, bardziej dyplomatycznie, ale jednocześnie, wybacz szczerłość, ona po prostu powiedziała prawdę. Teraz zasadnicze pytanie brzmi: jak ty, Haśka, do tego podejdziesz? I czy uznasz, że nas

potrzebujesz. Bo jeżeli tak, to my pomożemy – zakończył cicho, patrząc dziewczynie w oczy.

– Pomożecie? – wyszeptała z niedowierzaniem.

– Pomożemy – kiwnęła głową Nela.

– Pomożemy – powtórzyła Michalina i lekko uśmiechnęła się do Haški. Po raz pierwszy otrzymała w zamian trochę niepewny, ale całkiem szczery uśmiech.

– Przepraszam, bardzo cię przepraszam – powiedziała cicho Haška po chwili. – Byłam potwornie niesprawiedliwa. I wściekła, bo ty miałaś wszystko to, o czym ja mogłam tylko marzyć. A poza tym gdy spotkałyśmy się pierwszy raz, na tej ławce, to ja tuż przed tym momentem poprosiłam los, żeby dał mi jakiś znak, że mam szansę, że jak się postaram, to dam radę, dla siebie, ale przede wszystkim dla Tosi. I wtedy jak za potrząśnięciem czarodziejskiej różdżki zjawiłaś się ty, uosobienie tego wszystkiego, czego ja nie miałam. Uznałam to za wyjątkową złośliwość losu. I się zacięłam. Teraz rozumiem, co miałaś na myśli – zwróciła się do Neli – gdy mówiłaś... Jak to było? Co głupiemu po koronkach, jeżeli powiada, że to same dziury. Głupia, głupia, głupia ja! Mając przed sobą misterną robotę, zamiast niej widziałam tylko te dziurska!

– Już, już, starczy tego samoumartwiania – przerwała jej niecierpliwie Nela.

– Dokładnie – poparła ją Michalina. – Dobrze, że sobie to wszystko wyjaśniliśmy, bo chyba nie można było tego w nieskończoność unikać, ale teraz są naprawdę ważne sprawy do omówienia.

– I gdybyście mi w końcu dały dojść do głosu, to bym mógł wam powiedzieć, jakie jest wyjście z tej sytuacji. – Kotula usiadł przy stole i z namysłem wpatrzył się w słowa napisane przez Edwarda. – A wyjścia tak naprawdę są dwa. I każde z nich możemy wykorzystać dzięki temu, że

zabrałaś ze sobą tę kartkę. – Spojrzał na Michalinę. – Po pierwsze, mając to jako dowód, możemy wystąpić o zakaz zbliżania się...

– Zakaz zbliżania się? – Haśka zmarszczyła brwi. – To brzmi bardzo fachowo. Jesteś policjantem?

– Nie, ale blisko, adwokatem – powiedział krótko. – A to znaczy, że znam ludzi z branży i być może pana Edwarda będzie można załatwić inaczej... Typy takie jak on zazwyczaj są takie mocne wyłącznie w stosunku do słabszych od siebie. Zakaz zbliżania jest dobrym rozwiązaniem, ale to będzie trochę trwało, a ja chyba wiem, jak załatwić to na skróty. Tylko zastrzegam, wy nie zadajecie żadnych pytań, nie dociekacie. Jak się uda, to zwyczajnie wam powiem, że chujek, o przepraszam, Nelu – zreflektował się poniewczasie – że dostał za swoje i jest unieszkodliwiony.

– A jak się nie uda, to też nam to powiesz, dobrze rozumiem? – Nela obrzuciła go spojrzeniem pełnym uznania.

– Dobrze rozumiesz – przytaknął z uśmiechem.

– A kiedy nam to oznajmisz? Tak mniej więcej? – Michalina podciągnęła się i usiadła na parapecie.

– Mniej więcej w ciągu trzech, czterech dni. – Kotula uśmiechnął się, a w oczach zapaliły mu się ogniki. – A coś mi mówi, że będę miał dla was dobre wiadomości – dodał i pomyślał, że nareszcie wszystko jest na dobrej drodze i że może w końcu w domu atmosfera nieco zelżeje i zacznie być normalnie.

I to wprowadziło go w doskonały humor.

A potem zostawił całe towarzystwo w kuchni, a sam zamknął się w pokoju, który chwilowo zajęli z Michaliną, wyciągnął z kieszeni spodni telefon i wyszukał na liście kontaktów odpowiedni numer.

– No, cześć, stary, Konstanty z tej strony... Wiesz co, mam do ciebie biznes, ale taki nie na telefon – powiedział krótko i przez chwilę słuchał, co ktoś po drugiej stronie mówi. – Jasne, pewnie, że pasuje, jutro w Przytulnej, będę – powiedział, rozłączył się i uśmiechnął sam do siebie.

Coś mu mówiło, że niedługo ten cały Edzio nie będzie już stanowił problemu.

A potem cicho zajrzał do kuchni i na migi dał znać Neli, żeby do niego wyszła.

– Muszę wyjść, pomyślałem, że nie będę im przerywał, bo chyba złapały wspólny język – powiedział do starszej pani, gdy przydreptała do niego do przedpokoju.

– Chyba rzeczywiście nastąpił rozejm. – Pokiwała głową. – I nawet jest szansa na zawarcie pokoju. Ale nie chwalmy dnia przed zachodem słońca, chociaż muszę ci powiedzieć, że jeżeli ktoś chciałby mi jakiś czas temu wmówić, że ludzi może połączyć ktoś taki jak ta żmija Wandeczka i potworny Edward, tobym się postukała znacząco w głowę. A tu proszę, zbliżyli je właśnie macocha i macoch! Wyobrażasz to sobie, Kotula? A w ogóle to tym tam możesz sobie mówić o dyskrecji i ja to nawet rozumiem, bo podfruwajkom nie można wszystkiego opowiadać, ale mi chyba możesz zdradzić, o co chodzi w tym twoim planie, co? To będzie coś nielegalnego, prawda?

– Oj, Nelu, Nelu, jesteś po prostu niesamowita. – Konstanty objął ją i zniecka cmoknął w pomarszczony policzek. – Tym razem jednak możesz sobie darować te podchody, bo naprawdę nic nie mogę powiedzieć. Za to zanim pójdę, mogę znieść ci tego twojego anioła ze strychu. Co ty na to?

– Kiepski interes, bo anioła i tak byś mi zniósł, ale jak się nie ma, co się lubi...

– To się lubi, co się ma – wszedł jej w słowo Kotula.

– A widzisz, i tutaj się mylisz – zaśmiała się Nela. – Jest taka piosenka, dużo bardziej prawdziwa od tego powiedzenia, śpiewa ją bodajże Poniedziałki. I tam leci tak:

La la la

La la la

Ta piosenka to piosenka całkiem zła

To piosenka która mówi

Jak się nie ma co się lubi

To nie lubi się i tego co się ma

– zanuciła.

– Ale ty przecież z reguły lubisz to, co masz – zauważył trzeźwo Kotula.

– Oczywiście, i dlatego już biorę klucze i idziemy na strych. A przy okazji to może trochę porozmawiamy o tym drugim wyjściu i o Edwardzie, ale wiesz, tak kompletnie niezobowiązująco, bo przecież jak się gdzieś ze sobą idzie, to zazwyczaj się trochę rozmawia – dorzuciła niewinnie.

– Nelu, próżny trud, nic ci nie powiem. – Pokręcił głową ubawiony.

– To ty nie mów, a ja będę nadal próbować. Wiesz, jak jest, w końcu nie byłabym sobą, gdybym była inna – dodała i puściła do Konstantego oko.

A potem pomaszzerowali na strych uwolnić anioła. Gdy Konstanty zniósł go na dół i zgodnie z życzeniem starszej pani postawił w salonie, Nela jeszcze przez długi czas nie mogła się na niego napatrzeć.

– Cóż, miałam do ciebie żal, staruszkę, ale przyznaję, zupełnie niesłuszny – powiedziała w końcu i starym zwyczajem poklepała go konfidencyjnie po pierzastych ramionach, i momentalnie poczuła się młodsza.

A anioł – jak to miał w zwyczaju – patrzył na nią zawadiacko, jakby zapowiadając atrakcje, które trzymał ukryte w zanadrzu swoich skrzydeł.

Wieczorem, gdy Nela wychodziła już z łazienki, z pokoju z baldachimem wychyliła się Haśka.

– Tak sobie pomyślałam – powiedziała, przestępując z nogi na nogę. – Że może mogłabym pożyczyć od pani tę książkę, o której pani wspominała. Tę *Złodziejkę książek*, dobrze zapamiętałam? – zapytała, zagryzając nerwowo dolną wargę.

– Oczywiście, powinnam ją mieć na regale w sypialni. – Nela uśmiechnęła się ciepło. – Zaraz ci podrzucę, bo muszę ją najpierw zlokalizować – dodała i po chwili stała przed półkami pełnymi książek.

Tę, o którą prosiła Haśka, zobaczyła od razu. Wyjęła ją z półki i otworzyła na pierwszych stronach.

Drobna uwaga

Na pewno umrzecie.

Szczerze pragnę podchodzić do tematu, choć większości ludzi trudno w to uwierzyć, niezależnie od tego, jak się staram. Błagam, uwierzcie mi. Ja naprawdę potrafię być wesoły. I przyjacielski. I sympatyczny. I życzliwy. A to dopiero początek wyliczanki. Tylko nie proście mnie, żebym był miły. Ta cecha nie ma ze mną nic wspólnego.

Przeczytała smacznie i uśmiechnęła się. Uwielbiała tę powieść. A zdanie: „Tylko nie proście mnie, żebym był miły. Ta cecha nie ma ze mną nic wspólnego”, uważała za majstersztyk i za idealną charakterystykę siebie samej.

„Haśce też powinna się spodobać” – pomyślała i już miała jej ją zanieść, gdy zatrzymała się przy regale stojącym tuż koło drzwi. Po chwili zastanowienia wyjęła z niego kilka książek i z tym stosikiem poszła do pokoju z łóżem z baldachimem.

Na widok książek Haśka uśmiechnęła się od ucha do ucha i nie mogła ukryć podekscytowania.

– To wszystko dla mnie? To niesamowite, że po prostu mogę je położyć koło łóżka i zwyczajnie czytać – powiedziała ze wzruszeniem.

„Niesamowite, z jaką chęcią dorwałaby uroczego Edzia i z nim zatańczyła po swojemu” – pomyślała Nela mściwie.

– Oprócz *Złodziejki*... przyniosłam ci coś jeszcze, to jedna z moich ulubionych autorek, Musierowicz – powiedziała głośno. – Jestem pewna, że ci się spodoba. A poza tym tutaj, w tym domu, książki są dla każdego, więc jeżeli masz ochotę, częstuj się i niech ci idzie na zdrowie – dorzuciła i życząc dziewczynie dobrej nocy, poszła do siebie.

Kiedy kładła się do łóżka, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy odkąd Haśka się tu pojawiła, o coś poprosiła. I to był chyba dobry znak. Dobrze wróżył na przyszłość.

I tak powoli mijały minuty i godziny. Stary zegar cykał pracowicie i mozolnie popychał czas do przodu. Stojący tuż pod oknem anioł rozprostowywał pogniecione przez lata niewoli skrzydła. I niepostrzeżenie nadszedł świt. I nastał grudzień. Dzień czternasty.

CZTERNASTY GRUDNIA



Konstanty ruszył na umówione spotkanie z samego rana. Przytulna, adekwatnie do swej nazwy, była klimatycznym lokalem, gdzie od samego rana można było przysiąść i pokrzepić się naprawdę dobrą i mocną kawą.

Gdy wszedł, od razu zobaczył, że ten, z którym był umówiony, już na niego czeka.

– No, stary, gruba sprawa – powiedział z namysłem, gdy Konstanty skończył mówić. – Ale że mam tak iść do gościa i tak z buta? To kompletnie nie w moim stylu, bez cienia finezji i polotu. – Skrzywił się.

– Tak? To posłuchaj, on ją straszy, że ją dopadnie, nie dawał jej czytać, gdy była mała, wyrzucił jej wszystkie książki. Dziesięcioletniej dziewczynce, rozumiesz? Zmuszał ją do pracy w szwalni, teraz matce nie pozwala się z nią widywać. Doprowadził ją do takiego stanu, że nie potrafi mu się przeciwstawić. W sensie matka. Aha, i najważniejsze, dziecko. Ta dziewczyna, Haśka, ma córeczkę, dlatego uciekła. Wiesz, co zrobił, gdy była w ciąży? Powiesił na ścianie kalendarz z zaznaczonym terminem porodu. Co rano wykreślał kolejny dzień i patrząc na nią, mówił coś w tym stylu: „Jeszcze tylko sto dwadzieścia dni i wrzucimy tego szczeniaka do okna życia, suko...”.

– Oż, kurwa, a to jebaniec. – Gość zacisnął wielkie jak bochen chleba pięści. – Nie znoszę takich typów! Ale wiesz, że to musi być zrobione z sensem? Muszę coś mieć, cokolwiek, na czym będę mógł się oprzeć...

– Mówisz i masz, proszę bardzo. – Konstanty wyciągnął z teczki koszulkę, w której leżała karteczka. – To jest liścik, który jej zostawił – przesunął koszulkę w jego stronę.

– „Znalazłem cię mała suko. I uwierz wróć! Tatuś Edward” – przeczytał tamten na głos i przez moment wpatrywał się w kartkę. – No

cóż, w takim razie chyba nadszedł czas, żeby znaleźć tatusia Edwarda – powiedział powoli.

– Na drugiej stronie masz jego adres. – Konstanty postukał palcem w kartkę.

– Wiesz, zrobię to z największą przyjemnością, takich chujów to ja pasjami nie lubię. I nawet powiem ci, że zaczynam w tej robocie dostrzegać pewną finezję... Ale żeby nie było, teraz to ty mi będziesz wisił przysługę – zaśmiał się.

– Nie ma sprawy. – Konstanty kiwnął głową.

Wychodząc z Przytulnej, już wiedział, że najprawdopodobniej Edzia mają z głowy. Wszystko wskazywało na to, że jego plan się powiedzie.

Jeszcze tego samego dnia po południu do drzwi domu Edwarda zapukało dwóch policjantów. Jeden z nich przypominał wielkością sporego niedźwiedzia. Drugi też nie należał do ułomków, choć przy swoim koledze wydawał się drobny.

– Pan Edward Gaziński? – zapytał ten mniejszy, gdy w drzwiach stanął wysoki, chudy mężczyzna.

– Tak, a o co chodzi?

– A to za chwilę. Poznaje pan może tę kartkę? – niedźwiedziowaty podsunął mu pod nos liścik znaleziony w drzwiach mieszkania Haški.

– Nie, nie wiem, co to jest – zaparł się w żywe oczy Edward Gaziński, błędąc nieznacznie.

– To ja panu powiem: najmarniej to są groźby, idąc dalej, próba zastraszenia, znieważenie, stalking, uporczywe nękanie... – wyrecytował znudzonym tonem drobniejszy. – Mam jeszcze wymieniać?

– Zapomniałeś dodać, że kłamstwo może być poczytane jako fałszywe zeznania – dorzucił niedźwiedziowaty.

– Ale, panowie, jakie zeznania, przecież my tylko rozmawiamy! A to, to ktoś mi zrobił jakiś głupi żart, naprawdę! – Edward przycisnął rękę do piersi.

– Oj, Edziu, Edziu, Edziu – zacmokał z niezadowoleniem niedźwiedziowaty. – Wijesz mi się tu niczym wąż! A wystarczy tylko puścić to do grafologa i wszystko będzie jasne! To co? Jak będzie? Jedziemy na komendę, potwierdzasz, że to nie ty jesteś autorem tego świstka, a my weźmiemy od ciebie próbkę pisma, wyślemy to, gdzie trzeba, i oczyścisz się z zarzutów, tak? – Pochylił się nieznacznie w jego stronę.

– No, panowie, no, może ja to napisałem, ale to tylko było tak, żeby dziewczynę przywołać do porządku, no, może trochę przesadziłem...

– Przesadziłeś? – Niedźwiedziowaty nieznacznie przycisnął go do framugi. – Słuchaj, stary, to ja ci dobrze radzę: więcej nie przesadzaj, porzuć ogrodnictwo, bo najpierw dostaniesz zakaz zbliżania, a potem jak będzie trzeba, to się ciebie posadzi na parę dni. A tam, uwierz, nie przepadają za takimi, co to znęcają się nad kobietami z dziećmi. A wiesz, jak jest, nigdy nie wiadomo, kto puści jaką plotkę i do kogo ona doleci. Albo tę szwalnię ci się skontroluje. Kontrole normalna sprawa. To jak, tatusiu Edwardzie, od dziś będziesz się trzymał od dziewczyny z daleka? Bo jak widzisz, ma przyjaciół. – Niedźwiedziowaty położył mu ciężką łapę na ramieniu i lekko przytrzymał.

– Obiecuję, że się do niej nie zbliżę – wysapał Edward, czerwieniejąc. – Nigdy więcej!

– No i słusznie. – Ten mniejszy spojrzał mu w oczy. – Aha, i jeszcze matka. Dziewczyna za nią tęskni, da się coś z tym zrobić?

– No przecież, dlaczego miałbym jej zabraniać widywać się z córką...

– A, no właśnie, Edziu, my też tego nie wiemy... – Niedźwiedziowaty uniósł kąciki ust w imitacji uśmiechu. – No to się cieszę, że się dogadaliśmy – dodał, po czym ostentacyjnie zgiął kartkę w koszulce i wsunął ją do kieszeni munduru. – To zatrzymuję na wszelki wypadek, gdyby znów przyszło ci do głowy, Edziu, robić jakieś żarciksy. No to do widzenia – dorzucił i pokazał na odchodne gest mówiący, że będzie miał Edwarda na oku.

Przez moment policjanci szli w kompletnym milczeniu i dopiero gdy oddalili się na bezpieczną odległość, drobniejszy przystanął i splunął.

– Matko, co za odrażający typ – powiedział z obrzydzeniem.

– Chujek, Stasiu, zwykły chujek – skwitował, krzywiąc się, niedźwiedziowaty.

– Ale swoją drogą, to gdyby stary się dowiedział. – Staś pokręcił głową.

– Komendant się nie dowie, bo i skąd... A nawet gdyby, to on takich gadzin też nie lubi... Pokrzyczałby, pokrzyczał, ale jakoś by się to załatwiło, na całe szczęście raczej nie będzie jednak takiej potrzeby. I wiesz co, Stasiu, powiem ci tak: może to było lekkie nadużycie naszych kompetencji, jednak nic na to nie poradzę, że w takich momentach mam poczucie dobrze wykonanej roboty. A teraz zadzwonię do jednego gostka i powiem mu, że już nie musi się martwić. Niech się dziewczyna przestanie bać – dorzucił i sięgnął po telefon.

Konstanty nie odebrał od razu, bo miał zajęte. Rozmawiał przez telefon z ojcem.

– No i kupiliśmy ten samochód, synu. Miał być do odebrania w salonie we Wrocławiu, ale z jakiegoś powodu ma trafić do Warszawy. I teraz mam tu pożar, który musisz mi pomóc ugasić – powiedział z westchnieniem.

– Jak do Warszawy? Nie można tego odkręcić? Żeby ci go tam przewieźli?

– Można, ale to bez sensu, bo się tylko wszystko przedłuży. A tak odbiorę go dzień przed Wigilią u was. I tak do was przyjeżdżamy na święta, więc wszystko się dobrze składa. Wsiądziemy w pociąg i tyle. To żadna komplikacja. Problem polega na czymś zupełnie innym. Na tym, mój drogi synu, że twoja matka wpadła w rozpacz. Bo jak zabierze ze sobą te wszystkie wiktuały, które zamierza przygotować? Kapustę wigilijną, śledzie, takie wiesz, co to tylko ona umie zrobić, no i tort piernikowy, i rybę w galarecie...

– Tatuś, czy ty mi musisz naprawdę to wszystko wymieniać? – przerwał mu Konstanty, przełykając głośno ślinę. – Jak tak cię słucham, to właśnie sobie uświadomiłem, że jestem potwornie głodny.

– Muszę, synu, bo chcę, żebyś uzmysłowił sobie rozmiary nieszczęścia. Sam gar z kapustą to już duży gabaryt, a pozostałe...

– Tato, rozumiem – roześmiał się Konstanty. – Znam mamę nie gorzej niż ty. Przynajmniej jeżeli chodzi o świąteczne jedzenie.

– To co? Przyjedziesz? Błagam cię, powiedz, że tak, bo inaczej twoja matka mnie zamęczy! Gotowa słać to do was paczkami!

– Przyjadę, ale pewnie część rzeczy trzeba będzie pomrozić, bo ja mogę być u was koło osiemnastego, dziewiętnastego. I dosłownie wpadnę jak po

ogień...

– Śledzia, synu, w tym wypadku jak po śledzia – poprawił go z powagą ojciec.

– Jak zwał, tak zwał, ale będę musiał szybko wracać. Obawiam się, że tort będziecie musieli jakoś dowieźć sami.

– Z tortem sobie poradzimy, a swoją drogą, gdybym wiedział, że to się tak skomplikuje, tobym się tak nie spieszył ze sprzedażą naszego starego auta, ale jak to mówią, mądry Polak po szkodzie... To co? Mogę mówić mamie, że przyjedziecie?

– Tatus, raczej przyjadę. Michalina ma tu moc roboty, a poza tym szkoda ją ciągnąć z małą przez tyle godzin tylko po to, żeby zaraz wracać. Gdyby to nie był czas przedświąteczny, to sam bym ją namawiał, żeby u was trochę została, ale widzę, ile ma pracy, cały czas maluje, ozdabia, przykleja, lakieruje.

– No dobrze, niech i tak będzie, wprawdzie stęskniliśmy się bardzo za naszymi dziewczynkami, ale na całe szczęście Wigilia już za dziesięć dni i będzie trochę czasu, żeby się sobą nacieszyć. A właśnie, skoro mowa o świątach, to jak tam wasz remont?

– Do przodu, wszystko wskazuje na to, że za chwilę będzie koniec i Michalina będzie miała te swoje pierwsze wymarzone święta w naszym własnym domu. Stół już zamówiliśmy, Michalina znalazła taki rozkładany, ponadstuletni. A teraz przepraszam cię, tatusiu, ale mam drugi telefon. – Konstanty już od jakiegoś czasu zerkał na powiadomienia o kolejnym połączeniu.

Przełączył się natychmiast i słysząc w uchu głos niedźwiedziowatego, lekko się uśmiechnął.

– No to powiem ci tylko, że żyrafy wchodzą do szafy – oznajmił tamten z powagą.

– A najlepsze kasztany są na placu Pigalle – odpowiedział szczęśliwy Konstanty. – Dzięki, stary!

– Ku chwale ojczyzny – skwitował tamten i się rozłączył.

Było wiadomo, że w takich delikatnych sprawach, szczególnie przez telefon, nie należy mówić niczego wprost. Ani za bardzo się rozgadywać.

Tego dnia Konstanty wracał do domu w doskonałym humorze. Po drodze zajrzał jeszcze do mieszkania i okazało się, że większość pracy została już wykonana.

„Jak dobrze, że niedługo będziemy mogli tu wrócić” – pomyślał tęsknie. Uwielbiał Nelę, lubił jej przestronne mieszkanie i doceniał to, że zawsze witany jest tam z otwartymi ramionami. Ale jednak marzył o tym, żeby nareszcie zostać z Michaliną i Klarą sam na sam. Żeby mieć Michaśkę tylko dla siebie.

Tyle że w tym wszystkim zostawała jeszcze do rozwiązania jedna sprawa: problem Haśki. Bo o ile kwestia Edwarda właśnie uległa przedawnieniu, to przecież dziewczyna nie może przez całe życie siedzieć Neli na głowie. I tutaj Konstanty sam przed sobą przyznawał, że nie bardzo wie, co z tym fantem zrobić. A biorąc pod uwagę, że to Michalina sprowadziła Haśkę do Neli, znaczyło to ni mniej, ni więcej, że to oni będą musieli zająć się tą sprawą, gdy nadejdzie czas.

Chwilowo jednak rozsądnie postanowił jeszcze się tym nie kłopotać. „Do świąt pomieszka u Neli, a potem... potem się zobaczy” – pomyślał, zamykając mieszkanie na klucz, i zbiegł do samochodu. Nie mógł się doczekać, aż powie dziewczynom, że już wszystko załatwione. Wiedział, że będą zdumione, że tak szybko, i że przez moment poczuje się jak prawdziwy bohater. Prawdę mówiąc, już tak się czuł i było to bardzo, ale to bardzo miłe.

Kolejne dni mijały spokojnie i powoli. Ozdoby choinkowe zostały powyjmowane z pudełek, odkurzone i posegregowane. Część prezentów leżała w szafach. Na mieście przedświąteczne szaleństwo zaczynało osiągać apogeum. Na placach i skwerach wyrosły całe lasy pachnących choinek, które niebawem miały przeistoczyć się w pięknie udekorowane drzewka. Wszędzie migotały kolorowe lampki, rozbrzmiewały dźwięki kolęd i pastorałek. I znów zaczął sypać śnieg. I nastał grudzień, dzień dwudziesty.

DWUDZIESTY GRUDNIA



Michalina patrzyła, jak Konstanty odgarnia z auta śnieg i zeskrobuje lód z szyby.

– To co, będziecie jutro wieczorem? – Uśmiechnęła się promiennie.

– Tak, idealnie to wymyśliłaś: mama jest szczęśliwa, że będzie mogła na miejscu zrobić to, czego nie da się przewieźć ani zamrozić, ojciec jest szczęśliwy, bo nie będzie musiał tłuc się pociągiem w towarzystwie tortów i ryb, nie wiem tylko, czy Nela podziela to ogólne poczucie szczęśliwości, bo chyba nie bardzo chciała ze mną jechać.

– Tak, trochę marudziła, jednak przekonałam ją tym, że mama Irenka potrzebuje pomocy w pakowaniu, a ja przecież nie mogę jechać. Wiesz, że to było jedyne dobre rozwiązanie? Na jej standardy zrobiło się już za spokojnie, nie ma kogo pilnować, bo Haśka sama z własnej woli siedzi w domu, nie ma się o co martwić, bo nikt z nikim się nie kłóci, wszyscy są w dobrych humorach, no, po prostu wieje nudą! I w związku z tym, jak to Nela, szuka rozrywek na własną rękę i już zapowiedziała, że skoro wszyscy są tak zapracowani, to ona pójdzie i dopilnuje mieszkania! A dziś wchodzi nowa ekipa, od ustawiania mebli, sprzątnięcia i doszlifowywania szczegółów, a ja obawiam się, że Nela może nie dostrzegać subtelnej różnicy pomiędzy naszymi robotnikami a tym jakimś tam cudownym dekoratorem... Wyobrażasz sobie jego minę, jakby mu Nela przyniosła szklanekę tyskiego, poklepała konfidencjonalnie po ramieniu i zapewniła, że oto dba o jego godne warunki pracy – Michalina parsknęła śmiechem.

– No tak, to mogłoby zostać przez pana Michała nie do końca dobrze zrozumiane. – Kotula przysiadł na masce samochodu i przyciągnął Michalinę do siebie. – Wiesz co, a ja mam taki pomysł: jak jutro wrócę, to porwę cię do nas do domu, będzie miło, czysto, bo już będzie po tym całym

bałaganie i będziemy tam całkiem sami. Zamkniemy się i nie wpuścimy nikogo aż do rana. Co o tym myślisz? – Przesunął ustami po jej policzku.

– Myślę, że to doskonały pomysł, pod warunkiem że zamkniemy się tam razem z twoimi rodzicami... Zapomniałeś już? Mama z tatą zatrzymują się u nas – szepnęła mu do ucha. – I jak znam mamę, to ledwo przekroczy próg, już zakotwiczy się w kuchni i będzie tam siedziała do późna w nocy – dodała, przytulając się do niego.

– No tak, jakoś tak mi umknął ten szczegół – westchnął Kotula. – W takim razie przynajmniej porządnie pocałuj mnie na do widzenia – dodał i nie czekając, sam odnalazł jej usta.

Pachniały goździkami i cynamonem, i nadchodzącymi świętami, i domem, i tym wszystkim, co było Konstantemu niezbędne do życia. A pocałunek smakował zwyczajnym, codziennym szczęściem, takim, jakiego nigdy nikomu nie powinno zabraknąć.

Neli i Konstantemu podróż minęła przyjemnie i bez problemów. Wyjechali raniutko i dzięki temu zajechali do Malowniczego, gdzie mieszkali rodzice chłopaka, jeszcze gdy było widno. Nela z zachwytem wpatrywała się w mijane ośnieżone szczyty gór, porośnięte ciemnymi pasmami lasów, w czerwone spadziste dachy otulone czapami śniegu.

– Kotula, słuchaj, a nie moglibyśmy na chwilę zatrzymać się na rynku? – zapytała w pewnej chwili. – Po pierwsze, chętnie rozprostowałabym kości, bo to już nie na moje lata siedzieć tyle czasu bez ruchu, a po drugie, chciałabym zajrzeć do tego sklepiku, który pokazałeś nam w zeszłym roku. Wiesz, tego ze starociami, którego właścicielka ma humory i nie każdemu zgadza się sprzedać swój towar. Michalina była zachwycona właściwie wszystkim, co tam było, to może i teraz wpadnie mi w oko jakiś drobiazg, to bym jej coś dokupiła. Bo główny prezent to ja już dla niej mam... – Uśmiechnęła się, myśląc o schowanym głęboko w szafie zestawie farb i pędzli, o którym dziewczyna marzyła od dawna.

– Właściwie to samo chciałem ci zaproponować. – Konstanty uśmiechnął się do Neli. – To będzie prawdopodobnie jedyny jeszcze spokojny moment i okazja, żeby choć na chwilę odwiedzić miasteczko... Właśnie do mnie dotarło, że po raz pierwszy nie spędzę tu świąt – dodał z nostalgią w głosie.

– Żałujesz? – Nela spojrzała na niego czujnie.

– Nie, nie tego, że będziemy w naszym domu. Wiem, jakie to ważne dla Michaśki, żeby te pierwsze święta Klary były właśnie tam. Wiem, że chce tworzyć własne tradycje i zwyczaje i kompletnie tego nie żałuję. Jej szczęście jest moim szczęściem. Akurat to wiedziałem od początku, odkąd po raz pierwszy spojrzałem jej w oczy. Ale jednocześnie będę tęsknił do

tego wszystkiego – dodał i wskazał ręką za okno, bo właśnie zajechali na rynek.

Jak zwykle był piękny. Ogromna choinka pyszniła się na środku placu. W tym roku udekorowana bombkami w odcieniach błękitu i czerwieni lśniła i migotała zwodniczo w promieniach zimowego słońca, które właśnie przebiło się zza chmur i z miejsca sprawiło, że leżący na dachach i gałęziach drzew śnieg zaczął skrzyć się magicznie. Stare kamieniczki pojaśniały, przyozdobione świątecznie witryny sklepów stały się jeszcze bardziej wyraziste i kuszące. Aż chciało się podejść do drzwi ozdobionych wieńcami i wejść do środka, bez względu na to, dokąd prowadziły, bo w tym miasteczku, udekorowanym tak, że przywodziło na myśl świąteczną baśń, wszystkie bramy i drzwi musiały prowadzić do czegoś wyjątkowego.

– Takie miejsca to ja do tej pory widziałam tylko na świątecznych filmach – uśmiechnęła się Nela, wysiadając z auta i prostując obolałe plecy. – Wiesz, właśnie uświadomiłam sobie, że ja nie mam nic dla Haški...

– A to akurat nie powinno być trudne do naprawienia. – Konstanty stanął koło starszej pani i z lubością zaciągnął się mroźnym powietrzem.

Pachniało wiatrem wiejącym na szczytach gór i wolnością. Wyzwaniem i tęsknotą za odkrywaniem nowych dróg, i pragnieniem powrotu w dobrze znane miejsca.

– No właśnie, może dla ciebie, ale ja jakoś nie mam pomysłu – wdarł się w jego rozmyślenia głos Neli.

– Tu nie trzeba daleko szukać. Zobacz, wystarczy, że się odwrócisz. – Sugestywnie spojrział na coś, co miała za plecami.

Starsza pani obróciła głowę i jej twarz rozjaśnił uśmiech.

– Księgarnia! Dlaczego ja na to nie wpadłam? Przecież ta dziewczyna połyka wszystko, co składa się z literek, a poza tym dzięki urocemu Edwardowi nie trzeba się za bardzo zastanawiać, co czytała, bo o ile nie jest

to lekturą, to można śmiało powiedzieć, że nic! Cudownie, kupię jej porządny, smakowity stos książek. – Nela zatarła z radością rękę. – Wiesz co, Kotula, pewnie trochę mi tu zejdzie – powiedziała, lustrując przestronne wnętrza księgarni widoczne przez idealnie lśniące wystawowe szyby. – Bez sensu, żebyś musiał na mnie czekać, bo przecież wiem, że ty masz tu swoje ulubione kąty, do których pewnie chciałbyś zajrzeć. To idź sobie spokojnie, a ja załatwię to, co mam do załatwienia. Księgarnię, a potem sklepik tej... Jak ona miała na imię, tak jakoś specyficznie? – Nela zmarszczyła brwi.

– Leontyna – uśmiechnął się Konstanty. – Na pewno tam trafisz?

– Tak, a poza tym w razie czego zawsze mogę zapytać o drogę – zapewniła go i po chwili już jej nie było.

Konstanty jeszcze przez moment stał w miejscu, nie mogąc się zdecydować, w którą stronę pójść najpierw. W końcu obszedł rynek dookoła, przystając przy sklepie mięsnym, gdzie jak zwykle niepodzielnie królowała Kraśniakowa, zerknął w stronę herbaciarni, gdzie zapewne pachniało jak to u Krysi kawą migdałową, tuż obok, za rozłożonymi turystycznymi stolikami stał starszy mężczyzna w obszernym płaszczu i granatowej kraciastej czapce. Na jego widok Konstanty nie mógł powstrzymać uśmiechu. A więc to był rok, w którym malowniczy anioł zjawił się w miasteczku. Każdy mieszkaniec znał legendę związaną z opiekuńczym skrzydlatym przybyszem, który miał zjawiać się tutaj tuż przed świętami, pod postacią starszego mężczyzny. I zawsze miał coś, co sprzedawał albo podarowywał. Konstanty, jak zawsze, gdy go widział, zadał sobie pytanie, czy to przypadkiem nie burmistrz wynajmuje co roku kogoś, kto ma odgrywać anielską rolę. Ale rozsądnie postanowił się nad tym zanadto nie zastanawiać. Lubił tę opowieść i w głębi serca chciał wierzyć, że to prawdziwy ziemski anioł. Teraz też podszedł do jego stoiska. Tym razem mężczyzna sprzedawał wełniane czapki i szaliki. Konstanty kupił trzy komplety, dla Michaliny, Haśki i Neli, i odbierając pakunek z rąk starszego pana, odniósł wrażenie, że z paczki bije niesamowite ciepło. Odchodząc, obejrzał się za siebie, obrzucając ostatnim spojrzeniem postać mężczyzny. I przez ułamek sekundy zdawało mu się, że z tyłu, na plecach płaszcz lekko zafalował, zupełnie jakby pod nim ukryte były skrzydła. Potrząsnął głową, uśmiechnął się do siebie i zahaczył wzrokiem o widoczny w oddali sklepik Leontyny. Przez chwilę zastanawiał się, czy by do niego nie podejść, ale potem przypomniał sobie, że przecież Nela się tam wybierała i zapewne właśnie stamtąd będzie ją odbierał.

„To przy okazji i ja rzucę okiem na te wszystkie wiekowe drobiazgi, no i na wystawę. Ciekawe, co w tym roku wyczarowała na niej starsza pani, która w tym temacie miała niespożyte pokłady fantazji”. – Uśmiechnął się nieznacznie do siebie.

„Ale w takim razie teraz pójdę zupełnie gdzie indziej” – pomyślał i dziarskim krokiem ruszył pnącą się w górę uliczką otuloną wiekowymi kamieniczkami. Tą samą uliczką rok temu szedł z Michaliną. Gdy o niej pomyślał, poczuł nagłą tęsknotę. Za jej śmiechem, za śmiesznym marszczeniem nosa, za nieprzemyślanymi decyzjami, których potrafiła bronić do upadłego i z których, musiał to przyznać, zwykle wynikało coś niespodziewanie dobrego.

W końcu dotarł do miejsca, którego szukał. Wszedł w ciemną bramę, za którą rozciągało się podwórko jednej z kamienic, i podszedł do odgradzającego je niskiego murku. Wciągnął głęboko powietrze i jak zawsze, gdy tu przychodził, poczuł zapierający dech w piersiach zachwyt. Bo przed nim rozciągał się jeden z piękniejszych widoków, jakie miał okazję oglądać. Wijąca się ciemna wstążka rzeki skutej lodem, górujące nad nią ośnieżone szczyty gór, malutkie, wręcz miniaturowe z tej odległości domy otulone śniegiem, ze smugami dymów unoszących się z kominów. Było po prostu pięknie.

W zeszłym roku stał dokładnie w tym miejscu z Michaliną. I nagle zapragnął ze wszystkich sił, żeby ona tu była, żeby mógł ją objąć, wtulić twarz w jej jasne włosy i wyszeptać dokładnie to samo co wtedy.

Niewiele myśląc, wyciągnął z kieszeni płaszcza telefon, zrobił zdjęcie rozpościerającego się przed nim widoku i wystukał wiadomość:

Pusty rynek. Nad dachami
Gwiazda. Świeci każdy dom.
W zamyśleniu, uliczkami,
Idę, tuląc świętość świąt.

Wielobarwne w oknach błyski
I zabawek kusi czar.
Radość dzieci, śpiew kołyski,
Trwa kruchości szczęścia dar.

Nie napisał nic więcej, bo nie musiał. Wiedział, że ona będzie wiedziała. W końcu rok temu, stojąc tutaj, wyszeptał jej to do ucha. Bo zrozumiał, że to ją chce tulić jak świętość świąt, że to ona jest jego kruchym szczęściem. I obiecał sobie – i jej zresztą też – że nigdy nie da jej o tym zapomnieć: o sobie i o tym, że jest dla niego najważniejsza, że jest wszystkim, czego pragnie.

Od tego momentu minął rok. A on nadal kochał ją najbardziej na świecie. „Chyba nawet bardziej niż w zeszłym roku i zapewne mniej niż w następnym”. – Uśmiechnął się do tej myśli. I właściwie niczego więcej nie chciał, jedyne, czego pragnął, to żeby to się nigdy nie zmieniło. Żeby trwało wiecznie. On, ona, Klara. Nela, rodzice. Po prostu oni. Po prostu razem.

Nela tymczasem kupiła całą siatkę smakowicie grubych nowości i objuczona torbami ruszyła w kierunku Kuferka – sklepu pani Leontyny. Dotarła do niego ze sporą zadyszką i przez moment skoncentrowana na wyrównywaniu oddechu nie zwracała uwagi na rozpościerającą się przed jej oczami wystawę sklepiku. Dopiero po chwili podniosła oczy i obrzuciła spojrzeniem bajecznie świąteczną witrynę. W tym roku królowały tam lampy wszelkiej maści i rodzajów. Lampy stojące, stare lampy dorożkarskie, kolejowe i naftowe. Lampki nocne z przytulnie zwisającymi klosikami i te bardziej wyrafinowane, przyciągające oko kolorowymi witrażowymi kwiatami. Lampy wiszące, stabilne i ledwo co utrzymujące równowagę w tym wyboistym świecie, fikuśne kinkieciki i poważne lampy gabinetowe. Skromne i zdobne, secesyjne, klasyczne, porcelanowe i metalowe. A pomiędzy nimi anioły. Wyglądające zza nich, siedzące na kloszach, wygrzewające się w ich blasku. Było tego tyle, że trzeba było długo stać i bardzo uważnie patrzeć, żeby obejrzeć wszystko dokładnie. I nagle wzrok Neli powędrował do dość zacienionego kąta – stała tam duża lampa, a pod nią miniaturowy fotel, przy nim przystrojona przepięknie w lukrowane pierniczki choinka. Przez oparcie fotela przewieszona była kremowa ażurowa chusta, a koło niego na puchatym dywaniku leżały w pozornym nieładzie książki. A nad tym wszystkim, jakby z tyłu, stał on. Nela zobaczyła go na samym końcu i poczuła, że nagle brakuje jej tchu. Wyglądał prawie identycznie z tym, jak go zapamiętała. No, może w oczach miał jeszcze więcej troski i był bardziej zamyślony. Z lekko obitym skrzydłem. Ale niewątpliwie to był on, anioł Klary.

Nawet nie pamiętała, jak znalazła się w środku. Pani Leontynie wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, co się dzieje.

Zresztą nie było wątpliwości, co Nelę interesuje, bo po wejściu do sklepu nie spojrzała na nic innego, nie powiedziała nawet „dzień dobry”, tylko z miejsca ruszyła ku aniołowi. Upuściła reklamówkę z książkami i nie zauważyła, że jej zawartość rozsypała się po podłodze. Ze łzami w oczach stanęła przed figurą anioła i nieśmiało wyciągnęła przed siebie drżącą rękę. Palcami musnęła jego skrzydło, delikatnie, jakby dotykała swojego dawno minionego dzieciństwa, jakby witała się z tym, co pozornie odeszło bezpowrotnie, a jednak nieoczekiwanie powróciło, jakby głaskała po ramieniu swoją zaginioną wieki temu siostrę.

A potem odwróciła się do Leontyny i spojrzała jej prosto w oczy, nawet nie usiłując ukryć, że płakała.

– Jak dobrze, że go pani nikomu innemu nie sprzedała – wyszeptła, nie przejmując się tym, co właścicielka sklepiku sobie o niej pomyśli.

– Kilka osób odesłałam z kwitkiem – powiedziała spokojnie starsza pani, otulając się grubą wełnianą chustą.

– Ale mnie pani nie odeśle – bardziej stwierdziła, niż zapytała Nela. – Ja bez niego się stąd nie ruszę!

– Wiem, zresztą nie mogłabym mu tego zrobić. – Leontyna uśmiechnęła się lekko. – Nawet gdyby pani nie miała w planach go kupić, musiałabym panią na niego namówić. W przeciwnym razie po pani odejściu on by się zapłakał. A nie ma wielu gorszych rzeczy na świecie niż szlochające anioły. Ten czekał właśnie na panią – dodała, podeszła do witryny, zdjęła z niej anioła i bez słowa podała go Neli.

Starsza pani objęła go i nagle odniosła przedziwne wrażenie, jakby on się do niej przytulił i idealnie wpasował w jej ramiona.

– Tak, bez cienia wątpliwości czekał na panią. – Właścicielka sklepiku pokiwała głową, pochylając się i zbierając rozsypane po podłodze książki do reklamówki.

Dopiero ten widok sprawił, że Nela wzięła się w garść i wróciła do rzeczywistości.

– Dziękuję pani – powiedziała, odbierając od Leontyny torbę. Niechętnie postawiła anioła na biurku służącym za ladę i nagle przyszło jej coś do głowy. – Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale muszę zapytać – powiedziała powoli i spojrzała uważnie na właścicielkę sklepiku. – Czy pani może wie cokolwiek o tym aniele? Skąd pochodzi albo jaka była jego historia?

– Niestety, tu muszę panią rozczarować. – W oczach Leontyny zamigotało współczucie, tak jakby wiedziała, czym dla Neli jest odpowiedź na to pytanie. – Przyniósł go do mnie starszy pan. Powiedział, że jest szczególnie i że kiedyś uratował komuś życie. Ale nic więcej nie chciał dodać. – Jakoś tak jakby mimochodem pogładziła Nelę po rękę. – Widzi pani, ja prowadzę ten sklep od wielu, wielu lat. Czasem tak się zdarza, że przychodzą ludzie i widać, że mogliby powiedzieć dużo więcej, jednak tego nie robią. Nie chcą dzielić się swoją historią... A ja nauczyłam się rozróżniać tych, których można pytać i dociekać, od tych, których należy zostawić w spokoju.

– I rozumiem, że ten pan był z tej drugiej kategorii – domyśliła się Nela.

– Tak, ale nie tylko on. Bo widzi pani, zwykle to zgrywa się z rzeczami. I tutaj było podobnie. On nie chciał mówić, a anioł nie chciał, żeby to zostało powiedziane. I z doświadczenia wiem, że tak właśnie miało być. Tak to już wygląda, że tylko w książkach i w filmach wszystko musi być

dopowiedziane, ale w życiu... Zresztą co ja będę pani tłumaczyć, skoro pani sama to wie – uśmiechnęła się Leontyna.

– Tak, wiem – wyszeptała Nela, zagryzając dolną wargę. – Czasem coś musi pozostać tajemnicą.

– A czasem musi nam wystarczyć historia, która zamyka się w krótkim zdaniu: uratował czyjeś życie – dodała, wyjmując spod biurka duże arkusze szarego papieru. – I wie pani, patrząc na to, co teraz się czyta, to ja pani powiem, że to jest całkiem udana opowieść... I piękne zakończenie – podkreśliła, a Nela w duchu przyznała jej rację.

Patrząc na to, jak sprawnie Leontyna zawija anioła, jak delikatnie się z nim obchodzi, pomyślała jeszcze, że oto w tym sklepiku, w małym górskim miasteczku, z którym pozornie nic jej nie łączyło, odnalazła część swojego życia. I nagle poczuła, że teraz wreszcie będzie mogła po prostu iść do przodu. Nie oglądając się wciąż za siebie, nie czekając na to, co przecież nigdy nie miało nadejść.

Anioł, który miał za zadanie chronić, uratował czyjeś życie. Zrobił to, co do niego należało, i po latach tułaczki wracał do domu. A wraz z nim jakaś część Klary.

Nela pomyślała, że oto właśnie zdarzył się najprawdziwszy cud. Przedświąteczny, ale to przecież w niczym mu nie umniejszało. Poczuła, że już nie musi czekać na to, co nigdy nie nadejdzie. Mogła nareszcie zacząć spokojnie żyć.

Michalina stała na środku swojej całkiem nowej i odmienionej kuchni. Wszystko wokół lśniło, po wszechobecnym pyłe, który przez ostatnie dni unosił się w powietrzu, nie został nawet ślad. Jednak Kotula miał rację, gdy uparł się, żeby zamówić ludzi, którzy dopną wszystko na ostatni guzik, chociaż ona na początku bardzo się temu sprzeciwiała. Teraz jednak była mu wdzięczna, bo sama za nic na świecie nie dałaby rady doprowadzić tego miejsca do porządku tak szybko, żeby można było przygotować tu święta. A tak, proszę bardzo: wszystko było na miejscu, stary-nowy stół pysznił się pośrodku ich nowej jadalni, wnęka przy oknie czekała na pojawienie się choinki, nowe, lśniące blaty szafek za moment zostaną zabałaganione, oprószone mąką, oblepione piernikowym ciastem. I szczerze mówiąc, Michalina już nie mogła się doczekać, aż to wszystko zacznie się dziać, aż będzie po kim sprzątać, z kim się przekomarzać. I gdyby nie to, że Haśka była w mieszkaniu Neli całkiem sama, to pewnie dziś zostałyby z Klarą tutaj. Upiekłaby piernik, o którym, o zgrozo, zapomniała, ale Nela uspokoiła ją, że przecież ten zeszłoroczny też robiły późno, a wyszedł wyśmienicie, posiedziałyby w ciszy na kanapie i ułożyła plan tego, co będzie przez najbliższe dni robić. Ale jakoś nie miała serca zostawiać Haśki samej.

W tym momencie, jakby w odpowiedzi na jej myśli, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu migał napis: „Gabryśia”.

Odebrała i przez moment słuchała uważnie tego, co mówiła do niej kwiaciarka.

– Nie, bardzo dobrze zrobiłaś – powiedziała po chwili, marszcząc brwi. – Odesłać nie odsyłaj, ale skieruj do mnie. Nie do Neli, tylko do mnie. Skończyliśmy wreszcie remont – dodała. – Nie no, coś ty, nie jestem sama,

jest jeszcze ekipa. Dobrze, nie wypuszczę, dopóki sobie nie pójdzie – skłamała gładko i jak najszybciej się rozłączyła.

A potem pomyślała, że gdyby Kotula wiedział, co ona właśnie zrobiła, to na pewno cofnąłby wiadomość, którą do niej wysłał, i nigdy w życiu już nie wyznałby jej miłości. Bo zapewne doszedłby do wniosku, że kompletnie oszalała, a z wariatką nie należy się zadawać. Co więcej, ona sama czuła, że być może zdecydowała zbyt pochopnie. Ale mleko już się rozlało i właściwie nie było odwrotu.

Usiadła na kanapie i usiłowała sobie wyobrazić wszystkie możliwe scenariusze, które mogą się wydarzyć, po to żeby dopasować do każdego z nich jak najlepsze rozwiązanie.

I w końcu, gdy była tak zdenerwowana, że rozważała, czyby na pewno nie wstać i nie wyjść, rozległ się dźwięk domofonu i Michalina stwierdziła, że teraz to już nie będzie robić z gęby cholewy, to po pierwsze, a po drugie, że jest zbyt ciekawa, żeby nie otworzyć. Poza tym doskonale zdawała sobie sprawę, że od tej wizyty może naprawdę wiele zależeć, nawet czyjeś szczęśliwe życie.

Po półgodzinie wiedziała, że to była najlepsza decyzja, jaką mogła podjąć. Cóż, nawet jeśli jest wariatką, to taką, której los sprzyja.

„No to jednak zostanę dziś tutaj – spojrzała na śpiącą w łóżeczku Klarę. – I upiekę piernik, dobrze, że nadal wożę go ze sobą w wózku – dodała w myślach. – Ale najpierw zadzwonię do Haški”. – Sięgnęła po telefon i wybrała numer dziewczyny.

– Słuchaj, właśnie jestem u siebie w domu i wiesz, tak myślę, że dziś tu zostanę – powiedziała jak gdyby nigdy nic. – Ale mam dla ciebie niespodziankę... Jak ci puszczę esemesa, to koniecznie, ale to koniecznie otwórz kuchenne okno i wyjrzyj, dobrze?... Oj, co ja ci teraz będę tłumaczyć po co i na co. Wyjrzysz, to zobaczysz, pilnuj telefonu! Aha, i nie zapominaj, że zbliżają się święta, te, podczas których otwiera się drzwi przed zbłąkanymi wędrowcami. Tak sobie myślę, że to ważne, żebyś to miała na uwadze – dorzuciła, po czym przerwała połączenie i uśmiechnęła się do siebie szeroko.

Niespodziewanie wszystko zaczęło się układać. Jakby rzeczywiście święta uruchomiły już swój czar i moc przypominania ludziom o tym, o co w nich tak naprawdę chodzi.

– O miłość, o wiarę i nadzieję – wyszeptała, patrząc na spokojnie śpiącą córeczkę. „No i o cudy, ale coś mi mówi, że akurat na brak tych ostatnich to w tym roku nie będziemy narzekać...” – pomyślała i w tym momencie jej komórka zapiknęła, dając znak, że dostała nową wiadomość.

Pospiesznie sięgnęła po telefon.

„Leć do kuchni, już! A potem nie bądź głupia i oprócz okna otwórz drzwi” – napisała do Haški, podeszła do szyby i spojrzała w zasnuite ciężkimi chmurami niebo.

– Trzymam kciuki – szepnęła i pomyślała, że jednak nie da rady tak beczynnie stać i że najlepiej będzie, jeżeli się czymś zajmie. Słać dobre myśli mogła równie dobrze znad piekącego się piernika.

Jak pomyślała, tak zrobiła. Poszła do przedpokoju, wyciągnęła z koszyka pod wózkiem kamionkowe naczynie i przytargała je do kuchni. Włączyła piekarnik i w związku z tym, że przy pieczeniu nie miała już za dużo roboty, postanowiła jeszcze zagnieść ciasto na pierniczki. Takie, jakie w zeszłym roku przygotowywały z Nela. Takie, które musiały spędzić noc w lodówce, a po pieczeniu były pulchne i nie musiały leżeć, żeby zmięknąć. „W końcu jutro już dwudziesty pierwszy grudnia” – pomyślała z uśmiechem. I pomyślała, że następnego wieczoru w tej kuchni będzie cały tłum: mama Kotuli, Nela, ona i może Haśka... Chociaż jeśli chodziło o Haśkę, to Michalina życzyła sobie, a przede wszystkim jej, żeby znalazła się w zupełnie innym miejscu, z zupełnie innymi ludźmi. I pożałowała z całego serca, że nie ma możliwości, żeby w jakiś sposób podejrzeć, co właśnie działo się pod kuchennymi oknami Nelinego mieszkania.

Po tym jak Haśka usłyszała o niespodziance, poczuła dziwne mrowienie na karku. Tak jakby za moment miało się wydarzyć coś bardzo, bardzo ważnego. A potem jeszcze ta wiadomość: „Leć do kuchni, już! A potem nie bądź głupia i oprócz okna otwórz drzwi”.

No to poleciała, otworzyła to okno, wychyliła się i oniemiała. Zabrakło jej tchu w piersi, a potem jej serce zrobiło coś dziwnego, jakby fiknęło koziołka.

Pod oknem stał Jurek. Przez cały ten czas, w którym go nie widziała, nie zmienił się zupełnie. W świetle latarni dostrzegła jego zmierzwione, potargane przez wiatr brązowe włosy, zadarł głowę i patrzył na nią. W rękach trzymał gitarę.

– Haśka! Haśka! – krzyknął i zrobił krok w stronę budynku.

Ale ona nie odpowiedziała, nie mogła przez ściśnięte gardło, przez łzy, których miała pełne oczy. Otarła je wierzchem dłoni, bo rozmazywały jej cały widok, a ona chciała mieć pewność, że on tam naprawdę stoi.

– Czy może pani poprosić Haśkę? – Jurek znów krzyknął i zaczął pobrzękiwać na gitarze. – Haśka! Jakiś wariat z harmonią na dole cię woła – dorzucił i Haśka, słysząc to, mimowolnie się uśmiechnęła.

Rozpoznała. Ich Troje, czasem jej śpiewał ich piosenki, a to Haśka, zamienione z oryginalną Kaśką, to był ich ulubiony fragment. Pasował jak ulał. A Jurek spojrzał, jeszcze bardziej zadarł głowę i zaczął śpiewać w takt granej melodii:

Zadzwoiłem w środku lata
Choć minęły już dwa lata
Ty nadal nie odzywasz się
Dziś ten list ci napisałem
Lato zbliża się więc chciałem
Powtórzyć tobie jeszcze raz, to co wtedy.

Nagle zamilkł, przestał grać i chociaż stał daleko, Haśka była pewna, że poważnie, a w jego najpiękniejszych brązowych oczach zapalają się ciepłe płomyki.

– To był żart, Haśka, bo wiesz, jak to ze mną jest, szczególnie gdy jestem potwornie zdenerwowany. I nie wiem, czy zaraz nie spadnie mi na głowę coś ciężkiego...

– No, chłopie, masz coraz większe szanse – ku zdumieniu Haśki odkrzyknął jakiś męski głos z góry. – Lepiej śpiewasz, niż gadasz, dawaj – zachęcił go.

Jurek nawet nie rzucił okiem, kto go tak zachęca. Nie spuszczał oka ze stojącej wciąż nieruchomo Haśki. A potem popłynęła melodia. Tym razem ta właściwa, i to nie był tekst Ich Troje, tylko zupełnie coś innego. Haśka słyszała jak przez mgłę, że w kamienicy, nad nią i pod nią, otwierają się kolejne okna, widziała, jak z domu naprzeciwko zaczynają wyglądać ludzie, jak wokół stojącego na podwórku chłopaka gromadzi się coraz większy tłum. A on, tego była pewna, patrzył tylko na nią i przy tych wszystkich przypadkowych słuchaczach, przy akompaniamencie gitary, wśród spadających płatków śniegu, który właśnie zaczął prószyć, wyznawał jej miłość:

Bo widzisz w życiu tak już jest
Że nie da się powiedzieć wszystkiego
Można napisać piosenkę czy wiersz
I namalować kolejne straszidło
Bo w życiu tak już jest
Że o miłości mówimy bez końca
Choć i powiedzieć się nie da też
Jak naprawdę się kocha...
Kochaj mnie
Nie pytaj o sens
Nie pytaj o przyszłość
Kochaj mnie
Nawet gdy nam nie wszystko wyszło...

– jego głos niósł się przez podwórka, odbijał się echem i rósł w siłę.

Kocham cię

Nie pytam o sens

Nie pytam o przyszłość

Kocham cię

Nawet gdy nam nie wszystko wyszło...

– zaśpiewał raz jeszcze, nieznacznie zmieniając słowa, a jednak dla niej to była ogromna zmiana.

Bo widzisz w życiu tak już jest

Że o cierpieniu mówimy co chwilę

I czym jest ból, a któż to wie

Choć ran nosimy już tyle

Bo w życiu tak już jest

O samotności mówiąc tracimy słowa

Choć w tłumie znajdziesz ją przecież też

I samotność we dwoje...

Kochaj mnie

Nie pytaj o sens

Nie pytaj o przyszłość

Kochaj mnie

Po prostu kochaj.

Zakończył i przez moment panowała cisza, a potem posypały się brawa.

– Hej, cokolwiek zrobił, musisz go wpuścić – zawołała jakaś dziewczyna i zamachała do niej ręką. – Przynajmniej ja bym wpuściła.

– Musisz, bo inaczej będzie tu rzępolił przez całą noc – odezwał się męski głos z góry, w którym przebrzmiewała jednak sympatia.

W tym momencie Jurek zarzucił gitarę na ramię i nie spuszczać oka ze stojącej w oknie dziewczyny, poszedł w kierunku wejścia do kamienicy.

Haśka nie czekała dłużej, zatrzasnęła okno i pobiegła do przedpokoju, przyciskając rękę do walącego jak oszalałe serca. Po chwili rozległ się

dźwięk dzwonka, a ona jak w zwolnionym tempie sięgnęła do klamki i powoli otworzyła drzwi.

– No to co, wpuścisz mnie, dziewczyno? – zapytał i w tym momencie zobaczyła, że jego oczy wypełniają się łzami. – Haśka, myślałem, że już nigdy cię nie odnajdę – dorzucił i nie czekając na jej decyzję, wszedł do przedpokoju, odstawił gitarę i delikatnie, tak jakby bał się, że jeżeli zrobi to gwałtowniej, to ona się rozleci, rozpadnie na tysiąc kawałków, wziął ją w ramiona.

A potem stali tak długo, bardzo długo, nie mogąc się sobie nadziwić. Że znów są razem. Że nie potrzebują słów, że serca im biją w tym samym rytmie. Gdy odnalazł jej usta, poczuł, że są słone. Jak morze, nad które miał ją zabrać, jak słony karmel w lodach, jak łzy, których przez te wszystkie miesiące nie brakowało.

– Haśka – wyszeptał – ja ci to wszystko muszę wyjaśnić. Ja ci to chcę wyjaśnić – dorzucił, a ona bez słów wyplątała się z jego objęć i zaprowadziła go do kuchni.

Tak naprawdę jeżeli miałyby zrobić to, o czym marzyła, zaprowadziłby go do pokoju. Ale jeszcze nie była pewna, jeszcze chciała usłyszeć, co ma jej do powiedzenia.

Usiadł przy kuchennym stole, przystojny, wytęskniony, bardziej dorosły i na pewno bardzo, ale to bardzo poważny.

– Tylko mi nie przerywaj – powiedział – bo potem nie wiem, czy będę umiał to powiedzieć tak, jak bym chciał... – Z zakłopotaniem zmierzwił dłonią włosy. – Wtedy gdy między nami wszystko się skończyło, gdy ukradłem ten nieszczęsny pierścionek, a ty mnie wyrzuciłaś, poczułem się głupi jak nigdy. Tak naprawdę to Andrzej wyskoczył z tym filmikiem o wiele za wcześniej, dureń. – Jurek pokręcił głową. – Bo ten pierścionek, ta kradzież to miał być dowód miłości do ciebie. Czekaj, nie przerywaj. –

Machnął ręką, widząc, że dziewczyna otwiera usta, żeby coś wtrącić. – Bo ja muszę to powiedzieć do końca. Tak, to miał być dowód miłości i tego, że to twoje durne pochodzenie, to, że nie masz pieniędzy, że... No, że to nie ma znaczenia, że ja będę z tobą na każdych warunkach, że wcale nie jestem taki super, że to, iż mam kasę, nie znaczy, że nie mogę zrobić czegoś głupiego... No wiem, jak to brzmi, sam to słyszę, ale wtedy wydawało mi się to doskonałym pomysłem. – Wzruszył ramionami. – Tym lepszym, że po paru głębszych. A potem, gdy mleko się rozlało, dotarło do mnie, jakim idiotą byłem. I postanowiłem ci udowodnić, tym razem tak na poważnie, że umiem o ciebie zawalczyć, naprawić swoje błędy. I to sam, a nie z pomocą pieniędzy rodziców.

– I dlatego, żeby mi to udowodnić, zniknąłeś? – Uniosła wysoko brwi.

– No poniekąd tak, ale tak naprawdę, Haśka, nie ja zniknąłem, tylko ty!

– Ja? – Spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

– Tak, ty. Ja wyjechałem, nic ci nie mówiąc, to prawda. Postanowiłem znaleźć pracę i sam zarobić. Wiedziałem, że przy rodzicach będzie trudno, bo w końcu któraś ze stron by nie wytrzymała, ja albo oni. A tak, za granicą, byłem zdany sam na siebie. Ojciec to nawet był ze mnie dumny...

– To on wiedział? – Michalina spojrzała na niego zdumiona.

– Wiedział i on, i mama. Ty też miałaś wiedzieć! Naprawdę myślałaś, że zostawiłbym cię bez słowa wyjaśnienia, że bym zniknął?

– Cóż, przez ostatnie miesiące chodziło mi coś podobnego po głowie – mruknęła. – Ale w takim razie dlaczego?

– Bo to ty mi zniknęłaś! Pisałem do ciebie. Najpierw takie było założenie, że piszę. Zresztą wpadłem na ten pomysł, bo cały czas miałem ten list od ciebie. Ten o deszczu. I pomyślałem, że na piśmie łatwiej jest wszystko klarownie wyjaśnić. Wyjechałem, wynająłem mieszkanie i od razu wysłałem do ciebie pierwszy list. Zresztą mam je wszystkie co do

jednego, wielki stos listów. Potem dam ci je do przeczytania... Chciałem, żebyś do mnie przyjechała, przecież po to było to mieszkanie, żeby cię stąd wyrwać...

– Poczekaj... Ale jakim cudem, skoro go wysłałeś, teraz go masz? Ten list – przerwała mu Haśka i zmarszczyła brwi.

– Bo wrócił nieotwarty. Tak samo zresztą jak wszystkie inne – powiedział Jurek, kładąc rękę na jej dłoni. – Nikt ich nie odbierał. Potem poprosiłem moją mamę, żeby poszła i zobaczyła, co się z tobą dzieje. Ale stworzył jej ten skur... – Jurek zmełł w ustach przekleństwo. – I powiedział, że już tam nie mieszkasz. Zapadłaś się pod ziemię...

– Ale ja przecież dzwoniłam do Andrzeja, pytałam go, co z tobą – do Haśki zaczynała powoli docierać okrutna prawda.

– Andrzej nie mógł ci nic powiedzieć, bo naprawdę nie wiedział. To był jeden z moich celów... Wyrwać się trochę z tego towarzystwa, oni przecież by nie odpuścili. Namawialiby mnie, żebym wrócił, i tego się nie obawiałem, umiałem powiedzieć nie, ale oni na pewno by chcieli mnie odwiedzać. A wiesz, jak to z nimi było.

– No wiem, piwko albo coś mocniejszego i hulaj dusza, piekła nie ma – uśmiechnęła się.

– A ja już tak nie chciałem. Chciałem udowodnić, że potrafię być dorosły. Chciałem, żebyś miała bezpieczny dom, dom, który razem stworzymy. Nie chciałem już mówić „ja”, chciałem mówić „my”. Nie chciałem bezwolnie patrzeć, jak ten skurwysyn się nad tobą znęca. W każdym razie z tego udowadniania i z moich planów wyszło tyle, że nagle znalazłem się w patowej sytuacji. Podpisałem umowę o pracę, kara za zerwanie była ogromna, nie mogłem tego, ot tak, zostawić, a ciebie nie było. Nie mogłem wrócić, żeby cię szukać, choć byłem kilka razy na weekendy, chodziłem pod twój dom, ale nigdy cię nie spotkałem. Mimo to

cały czas wysyłałem listy. Nawet mam napisany taki specjalny, na nasze pierwsze spotkanie, chciałem ci go wręczyć, potem jednak pomyślałem, że to by było słabe. Że jeżeli się z tobą spotkam, to sam ci powiem... Ale to za chwilę... Bo teraz powiedz mi, Haśka, gdzie ty byłaś? Co się z tobą działo, co się wydarzyło, że skontaktować się z tobą można tylko przez jakąś obcą dziewczynę? Miłą, to fakt, ale zanim dała mi ten adres, poddała takiemu przesłuchaniu, że... Sam nie wiem. – Pokręcił głową.

– Co się działo? No cóż... Długo by opowiadać. Rzeczywiście zniknęłam. Musiałam uciekać. Wiesz co, ale zanim ci cokolwiek powiem, chodź ze mną. – Wstała od stołu, chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Otworzyła przed nim drzwi pokoju z baldachimem i zapaliła małą lampkę stojącą na stoliku przy drzwiach. W jej łagodnym świetle patrzyła, jak Jurek ze zdumieniem podchodzi do łóżeczka, jak pochyla się nad leżącą w nim dziewczynką i jak uważnie jej się przygląda.

– To jest Tosia – wyszeptwała, zdenerwowana przedłużającą się ciszą.

„Jeżeli zapyta, czy jest jego, to chyba tego nie zniosę i go wyrzucę” – pomyślała, czując nagłe dławienie w gardle.

Ale nic takiego się nie stało, bo Jurek najpierw nieśmiało, jakby nie dowierzając, wziął małą rączkę w swoją dłoń i pogładził ją kciukiem, a potem podszedł do Haśki i wziął ją w objęcia.

– Wygląda na to, że ma moje usta, a twój nos – szepnął, przytulając dziewczynę mocno do siebie. – Antonina, Tosia, moja córeczka – szepnął. – Haśka, wiesz, że ja cię kocham. I że ją będę kochał? I że za nic, za żadne skarby świata nie dam wam nigdzie odejść? Już nigdy?

– To dobrze, Jurek – odszepnęła. – To bardzo dobrze, bo ja się nigdzie nie wybieram... No, może tylko tam gdzie ty – dodała i tym razem to ona odszukała jego usta.

Kolejny dzień minął niepostrzeżenie. Wśród dźwięków kołęd, zapachów pieczonych pierników, pakowania ich w puszki, sprzątania wciąż na nowo zabałaganiającej się kuchni. Biegania po zapomniane sprawunki. Tyle tylko, że Haśce w ciągu tak krótkiego czasu jakby ktoś dodał skrzydeł. Szczęście aż od niej promieniało. I tak nadszedł grudzień, dzień dwudziesty drugi.

DWUDZIESTY DRUGI GRUDNIA



Nela stała w salonie i przyglądała się postawionemu tam aniołowi przywiezionemu z Malowniczego. Wyglądał tak, jakby po długiej podróży wrócił do domu. Zresztą jej anioł też sprawiał wrażenie zadowolonego, Neli nawet wydawało się, że oczy mu zabłyśły wielkim szczęściem.

– No i w końcu będzie tak, jak powinno być – powiedziała do Haški i Michaliny, które stały obok. – Tak jak za dawnych lat staną po obu stronach choinki: jeden zawadiaka, myślący tylko o tym, co tu jeszcze można by nawywijać, i drugi, wiecznie w pogotowiu, żeby chwycić w ramiona to, co tamten swoimi rozwichrzonymi skrzydłami postrąca...

– To niesamowite, to, że właśnie teraz się odnalazł. Po tak długim czasie...

– Widać nastał sezon na odnajdywanie wszelkich zagubionych. – Nela uśmiechnęła się i zerknęła na Haškę spod oka. – Mój zagubiony anioł jest tylko jednym z tych, którzy przepadali i nagle się pojawili. Nie mogę sobie darować, że mnie nie było, jak ten twój cały Jurek się tu zjawił! Człowiek wyjedzie za ledwie na jeden dzień i proszę! To, co najlepsze, go omija! A skoro już jesteśmy przy temacie, to wybij sobie z głowy, dziewczucho, że ja cię tak do niego puszczę! I to na Wigilię! Najpierw to ja go muszę porządnie obejrzeć, tego amanta ze skłonnościami do rozwiewania się w sinej dali...

– Nelu, daj jej spokój, Haška dostała zaproszenie od jego rodziców i rozumie się samo przez się, że pójdzie. W końcu czas najwyższy, żeby dziadkowie poznali wnuczkę – wtrąciła się Michalina. – I nie będziesz nikogo oglądała, to nie jest koń na targu. Byłoby niezręcznie, a poza tym to ja tym razem dokonałam wstępnej oceny i zapewniam cię: Jurek ci się spodoba. Dodatkowo jest dobrze wychowany, więc na pewno ma wpojony

szacunek wobec starszych i zanim zrozumie, że nie ma wyboru i że jeżeli chce przeżyć, musi bez względu na twój wiek zacząć ci się odgryzać, to będziesz miała spore używanie – umiejętnie rzuciła przynętę.

– Nie powiem, żebyś czuła się w pełni usatysfakcjonowana, ale niech będzie. Zresztą nie mogę przecież nikogo siłą trzymać, szczególnie że idziecie do jego rodziców, bo do niego samego bym cię jednak nie puściła! – wymruczała Nela, w końcu musiała przecież mieć ostatnie słowo, i zajrzała do siatki, którą przytargała ze sobą Michalina. – Dobrze, że kupiłaś mak, zaraz idziemy do kuchni i będziemy go moczyć, kręcić i robić makowce... A swoją drogą, to kiedy nastąpi ten szczęśliwy dzień, gdy twój Jureczek nas odwiedzi? – zwróciła się do Haški. – Mam nadzieję, że to będzie jeszcze w święta.

– No właśnie myślałam o pierwszym dniu świąt... Tylko że ja mam kłopot... – Dziewczyna zawiesiła głos i spojrzała niepewnie na Nelę.

– No mów – ponagliła ją starsza pani zniecierpliwiona. – Skoro jest problem, to nie należy o nim milczeć, tylko go rozwiązać.

– Bo widzi pani, a właściwie, widzicie – zwróciła się również do Michaliny. – Wczoraj zadzwoniła do mnie mama i powiedziała, że chce się ze mną zobaczyć. Że już oznajmiła Edwardowi, że pierwszego dnia świąt wychodzi, i wyobraźcie sobie, że on nic nie odparł, tylko podobno poczerwieniał, potem zbladł, a następnie stwierdził, że oczywiście rozumie! Jak mi mama o tym powiedziała, to pomyślałam, że Edwarda ktoś musiał podmienić i że to jest prawdziwy cud! Kolejny. Tylko że ja nie mam gdzie jej zaprosić. No, chyba że na ten mój strych...

– Oszalałaś, głupia dziewucho? – przerwała jej zirytowanym tonem Nela. – Przecież u nas przy stole starczy miejsca dla każdego. A z tymi cudami to chyba rzeczywiście rozpruł się worek.

Słyszając to, Michalina podniosła się, podeszła do okna i zapatrzyła się na ośnieżone korony drzew. Nie chciała, żeby Nela i Haśka zauważyły, że posmutniała. Cieszyła się, że tak pięknie się wszystko ułożyło. Że Jurek wrócił, że Haśka nie będzie już sama i że uda jej się spotkać z mamą. Ale nic nie mogła poradzić na to, że w takich momentach czuła ogromną tęsknotę. Za nieżyjącą babcią i mamą, za swoim przyrodnim braciszkiem Wojtusiem, którego jej macocha nie pozwalała jej widywać. Za ojcem, który nie miał dość silnego charakteru, żeby jej się przeciwstawić i zawalczyć o córkę i wnuczkę. Po pierwszym zrywie i buncie znów dał się wziąć pod pantofel i Klarę widział tylko raz.

„Tak to już jednak jest – pomyślała, zagryzając wargę. – To jest też istota Bożego Narodzenia. Radość, wdzięczność, bycie razem, ale i tęsknota za tymi, którzy odeszli na tę drugą stronę. Ale również tymi, którzy woleli i wolą być daleko. Trzeba się z tym ułożyć”. – Odwracając się, złowiła spojrzenie anioła Klary. I nie wiedzieć czemu, zrobiło jej się lepiej. Tak jakby tym wzrokiem anioł podniósł ją na duchu, jakby pogłaskał ją po posmutniałym nagle sercu. Podeszła do niego i ukradkiem pogładziła go po obitym skrzydle.

– Dobrze, że jesteś, że wróciłeś do domu... Kto wie, może za jakiś czas pomożesz odnaleźć drogę do nas również mojemu tacie – wyszeptała, a potem obróciła się do drugiego anioła, który tak jak miał w zwyczaju, spoglądał na nią szelmowsko.

Michalina odruchowo wyciągnęła rękę i przyjacielsko klepnęła go po ramieniu, a potem z uśmiechem pomyślała, że Nela miała rację – jego można było poklepać, w przeciwieństwie do anioła Klary.

„Dwa niby podobne, a jednak tak różne! Ale aniołów nigdy dość – pomyślała rozczulona – szczególnie takich, które mają szerokie skrzydła

stworzone do tego, by zagarniać pod nie tych, którzy tego najbardziej potrzebują”.

Kolejne dwa dni mijały tak, jak zwykły mijać dni poprzedzające Wigilię. W gwarze przygotowań, wśród dźwięków kolęd, w zapachu pierniczków i pomarańczy. W szeleście choinkowych gałęzi, blasku migoczących światełek nastał grudzień, dzień dwudziesty czwarty. Dzień, który rodzi się późnym wieczorem i zostaje z ludźmi na cały kolejny rok. Dzień, w którym nadzieja, wiara i miłość pukają do ludzkich serc i otwierają zamknięte na głucho drzwi.

DWUDZIESTY CZWARTY GRUDNIA



Pierwsza wigilia w domu Michaliny i Konstantego nie różniła się za bardzo od tej, która mogła odbyć się u Neli albo u rodziców Kotuli. Po prostu wszystko toczyło się dobrze znanym, pradawnym rytmem, bo najważniejsze było to, że wszyscy byli razem.

Wszyscy kręcili się wokół stołu nakrytego białym obrusem, donosząc z kuchni coraz to nowe potrawy. Mama Kotuli jak zwykle przypaliła kapustę, co wszyscy skwitowali śmiechem. Gdy już większość talerzy i półmisek trafiła na stół, okazało się, że zapomniano podłożyć pod obrus sianko, i teraz upychano je tam, gdzie najłatwiej się było dostać. A potem gdy zaczęto łamać się opłatkiem, Michalina poczuła, że ma łzy w oczach. Dokładnie tak samo jak rok temu, gdy wydawało jej się, że przy każdym przełamaniu białego, prawie przezroczystego płątka przełamuje własne serce. Teraz też oddawała je tym wszystkim, których kochała. Oddawała je w życzeniach ciepła, miłości i radości. I tego, aby nigdy nie zabrakło nadziei i śmiechu, i łez, ale tylko tych, które płyną ze szczęścia.

– I żebyśmy się kochali – wyszeptał Kotula, mocno obejmując Michalinę. – I tęsknili, gdy się nie widzimy.

– I żebyśmy byli dla siebie całym światem – odszepnęła.

– Świętością świąt i codziennością – musnęła ustami jej wargi.

A potem rozdawano prezenty, podano ciasta i ciasteczka. Nela nałożyła sobie na talerzyk solidną porcję piernika, ale zanim zaczęła go jeść, przyjrzała mu się uważnie.

– Nelu, co ty masz do tego ciasta? – zapytała Michalina, unosząc brwi. – Za każdym razem jak je widzisz, oglądasz je z każdej strony. Coś z nim nie tak?

– No właśnie, wręcz przeciwnie – mruknęła starsza pani. – I strasznie mnie to dziwi... Wszedł przednio. Ale mniejsza o większość, czy ktoś może włączyć kolędy, bo chyba płyta się skończyła...

Po chwili z głośników popłynęła jedna z ulubionych kolęd Michaliny:

Cicha noc, święta noc
pokój niesie ludziom wszem.
A u żłóbka Matka Święta
czuwa sama uśmiechnięta
nad Dzieciątka snem,
nad Dzieciątka snem.
Cicha noc, święta noc.
Pastuszkowie od swych trzód
biegną wielce zadziwieni,
za anielskim głosem pieni,
gdzie się spełnił cud,
gdzie się spełni cud.

I wtedy Michalina popatrzyła na wszystkich siedzących przy stole i stwierdziwszy, że nikogo nie brakuje, uniosła się lekko i potrząsnęła porcelanowym dzwoneczkiem, który dostała od Neli. Rozdźwięczał się perliście i natychmiast skupił na niej uwagę wszystkich.

– Kochani, korzystając z tego, że jesteśmy wszyscy razem, chciałabym coś oznajmić – powiedziała i lekko się uśmiechnęła. – Chciałam powiedzieć, że egoistycznie sprawiłam sobie prezent. Otóż wiecie, jak bardzo lubię malować. W związku z tym, że stworzyłam w ostatnim miesiącu koszmarną ilość koszmarnych bukietów...

– I zarobiłaś na tym koszmarną ilość pieniędzy – wtrąciła Nela ze śmiechem.

– A i owszem, zarobiłam – przytaknęła Michalina. – Otóż wykupiłam sobie kurs malarstwa plenerowego w Toskanii. Wiosną. Ale wynajęłam duży apartament, więc mam nadzieję, że nie pojedę tam sama.

– No oczywiście, że nie, jadę z tobą, jak każdy dobry mąż – uśmiechnął się Konstanty.

– Jedźcie, jedźcie. Zresztą Michalinie się należy, ma talent, powinna go rozwijać – mruknęła Nela, ale głos jej drgnął. – Tylko pewnie zabierzecie Klarę... – dodała, markotniejąc. – Pojedziecie w trójkę...

– Nie, Nelu. – Michalina potoczyła wzrokiem po zgromadzonych. – I właściwie to jest to najważniejsze, co chciałam powiedzieć. Pojedziesz z nami i...

– Naprawdę? – przerwała jej Nela ze szczęściem w oczach. – Pojedziemy razem? W czwórkę?

– No właśnie, nie do końca. – Michalina westchnęła. – Pojedziemy w piątkę – dodała, zawiesiła głos i znacząco popatrzyła na Kotulę, do którego dopiero po chwili dotarło, co właściwie powiedziała jego żona.

– Naprawdę? – Pochylił się i spojrzał jej w oczy.

– Wszystko na to wskazuje. – Uśmiechnęła się i poczuła, jak Konstanty kładzie czule dłoń na jej brzuchu. W tym momencie przy stole wybuchł taki harmider, że trudno było zrozumieć, co kto mówi.

– To chyba znaczy, że się cieszą – mruknął Konstanty, biorąc Michalinę za rękę i całując wewnętrzną stronę jej dłoni.

– Chyba tak – zaśmiała się dziewczyna i pełnym miłości spojrzeniem potoczyła po zebranych.

Śmiejących się, nalewających wina, szykujących się do wzniesienia toastu. Szczęśliwych. Objęła spojrzeniem Nelę, która z oczami pełnymi łez przytuliła do siebie Klarę; rodziców Kotuli, którzy właśnie szli do niej, żeby ją przytulić; i pomyślała, że jest szczęściarą. I że na całe szczęście przy tym stole dla wszystkich starczy miejsca. Dla tego przybysza, który pojawi się za kilka miesięcy – również. I dla Haśki, którą na te święta

porwał Jurek, i dla Tosi, i dla każdego, kto stanie w szeroko uchylonych drzwiach ich domu.

Tymczasem Haśka stremowana stała przed domem Jurka. Mocno zaciskała palce na rączce od wózka i jakoś nie mogła się przemóc, żeby wejść na ganek.

– Kochanie, oni naprawdę na was czekają. – Chłopak spojrział na nią z czułością. – Na nas czekają – dodał i położył rękę na dłoni Haśki.

– Jesteście? – Widać mama Jurka ich usłyszała, bo wyjrzała przez drzwi i zobaczyła tkwiącą pod schodami Haśkę. – Kochanie, są – zawołała w głąb domu, a sama, nie czekając ani na męża, ani na to, co zrobi Haśka, wyszła z domu i podeszła do zdrętwiałej ze strachu dziewczyny.

„To się nie może udać” – pomyślała Haśka z rozpaczą i w tym samym momencie poczuła, jak ramiona kobiety mocno ją obejmują i przytulają. A potem patrzyła, jak razem z mężem, który przyszedł tuż za nią, pochylają się nad wózkiem, a na ich twarzach rozlewa się czułość i rozrzewnienie.

– Witaj w domu, maleńka – wyszeptała mama Jurka. – Obie witajcie – dodała.

– Nie mogliście sobie wybrać lepszego momentu, w końcu są święta, a wy sprawiliście nam najpiękniejszy prezent z możliwych: wróciliście do nas – dorzucił ojciec Jerzego, wyraźnie wzruszony, i w tym momencie Haśka zrozumiała, że nie musi się bać.

Oto na jej oczach stał się prawdziwy cud – ktoś szeroko otworzył przed nią drzwi, za którymi czekało to, za czym najbardziej tęskniła: miłość i nadzieja, i to zwyczajne, najbardziej cudowne życie, o które prosiła wtedy na zimnym przystanku.

Życie z Jurkiem, z Tosią, z jego rodzicami. Z Michaliną, Konstantym, Klarą i Nelą. Życie w ciepłe, z rodziną.

„A jednak – pomyślała, zadzierając głowę i patrząc w niebo, na którym wiatr właśnie rozwiewał ciemne chmury. – A jednak może ja też mam swojego anioła... tylko zwyczajnie musiałam go odnaleźć. Bo przecież anioły też mogą się zagubić”. – Uśmiechnęła się i w tym samym momencie zza chmur wyrzwał księżyc, a obok niego zaśniła pierwsza gwiazdka.

I na świat, jak co roku, przyszła małeńka miłość.



PIERNICZKI NAJLEPSZE NA ŚWIECIE

1 kg mąki pszennej

8 żółtek

3 białka

1,5 szklanki cukru

4 łyżki kakao

200 ml gęstej, kwaśnej śmietany 18%, w temperaturze pokojowej

3 łyżeczki sody oczyszczonej

4 łyżeczki przypraw (2,5 łyżeczki cynamonu, 1 łyżeczka goździków – muszą być zmielone, ja kupuję w Lidlu, nie polecam mielenia w młynku, bo goździki są lepkie i zapychają młynek; jeżeli chcemy je samemu sproszkować, najlepiej użyć moździerza – 0,5 łyżeczki kawy rozpuszczalnej, 0,5 łyżeczki pieprzu), można też zamiast tych przypraw dodać przyprawę do piernika

250 g masła

400 g miodu

Pracę dzielimy na dwa dni.

Pierwszego:

- Kakao wymieszać z mąką.

- Do miodu dodać przyprawę, zagotować, zdjąć z ognia. Dodać masło, poczekać, aż się rozpuści. Całość zostawić i poczekać, aż wystygnie. W śmietanie rozpuścić sodę. Uwaga – śmietana zwiększy swoją objętość.
- Białka ubić na sztywną pianę. Stopniowo dodawać cukier, łyżka po łyżce, cały czas ubijając do powstania gęstej i błyszczącej piany. Następnie dodać żółtka i zmiksować. Tak przygotowaną masę połączyć z mąką i wymieszać. Dodać miód i ponownie wymieszać. Na koniec dodać śmietanę z sodą i znów wymieszać.
- Odstawić przykryte do lodówki. Piec można już następnego dnia, ale równie dobrze ciasto może powstać kolejne dwa, a nawet trzy dni.

Pieczenie:

- Stolnicę posypać mąką, wyłożyć ciasto (może być twarde, ale po chwili zrobi się idealne), rozwałkować dość grubo – około 5 mm – i powycinać ciasteczka.
- Pierniczki wykladać na blachę wyłożoną papierem do pieczenia.
- Piec w temperaturze 180°C przez 10–15 minut. Wyjąć i wystudzić.

SPEKANE CIASTECZKA CZEKOLADOWE (
UWAGA: UZALEŻNIAJĄCE!)

100 g czekolady gorzkiej

100 g czekolady mlecznej

60 g masła

200 g mąki

120 g cukru

szczypta soli

0,5 łyżeczki proszku do pieczenia

2 jajka

- Czekoladę i masło roztopić w kąpieli wodnej. Ostudzić. Jajka ubić z cukrem i szczyptą soli. Następnie dodać mąkę, proszek do pieczenia i czekoladę, zmiksować do połączenia. Ciasto włożyć do lodówki na 2 godziny (u mnie stało całą noc). Wyjąć, uformować z ciasta kulki i schładzać raz jeszcze przez 20 minut. Potem obtoczyć w cukrze pudrze, przekładać na blachę, lekko spłaszczając. Piec w temperaturze 170°C.



A wszystko zaczęło się rok temu, gdy Michalina spotkała na swojej drodze anioła... Poznaj historię, która otula jak ciepły koc, rozgrzewa jak

filiżanka cynamonowej herbaty, a przede wszystkim przywraca wiarę
w ludzi i daje nadzieję.

OSTATNI DZIEŃ LISTOPADA



Był zimny listopadowy wieczór. W powietrzu czuć było zadziwiającą mieszankę zapachów konającej jesieni i nadchodzącej zimy. W mokry chłód wkradła się charakterystyczna nutka, która sprawiała, że wciągając głębiej powietrze, mimowolnie zaczynało się myśleć o pierwszym śniegu, skrzypieniu mrozu pod butami i Bożym Narodzeniu. O tym ostatnim trudno byłoby zapomnieć, nawet gdyby człowiek nie wiem jak się starał. Już paręnaście dni temu, tuż po pierwszym listopada, nie bacząc na to, że na cmentarzach nie wypaliły się jeszcze znicze poustawiane na grobach z okazji Wszystkich Świętych, niemal w każdej witrynie sklepowej pojawiła się bogato udekorowana choinka, a z głośników popłynęły dźwięki kolęd.

Michalina, starając się nie patrzeć na świątecznie przyozdobione wystawy, wlokła się jedną z głównych ulic Warszawy. Na ramionach dźwigała ciężki plecak, a w zgrabiątych dłoniach trzymała duży, niekształtny pakunek. Zatrzymała się na przystanku autobusowym i z westchnieniem usiadła na drewnianej mokrej ławce. Tobołek ułożyła obok siebie, plecak zsunęła z ramion, aby dać wytchnienie zmęczonym plecom. Niestety, tylko przez moment czuła ulgę. Plecak co prawda ciążył, ale w zamian osłaniał ją przed wiatrem. Teraz, pozbawiona tej ochrony,

poczuła, jak pod cienką kurtkę wdziera się przenikliwy listopadowy chłód. Stopy, obute w rozdeptane i uwalane błotem trampki, też zaczęły jej drętwieć z zimna. A przecież w tym roku listopad był bardzo łaskawy...

Co będzie, gdy wyczuwalna w powietrzu zapowiedź mrozu i śniegu stanie się faktem? – pomyślała z przestachem dziewczyna, zarzucając z powrotem plecak na ramiona i biorąc tobołek pod pachę. Teraz ostatecznie mogła się jeszcze przespać w jakiejś zacisznej bramie, ale potem?

– Czas pokaże... – mruknęła, usiłując wykrzesać w sobie choć odrobinę optymizmu. – Tak czy siak teraz trzeba iść...

Nie mogła zostać na nieosłoniętej, smaganej lodowatym wiatrem ławce. Ruszając, przygarbiła się, spuściła nisko głowę i poczuła wzbierające pod powiekami łzy.

No nie, nie teraz. Nie wolno mi się rozklejać – skarciła się w duchu.

Babcia uparcie powtarzała, że nadzieja umiera ostatnia. Ale mówiła też, że Michalina zawsze może na nią liczyć, że przenigdy nie będzie sama. Odkąd pamiętała, to babcia była jej opoką. Dziewczyna pociągnęła nosem i mocniej przytuliła do siebie pakunek.

I co ja mam teraz zrobić z tymi wszystkimi zapewnieniami?

– Babciu jesteś mi cholernie potrzebna – wyszeptała, wznosząc oczy w kierunku ciemnego, zasnutego ciężkimi chmurami nieba. – Obiecałaś, że nigdy mnie nie zostawisz! Daj mi jakiś znak!

W tym samym momencie poczuła na twarzy zmrożone krople. Zaczął padać śnieg z deszczem.

– Jeżeli to jest twoja odpowiedź, to dziękuję ci bardzo! – krzyknęła i dwie ciepłe strużki popłynęły po jej zmarzniętych, zaczerwienionych od zimna policzkach.

Nie mogła już ani powstrzymać, ani opanować łez. Michalina stała na środku chodnika, płacząc rozpaczliwie. Obok niej przechodzili ludzie. Tylko niektórzy popatrywali na nią z zaciekawieniem, być może byli nawet i tacy, którzy poczuli coś na kształt współczucia, widząc wstrząsaną szlochom drobną postać. Ale większość spieszących do swoich pilnych spraw w ogóle nie zwracała na nią uwagi. Mijana, potrącana i przesuwana przez zniecierpliwionych, zabieganych przechodniów poczuła się nieomal niewidzialna i potwornie samotna – tak jak jeszcze nigdy w całym swoim osiemnastoletnim życiu.

Po co ja się tak męczę? – pomyślała z rezygnacją. – Może lepiej by było, gdybym po prostu usiadła tu pod murem kamienicy, zamknęła oczy i zwyczajnie poczekała. Może zdarzyłby się jakiś cud? A jeżeli nie, to może udałoby się po prostu usnąć i mieć wszystko z głowy...

I prawdopodobnie by tak zrobiła, gdyby nie to, że w tym samym momencie jej zamglony łzami wzrok wychwycił majaczący w oddali błysk ognia. Jakaś niewidzialna siła popchnęła ją w tamtym kierunku i już po chwili stała przy piecyku, w którym pełgały żółte płomyczki. Z mimowolnym westchnieniem ulgi położyła paczkę na ziemi i wyciągnęła zziębnięte ręce do buzującego, obezwładniającego ciepła. Z miejsca zrobiło się jej lepiej. Przybrudzonym rękawem kurtki wytarła mokre oczy.

– No już, daj spokój, nie możesz się teraz poddać – szepnęła. – Jeśli wiara czyni cuda... – Skrzywiła się, czując, że tu jednak przesadziła.

Jaka wiara? Jakie cuda? Wszystko to bajki dla naiwnych.

A to, że jakieś uczynne ręce akurat w tym momencie wystawiły przed budkę – tu rozejrzała się wokół siebie i stwierdziła, że stoi przed malutką kwiaciarnią – piecyk, to tylko przypadek i nic więcej. Pewnie gdyby nie była tak zmęczona, przypomniałaby sobie, co w takich sytuacjach mówiła

babcia Hela. Że w życiu nic nie dzieje się przypadkiem. Wszystko jest po coś. I to coś, gdy przyjdzie czas, się objawi.

A początek cudu nie musi być spektakularny. Czasem przyjmuje postać ciepłego gazowego pieca i płonącego w nim ognia.

Gabrysia poczekała, aż Kochanieńki zniknie jej z pola widzenia, i wyszła na zewnątrz. Z miejsca wokół jej postaci owinał się lodowaty podmuch listopadowego wiatru. Dziewczyna wciąż stała przy ogniu. Oczy miała przymknięte i cichutko nuciła jakąś melodię. Kwiaciarka przystanęła za jej plecami i przez moment słuchała. Zdawało jej się, że zna tę piosenkę. Na pewno było to coś świątecznego, wzruszającego i smutnego zarazem. Kolęda? Pastorałka? I gdy już miała wrażenie, że rozpoznaje utwór, dziewczyna wyczuła jej obecność i gwałtownie się obróciła. Znienacka urwana melodia zawisła pomiędzy nimi: starszą, ciepło ubraną, z siateczką drobnych zmarszczek wokół oczu, i młodszą, bladą, przemarzną i zrezygnowaną.

Gabrysia, widząc tę wychudzoną buzię, z której patrzyły ogromne szaroświatliste oczy, poczuła na plecach dreszcz niepokoju. Nie wiedzieć czemu, spojrzenie przepełnione smutkiem, cienie pod oczami, opuszczone kąciki ust z miejsca skojarzyły jej się z szopkową figurką Marii. Tak jakby gipsowa postać postanowiła objawić się w twarzy stojącej przed kwiaciarnią dziewczyny. Gabrysia wstrząśnięta tym skojarzeniem nie mogła wydobyć głosu z zaciśniętego gardła.

Michalina zrozumiała jej milczenie na swój sposób.

– Już sobie idę – powiedziała schrypniętym głosem. – Chciałam tylko trochę się ogrzać. Ale pewnie odstraszałam pani klientów – dodała z westchnieniem. – Ten pan, który wychodził z takim wielkim bukietem, coś do mnie krzyczał, ale nie słyszałam co. Teraz już wiem i znikam...

– Właśnie między innymi dlatego tu jestem. – Gabrysia w końcu odzyskała głos. – Ten pan prosił, żebym ci to od niego dała. – Wyciągnęła rękę i wsunęła w drobną i chłodną dłoń dziewczyny kilka banknotów. –

Spieszył się i nie mógł sam podejść... Pewnie krzyczał, żebyś nigdzie nie odchodziła – skłamała gładko i ku swojemu zaskoczeniu poczuła ogromną satysfakcję.

Prawda była taka, że Kochanieńki zapłacił za bukiet więcej, niż wyszło z początkowych obliczeń kwiaciarki. Słyszając ten cały bezduszny wykład o mądrości natury i o eliminacji słabszych osobników, Gabrysia nie mogła się powstrzymać i doliczyła do rachunku okrągłą sumkę za straty moralne. W końcu nikt jej nie pytał, czy chce tego wszystkiego słuchać. A Bóg jej świadkiem, że nie chciała. Na samą myśl o tym, jaką minę zrobiłby mężczyzna, gdyby się dowiedział, że zostawił pieniądze dla tej dziewczyny, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – pomyślała.

Pan Kochanieńki nawet nie ma pojęcia, że dziś na jego konto zapisano dobry uczynek. Bo jeżeli chodzi o nią, Gabrysię, to niestety nie miała wątpliwości, że jej sumienie zostało właśnie poważnie obciążone. Po pierwsze, okłamała i ograbiła własnego klienta. Po drugie – wprowadziła w dobrą wiarę, ale jednak – okłamała stojącą przed kwiaciarnią dziewczynę. Po trzecie, o dziwo, nie żałowała tego ani odrobinę.

– Ale jak to? To dla mnie? – Dziewczyna z niedowierzaniem patrzyła na pieniądze. – Ten pan wyglądał na zagniewanego... Jakby mnie nie lubił.

– Nie każdy może wyglądać dobrodusznie, nawet gdy serce ma ze złota – obłudnie stwierdziła Gabrysia. – A ty z kolei wyglądasz na przemarznąętą. Posłuchaj... Właściwie jak masz na imię?

– Michalina – powiedziała, spuszczaając oczy i wbijając wzrok w czubki brudnych, rozdeptanych trampek.

– W takim razie, Michalino, chcesz wejść do mnie na herbatę? Właśnie zagotowałam wodę...

I nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po tobołek leżący na ziemi. Coś jej mówiło, że nawet jeżeli dziewczyna nie będzie chciała pójść za nią, to z całą pewnością nie zostawi swojego pakunku. Trudno było nie dostrzec, że cały czas ma go na oku. Widać miała tam coś ważnego.

Idąc w kierunku uchylonych drzwi kwiaciarni ukradkiem zerknęła przez ramię i zobaczyła, że w ogromnych szarych oczach Michaliny lśni niedowierzenie. Gabrysia pomyślała, że gdyby mogła przejrzeć się w lustrze, we własnym spojrzeniu zapewne zobaczyłaby to samo. Bo wprawdzie nie zgadzała się z Kochanieńkim i całym sercem żałowała ludzi, których życie sprowadziło na manowce i tam porzuciło na pastwę losu, ale nawet przez moment nie planowała zapraszania tej małej do siebie. Chciała jej po prostu dać pieniądze, te podstępem zdobyte od Kochanieńskiego i te od siebie, i w ten sposób zagłuszyć wyrzuty sumienia. Tymczasem wyszło, jak wyszło. Może tak zadziałała nucona przez Michalinę melodia? A może to zadziwiające podobieństwo do gipsowej Marii? Tak czy siak, Gabrysia, wchodząc do kwiaciarni i kładąc na stole zabłocony tobołek, czuła, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by dowiedzieć się o swoim zabiedzonym gościu jak najwięcej. Nie miała pojęcia, skąd wzięła się u niej ta ciekawość. Do tej pory hołdowała zasadzie, że nikogo nie należy skłaniać do zwierzeń.

Cóż, od każdej reguły zdarzają się wyjątki – pomyślała, stawiając przed sobą dwa błękitne kubki ozdobione podobizną rozkosznie roześmianych dzieci siedzących na kolanach równie szczęśliwych rodziców. Po chwili jednak ukradkiem wymieniła je na inny zestaw. Czerwonych w kropki. Zerkając bowiem na przycupniętą na brzegu krzesła drobną postać, doszła do wniosku, że sielankowe rodzinne obrazki nijak tutaj nie pasują. Nie trzeba było być jasnowidzem, żeby wiedzieć, że cokolwiek wydarzyło się w życiu tej dziewczyny, to z całą pewnością dalekie to było od ciepła i beztroski. A Gabrysia w żaden sposób nie chciała kłuć jej w oczy czymś,

za czym być może tęskniła. Nawet jeżeli to coś było tylko obrazkiem namalowanym na kubeczku.

– Przepraszam, nie zapytałam, czy przypadkiem nie masz ochoty na kawę, i z rozpędu zrobiłam ci to samo co sobie – powiedziała, postawiwszy przed Michaliną parujący kubek i talerz z kruchymi ciasteczkami. – Mam nadzieję, że lubisz cynamonową herbatę – dodała, żałując, że nie ma niczego konkretniejszego do jedzenia.

Mogła wprawdzie wyskoczyć do pobliskiej cukierenki, sprzedawali tam pyszne drożdżówki, ale nie chciała zostawiać dziewczyny samej. Po pierwsze, istniała realna możliwość, że mała po prostu, korzystając z okazji, zabierze swój tobołek i zniknie, po drugie, Gabrysia za nic nie zostawiłaby jej sam na sam z otwartą kasą. A przecież nie mogła przy niej wyjąć pieniędzy i zabrać ich ze sobą. Byłoby to ostentacyjnie niegrzeczne. Michalina nie wyglądała na złodziejkę, lecz Gabrysia żyła już na tym świecie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że pozory mylą, a ludzie są mistrzami kamuflażu. Wolą nie ryzykować.

Przynajmniej się zagrzeje, a coś konkretniejszego kupi sobie za pieniądze, które jej dałam – pomyślała.

– No to co, lubisz ten cynamon czy raczej nie przepadasz? A może wolałabyś kawę? – uśmiechnęła się, sięgając na górną półkę, gdzie trzymała cukiernicę z obtłuczonym uchem.

– Lubię. A kawy ostatnimi czasy nie pijam – odpowiedziała krótko dziewczyna i rzuciła Gabrysi nieufne spojrzenie. – Czemu pani to robi? – zapytała po chwili. – Jeszcze trochę i zacznę wierzyć, że ta kwaciarnia to taka odmiana złotej rybki albo stoliczka nakryj się... Najpierw ten gość, który – mogłabym przysiąc – najchętniej przegoniłby mnie na cztery wiatry, zostawia mi pieniądze, potem pani zabiera mnie do środka, ogrzewa

i częstuje herbatą... Podaje cukier w porcelanie... I to komu? Brudnej, oberwanej żebraczce?

– A rzeczywiście czujesz się brudną, oberwaną żebraczką? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie... – Michalina pokręciła głową po chwili zastanowienia. – Nie czuję się. Ale nią jestem. Myślę, że gdy zacznę się nią czuć, tak na sto procent, wie pani, gdy nie będę miała wątpliwości, że to już tak na zawsze, to wtedy będzie znaczyło, że nie ma dla mnie ratunku. Że dłużej nie będę walczyć. Ani o siebie, ani o nas. – Tu bezwiednie pogładziła leżący na stole zabłocony pakunek, a Gabrysia poczuła przebiegający jej po plecach dreszcz niepokoju.

Co ona, na litość boską, tam ma? – pomyślała, czując narastający strach. Mówi o tym jak o czymś żywym, ale to niemożliwe, bo zapakowane jest szczelnie i jakieś takie to ciężkie i nieporęczne... A jeżeli to wariatka? Psychopatka, która niesie tam rozczłonkowane ciała swojej rodziny? I za chwilę i moje szczątki do nich dołączy?

– Dzisiaj było już bardzo blisko tego, żebym się poddała – wdarł się w jej spanikowane myśli spokojny głos Michaliny. – Ale ten ogień przed kwiaciarnią i pani mnie uratowaliście. Dawno temu znałam kogoś, kto wierzył, że każdy ma swojego anioła i ten anioł dba o to, żeby w odpowiednim czasie na drodze człowieka, którym się opiekuje, stawali właściwi ludzie. Tacy ziemscy, nieświadomi niczego anielscy wysłannicy. Można by rzec, taki ziemski anioł sezonowy. Bo za każdym razem mógł to być ktoś inny. I jeżeli to jest prawda, to pani właśnie stała się pierwszym aniołem, którego spotkałam w tym roku.

Uśmiechnęła się blado, a Gabrysia zaczerwieniła się zawstydzona swoimi wcześniejszymi podejrzeniami.

Ktoś, kto tak ładnie mówi i wierzy w anioły, chyba nie może być psychopatyczną morderczynią – pomyślała.

– No wiesz, biorąc pod uwagę twój wiek, to chyba nie mogłaś tego kogoś znać aż tak bardzo dawno temu – powiedziała i zachęcająco przesunęła talerzyk z ciasteczkami w stronę dziewczyny. – Ile ty masz lat? Szesnaście, siedemnaście? – zagadnęła niby lekko, ale w środku aż cała zastygła w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie jest pani stworzona na szpiega. Agent zero zero siedem nieźle by się ubawił, widząc takie nieudolne podchody – roześmiała się dziewczyna i ten śmiech nieoczekiwanie sprawił, że w oczach zamigotały jej świetliste iskierki, a cała buzia wygładziła się i złagodniała.

Na moment znikły czujność i napięcie, które było widać w całej drobnej postaci. Gdyby nie brudna i cienka kurtka Michaliny, Gabrysia mogłaby uznać, że to jedna z tych beztroskich dziewcząt, które często widywała przez okna swojej kwaciarni, wpadła do niej na herbatę. Ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. I Michalina znów spoważniała.

– Nie musi się pani obawiać, skończyłam już osiemnaście lat – powiedziała, sięgając po ciastko. – W marcu, w przyszłym roku skończę dziewiętnaście, więc jestem pełnoletnia i mogę robić to, co chcę. A zatem nie pakuje się pani w kłopoty, wchodząc w konszachty z nieletnią pannicą, która uciekła z domu... A jeżeli chodzi o to, o czym wspomniałam... Że to było dawno temu. To proszę mi uwierzyć, że tak właśnie jest. To było tak dawno, że aż wydaje się nieprawdziwe. W zupełnie innym życiu, za siedmioma górami, za siedmioma rzekami... – Zamilkła i przymknąwszy oczy, oplotła dłońmi gorący kubek.

Gabrysia, patrząc na nią, poczuła napływające ogromnymi falami współczucie. W geście dziewczyny było tyle bezradności i tęsknoty, że

serce kobiety ścisnęło się z bólu. A opuszczone powieki miały ukryć łzy, które zaczęły napływać do oczu skulonej dziewczyny.

Kwaciarka taktownie odwróciła się, udając, że poprawia bukiety w stojących na podłodze kubekach. Może i nie była wykwalifikowanym szpiegiem i nie nadawała się na Jamesa Bonda, ale i bez tego dowiedziała się całkiem sporo. Na przykład stało się dla niej jasne, że Michalina, bez względu na to, czy mówiła prawdę o swoim wieku, uciekła z domu. I była też pewna, że dziewczyna bardzo tęskni. Za tym innym życiem, o którym wspomniała.

Jaką krzywdę musiano wyrządzić temu dziecku, że lepsze wydają jej się zimno, brud, chłód i samotność? – zapytała się w duchu.

I szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziała, czy jest gotowa poznać szczegółową odpowiedź na to pytanie. Ale zanim się zdecydowała, czy i jak ma ewentualnie pociągnąć dziewczynę za język, ta wstała, podeszła do parapetu i pochyliła się nad stojącą na nim szopką. Wnikliwie przyglądała się każdej figurce i w pewnym momencie pieszczotliwie pogłaskała obtłuczone skrzydła anioła. Tym razem Gabrysi to nie przeszkadzało. Czym innym były pulchne i niemające krzty wycucia łapy Kochanieńkiego, a czym innym drobne dłonie Michaliny.

– Piękna rzecz – powiedziała dziewczyna z błyskiem w oku. – Taki zupełny brak kiczu. Prawdziwa świąteczność. Patrząc na te figurki, można naprawdę zacząć tęsknić za Bożym Narodzeniem. Nawet jeżeli się tego nie chce... – urwała w połowie zdania, jakby zdając sobie sprawę z tego, że już powiedziała stanowczo za dużo. – Te uszkodzone skrzydła... Można by było je naprawić – szybko zmieniła temat. – Jakby pani znalazła dobrego fachowca, to nie byłoby nawet śladu.

– Znasz się na tym?

– Ciągłe się jeszcze uczyć – odpowiedziała z uśmiechem. – Tak ponoć zawsze mówił Michał Anioł – dodała wyjaśniająco. – A że mam imię właśnie po nim, to uważam, że mogę podeprzeć się jego słowami... A skrzydła naprawdę można naprawić. Niech pani o tym pomyśli.

– Pomyślę – obiecała, coraz uważniej przyglądając się dziewczynie. – Zrobię ci jeszcze jedną herbatę. I wiesz co? Do zamknięcia zostało jeszcze trochę czasu. Może tu ze mną zostać?

– Nie chciałabym przeszkadzać – w głosie dziewczyny nie było słyhać przekonania.

– Nie przeszkadzasz. Zresztą widzisz, że ruch u mnie raczej niewielki. Ale żebyśmy były kwita, to mam taką propozycję... – Gabrysia zerknęła na nią spod oka. – Najgorsze, co może być, to czuć się skrępowanym w czyjejś obecności. My się jeszcze zbyt dobrze nie znamy, więc pewnie będzie nam się trudno razem milczało, choć mam nadzieję, że dojdziemy i do tego etapu, że brak rozmowy nie będzie nam przeszkadzał. Ale teraz... Co powiesz na opowieść za opowieścią? Ja ci opowiem historię tej szopki, a potem ty mi się czymś zrewanżujesz. Zgodna?

– Czemu nie. – Michalina wzruszyła ramionami. – Ale nie obiecuję, że będę mówiła prawdę...

– Nikt od ciebie tego nie wymaga – powiedziała Gabrysia zadowolona, że dziewczyna połknęła haczyk.

Była dobrym obserwatorem i wiedziała, że cokolwiek usłyszy od Michaliny, to w dużej części będzie to prawdziwa historia dziewczyny. Kwiaciarka miała świadomość, że niektóre rzeczy, te najtrudniejsze i najbardziej niewygodne, najłatwiej i najchętniej opowiada się zupełnie obcym osobom. A skoro została mianowana na jej pierwszego sezonowego anioła, chciała wypełnić swoją misję najlepiej, jak potrafiła. Lecz żeby móc się do tego zabrać, musiała dowiedzieć się czegoś o dziewczynie noszącej

imię po Michale Aniele, która mimo że dopiero wkraczała w dorosłość, miała już za sobą lepsze życie. A przynajmniej tak myślała.

Projekt okładki

Anna Damasiewicz

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki

Bulgac | iStock

mywind | Depositphotos

Redaktorka nabywająca

Dorota Gruszka

Redaktorka prowadząca

Agata Ługowska

Opieka redakcyjna

Anna Szulczyńska

Korekta

Barbara Gąsiorowska

Aleksandra Kiełczykowska

Copyright © by Magdalena Kordel

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-240-6648-3

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Marcin Kośka